



Refren
poranka

PIESN ALASKI
TRACIE
PETERSON

WYKONNICTWO WAM

TRACIE PETERSON

PIEŚŃ ALASKI 03

Refren poranka

PRZEKŁAD
MARIA ZAWADZKA



Rozdział 1

CZERWIEC 1889 ROKU

Ilekcóż ktoś chciał dowiedzieć się o tym, co działo się w Sitce - niezależnie od tego, czy chodziło o potwierdzone wiadomości, czy o zwykłe plotki - wystarczyło, że poszedł do miejscowego sklepu, który pełnił na wyspie funkcję swoistego centrum informacji. Dalton Lindquist nie spodziewał się jednak, że tym razem jego rodzina stanie się tematem opowieści pani Putshukoff.

W rzeczywistości jednak przez całe życie towarzyszyło mu przeświadczenie, że jego przeszłość kryje w sobie bliżej nieokreśloną tajemnicę. Wszyscy starali się unikać tego tematu, nikt nie chciał z nim o tym rozmawiać. Jedyne, co wiedział Dalton, to to, że jego narodziny i okres, który nastąpił bezpośrednio po nich, wiązały się z jakiegoś rodzaju zagrożeniem. Zauważył, że pytania dotyczące tamtego czasu są dla jego matki źródłem bólu. Zawsze, kiedy próbował je zadawać, ojciec napominał go, mówiąc, że na te rozmowy przyjdzie czas, kiedy Dalton będzie starszy. Kjell w końcu zdradził mu, że w okresie, gdy Dalton był dzieckiem, ktoś próbował go porwać, a podczas tej próby Lydia została postrzelona. Nic więcej nie chciał powiedzieć: całą historię miał usłyszeć od matki.

- Najwyższy czas, żebym się wreszcie dowiedział - wymamrotał, idąc ulicą sztywnym krokiem. - Zasluguję na to, żeby w końcu poznać prawdę.

Do domu zostały mu jeszcze trzy kilometry, ale zupełnie się tym nie przejmował. Miał nadzieję, że idąc, zdoła oczyścić umysł i potem spokojnie zastanowi się nad tym, co pani Putshukoff powiedziała przed chwilą Arniemu, właścicielowi sklepu. Kiedy się dzisiaj pojawiła, była mocno podekscytowana. Twierdziła, że w osadzie Tlingitów zginęło kilka osób. W wyniku kłótni życie straciło dwóch mężczyzn, a jedna z kobiet odniosła poważne obrażenia. Pani Putshukoff oświadczyła, że nic podobnego nie wydarzyło się w Sitce od czasu, kiedy na wyspie pojawiła się Lydia Gray.

Pierwsze słowa tej rozmowy dotarły do Daltona, kiedy przyjmował dostawę farby na tyłach sklepu. Próbował się zbliżyć do rozmawiających, nie zwracając na siebie uwagi. Spozregł go jednak Arnie, który dał pani Putshukoff znak, sugerując, że pora kończyć tę opowieść. Dalton zauważył, że w miasteczku, w którym wszyscy tak lubili plotkować, nie wiedzieć czemu, zachowywano wyjątkową powściągliwość, kiedy chodziło o jego przeszłość. Być może mieszkańcy starali się w ten sposób uszanować uczucia jego matki, która była tu uwielbiana i stanowiła jeden z filarów społeczności Sitki. Zastanawiał się, czy nie uważają, że są jej winni milczenie. Zresztą wielu ludzi, którzy mieszkali tu w okresie, kiedy on się urodził, dawno już opuściło to miejsce.

Słońce znajdowało się jeszcze wysoko na niebie, choć było już wpół do szóstej. Latem w Sitce zmierzch przychodził późno, a w tej chwili zostało do niego około czterech czy nawet pięciu godzin. To nikogo na wyspie nie dziwiło. Większe zaskoczenie budził fakt, że wreszcie przestał padać deszcz. Dalton wiedział, że czyste niebo będzie dla wszystkich stanowiło wspaniałą zachętę, żeby do późna oddawać się różnego rodzaju rozrywkom na wolnym powietrzu.

Kjell zawsze powtarzał, że to jego ulubiona pora roku, a Dalton w pełni się z nim zgadzał. Teraz, wracając do domu, szczerze żałował, że na tak pięknym dniu cieniem położy się od dawna skrywana tajemnica. Mimo że droga, którą przemierzał, była rzeczywiście długa, nie zaznał w czasie marszu ukojenia. Czuł, że z każdym krokiem wzrasta jego determinacja, by wreszcie znaleźć odpowiedź na od dawna dręczące go pytania. Musiał się wreszcie dowiedzieć, jakie okoliczności towarzyszyły jego narodzinom, chciał także poznać prawdę na temat swojego prawdziwego ojca. Jednego był pewien: matka przybyła do Sitki już jako wdowa. Trafiła tu, ponieważ na wyspie mieszkała jej ciotka, Zerelda Rockford, która pojawiła się na tym pustkowiu wiele lat przed przyjazdem jego matki. Zerelda powitała swoją ciężarną bratanicę z otwartymi ramionami. Kjell Lindquist zakochał się w Lydii i wziął z nią ślub tuż przed narodzinami Daltona.

Rok później przyjechała z Kansas City jego siostra przyrodnia, Evie. Kiedy jako dziecko zapytał o jej męża i dlaczego Evie mieszka z nimi na Alasce, a nie tam, gdzie jej mąż, natychmiast go uciszono. Rodzice wyjaśnili mu tylko, że nie musi tego wiedzieć i że ten temat jest dla jego siostry bardzo bolesny. Dopiero kilka lat temu dowiedział się, że Evie porzuciła męża, bo ten nigdy jej nie kochał i tak naprawdę w ogóle nie chciał ślubu. Siostra Daltona nie miała też ochoty rozmawiać o pewnych sprawach związanych ze swoim życiem w Kansas City, więc Dalton po raz kolejny musiał pogodzić się z tym, że nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania i nie pozna tajemnic przeszłości.

- Dalton! - Jego dziesięcioletnia siostra Kjerstin puściła się pędem w jego stronę. - Zobacz, co zrobiłam! - Z dumą pokazała mu kawałek materiału. - To serwetka, wyszyłam na niej literę „Z”. To dla cioci Zereldy. Mama mówi, że powinnam dodać tam jeszcze „R”, więc teraz się tym zajmę.

Dalton porzucił swoje rozważania i z uwagą przyjrzał się chusteczce.

- Całkiem nieźle ci to wyszło. Wspaniale opanowałaś sztukę haftowania.

- Mama mówi, że jestem do tego stworzona. - Dziewczynka wzięła serwetkę i zaczęła radośnie tańczyć wokół Daltona. Jej brązowe warkocze wirowały w powietrzu. -A Britta wcale nie jest do tego stworzona. Na jej nitce zawsze robią się supełki.

- Britta ma dopiero siedem lat. Daj jej trochę czasu - odpowiedział Dalton. - I nie bądź taka pyszna. Kiedy ktoś cię chwali, mówiąc, że jesteś w czymś dobra, powinnaś podziękować.

Kjerstin zatrzymała się i spojrzała na niego z rozpaczą.

- Przepraszam! Dziękuję. Dalton roześmiał się.

- Nie musisz tak bardzo się tym przejmować. - Poglaskał ją po głowie. Przez tyle lat pozostawał jedynakiem, że kiedy matka powiedziała mu, iż urodzi drugie dziecko, był naprawdę zachwycony. Marzył wprawdzie o bracie, ale Kjerstin okazała się interesującą alternatywą.

- Gdzie mama?

- W ogrodzie. Chcesz, żebym ją zawołała? Dalton pokręcił głową.

- Nie, sam do niej pójdę. A ty wracaj do haftowania.

- Mogę iść z tobą.

- Nie, muszę z nią porozmawiać na osobności. Kjerstin wzięła się pod boki.

- Dlaczego nie mogę iść z tobą?

Nie chciał jej niepokoić, ale nie zamierzał też kłamać.

- Po prostu chcę zadać jej kilka pytań. To prywatna sprawa. Nic, czym powinnaś obciążać swoją śliczną główkę.

- Zapytasz ją o to, jak się całuje dziewczyny?

Dalton ze zdziwieniem spojrział na siostrę.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Słyszałam, jak mama i tata rozmawiali o tym, że niedługo zaczniesz zauważać dziewczyny i znajdziesz sobie żonę.

Dalton roześmiał się, wziął siostrę na rękę, zakręcił nią w powietrzu, po czym postawił Kjerstin na ziemi.

- Zacząłem już zauważać dziewczyny - powiedział porozumiewawczo. - Wydaje mi się, że z całowaniem też jakoś sobie poradzę. - Poklepał ją po plecach. - A teraz idź już.

Zachichotała i wbiegła po schodach na werandę.

- Jeżeli będziesz się żenił, chcę koniecznie włożyć na ślub jakąś piękną sukienkę - zawołała do niego.

- Postaram się w miarę możliwości spełnić twoje życzenie, ale najpierw muszę znaleźć sobie pannę młodą.

Okrzyknął dom i ruszył w stronę ogrodu, gdzie jego matka pracowała pochylona nad grządkami. Dalton zastanawiał się, co mogło skłonić rodziców do rozmowy o jego ślubie. Od czasu kiedy skończył szkołę, nie zajmował się niczym poza szkutnictwem. Budowa łodzi zaczęła go wciągać, gdy miał trzynaście lat. Terminował u pana Bielikowa, ojca swojego najlepszego przyjaciela Juriego. Szkutnictwo było tym, czym chciał się zajmować do końca życia. Uwielbiał zarówno budować łodzie, jak i na nie patrzeć po skończonej już pracy. Jednym słowem kochał wszystko, co się z nimi wiązało.

Matka zauważyła go i wyprostowała się. Dalton porzucił myśli o budowie łodzi i o paplaninie siostry. Zmarszczył brwi, kiedy przypomniał sobie, dlaczego tak zależało mu na tej rozmowie.

- Wyglądasz jak człowiek, który ma jakąś konkretną sprawę do załatwienia - odezwała się jego matka.

- To prawda - odpowiedział poważnie. - Czy możemy usiąść i porozmawiać?

Twarz Lydii Lindquist lekko pobladła. Wyprostowała ramiona.

- Czy coś się stało?

- Nic takiego, a przynajmniej nic, czego nie dałoby się wyjaśnić, odpowiadając na kilka pytań. - Poprowadził ją do rzędu drewnianych krzeseł, które jego ojciec zrobił z myślą o rozrywkach pod gołym niebem.

- Muszę poznać prawdę o moim ojcu, o moich narodzinach. Mam osiemnaście lat. Jestem już w takim wieku, że powinienem wreszcie dowiedzieć się o tym, o czym wiedzą wszyscy inni wokół mnie.

Jego matka usiadła i skinęła głową.

- Myślę, że jestem ci to winna.

Dalton miał ochotę odburknąć, że jest mu winna nie tylko to, ale i dużo więcej. Zamiast tego przystawił bliżej jedno z krzeseł i usiadł naprzeciw niej.

- Wiem, że w przeszłości doświadczyłaś wiele zła. Mam tego świadomość. Jeżeli chcesz coś zataić, żeby mnie chronić, nie rób tego.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

- Muszę ze wstydem przyznać, że powodem mojego milczenia był raczej własny strach przed przeszłością. To bardzo bolesne wspomnienia. Miałam nadzieję, że nie będę już musiała o tym mówić.

- Nie chcę, żebyś cierpiała, ale odnoszę wrażenie, że wszyscy wokół wiedzą o mnie znacznie więcej niż ja sam. Choćby dzisiaj w sklepie usłyszałem, że w roku, w którym się urodziłem, wiele się tu wydarzyło. Chciałbym wiedzieć, co się wtedy stało, i wołałbym nie dowiadywać się wszystkiego od obcych.

Lydia wzięła głęboki oddech.

- No cóż, tak naprawdę wszystko wydarzyło się dwa miesiące po twoich narodzinach. Postaram się odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, choć jak poznasz już

prawdę, możesz zacząć żałować, że w ogóle zaczęłaś pytać. Od czego mam zacząć?

- Kim był mój ojciec? - zapytał Dalton, nie zważając na przestrogi matki.

- Nazywał się Floyd Gray. Wysłałam za niego w bardzo młodym wieku: to małżeństwo zaaranżowali moi rodzice. On miał już wcześniej żonę, która zmarła niedługo przed naszym ślubem - zaczęła Lydia. - Stałam się częścią umowy handlowej, którą zawarł z moim ojcem.

- Więc zostałam do tego zmuszona?

- Tak - odpowiedziała. - Muszę niestety wyznać, że nigdy go nie kochałam. Był okrutnym człowiekiem i nigdy nie okazał mi nawet najmniejszych oznak czułości.

- Ale co ze mną? Byłaś w ciąży, kiedy zmarł?

- Trudno ci będzie to zrozumieć... - Spuściła wzrok. -Przykro mi, ale nie zostałam poczęty z miłości. To nie była moja pierwsza ciąża. Tylko tę ciążę udało mi się jednak donosić do końca: wcześniej, gdy twój ojciec wpadał w gniew, wyładowywał się na mnie.

Dalton zeszywniał. Zalała go wściekłość na myśl o tym, że jakiś mężczyzna mógłby skrzywdzić jego matkę.

- W jaki sposób umarł?

- Zginął w wypadku powozu, razem z moim ojcem. Ojciec żył dwa dni dłużej od niego, co z kolei doprowadziło do całej serii komplikacji związanych ze spadkiem i pozostałymi dziećmi Floyda.

- Chodzi ci o Evie?

Lydia podniosła wzrok. W jej brązowych oczach Dalton dostrzegł strach.

- Nie, chodzi mi o jego pozostałe dzieci. Twoich braci i drugą siostrę.

- Słucham? - Pokręcił głową. - Mam braci? I jeszcze jedną siostrę? O czym ty mówisz?

- To długa historia. Floyd i jego pierwsza żona mieli bliźniaki, dużo starsze od ciebie, a także drugą córkę. Mieszkali wszyscy w Kansas City i wszyscy z wyjątkiem Eve mnie nienawidzili. Kiedy poślubiłam ich ojca, patrzyli na mnie jak na intruza. W tamtym czasie Eve była jeszcze małą dziewczynką. To pewnie dlatego nie przejęła ich sposobu myślenia, ich nienawiści. Ale ilekroć okazywała mi choćby cień dobroci, surowo ją za to karali.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Dlaczego nigdy nic nie mówiłaś?
- Nagle poczuł gniew. - Nie przyszło ci do głowy, że chciałbym poznać swoje rodzeństwo?

- Właśnie dlatego nic ci nie powiedziałam - wyznała. -Miałam nadzieję, że nigdy nie będziesz chciał ich poznać. Daltonie, to nie są dobrzy ludzie.

- Czy nie powinienem dostać szansy, żeby się o tym przekonać? Nie miałaś prawa wszystkiego przede mną zatajać. - Czuł się zdradzony i oszukany. - Co jeszcze przede mną ukrywałaś? - W tej chwili przypomniał sobie słowa, które usłyszał w sklepie. - Co stało się w roku, w którym się urodziłem? Kto wtedy zginął?

Jej twarz się zmieniła.

- Co na ten temat słyszałeś?

- Słyszałem za mało, żeby cokolwiek zrozumieć - odpowiedział. - Chcę poznać prawdę.

Ku zaskoczeniu Daltona w jej oczach pojawiły się łzy.

- Zawsze chciałam, żebyś poznał w końcu prawdę, ale... - zakrztusiła się i ukryła twarz w dłoniach.

Dalton poczuł wyrzuty sumienia. Nie chciał, żeby cierpiała, ale jednocześnie wiedział, że musi wreszcie poznać prawdę o wydarzeniach, które doprowadziły ją do łez.

- Proszę cię, musisz mi powiedzieć.

Widział, że matka próbuje się opanować, więc postanowił przez chwilę milczeć. Kiedy wreszcie się odezwała, jej słowa wzbudziły jego niepokój.

- Musisz dać mi trochę czasu. Nawet teraz trudno mi... Tyle rzeczy wydarzyło się tamtej nocy, kiedy po ciebie przyszli. Części z nich nadal nie mogę sobie przypomnieć.

- Kto? Kto po mnie przyszedł? O czym ty mówisz? Patrzyła na Daltona niewidzącymi oczami. Miał wrażenie, że przeniosła się myślami do tamtych czasów.

- Było ich dwóch. Ci ludzie nienawidzili twojego ojca.

- Mojego prawdziwego ojca? Pokręciła głową.

- Nie, Kjella. Ale to nie dlatego cię zabrali. Działali na zlecenie.

- Na zlecenie?

- Przyszli w nocy, Zerelda usiłowała ich zatrzymać. Ogłuszyli ją... natychmiast straciła przytomność. - Lydia wstała. Wyglądała, jakby była w transie. - Kiedy to się stało, zajmowałam się tobą na górze. Nagle usłyszałam jakieś hałasy. Zerelda miała broń, zdecydowała się jej użyć. Jeden z nich powiedział, że trzeba znaleźć dziecko.

Dalton wstał i dotknął jej ramion.

- Mamo, wszystko w porządku? Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

- Kiedy po ciebie przyszedł, nie wiedziałam, co robić. Kjell został do późna w pracy. W domu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. - Zadrżała. - Starłam się go powstrzymać, nie mogłam pozwolić, żeby cię zabrali...

- Kogo? Kto to był?

- Anatolij Sidorów - powiedziała to tak cicho, że ledwo ją usłyszał. Po chwili głęboko odetchnęła. Wydawało się, że znowu patrzyła na Daltona z uwagą. - To byli Anatolij i jego brat.

- Kim oni są? Nigdy o nich nie słyszałem. Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy.

- To on cię porwał. Próbowałam z nim walczyć. Starłam się go powstrzymać, ale nie chciał słuchać. On... on...

- Co zrobił? Powiedz mi. Proszę.

- Lydio!

Nagle dostrzegli Evie, która szła alejką w ich stronę.

- Kjell cię szuka. Prosił, żebyś przysłała do domu, potrzebuje twojej pomocy.

- Mamo, proszę, dokończ swoją opowieść. Otarła oczy skrawkiem fartucha.

- Strzelił do mnie.

Powiedziała to tak rzeczowo, że przez chwilę jej słowa nie mogły przedrzeć się do świadomości Daltona.

- Co zrobił?

- Nie mam siły - powiedziała Lydia, kręcąc głową. Evie była coraz bliżej. W pewnym momencie Lydia odwróciła się i spojrzała na nią.

- Ty mu powiedz. Ty mu powiedz, co wydarzyło się po tym, jak Anatolij mnie postrzelił. Powiedz Daltonowi, kto za tym wszystkim stał.

Evie otworzyła szeroko oczy - nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Dalton w milczeniu patrzył na odchodzącą matkę. Był rozdarty: z jednej strony rozpaczliwie pragnął, by została i dokończyła swoją opowieść, z drugiej zaś ogarnął go głęboki smutek na myśl, że spowodował jej cierpienie. Bez wątpienia rozmowa ta stanowiła dla niej ogromny wstrząs.

Spojrzał na Evie.

- Chcę się wreszcie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Na razie rozumiem tylko tyle, że starzy mieszkańcy miasteczka wiedzą o mojej przeszłości znacznie więcej ode mnie. To nie w porządku. Ktoś musi wreszcie odpowiedzieć na moje pytania.

- Nawet jeżeli to rani twoją matkę?

- Mam do tego prawo! - Dalton uderzył pięścią w krzesło. - Mam dosyć wszystkich tych kłamstw i tajemnic. Muszę poznać prawdę.

- Przestań się wściekać, to może odpowiem na twoje pytania. Jesteś już dorosłym mężczyzną, Daltonie, więc zacznij się w ten sposób zachowywać, zamiast robić sceny jak rozkapryszone dziecko.

- Przez całe życie ciążył na mnie cień tych tajemnic, Evie. Okazuje się, że mam braci i siostrę, o których nawet nie słyszałem. Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Dlatego, że twoja matka wołała, żebym o niczym nie mówiła.

- Przecież to bez sensu. Co z tego, że mój prawdziwy ojciec, nasz ojciec, był trudnym człowiekiem? Dlaczego miałaby mi z tego powodu nie opowiadać ani o nim, ani o jego rodzinie? A teraz jeszcze matka mówi, że ktoś zjawił się niedługo po moim urodzeniu, porwał mnie, a ją postrzelił. O co w tym wszystkim chodzi? Nic z tego nie rozumiem.

- Nasz brat Marston wynajął dwóch mężczyzn, którzy mieli odebrać cię Lydii. Nasi bracia są tak samo podli i zepsuci jak nasz ojciec. A nasza siostra Jeannette nie mniej samolubna i bezduszna.

- Jeannette? Ta sama, która przysyła ci listy? To nasza siostra? - zapytał Dalton.

Evie skinęła głową.

- Tak, korespondujemy od czasu do czasu, choć nigdy nie byliśmy sobie bliskie. Jeannette trudno uznać za dobrą siostrę, zresztą czasem w ogóle o niej zapominam. Ale to Marston jest najgorszy. Wszystko, o czym zdażyłeś już usłyszeć, było inspirowane przez niego.

- Nie rozumiem. Dlaczego Marston chciał mnie porwać? Dlaczego postanowił odebrać mnie matce?

- Chodziło o pieniądze - przyznała Evie. - Lydia odziedziczyła majątek naszego ojca, a to doprowadziło nasze

rodzeństwo do szewskiej pasji. Chcieli za wszelką cenę odzyskać pieniądze. Twoja matka przekazała im wspaniałomyślnie część tych dóbr, ale ze względu na to, że też jesteś dzieckiem Graya, uznała, że ma obowiązek zabezpieczyć należną ci część.

- Nie wiem nic o żadnym spadku. To wszystko nie ma sensu.

Evie przyłożyła na chwilę dłoń do skroni. Dalton miał wrażenie, że jego siostra zastanawia się, ile może wyjawić, a co musi pozostać tajemnicą. Wreszcie odezwała się łagodnym, spokojnym głosem.

- Być może z czasem... wszystko nabierze sensu. Na razie musisz zrozumieć jedno: niewiele brakowało, by nasz brat doprowadził do śmierci twojej matki. Zlecił zabójstwo. Sidorowowie mieli wykonać wyrok. Chciał doprowadzić do jej śmierci, ponieważ mógłby wtedy starać się o spadek jako twój najbliższy krewny. W takiej sytuacji rodzina odzyskałaby dzięki tobie majątek.

Dalton opadł na krzesło. Odetchnął ciężko.

- Co stało się później? Gdy tamten człowiek strzelił do matki?

Ton głosu Evie stał się łagodniejszy. Siostra Daltona usiadła na miejscu, które kilka chwil wcześniej zajmowała Lydia.

- Mężczyźni, którzy zaatakowali ją tamtej nocy, zabrali cię do Marstona. Ten zabił Anatolija, ale jego bratu Iwanowi udało się uciec. Marston wywiózł cię do Kansas City, a w Sitce wszyscy myśleli, że nie żyjesz. Właśnie na tym mu zależało. Tymczasem Kjell starał się ratować twoją matkę. Zawiózł ją oraz Zereldę do szpitala tak szybko, jak tylko mógł. Lydia przez długi czas nie odzyskiwała przytomności. Wszyscy myśleli, że już z tego nie wyjdzie.

- A co się stało z Marstonem?

- Kilka tygodni później przybył do Kansas City i powierzył mi opiekę nad tobą, tłumacząc, że twoja matka zmarła w połogu. Byłam nieszczęśliwa u boku męża i rozpaczliwie potrzebowałam czegoś innego, na czym mogłabym się skupić. I wtedy pojawiłeś się ty. Cieszyłam się, że mogę się tobą zajmować i choć na chwilę zapomnieć o swoich problemach. Miałam też poczucie, że robię to przez wzgląd na twoją matkę. Prawda jednak wyszła na jaw: okazało się, że Lydia żyje. Choć niewiele brakowało, byśmy jej już nie zobaczyli. Kiedy wyzdrowiała, przez długi czas nie mogła odzyskać pamięci. Nie poznawała ani Kjella, ani Zereldy. Nie pamiętała, że kiedykolwiek miała syna.

- Jak mogła tego nie pamiętać? - zapytał. Evie potrząsnęła głową.

- Straciła dużo krwi. Lekarz powiedział, że w połączeniu ze wstrząsem, jakiego doznała, doprowadziło to do czasowej utraty pamięci.

- W jaki sposób dowiedziałaś się, że ona przeżyła?

- Pewnego popołudnia podsłuchałam rozmowę, którą nasi bracia prowadzili z moim mężem. Wtedy dowiedziałam się, że Marston próbował zabić Lydię, żeby przejąć kontrolę nad tobą, a w konsekwencji odzyskać spadek. Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. A jednocześnie miałam nieodparte wrażenie, że muszę być idiotką, skoro przez tak długi czas nie zdołałam tego zauważyć.

- I co było dalej?

- Postanowiłam zabrać cię do Lydii na Alaskę. Wszystko dokładnie zaplanowałam. Powiedziałam mężowi, że chciałam pojechać do Anglii i pochwalić się tobą przed moimi znajomymi. Nasi bracia uznali, że to świetny pomysł. Wiedziałam, że będą dążyli do tego, żeby cię gdzieś ukryć. Dzięki temu, gdyby Lydia zgłosiła się na policję, poszukiwania utknęłyby w martwym punkcie.

- Czyli wmówiłaś im, że jedziesz do Anglii, ale zamiast tego przypląnęłaś statkiem tutaj?

- Tak. Dopiero kiedy zjawiłam się tu z tobą, Lydia w pełni odzyskała pamięć. Wcześniej, kiedy stopniowo dochodziła do siebie, przez długi czas przypominały jej się wyłącznie pojedyncze fragmenty i obrazy. Ale kiedy stanęłam przed nią i pokazałam jej ciebie, pod wpływem wstrząsu straciła przytomność. Wydawało się, że wszystkie wspomnienia w jednej chwili do niej wróciły: nie mogła tego udźwignąć.

Dalton przetarł oczy, przytłoczony tym, co opowiedziała mu Evie.

- Proszę, mów dalej. Co się potem wydarzyło?

- Dzięki zeznaniom moim i Iwana Sidorowa Marstona sądzono za porwanie. Nie oskarżono go jednak o zabójstwo ani nawet o usiłowanie zabójstwa. Zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Anatolija, i zasugerował, że odpowiada za nią Iwan. Przyznał się do tego, że zorganizował porwanie, ale twierdził, że nie chciał, by komukolwiek stała się przy tym krzywda. Skłamał i zeznał, że obawiał się po prostu o twoje zdrowie i o to, co się z tobą stanie na dzikich pustkowiach Alaski. Starał się wykazać, że opieka nad tobą przerastała wtedy możliwości, jakimi dysponowała twoja matka, i że tak naprawdę nigdy nie była w pełni władz umysłowych. Oczywiście sędzia nie miał żadnej wiedzy na ten temat, więc postanowił przychylić się do stanowiska Marstona. Ostatecznym argumentem, który przekonał go do przyjęcia tych wyjaśnień, była łapówka, którą mu wcześniej wręczono. Naszego brata skazano na pięć lat więzienia, ale nie spędził za kratami ani jednego dnia. Dostał zwolnienie warunkowe. Chociaż wyrok pozbawił go dawnej pozycji wśród ludzi z towarzystwa, to jego akcje w środowisku miejscowych kryminalistów stały coraz lepiej. Z tego, co donosi nasza siostra, wynika, że

znowu dobrze mu idzie w interesach i zyskał wielu groźnych przyjaciół.

- A więc to wszystko uszło mu na sucho? To, że zabił Anatolija i usiłował zabić moją matkę?

- I ranił ciotkę Zee. To nie wszystko. Wydaje się, że Marston maczał też palce w wielu innych sprawach. Trudno mu jednak coś udowodnić, bo jego działania zawsze są świetnie przygotowane. Wszystko uchodzi mu na sucho albo dzięki pieniądзом, albo dzięki wielkiej sile przekonywania. Teraz powinieneś już rozumieć, dlaczego matka tak długo utrzymywała jego istnienie w tajemnicy. - Evie ujęła go za rękę. - Daltonie, nie możesz mieć do niej żalu, że zataiła to wszystko przed tobą. Prawda była tak okrutna... Lydia nie mogła się pogodzić z tym, że może mieć ona jakikolwiek wpływ na twoje wychowanie. Sądziła, że odcinając cię od tamtej rzeczywistości, najskuteczniej cię ochroni.

Pokręcił głową.

- Ochroni mnie przed czym? Evie wyprostowała się.

- Oczywiście przed Marstonem. On się nie podda. Obawiamy się, że pewnego dnia cię odnajdzie i będzie usiłował przeciągnąć na swoją stronę, skłonić do tego, żebyś poszedł w ślady swojego ojca.

Rozdział 2

Dalton długo rozważał słowa swojej siostry. Siedzieli w milczeniu, wpatrując się w gęste korony drzew i ośnieżone szczyty. Lydia powiedziała mu kiedyś, że Alaska jest źródłem symfonii dźwięków - mimo to w tej chwili słyszał tylko łomotanie własnego serca. Przepęłniały go wściekłość i poczucie krzywdy. *Oklamali mnie.*

Nie, tak naprawdę cię nie okłamali. Po prostu ukryli przed tobą prawdę.

Ale prawda była przecież ważna. To prawda o moim życiu, o tym, kim jestem.

Oni cię chronili. Człowiek, którego opisała twoja siostra, zabiłby cię, gdybyś stanął mu na drodze. Matka cię nie zdradziła. Próbowwała cię tylko chronić.

Powinna była mi powiedzieć.

- Powinna była mi powiedzieć - mruknął Dalton, wypowiadając na głos ostatnią myśl.

- Słucham? Spojrzał na Evie.

- Matka powinna była powiedzieć mi prawdę. Zasługiwałem na to. Powinienem był wiedzieć.

- Bez względu na wszystko? No cóż, najwyraźniej kierujesz się wyłącznie pragnieniem zaspokojenia swoich egoistycznych oczekiwań. - Evie wstała i spojrzała na niego z góry. - Myślałam, że jesteś wystarczająco dojrzały, żeby

sobie z tym wszystkim poradzić, ale chyba się myliłam. Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko, które dowiaduje się nagle, że reszkę deseru dostanie inny członek rodziny. Dalton zerwał się na równe nogi.

- To niesprawiedliwe! Do tej pory nigdy nie naciskałem. Gdyby tu chodziło o twoje życie, też chciałabyś poznać prawdę.

- Tak. Chciałabym poznać prawdę. Ale nie rozumiem, co miałyby dać mi w tej sytuacji oskarżanie bliskich i wskazywanie winnych. Daltonie, w tej chwili nie ma znaczenia, kto powinien być ci o wszystkim powiedzieć i jak wiele szczegółów powinien ci wyjawiać. Podjęte zostały pewne decyzje, a wszystko po to, by cię chronić. Jakże to wszystko może teraz mieć znaczenie?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Przez całe życie czułem, że istnieje jakaś ważna część mnie, której nie znam, która pozostaje przede mną ukryta. Wiązało się to pewnie z tym, że o tej tajemniczej części mojego życia nikt nie chciał ze mną rozmawiać. - Dalton spojrzał na siostrę. - Po prostu muszę się dowiedzieć, kim jestem.

Wzruszyła ramionami.

- Jesteś Daltonem Grayem Lindquistem. Jesteś tym, kim będziesz chciał zostać.

- Ale to nie wszystko. Mówisz o ojcu, którego nigdy nie poznałem. Matka opisała go jako okrutnego człowieka. Ty twierdzisz, że był podły i bezduszny. Ale ja sam nie miałem nawet okazji się o tym przekonać.

- I dzięki Bogu! - zawołała. Na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie. Zadrżała. - Nie masz pojęcia, przed czym Bóg cię ustrzegł.

- Ale przecież to był nasz ojciec. Evie pokręciła głową.

- Wybacz mi dosadność tego, co teraz powiem, ale on był tylko mężczyzną, który zapłodnił nasze matki. Daltonie, tego człowieka nie obchodził nikt poza nim samym. Dzieci były dla niego wyłącznie pionkami, których używał w kolejnych rozgrywkach. Bardziej interesowało go zarabianie pieniędzy niż dbanie o kogokolwiek w tej rodzinie.

- Ale to nie czyni go złym.

- On zabił moją matkę! - zawołała niespodziewanie Evie. Gdy tylko zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zasłoniła usta dłonią, tak jakby próbowała zdusić prawdę. Po chwili cofnęła rękę. - Widziałam to na własne oczy.

- Tak mi przykro, Evie. Nie miałem... pojęcia.

Oboje poczuli lekki podmuch wiatru. Evie zadrżała. Dalton nie wiedział, czy to z powodu chłodnego powietrza, czy na skutek koszmarnych wspomnień, które właśnie stanęły jej przed oczami. Objął ją ramieniem. Evie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Daltonie, miałam zaledwie cztery lata, kiedy zobaczyłam, jak ojciec zrzuca matkę z tarasu na szczycie naszego domu. Zginęła na moich oczach. Nie domyślał się, że byłam świadkiem tego zdarzenia. Przez długie lata żyłam w strachu, że pozna prawdę, więc uparcie milczałam. To człowiek, o którym najlepiej zapomnieć. W niczym nie jesteś do niego podobny... i powinieneś się z tego cieszyć.

Ale Dalton nie cieszył się. Podczas tej krótkiej rozmowy zdążył się dowiedzieć, że jego ojciec i brat byli mordercami, że nie mieli litości i brali, co tylko chcieli, niezależnie od ceny, jaką inni musieli za to zapłacić. Takie właśnie było jego dziedzictwo. Jak mógł się cieszyć, dysponując taką wiedzą?

- Po prostu zawsze miałem wrażenie, że czegoś mi brakuje... I nie ma to nic wspólnego z tym, czy Kjell był, czy nie był dobrym ojcem. To wspaniały ojciec. Ale wisi nade

mną ciężar przeszłości. - Dalton potrząsnął głową. - A teraz, po tym wszystkim, co od ciebie usłyszałem, trudno mi dojść do siebie. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale mam wrażenie, że różne zdarzenia z przeszłości walczą o to, by na nowo znaleźć miejsce w moim życiu.

- Mam nadzieję, że mając na uwadze dobro własne i całej twojej rodziny, zdołasz odsunąć od siebie te myśli, zanim opanują twój umysł - odpowiedziała Evie.

Dalton milczał. Nie pamiętał, żeby Evie kiedykolwiek użyła tak ostrych słów. Odezwał się dopiero po chwili.

- Nie mogę tak po prostu odciąć się od czegoś, czego nawet nie rozumiem.

Evie uważnie mu się przyglądała.

- Biblia mówi, że należy uciekać przed Szatanem, Daltonie. Nasz ojciec... Marston... Mitchell... a nawet Jeannette... oni zawsze wykonywali polecenia Szatana. Nic nie wskazuje na to, żeby dziś byli innymi ludźmi niż wtedy, gdy się urodziłeś. Najlepiej o nich po prostu zapomnieć.

- Nie wiem, czy będę w stanie. Mimo wszystko oni są częścią mnie. To tak, jakbyś żądała ode mnie, żebym odciął sobie rękę.

- Gdyby ta ręka stała się źródłem takich niegodziwości, jakich dopuszczał się dawniej i zapewne nadal się dopuszcza Marston - odparła Evie - sama bym ją odcięła... żeby cię ratować.

Joshua Broadstreet podniósł wzrok i jego oczom ukazał się Kjell Lindquist, który właśnie wszedł do środka, strzepując z kurtki krople deszczu. Tartak, na którego terenie się znajdowali, należał kiedyś do Kjella. Jednak wiele lat temu Josh został jego współnikiem, a później stopniowo wyku-

pywał udziału Kjella, który poświęcił się budowie domów i sklepów w całej okolicy.

- Wiedziałem, że wczorajsza pogoda długo się nie utrzyma - powiedział Kjell, szeroko się uśmiechając.

- Właśnie zaparzyłem kawę. Napijesz się?

- Chętnie. - Ruszył za Joshua do jego biura. - Czy uda ci się przed pierwszym zrealizować moje zamówienie na tarcicę?

Josh nalał kawę i podał filiżankę Kjellowi.

- Wydaje mi się, że powinniśmy zdążyć. Co prawda od czasu kiedy odeszli tlingiccy robotnicy, produkujemy dużo mniej, ale cały czas dostajemy nowe bale i większość twojego zamówienia już jest gotowa. Odkąd wprowadziłem zasadę, że każdy, kto przyjdzie do pracy pijany lub na kacu, będzie miał wstrzymaną wypłatę, robotnicy zdecydowanie częściej przychodzą trzeźwi. Zatrudniłem też paru kreolskich chłopców. Nie są tak dobrzy, jak bym chciał, ale muszę zadowolić się tym, co mamy do dyspozycji. Jeżeli przestaną pić, powinno nam się udać. Nawet w okresie kiedy Tlingici opuszczają Sitkę, Kreolom udaje się w jakiś sposób zdobyć produkowaną przez nich gorzałę. Przysięgam, to świństwo jest na tyle mocne, że spokojnie można by go używać do usuwania rdzy.

- Jak na okrąg, któremu nie przyznano prawa do importu alkoholu, mamy go całkiem sporo. Najwidoczniej zakaz importu przestaje obowiązywać, kiedy produkcja odbywa się na miejscu. - Kjell upił kolejny łyk, po czym usiadł. - Kawa z tego ekspresu nigdy mi się nie znudzi - powiedział.

Joshua usiadł obok niego.

- To prawda, ekspres wiernie mi służy.

- Widzę, że interes świetnie się rozwija. Cieszę się, że tak dobrze ci idzie. Mnie z kolei zdecydowanie bardziej od-

powiada to, czym teraz się zajmuję. Właśnie skończyłem remontować dom gubernatora. Josh skinął głową.

- Słyszałem, że gubernator ma się tu pojawić lada dzień. Ciekawe, co jego rządy będą znaczyły dla Sitki.

- Na pewno ma konkretne plany - uśmiechnął się Kjell. - Wiemy dobrze, że politycy, którzy tu trafiają, do końca nie wiedzą, czego się spodziewać. Zawsze jest niezły ubaw, kiedy się ich na początku obserwuje.

- Zwłaszcza kiedy przyjeżdżają do Sitki z jednego z tych dużych miast na wschodzie. Dla ludzi przyzwyczajonych, że na każde skinienie dostają wszystko, czego tylko zapragną, to miejsce okazuje się zwykle ogromnym zaskoczeniem.

- Niektórzy nie są stworzeni do takiego życia. - Kjell wypił kolejny łyk kawy. - Pamiętam, jak trudno funkcjonowało się tu żołnierzom. Kiedy tu stacjonowali, wyglądało na to, że nigdy nie zdołają się przystosować. Dezerterowali, próbując ukryć się na pokładzie pierwszego statku, który stąd odpływał.

- Kiedy pojawiło się tu wojsko, trochę się obawiałem, ale wygląda na to, że marynarka skutecznie broni tych terenów i czuwa, żeby panował tu ład i porządek. A teraz, kiedy Sitka stała się zorganizowanym okręgiem i przyjeżdżają tu kolejni sędziowie i gubernatorzy, spodziewam się, że sytuacja jeszcze się poprawi.

- Ciekawe, jakich zmian możemy się spodziewać. Lydia i Evie martwią się, że ten region będzie się rozwijał zbyt szybko. Tak naprawdę odpowiada im to, że Sitka jest odcięta od świata.

Słyszając imię Evie, Josh odwrócił głowę. Usilnie starał się nie myśleć o pięknej blondynce. Była przecież mężatką. Każdego dnia powtarzał to sobie w nieskończoność. Nie miał w tym przypadku znaczenia fakt, że nie widziała mę-

za od osiemnastu lat. Nie miało znaczenia to, że Josh kochał ją od chwili, kiedy po raz pierwszy na nią spojrzął. Mimo wszystko pozostawała mężatką.

- Jak na dwie kobiety, które dorastały wśród luksusów wielkiego miasta, całkiem nieźle się przystosowały. Lydia twierdzi, że bardziej jej odpowiada ciche, spokojne życie, które tutaj wiemy. Mówi, że w mieście panował nieustanny zgiełk i hałas.

- Też to pamiętam. Zapominasz, że i ja nie urodziłem się na tych terenach - powiedział Josh, starając się choć przez chwilę nie myśleć o przyczynie swoich zmartwień. - Chociaż muszę przyznać, że po tych wszystkich latach mnie też zdarza się o tym zapominać. Ledwo pamiętam, jak wyglądało moje życie, zanim tu przyjechałem. *Zanim Evie tu przyjechała. Boże, dlaczego nie potrafisz przestać o niej myśleć?*

Doskonale wiedział, że nigdy nie wyleczy się z uczucia, którym darzył tę kobietę. Miał już czterdzieści cztery lata i wydawało się, że musi ostatecznie pożegnać się z wszelką nadzieją na to, że kiedykolwiek znajdzie żonę i założy rodzinę. W gruncie rzeczy nie chciał żadnej innej kobiety: Evie całkowicie zawładnęła jego sercem. Przez te wszystkie lata ukrywał miłość w swoim sercu i nie zamierzał niczego zmieniać. Wiedział też, że nie wolno mu jej zhańbić, a stałoby się tak, gdyby zdecydował się wyznać swoje uczucie. Za bardzo ją kochał - i dlatego nie mógł sobie na to pozwolić.

Niespodziewanie do biura wkroczyła właśnie Evie Gadston: wydawało się, że Josh ściągnął ją tu myślami.

- Przyniosłam wam prezenty od Zee i Lydii - oznajmiła, po czym postawiła na biurku Joshuy talerz z bułeczkami cynamonowymi i posłała mu szeroki uśmiech. - Jeszcze ciepłe.

Czas okazał się dla Genevieve Gadston niezwykle łaskawy. Miała trzydzieści sześć lat, ale równie dobrze można

by przyjąć, że jest o dziesięć lat młodsza. W jej zachowaniu ciągle było tyle wdzięku i gracji, jakby nigdy nie przestała się obracać wśród elit Kansas City.

Zapach cynamonowych bułeczek sprawił, że Josh porzucił swoje rozmyślenia.

- To będzie idealny dodatek do naszej kawy - powiedział. I znowu spojrzął w jej ciemnoniebieskie oczy. *Och, Evie.*

- Jak wam dziś idzie praca? - zapytała. - Zaczynało kropić, jeszcze zanim wyszłam z domu, a kiedy dotarłam do miasteczka, rozpadało się na dobre. Kjell, myślałam, że spotkam cię po drodze. Lydia mówiła, że masz się dziś zająć dachem jakiegoś domu, a w deszczu to chyba niemożliwe.

- Kiedy zorientowałem się, że niewiele dziś zdziałam, przyszedłem pogawędzić z Joshem - przyznał Kjell. - A ty? Dlaczego wyszłaś w taką pogodę? Przypuszczam, że nie zjawiałaś się tu tylko po to, żeby przynieść Joshowi jedzenie!

Roześmiała się.

- Mieszkam tu wystarczająco długo, aby wiedzieć, że jeśli człowiek czasem nie wyjdzie z domu mimo deszczu, niczego nie zdoła załatwić. Poza tym Lydia prosiła, żebym kupiła jej kilka rzeczy u Arniego.

- Cieszę się, że wpadłaś - powiedział Josh, starając się jednocześnie ukryć, jak duża jest to radość. - Dobrze mieć pretekst, żeby zrobić sobie przerwę w pracy. Dzięki temu, że odwiedziliście mnie z Kjellem, nie czuję się winny, że siedzę tu i nic nie robię. No dobrze, chyba poczęstuję się jeszcze jedną. - Wsunął do ust ostatni kęs bułeczki i sięgnął po następną.

- Czy zdążyliście już przez ten czas rozwiązać wszystkie problemy naszego świata? - zapytała Evie.

- Na razie udało nam się tylko omówić sprawę przyjazdu nowego gubernatora. Wygląda na to, że wszyscy są

z tego powodu mocno podekscytowani. Mówi się, że sprowadzi do Sitki żonę i dzieci. A przynajmniej troje spośród czworga dzieci: czwarte już się chyba usamodzieliło. Evie zatknęła sobie niesforny kosmyk za ucho.

- Mam nadzieję, że jego żona zanadto nie zadziera nosa. Tak czy inaczej czeka ją tu spore zaskoczenie. Ludzie, którzy do nas przyjeżdżają, nie mogą się nadziwić, że takie miejsca w ogóle istnieją.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy - wyjaśnił Kjell. - Mówiłem Joshowi, że duże wrażenie zrobiło na mnie to, jak szybko udało się tobie i Lydii przywyknąć do życia w Sitce. Wiele było żon wojskowych, które opuszczały to miejsce na długo przed dniem zakończenia służby przez ich mężów. Zwykle wracały do swoich mieszkających w Stanach rodzin. Nie mogły znieść oczekiwania na listy z domu, które jak wiadomo, docierają tu z niemałym poślizgiem.

- Wiem. Uczestniczyłam w wielu spotkaniach kobiet, podczas których omawiano właściwie wyłącznie takie problemy - powiedziała Evie. - Szczerze mówiąc, cieszę się, że poczta dociera do nas tylko raz na miesiąc. Dzięki temu mogę na wszystkie skargi i narzekania Jeannette odpowiedzieć za jednym zamachem.

Kjell roześmiał się.

- A wygląda na to, że ona bardzo lubi narzekać, prawda?

Evie skinęła głową.

- Oddaje się temu zajęciu dużo chętniej niż większość ludzi. Wydawałoby się, że mogłaby znaleźć w swoim życiu jakiś powód do zadowolenia, ale jeszcze to się nie zdarzyło. Dostała dom, w którym dorastaliśmy, ponieważ, jak wyjaśniła Mitchellowi i Marstonowi, nie mogłaby być szczęśliwa nigdzie indziej. Ma dorosłe dzieci, które już się usamodzieliły albo zaraz to zrobią, mąż pozwala jej właściwie

na wszystko, na co ma tylko ochotę, o ile jest się w stanie zmieścić w określonym budżecie. I to ograniczenie stanowi chyba główny powód jej niekończących się skarg.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Josh wielokrotnie słyszał narzekania kobiet z Sitki, skarżących się, że muszą nieustannie oszczędzać. Wszystko było tu sporo droższe niż gdziekolwiek indziej. Wiele kobiet sprowadzało zapasy od krewnych ze Stanów i mimo olbrzymich kosztów transportu nadal oznaczało to sporą oszczędność. Nie chodziło o to, że Arnie czy inni sklepikarze narzucali zbyt wysokie czy wręcz nieuczciwe ceny - po prostu proces dostarczania towarów na wyspę wiązał się z licznymi trudnościami. Zdarzało się, że nawet produkty codziennej potrzeby było tu trudno dostać.

- Czy na cześć nowego gubernatora zostanie zorganizowane wielkie przyjęcie? - Joshua rzucił to pytanie w powietrze, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Lydia twierdzi, że przyjęcie powitalne na cześć gubernatora i jego rodziny odbędzie się w dniu ich przyjazdu. A potem, w następnym miesiącu, zostanie zorganizowane kolejne przyjęcie z tańcami. Lydia przygotowuje już swój zespół z myślą o tym wydarzeniu.

- Nasza mała orkiestra - Josh wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Lydia naprawdę niesamowicie gra na skrzypcach. Nigdy nie słyszałem czegoś równie cudownego.

- To niebawem, że można zostać obdarzonym tak wielkim talentem - przyznała Evie. - Ja nigdy nie miałam takich zdolności.

- Śpiewasz jak słowik - zaprotestował Kjell. - Twoim instrumentem jest głos.

- To prawda - potwierdził Josh, patrząc jej w oczy. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, poczuł, że serce przestało mu na chwilę bić. Dlaczego ona pozostaje związana

przysięgą małżeńską? Nie chciał jednak, myśląc w ten sposób, narażać na szwank jej czci ani występować przeciwko Boskim nakazom. Odetchnął głęboko i odwrócił wzrok. *Boże, wybacz mi, że ją kocham.* - Powinienem już chyba wracać do pracy. Muszę zabrać się do obróbki desek.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał Kjell. Josh odłożył bułeczkę, której nie zdążył zjeść.

- Dziękuję, poradzę sobie. Chłopcy niedługo wrócą i mi pomogą. To w zupełności wystarczy.

- W takim razie czy mogę cię dokądś odprowadzić? - powiedział Kjell, wstając i podając ramię Evie.

- Idę do Arniego. Chętnie przyjmę wszelką pomoc w przedzieraniu się przez zalegające na ulicy błoto.

- Będę zaszczycony. Może uda nam się przy tej okazji znaleźć zaginioną deszczownicę pani Murphy. Ta biedna kobieta twierdzi, że wichura zerwała ją z ganku. Uważa, że potoczyła się aż do morza, ale ja przypuszczam raczej, że zatонуła gdzieś w błocie i do dziś tam tkwi.

Evie roześmiała się.

- Jestem przekonana, że gdybyśmy przekopali się przez błoto zalegające na Lincoln Street, znaleźlibyśmy całe regimenty żołnierzy razem z ich sprzętem. Kilka tygodni temu na własne oczy widziałam tam człowieka, który zanurzył się aż po same uda. Przedarcie się przez tę ulicę to nie lada wyzwanie.

Mężczyźni roześmiali się.

- Może w tej sytuacji powinniśmy popracować nad stworzeniem specjalnych butów do chodzenia po błocie. Przypominałyby rakiety śnieżne, tyle że byłyby przystosowane do trudnych warunków panujących na ulicach Sitki - powiedział Kjell, mrugając do Josha.

- Mamo, czy mogę z tobą porozmawiać? - zapytał Dalton. Zawahał się. - Nie chcę cię znowu martwić.

Lydia podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Nie jestem zmartwiona. Chodź, usiądź przy mnie -wskazała kanapę.

- Chciałem cię przeprosić za to, że tak się wczoraj zdenerwowałem. - Usiadł obok niej i zaczął nerwowo pocierać dłońmi o spodnie. - Czuję się trochę zagubiony.

Położyła ręce na jego dłoniach.

- Tak mi przykro. Nie chciałam, żeby było ci z tym ciężko.

Na jej twarzy malował się smutek.

- To samo chciałem powiedzieć tobie. Ja po prostu muszę to wszystko zrozumieć. Tak trudno mi przyjąć, że istnieje ważna część mojego życia, która pozostaje dla mnie tajemnicą.

- Znam to uczucie - powiedziała jego matka. - Kiedy straciłam pamięć po napadzie, czułam głęboką złość i frustrację. Wiedziałam, że wiele rzeczy powinnam zrozumieć, a jednak nie potrafiłam. Nie poznawałam ludzi, którzy mnie otaczali, i to bolało najbardziej. A teraz tobie się wydaje, że nas nie poznajesz, że cię zdradziliśmy.

Skinął głową.

- Wiem, że nie mieliście złych intencji, ale tak właśnie czuję. Evie radzi mi po prostu zapomnieć o naszym ojcu i rodzeństwie. Powiedziała, że powinienem przed nimi uciekać, jakby byli wcieleniem Szatana... ale ja tak nie potrafię. Wiem, że wszyscy chcą dla mnie jak najlepiej i że zawsze chcieli dla mnie jak najlepiej.

- To prawda. Chciałam cię tylko chronić - powiedziała łagodnie. - Nawet teraz nie mam pewności, do czego byliby zdolni Marston i Mitchell. Gdyby uznali, że możesz im się do czegoś przydać, nie cofnęliby się przed niczym.

- Mamo, jestem dorosłym człowiekiem. Potrafię o siebie zadbać.
Uśmiechnęła się smutno.

- Wiem, Daltonie. Ale ja nadal widzę w tobie małego chłopca. Zawsze pozostaniesz moim małym chłopcem.

Przytulił ją.

- W mojej głowie kłębi się tak wiele pytań. Evie obiecała, że powie mi wszystko, co będę chciał wiedzieć, ale część odpowiedzi na moje pytania znasz tylko ty.

- Wczoraj to wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, ale dzisiaj jestem już gotowa. Wiedziałam, że nadejdzie dzień, w którym będę musiała przeżyć przeszłość na nowo. Nigdy nie planowałam ukrywać przed tobą prawdy w nieskończoność.

- Dziękuję - powiedział, odchylając się, żeby na nią spojrzeć.

Podniosła dłoń i delikatnie dotknęła jego brody.

- Szybko wyrosłeś. Kiedy przypominam sobie, jak prawie cię straciłam... nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie. Tak bardzo pragnęłam mieć dzieci. Bałam się, że pozostaniesz jedynakiem, ale Bóg wreszcie obdarzył nas dziewczynkami. Ciągle bardzo się boję... - Nagle opuściła dłoń i zamilkła.

- Czego się boisz, mamo?

Spuściła wzrok i spojrzała w płonący w kominku ogień.

- Chyba tego, że znowu cię stracę.

- Jak? W jaki sposób mogłabyś mnie stracić?

- Twoi bracia mają wielki dar przekonywania. Życie w Stanach bardzo różni się od codzienności w Sitce. Boję się, że kiedy już tego wszystkiego zasmakujesz, nie będziesz chciał wrócić.

- A kto mówi, że zamierzam tam jechać?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Pojedziesz na pewno. Może nie jutro czy pojutrze, ale pojedziesz tam, żeby lepiej zrozumieć, dlaczego zdecydowałam się tu przyjechać. Pojedziesz, żeby stanąć z rodzeństwem twarzą w twarz i zapytać braci, dlaczego dopuścili się rzeczy, o których się teraz dowiadujesz. - Lydia znów spojrzała w ogień. - Pojedziesz. Modlę się tylko, żebyś wrócił. To moja jedyna nadzieja.

Rozdział 3

Dziesiąty czerwca wstawał spowity w mgłę, która ścieliła się gęstym całunem ponad szczytami. Jednak po kilku godzinach niebo się rozjaśniło i słońce wyjrzało zza chmur, jakby chciało uroczyście powitać nowego gubernatora i jego rodzinę.

Lyman Knapp miał objąć urząd jako trzeci gubernator stanu Alaska. W tym roku został on mianowany przez prezydenta Harrisona. Gubernator Knapp zbliżał się do portu w Sitce z rodziną, towarzyszyło mu troje z czworga jego dzieci. Niemal wszyscy mieszkańcy miasteczka wylegli na nabrzeże, by ich powitać. Rosjanie, Kreole, Tlingici i Amerykanie stali ramię w ramię. Wszyscy wiwatowali na cześć nowo przybyłych. Każdy z zebranych pragnął usłyszeć, co dzieje się w pozostałej części kraju i jaka przyszłość czeka Alaskę.

Dalton stał na nabrzeżu razem z innymi. Na jednej ze zbliżających się do brzegu łodzi dostrzegł brodatego mężczyznę. Wejście do portu było zbyt wąskie, żeby mogły doń wpływać duże statki. Nie stanowiło to jednak większego utrudnienia dla zgromadzonych na nabrzeżu ludzi - szalupy z przybyszami znajdowały się na tyle blisko, że można było ich swobodnie obserwować i oceniać. Także gubernator i towarzyszący mu członkowie rodziny mogli bez przeszkód przyglądać się swojemu nowemu domowi.

- Nie pasują tutaj - oświadczył Briney Roberts. Mężczyzna był starym wilkiem morskim i długoletnim przy-

jacielem rodziny Lindquistów. - Po mojemu to prezydent zawsze popełnia ten sam błąd, kiedy przysyła nam nowego gubernatora. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby nowy miał pojęcie o tym miejscu.

- Tu się z tobą zgadzam, Briney - powiedział Dalton, wzruszywszy ramionami. - Myślę, że mianują polityków, którzy wiedzą, co dzieje się w Waszyngtonie. A to, czy taki kandydat wie, jak się tutaj żyje, jest dla nich bez znaczenia.

Briney podrapał się po swojej siwiejącej brodzie.

- Mogli wybrać na gubernatora kogoś lepszego niż ten facet.

- Daj gościowi szansę. Ojciec twierdzi, że to bohater wojenny. Był unionistą podczas wojny secesyjnej. Wielokrotnie odnosił rany na polu bitwy. To nie tylko kongresman, ale też prawnik i sędzia.

Briney splunął do wody.

- No i co z tego? Czy z tego powodu łatwiej będzie mu się u nas żyło? Prawnik! Prawo to według mnie tylko strata czasu.

Dalton wzruszył ramionami. Briney miał rację. Nie chciał się dłużej spierać.

- Dopiero czas pokaże, czy nowy gubernator zdoła zdobyć wiedzę, która pozwoli mu rządzić w tym regionie. Znajomość prawa jest w tym przypadku niezbędna, a reszty możemy go przecież nauczyć.

Gdy tylko łódź gubernatora bezpiecznie przybiła do brzegu, tłum natychmiast zaczął wiwatować. Knapp najpierw się uklonił, po czym przedstawił zebrany swoją żonę. Znowu rozległy się wiwaty, a on gestem dał tłumowi znak, że nadszedł czas, by przemówił. Wszyscy ucichli.

- Obywatele Sitki. Dziękuję wam za tak ciepłe przyjęcie. Jestem waszym gubernatorem. Nazywam się Lyman Knapp. Przybyłem tu, by jak najlepiej służyć tej ziemi.

To odległy zakątek kraju, ale głęboko wierzę, że kryją się tu wielkie bogactwa i wielkie możliwości.

Gdy ponownie rozległy się oklaski, Briney szturchnął Daltona.

- Po prostu jedzą mu z ręki.

Knapp rozmawiał teraz z miejskimi urzędnikami. Panowało ogólne zamieszanie i można było odnieść wrażenie, że nikt nie miał pojęcia, co wydarzy się za chwilę. Dalton powstrzymał się przed ziewnięciem i spojrzał w kierunku drugiej, mniejszej łódki, która właśnie zbliżała się do brzegu. Prawdopodobnie płynęli na niej członkowie rodziny gubernatora lub jego pracownicy. Dalton zauważył tulące się do siebie kobiety, obok nich znajdowało się kilkoro dzieci. Wydawało się, że przyglądają się miastu z pewnym zainteresowaniem. Co jakiś czas jeden z członków tej grupy wskazywał jakiś punkt, a reszta kiwała głowami. Gdy Dalton uznał, że to, co zobaczył, w zupełności mu wystarczy, i najwyższy czas, żeby wyruszyć w drogę powrotną, spostrzegł, że jakaś elegancko ubrana i zadbana kobieta na dziobie łodzi, nieświadoma grożące jej niebezpieczeństwa, gwałtownie się podniosła.

Łódź znajdowała się jeszcze w sporej odległości od nabrzeża - to, że zdecydowała się wstać, było dowodem prawdziwej głupoty. Kobieta z całych sił machała rękami, jak gdyby chciała odpędzić niewidzialnego napastnika. Towarzyszący jej ludzie starali się ją nakłonić, żeby usiadła, ale wydawało się, że kobieta nikogo już nie słyszy. Nie tylko nie usiadła, ale w pewnej chwili odwróciła się gwałtownie, zaplatując w fałdy ciemnozielonej sukni podróżnej.

Dalton patrzył z trudną do wytłumaczenia fascynacją, jak kobieta powoli przechyla się do tyłu. Ludzie, którzy znajdowali się wokół niej, na próżno próbowali ją złapać i nie dopuścić, żeby wypadła za burtę. Kiedy znalazła się

już pod wodą, któryś z towarzyszy wykrzyczał jej imię, ale Dalton nie mógł słyszeć jego słów.

Wydawało się, że sternik nawet nie zauważył całego zdarzenia, bo nawet nie próbował zmienić kursu. Pasażerowie krzyczeli, usiłowali ją ratować, ale ich niezborne ruchy sprawiały, że łódź kołysała się coraz bardziej.

Kobieta wynurzyła się na powierzchnię i rozpaczliwie uderzając rękami o taflę wody, próbowała utrzymać głowę ponad falami. Stało się jasne, że nie umie pływać. Dalton nie miał co do tego wątpliwości - miotała się bezładnie i ze wszystkich sił walczyła o życie.

Nie zastanawiał się dłużej. Zrzucił płaszcz i buty tak szybko, że Briney nawet nie zdążył go powstrzymać. Bez wahania skoczył do wody. Natychmiast poczuł przejmujące zimno. Starał się poruszać tak energicznie, jak tylko potrafił, żeby nie wyziebić organizmu. Płynął pewnie i szybko. Co jakiś czas wynurzał się z wody i próbował się zorientować, gdzie jest kobieta. W pewnym momencie stracił ją z oczu, a wtedy ogarnęła go obawa, że pomoc nadeszła za późno. W końcu jednak zobaczył śmieszny mały kapelusik - kobieta wynurzyła się po raz kolejny, by złapać oddech. Wykonał kilka mocnych ruchów i po chwili znalazł się przy tonącej, która znowu zaczęła znikać pod wodą.

Dalton przypuszczał, że jeżeli zacznie płynąć z kobietą, ciągnąc ją za kołnierz, ta niechybnie zacznie się bronić. Ku jego zdziwieniu tonąca nie stawiała oporu, tylko się o niego oparła. Albo rozumiała, że Dalton robi wszystko, żeby ją uratować, albo zdążyła już stracić przytomność. Cokolwiek było przyczyną tego stanu rzeczy, był zadowolony, że mu nie przeszkadzała. Płynął w stronę brzegu, wykonując energiczne ruchy jedną ręką. Słyszał, jak tłum wiwatuje na jego cześć, ale nie zwracał na to uwagi. Starał się

myśleć tylko o tym, żeby dopłynąć do celu, bowiem ciągle jeszcze groziło im niebezpieczeństwo.

W momencie gdy uświadomił sobie, że jest już na tyle płytko, iż dosięga dna, przestał płynąć i wynurzył się z wody. Był wyczerpany, oddychał ciężko. Gdy stanął, odwrócił się i wziął w ramiona przemoczoną kobietę. Jej jasne włosy wymykały się z tego, co wcześniej było starannie upiętym kokiem. W trakcie walki o życie nieznajoma zgubiła też gdzieś swój maleńki kapelusik.

- To boli... - zaprotestowała kobieta, głośno szczękając zębami.

- Słucham? - powiedział i spojrzał na jej twarz, która wyraźnie spochmurniała.

- Powiedziałam... że to boli. Trzyma... mnie pan... zbyt mocno. I doprawdy... Wcale nie wiem, dlaczego mnie pan trzyma.

Spostrzegł, że jest młodsza, niż wcześniej sądził. Myślał, że ratuje matronę, a znalazł się obok rówieśniczki, dziewczyny, która mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat.

- Usiłuję uratować pani życie i dotrzeć bezpiecznie do nabrzeża.

Ostre kamienie raniły mu stopy, ale mimo to uparcie brnął w kierunku brzegu.

Chyba wreszcie udało się jej opanować szczękanie zębami.

- Ciągnie mnie pan za włosy - oświadczyła.

Na te słowa Dalton zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę z niedowierzaniem.

- To dziwny sposób okazywania wdzięczności komuś, kto uratował pani życie.

Dziewczyna zaczerwieniła się i pokręciła głową.

- Ciągnie mnie pan za włosy. Proszę mnie natychmiast puścić.

Dalton spostrzegł, że głębokość wody nie przekracza trzydziestu centymetrów, i skinął głową.

- Jak pani sobie życzy.

Puścił dziewczynę i obserwował, jak upadła do wody. Na jej twarzy odmalowało się niedowierzenie.

Dalton patrzył, jak dziewczyna pada na dno, a potem rozpaczliwie próbuje się podnieść. Uśmiechnął się, gdy wreszcie zdołała stanąć. Spódnica tak ściśle przylegała do jej smukłego ciała, że z trudem utrzymywała równowagę.

- Jak pan śmie! Zachichotał.

- Chciała pani, żebym panią puścił. Zrobiłem po prostu to, o co mnie pani poprosiła.

- Bardzo pan uczynny! - oświadczyła, chwytając w dłonie spódnice.

Dalton wzruszył ramionami

- Do usług.

Spojrzała na niego z błyskiem gniewu w oczach.

- Jest pan bez wątpienia jednym z tych źle wychowanych zbirów, przed którymi mnie ostrzegano.

To stwierdzenie jeszcze bardziej rozbawiło Daltona.

- Z całą pewnością.

Śmiał się serdecznie, zmierzając w kierunku brzegu. Przecisnął się przez grupę niedoszłych ratowników i podszedł do Brineya, by odebrać płaszcz i buty.

- Musisz zrzucić te mokre szmaty. Chodźmy na moją łódź.

W tym momencie zbliżył się do nich Joshua Broadstreet, który okrył Daltona kocem.

- Mam też drugi koc dla tej pani.

- Tylko uważaj, jak będziesz go wręczał. Łatwo ją rozdrażnić.

Josh się roześmiał.

- No cóż. Niewiele brakowało, żeby utonęła.

- Przez własną głupotę - podsumował Dalton. Zdjął koszulę i drżąc z zimna, owinał się kocem.

- Może byłaby ci bardziej wdzięczna, gdybyś ją choć trochę rozgrzał - zażartował Josh.

Dalton, spojrzawszy na koc, pokręcił głową.

- Jeśli nie jest wdzięczna za uratowanie życia, to i koc nic tu nie pomoże.

- Chodź, Dalton - powiedział Briney, odciągając chłopaka od miejsca, do którego właśnie zbliżała się dziewczyna z tłumem ratowników. - Teraz już nie musisz się o nią martwić.

- Nie zamierzam jej poświęcić ani sekundy więcej. Możesz mi wierzyć.

- Przeraziłam się, gdy zobaczyłam, jak wskakujesz do wody - zwróciła się do syna Lydia, kiedy cała rodzina jadła kolację. - Czy jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Nie masz dreszczy?

Dotknęła jego czoła.

- Możesz mi wierzyć, mamó, że czuję się doskonale. Woda była zimna, ale Briney dopilnował, żebym szybko się wysuszył. Teraz interesuje mnie tylko pełna miska i ciasto, które nam obiecałaś.

- Daj mu zjeść, Liddie. Nic mu nie dolega - powiedział Kjell, dotykając ramienia żony. - Nie denerwuj się!

- Iliana mówi, że jesteś najlepszym pływakiem w całej Sitce - stwierdziła Britta.

Dalton delikatnie pociągnął siostrę za ucho.

- Założę się, że jej bracia są innego zdania. Wiem, że Juri uważa się za świetnego pływaka.

- Jesteś bardzo szybki - stwierdziła Kjerstin. - Myślę, że wygrałbyś, gdyby były jakieś zawody.

- Drugi raz bym tego nie zrobił - odpowiedział Dalton.

- Ta woda jest naprawdę okropnie zimna.

- To dlaczego dzieci Tlingitów kąpią się przez cały rok?

- zapytała dziewczynka.

Lydia i Zerelda wymieniły spojrzenia.

- No cóż, Tlingici żyją po swojemu, a my po swojemu. Oni pozwalają swoim dzieciom wchodzić do wody od najmłodszych lat, żeby wzmocnić ich skórę i zahartować ciało. Jest to zabronione przez prawo, ale niektórzy z nich jeszcze dzisiaj kąpią niemowlęta w lodowatej wodzie. Tego bym jednak nie polecała.

- Właściwie dlaczego? - zapytała Kjerstin. - Czemu to robią?

- Indianie robią wiele rzeczy, które prawdopodobnie okazałyby się szkodliwe dla białych. Na przykład ich jedzenie mogłoby nam zaszkodzić.

- Ale twierdziłaś, że wszyscy jesteśmy tacy sami w oczach Boga.

Zerelda skinęła głową.

- To prawda, ale nie musimy wszyscy robić tego samego.

- Misjonarze mówią, że Tlingici powinni żyć jak biali - upierała się Kjerstin.

Jej spostrzeżenie wydało się wszystkim zaskakujące. Lydia spojrzała na Kjella, a potem na Zereldę.

- Ludzie mówią różne rzeczy. Nie znaczy to, że są one mądre albo że mają jakikolwiek sens.

Dziesięciolatka wydawała się zaniepokojona.

- Ale oni są sługami Bożymi, wykonują misję powierzaną im przez Boga. Mówiliście, że ludzie, którzy służą Bogu, spotykają się często z niezrozumieniem.

Lydia uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że wtedy uważnie nas słuchałaś. To prawda, że misjonarze spotykają się często z brakiem zrozumienia.

- Ale sami też różnych spraw nie pojmują, a czasem po prostu się mylą - wtrąciła Zerelda.

Lydia zmarszczyła brwi. Ten temat zawsze stawał się powodem jej sporów z ciotką. Kiedy Sheldon Jackson i jego misjonarze pojawili się w okolicy, Zerelda Rockford czuła podziw i niechęć jednocześnie. Z głębokim niezadowoleniem mówiła o nieodpowiednim traktowaniu Tlingitów, co dało początek wielu rozmowom przy stole Lindquistów

Evie posłała Lydii uśmiech.

- Myślę, że wszyscy popełniamy błędy. Mówimy i robimy rzeczy, z których potem chcemy się wycofać.

- Więc misjonarze nie mają racji? - dopytywała się Kjerstin.

Zerelda odłożyła widelec.

- Uważam, że czasami mają rację. To dobrzy ludzie, którzy pragną służyć Bogu, ale myślę, że niektórzy robią to w niewłaściwy sposób. Nie próbowali nigdy zrozumieć autochtonów i ich kultury, ponieważ sądzą, że dawne obyczaje powinny odejść w zapomnienie. To spotyka się z oporem i niechęcią tubylców. Kłamałabym, gdybym powiedziała, że się z nimi nie zgadzam.

- Dobrze, już dobrze, Zee. Nie musimy toczyć sporów przy kolacji - powiedział Kjell łagodnie i puścił oko do córek. - Dziewczynki, jesteście mi winne partyjkę warcabów. Co wy na to, żebyśmy zjedli ciasto przy kominku i zabrali się do gry?

- Zgoda! - oświadczyła Britta, podnosząc się z krzesła. Spojrzała na matkę. - Czy możemy?

Lydię zdziwiło, że Kjell zaproponował coś takiego, ale najwyraźniej nie chciał, żeby jego córki brały udział w dys-

kusji poświęconej problemom związanym ze służbą Bogu. Skinęła głową.

- Myślę, że to dobry pomysł. Wy idźcie, a ja przyniosę deser.

Kjell uśmiechnął się i wstał od stołu. Kiedy wyszli, Lydia zwróciła się do ciotki.

- Zee, wiesz przecież, że Kjell nie lubi, kiedy dziewczynki biorą udział w tych sporach. Wystarczy, że miejscowi rozmawiają o tym w kościele.

- Ludzie powinni o tym dyskutować. Ten problem istnieje od dawna. - Po chwili jej twarz złagodniała. Zerel-da wstała od stołu. - Ale ja chcę, by nadal panował pokój. Przykro mi. Po prostu nie potrafię przejść obok tego obojętnie. Wiem, że biali wyrządzili Tlingitom wiele zła. Nasza obecność nie przynosi im, jak chcieliby sądzić niektórzy, samych korzyści. To tak jakby prawosławni i prez-biterianie bawili się w przeciąganie liny, wykorzystując do tego dziecięce serca i umysły. Mój Boże, przecież to zbrodnia.

Dalton wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń.

- Twoja miłość do plemienia Tlingitów jest wspaniała, ciociu Zee. Włożyłaś wiele wysiłku, żeby zrozumieć tych ludzi i ich kulturę. Pokazałaś im, że miłość Jezusa przenika całe stworzenie.

- A skoro już o tym mówimy, mam więcej materiału do nauki pikowania - oznajmiła Lydia. - Pani Vargas przyniosła nam to, co zebrała w kościele.

- To wspaniale. Mamy mnóstwo czasu, żeby wycinać kawałki materiału. Dziewczęta z plemienia Tlingitów powrócą dopiero jesienią - odparła Zerelda. - Wiem, że muszą być w domu w okresie tarła łososi i tym podobnych okoliczności, ale bardzo mi się nie podoba, że nie będzie ich na lekcjach.

- Być może znajdą sposób, żeby uczyć się dalej w domu. - Lydia podniosła się z krzesła i spojrzała na Daltona. - Czy chciałbyś jeszcze trochę ryby?

- Nie, ale mógłbym zjeść ciasto. Zostawiłem sobie mnóstwo miejsca na deser.

Roześmiała się, kiedy Dalton poklepał się po brzuchu.

- Nie wątpię.

- Ratowanie ludzi to ciężka robota. Człowiek nabiera apetytu - zażartował.

- Zostałeś bohaterem - stwierdziła Lydia. - Myślę jednak, że łatwiej rzucić się na ratunek komuś tak atrakcyjnemu.

- No ale ta dziewczyna to straszna żoźza - roześmiał się Dalton.

- Jestem pewna, że była po prostu zakłopotana. Dobry Boże, całe miasto wyległo, żeby powitać nowego gubernatora, a ona urządziła takie przedstawienie.

- Nie pomyślałem o tym. Po prostu wydawało mi się, że nie jest do mnie pozytywnie nastawiona.

- A czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? - spytała Lydia.

Zamyślił się i odrzekł:

- Raczej tak.

Rozdział 4

Phoebe Robbins skończyła właśnie upinać w kok swoje długie, jasne włosy. Spojrzała w lustro, a po chwili zamyśliła się i westchnęła. Nie miała zamiaru przyjeżdżać do położonej na Alasce Sitki. Gdyby nie błagania matki, z pewnością przyjęłaby zaproszenie babci i została w Vermont. Jej bracia, Theodore i Grady, wydawali się naprawdę szczęśliwi, gdy wędrowali przez dzikie tereny pogranicza. Ale kiedy ma się piętnaście albo trzynaście lat, życie jawi się jako niekończąca się przygoda.

- Jeżeli będziesz się ciągle tak krzywiła - powiedziała jej matka, cicho wchodząc do pokoju w poszukiwaniu świeżej pościeli - twoja twarz pokryje się zmarszczkami.

Phoebe podniosła się sprzed toaletki i obdarzyła matkę niewyraźnym uśmiechem.

- Przepraszam.

- Widzę, że nadal przejmujesz się tym, co wydarzyło się w dniu naszego przyjazdu. Czy w tej sytuacji nie lepiej by było zająć się czymś bardziej pożytecznym?

- Co masz na myśli?

Matka położyła pościel na brzegu łóżka Phoebe.

- Mówię o tym miłym mężczyźnie, który uratował ci życie. Powiedziałaś mi, że żałujesz swojego zachowania. Umówiłam się na spotkanie z jego matką dziś po południu, bo chcę mu osobiście podziękować za to, co zrobił. Mogłabyś coś dla niego przygotować. Na przykład ciasteczka, które ofiarowałabyś mu jako dowód wdzięczności.

Phoebe zamyśliła się.

- Jestem mu winna przeprosiny. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. - Wyszła z pokoju, podążając za matką. - Ale on też powinien mnie przeprosić. Wrzucił mnie do wody. Mogło mi się coś stać.

- Och, Phoebe, bardzo dobrze wiesz, jak to się stało. Gdybyś go nie sprowokowała, do niczego takiego by nie doszło. Upiecz ciasteczka, a on z pewnością zapomni o twoim niegrzecznym zachowaniu.

Phoebe zawiązała fartuch i weszła pomiędzy nierozpakowane skrzynie.

- Dlaczego ojciec przyjął to stanowisko?

- Wiesz dobrze, że pan Knapp jest bliskim znajomym ojca. Gubernator Knapp. Od początku było wiadomo, że jeśli pan Knapp zostanie gubernatorem, wyjedziemy razem z jego rodziną i twój ojciec będzie dla niego pracował. Jeżeli o mnie chodzi, bardzo się cieszę, że pani Knapp została moją przyjaciółką. Martha jest przemiłą osobą i wiem, że przy niej nie będę się czuła samotna.

Phoebe po raz kolejny zmarszczyła czoło. Matce to wszystko wydawało się przyjemne, ale Phoebe nie przyjaźniła się przecież z żoną gubernatora ani nawet z jego dziećmi. Zadawała więc sobie pytanie, czy można w ogóle kogoś poznać na tym pustkowiu.

- Poza tym jesteśmy tu razem: ty i ja. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby żyło nam się tu jak najlepiej - mówiła dalej jej matka. - Jestem przekonana, że znajdzie się tu zapotrzebowanie na nasze świece. Jeśli ładunek nie ucierpiał z nadto w czasie transportu, będziemy mogli od razu zabrać się do pracy.

W tej rodzinie kobiety już od pięciu pokoleń zajmowały się wyrabianiem świec. Matka przekazała Phoebe wszyst-

kie tajemnice związane z tą profesją. Praca ta była fascynująca i przyjemna zarazem.

- Wiem, że tubylcy używają oleju z wielorybów, fok, a nawet pewnego gatunku ryby, ale nie pamiętam jej nazwy. Mogłybyśmy wykorzystać te tłuszcze do produkcji naszych świec.

- Tak, ale ojciec powiedział, że sprowadzanie towarów ze Stanów jest bardzo drogie. Nasze wysiłki na pewno okażą się daremne.

Matka wzruszyła ramionami.

- Być może, ale nie zawiodę przodków i nie zrezygnuję z wyrabiania świec. Zrobię wszystko, żeby nadal móc się tym zajmować. Zaczynaj piec ciasteczka, a ja w tym czasie rozpakuję skrzynie. Zjemy coś koło południa i zaraz potem pójdziemy do państwa Lindquistów.

- Lindquist? On się tak nazywa?

- Tak, tak brzmi nazwisko tej rodziny. Kjell i Lydia Lindquist są rodzicami młodzieńca, który cię uratował. On ma na imię Dalton.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Dalton. - Pozwoliła, by te sylaby połaskotały jej język. Nie mogła zapomnieć tych niebieskich oczu, które nie przestawały się w nią wpatrywać. - Dobrze więc, upiekę ciasteczka dla Daltona.

Zbliżały się do domu Lindquistów, kiedy Phoebe poczuła nagły przypływ tremy.

- Może to jednak nie jest najlepszy pomysł - zwróciła się do matki.

Kiedy przypominała sobie moment, gdy Dalton Lindquist trzymał ją w ramionach, czuła się naprawdę nieswojo.

Starsza kobieta roześmiała się i zatrzymała powóz.

- Trochę na to za późno. Jesteśmy na miejscu. Kobiety już wychodzą, żeby się z nami przywitać, widzisz?

Gdy Phoebe podniosła głowę, jej oczom ukazała się ciemnowłosa, skromnie ubrana kobieta. Miała na sobie białą bluzkę z muślinu i ciemnoniebieską bawełnianą spódnicę. Towarzyszyła jej starsza kobieta, której włosy nie były upięte w tradycyjny kok - była ostrzyżona dość krótko.

- Dobry wieczór paniom. Jesteśmy bardzo rade, że panie nas odwiedziły - przywitała je młodsza kobieta. - Jestem Lydia Lindquist, a to moja ciotka Zerelda Rockford.

- Miejscowi mówią na mnie Zee - wtrąciła starsza. Phoebe pomogła matce wysiąść z powozu i odwróciła

się z uśmiechem w kierunku kobiet. Jej matka przystąpiła do krótkiej prezentacji.

- Jestem Bethel Robbins, a to moja córka Phoebe, której pani syn Dalton uratował życie.

Phoebe skinęła szybko głową. Jej matka nie powinna przypominać wszystkim o incydencie, który miał miejsce kilka dni wcześniej. To takie upokarzające, kiedy omawia się czyjeś błędy w obecności innych.

- Bardzo się cieszymy, że możemy panie poznać. Pomyślałyśmy, że będzie przyjemnie napić się herbaty na ganku. Mamy taki ładny dzień. Jak panie sądzą? - spytała pani Lindquist.

Matka Phoebe skinęła głową.

- To wspaniały pomysł.

Zapominając na chwilę o ciasteczkach i o mężczyźnie, który uratował jej życie, Phoebe zaczęła się przyglądać dwupiętrowemu domowi. Był piękny i zadbane w każdym calu.

Lydia Lindquist zaprowadziła je do małego stolika. Obok stały drewniane krzesła z ręcznie wycinanymi ornamentami. Wszystko to wyglądało naprawdę uroczo. Z ty-

tu, na oparciach krzesel znajdowały się piękne ornamenty w kształcie serc i kwiatów. Phoebe знаła w Vermont Szwedów, którzy mieli w domu mnóstwo mebli w stylu rustykalnym. Mieli oni w jadalni krzesła podobne do tych, na które Phoebe patrzyła w tej chwili.

- Usiądźcie - poprosiła Lydia. - Przyniosę napoje. Obie kobiety ruszyły w stronę domu, a Phoebe skorzystała z okazji, by przysunąć się do matki.

- Wydają się bardzo miłe.

- Pomyślałam o tym samym. Najwyraźniej nie są do ciebie wrogo nastawione.

- Jesteś pewna, że to właśnie ci ludzie? Ich syn jest tym, który mnie ocalił?

Jej matka roześmiała się.

- Oczywiście. Wiesz, że twój ojciec nie pozostawia niczego przypadkowi. Znał nazwisko tych ludzi, zanim zdążyłaś się przebrać w suche ubranie. - Matka Phoebe rozejrzała się dokoła. - Tak tu pięknie i spokojnie. Jak dobrze znaleźć się z dala od portu. Mam wrażenie, że w naszym nowym domu wciąż panuje hałas.

- Tak, bardzo tu miło - przyznała Phoebe. - A jednak tęsknię za Vermont. Kiedyś nasze miasto wydawało mi się takie małe, ale w porównaniu z Sitką Montpelier wydaje się naprawdę duże.

- Jesteśmy - oznajmiła Lydia, ukazując się w drzwiach ze sporych rozmiarów srebrną zastawą do herbaty. Położyła tacę na stole, a Zerelda postawiła półmiski po obu jej stronach. Na jednym, jak zauważyła Phoebe, leżały małe porcje deseru, na drugim zaś miniaturowe kanapeczki.

Kobieta o imieniu Zee zmówiła dziękczynną modlitwę i zaczęła nalewać herbatę.

- Cieszyliśmy się bardzo, że mogliśmy poznać osobiście nowego gubernatora. Czy panie go znają? - spytała Zee.

Matka Phoebe skinęła głową.

- Przyjaźnimy się od dłuższego czasu. Dobrze znam jego żonę Marthę.

- Dokąd powinna zmierzać Alaska zdaniem nowego gubernatora?

- Zee, panie dopiero co przyszły. Czy musimy od razu bawić się w politykę?

Starsza kobieta podała Phoebe filiżankę i spodeczek.

- Proszę mi wybaczyć. Mówię zawsze otwarcie.

- Ależ nic nie szkodzi - odpowiedziała matka Phoebe tonem dyplomatkę. - Naprawdę nie umiem powiedzieć, jakie gubernator ma plany. To uczciwy i bardzo inteligentny mężczyzna. Jestem pewna, że to człowiek o dobrym sercu.

- Czy ma odpowiednie doświadczenie, które pozwoli mu sprawnie funkcjonować w tych warunkach? - pytała z uporem Zee.

- O jakiego typu doświadczenie chodzi?

Phoebe zorientowała się, że te pytania wprawiły panią Lindquist w zakłopotanie. Podniosła filiżankę i próbowała zmienić temat.

- Czy mogłabym prosić o cukier?

- Oczywiście - powiedziała Lydia. Sięgnęła po cukierniczkę i zdjęła z niej wieko. - Jest pani piękną, młodą kobietą. - Jej uśmiech sprawił, że Phoebe od razu poczuła się lepiej. - Czy mogę spytać, ile ma pani lat?

- Phoebe skończyła osiemnaście lat - odparła matka dziewczyny. - W marcu. Jest moją najstarszą córką. Mamy jeszcze dwóch synów, Theodore'a i Grady'ego.

- A my, oprócz Daltona, mamy jeszcze dwie córki - powiedziała Lydia. - Kjerstin ma dziesięć lat, a Britta siedem. Niedługo powinny wrócić ze szkoły. Dalton je przyprowadzi, a wówczas będzie pani mogła mu osobiście podziękować, panno Robbins.

Phoebe poczuła, że się czerwieni.

- Obawiam się, że nie byłam zbyt uprzejma podczas naszego pierwszego spotkania. Dalton pewnie pani o tym powiedział.

Pani Lindquist i jej ciotka wymieniły spojrzenia, z których wynikało, że nie wiedzą, o czym Phoebe mówi. *Świetnie* - pomyślała. Więc Dalton o niczym nie wspomniał i teraz będzie musiała się tłumaczyć. A wszystko dlatego, że chciała się usprawiedliwić i zaczęła paplać bez sensu.

- Dalton mówił bardzo niewiele. Raczej nie jest gadatliwy - wytłumaczyła pani Lindquist. - Nie mógł jednak wziąć do siebie pani słów, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że była pani w szoku. Gdybym wpadła do wody w zatoce, też pewnie zapomniałabym o dobrych manierach. - Jej ciepły uśmiech sprawił po raz kolejny, że Phoebe zapomniała o zdenerwowaniu.

Matka dziewczyny sięgnęła po porcję deseru.

- Phoebe upiekła ciasteczka dla Daltona, by okazać mu swoją wdzięczność.

- To się świetnie składa - oświadczyła Zee. - Chłopak wprost przepada za ciasteczkami.

- Zauważyłam, że upodobanie to jest cechą łączącą wielu mężczyzn - odparła matka Phoebe. - Czy mogę spytać, od jak dawna mieszka pani w Sitce, pani Rockford?

Zerelda uśmiechnęła się i usiadła wygodniej na krześle.

- Mieszkałam tu, jeszcze zanim doszło do transakcji. W momencie gdy Rosja sprzedała Alaskę Amerykanom, byłam już obywatelką tego miasta. Przyjechałam tu z pewną niemiecką rodziną. Pracowałam u nich jako pielęgniarka. Żona tego Niemca była chora - potrzebowała ciągłej opieki. Później dołączyła do mnie bratanica i udało nam się tu jakoś zadomowić.

- Natomiast mój mąż Kjell urodził się na Alasce i tu też dorastał - uzupełniła Lydia.

- Więc musi pani świetnie znać to miejsce.

Phoebe zdawała sobie sprawę, że jej matka ma wiele pytań, na które nie znalazła dotychczas odpowiedzi. Chodziło między innymi o kwestie związane z Indianami. Pani Robbins zdawała się czytać w myślach córki:

- Co pani wie o mieszkających tu Indianach? Zerelda uniosła brwi.

- Wiem na pewno, że nie lubią być nazywani Indianami. To Tlingici. Rosjanie mówią na nich Kolasze.

- Widziałam ich zaledwie kilku. Czy mieszka ich tu więcej?

- Jest ich sporo, ale mamy lato i Tlingici wędrują teraz w poszukiwaniu pożywienia. Natomiast większą część zimy spędzają w miasteczku. Wyruszają dopiero w kwietniu, kiedy śledzie odbywają tarło. Nie będzie ich tu przez całe lato i wczesną jesień. W tym czasie polują i odwiedzają inne *kwaany*, czyli społeczności Tlingitów. Tutejsi nazywają się *Sheefka kwaan*. To znaczy „mieszkańcy Sitki”.

Phoebe wyczuła, że te słowa wprawiają jej matkę w zakłopotanie.

- Jacy są ci ludzie, pani Rockford? Widzieliśmy zaledwie kilku z nich w mieście. Ich twarze, pomalowane na czarno i czerwono, wzbudzają strach. Czy to w ich przypadku normalne, czy też ich wygląd zmienia się w zależności od sytuacji?

- Istnieje kilka przyczyn. Chodzi między innymi o ochronę przed owadami i słońcem - odparła Zerelda. - Tutejsze muchy i komary nie znają litości. Być może miały już panie okazję, by się o tym przekonać. Tlingici znaleźli dobre rozwiązanie.

Matka Phoebe wzdygnęła się.

- Według mnie wyglądają przerażająco.

- To dobrzy ludzie - powiedziała pani Lindquist. - Poza tym nie ulega wątpliwości, że są świetnymi rybakami i mają ogromną wiedzę o ziołach leczniczych. Nauczyłam się tak wiele, od kiedy tu zamieszkałam, głównie dzięki tubylcom. Tlingici mają problemy jak my wszyscy, ale moim zdaniem są bardzo pracowici. Sama się pani o tym przekona, gdy nadejdzie jesień. Tlingici wrócą na zimę, a wtedy będzie pani mogła spotkać wielu z nich w mieście.

- Czy ci ludzie są okrutni? Słyszałam, że próbowali się zbuntować. Ktoś wspomniał o tym na statku.

- Od czasu do czasu dochodziło do konfliktów - przyznała pani Lindquist. - Ale wszyscy ludzie, zarówno biali, jak i przedstawiciele innych ras, kłócą się czasem między sobą. Wystarczy wspomnieć wojnę secesyjną. A skoro o tym mowa, to zdaje się, że pani mąż i nasz nowy gubernator są bohaterami tej wojny.

Phoebe spojrzała z podziwem na panią Lindquist, która z taką łatwością zmieniła temat, odchodząc od kontrowersyjnego wątku Tlingitów. Wiedziała, że pochwała czynów jej ojca sprawiła matce wielką przyjemność. Jej ojciec i gubernator zostali w swoim czasie odznaczeni za zasługi wojenne.

Kobiety gawędziły uprzejmie, aż ich rozmowę przerwał odgłos nadjeżdżającego powozu. Kiedy pani Lindquist oznajmiła, że właśnie wracają jej syn i córki, Phoebe poczuła zdenerwowanie, nad którym trudno jej było zapanować.

- Bardzo bym chciała pokazać paniom posiadłość - pani Lindquist zwróciła się do matki Phoebe. - Czy ma pani ochotę obejrzeć nasz dom?

- Ależ oczywiście. - Matka Phoebe spojrzała znacząco na dziewczynę.
- Miałam nadzieję, że zechce nam to pani zaproponować.

Obie kobiety się roześmiały. Pani Lindquist pomachała swoim dzieciom. Dziewczynki zeskoczyły z powozu prosto w ramiona brata, a potem pobiegły przywitać się z matką.

- Dalton obiecał, że pokaże nam meduzy. Czy możemy tam dzisiaj pojechać? - spytała młodsza siostra.

- Gdzie twoje maniery, panno Britto? - spytała pani Lindquist.

Dziewczynka zastygła. Jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie. Dygnęła przed Phoebe i jej matką.

- Przepraszam, cieszę się, że mogę panie poznać - powiedziała.

Phoebe zachichotała mimowolnie i dygnęła w odpowiedzi.

- Bardzo mi miło.

- Jestem Kjerstin - oznajmiła siostra dziewczynki. - A to Britta.

Po chwili milczenia Britta zwróciła się do matki.

- Czy możemy pojechać i obejrzeć meduzy?

- Jeszcze nie teraz - odparła matka dziewczynek. - Może pójdziecie na górę, żeby się przebrać. Właśnie zamierzałam oprowadzić panią Robbins po domu. Zdaje się, że panna Phoebe chce porozmawiać z waszym bratem.

Britta przysunęła się do Phoebe.

- Proszę nie pozwolić, żeby on panią pocałował. Jadł *lutefisk*.

Phoebe nie miała pojęcia, czym jest *lutefisk*, ale przede wszystkim nie mogła nadziwić się słowom tej małej dziewczynki, która oświadczyła właśnie w obecności obcych sobie osób, że jej brat może pocałować nieznaną sobie kobietę. Nie wiedziała, jak się zachować w tej sytuacji. Podniosła głowę, a jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniami równie zaskoczonych kobiet, które cały czas znajdowały się w pobliżu.

W momencie gdy uświadomiła sobie, że Dalton także to wszystko słyszał, poczuła się jeszcze bardziej upokorzona. Chłopak tylko się roześmiał.

- Britta, jesteś taka dziecinna.

Wszyscy oprócz Phoebe zachichotali. Dziewczyna czuła się naprawdę zakłopotana i czym prędzej odłączyła się od grupy.

- Za chwilę wrócę.

Poszła do powozu, w którym zostawiła ciasteczka. Kilka razy głęboko odetchnęła, próbując zapanować nad kołującym sercem.

Jego oczy wydawały się nawet bardziej niebieskie niż to zapamiętała. Dalton miał zarost nad górną wargą, co oznaczało, że tego dnia się nie ogolił, i Phoebe zaczęła sobie wyobrażać, że dotyka jego twarzy.

- Jesteś taka dziecinna - skarciła się półgłosem. Sięgnęła w głąb powozu po ciasteczka i właśnie je wyciągnęła, kiedy Dalton znalazł się za jej plecami, pytając:

- Mogę w czymś pomóc?

Phoebe tak się przestraszyła, że półmisek podskoczył jej w rękach. Chwilę później rozległ się stłumiony krzyk, któremu towarzyszyła desperacka próba ocalenia zagrożonych słodczy.

Tracąc równowagę, Phoebe oparła się o Daltona. Chłopak spróbował ją podtrzymać, ale oboje uświadomili sobie zbyt późno, że sytuacja ich przerasta. Otoczywszy ramionami kibić dziewczyny, Dalton runął na ziemię. Phoebe poszła w jego ślady i wylądowała na brzuchu chłopaka. Głośny jęk przerwał ciszę. Problem polegał na tym, że to nie Phoebe jęknęła.

- Bardzo przepraszam. - Spróbowała się uwolnić, ale rąbek jej sukienki utkwiał pod biodrem chłopaka. Podczas gdy Phoebe szamotała się, Dalton szybko wstał. W tym mo-

mencie Phoebe odzyskała sukienkę, ale powtórnie straciła równowagę i wyładowała twarzą na ziemi.

Zdając sobie sprawę, że następny ruch pogłębi tylko jej upokorzenie, Phoebe trwała przez chwilę w bezruchu. Nie miała pojęcia, co robić. Jeśli się podniesie, stanie twarzą w twarz z Daltonem. Jeśli się nie podniesie, chłopak pomyśli pewnie, że ją poturbował i dojdzie do jeszcze większego zamieszania. W końcu dźwignęła się na łokciu i posłała mu uśmiech pełen zażenowania.

- To tyle, jeśli chodzi o pocałunki. Dalton wybuchnął śmiechem.

- I to ma mnie powstrzymać? Phoebe usiadła.

- A co z *lut*... cokolwiek to było.

- *Lutefisk*. - Dalton wyprostował się i otrzepał ręce. - Wątpię, czy rybia woń przeszkodziłaby mężczyźnie z prawdziwego zdarzenia pocałować piękną dziewczynę.

Phoebe poczuła, że jej policzki robią się jeszcze bardziej czerwone. Coś łaskotało ją w brzuchu. Spojrzała na porozrzucone po ziemi ciasteczka.

- Upiekłam je dla pana - powiedziała. - Chciałam w ten sposób przeprosić za to, że tak okropnie się zachowałam, kiedy mnie pan uratował.

Ku jej zdumieniu Dalton wyciągnął rękę, podniósł z ziemi jedno z ciastek i włożył je do ust. Po chwili powiedział:

- Przeprosiny przyjęte.

Phoebe mimowolnie zachichotała.

- Nazywam się Phoebe Robbins.

- Tak, wiem. - Dalton posłał jej taki uśmiech, że Phoebe o mało się nie rozplynęła. - Miło mi panią poznać. Jestem Dalton Lindquist.

Skinęła głową, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Może jednak życie w Sitce nie będzie takie złe.

Rozdział 5

Dalton przyglądał się przez chwilę schodom. Większość Tlingitów zdążyła już opuścić osadę, był to dla nich bowiem czas polowań i handlu. W Sitce brakowało robotników, więc ojciec poprosił Daltona o pomoc. Dzięki temu mieli okazję, żeby spokojnie porozmawiać. Dalton chciał zapytać ojca o przeszłość ich rodziny, a szczególnie o okres po postrzeleniu matki. Nie wiedział jednak, jak zacząć.

- Wydaje mi się, że od jakiegoś czasu bez przerwy nad czymś rozmyślasz.

Dalton spojrział na ojca i skinął głową.

- To prawda.

Ojciec uśmiechnął się i podrapał się po kasztanowej brodzie.

- Schodami możemy zająć się później.

Wyszli z domu, który Kjell budował dla jednej z nowo przybyłych rodzin pracowników administracji rządowej. Niebo było pełne chmur, ale ciągle jeszcze nie padało. Najwyraźniej ojciec Daltona nie chciał od razu zaczynać rozmowy, szli więc w milczeniu przez jakiś czas. Kjell Lindquist był dobrym ojcem i nauczycielem. Dzięki niemu chłopak poznał tajniki pracy cieśli i stolarza. Tartak i warsztat były jego drugim domem. Spędzał długie godziny, przyglądając się, jak ojciec robi meble i inne sprzęty niezbędne w gospodarstwie domowym. Jednak tym, co naprawdę kochał, była budowa łodzi. Wbrew pozorom praca ta wcale nie różniła się tak bardzo od stolarstwa.

Szli ścieżką, która prowadziła na wzgórze. Powoli oddalali się od morza. Na szczycie pagórka rosły olchy i świerki. Na porastających zbocza krzewach jeżyn dało się zauważyć dojrzałe fioletowo-różowe owoce. Gdźieniedzie kwitły kolorowe kwiaty.

- Zawsze kochałem tę wyspę - powiedział Dalton, chociaż tak naprawdę nie zamierzał o tym mówić.

- Niektórym ludziom trzeba wiele czasu, by ją polubić -odpowiedział jego ojciec.

Dalton spojrział na niego i skinął głową.

- Do niedawna czułem, że tutaj jest moje miejsce.

- A teraz coś się zmieniło?

W słowach Kjella nie było cienia wyrzutu, ale mimo to Dalton poczuł się winny.

- Od kiedy mama i Evie opowiedziały mi o porwaniu, o moich braciach i o siostrze, to miejsce przestało być dla mnie całym światem.

Dalton zastanawiał się, co odpowie mu ojciec, ale ten nie zareagował. W tym miejscu ścieżka skręcała i zaczynała się pięć ostro w górę.

- Dotychczas wiedziałem, że matka była w ciąży, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w Sitce. Nikt nigdy nie mówił o moim ojcu. Ani słowa. Myślałem, że powodem tego milczenia jest ból związany ze stratą. Nie miałem pojęcia, że ojciec był podłym człowiekiem. Czasami słyszałem urywki rozmów o bolesnej przeszłości, ale nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałem.

- To bardzo dobrze. Byłeś przecież dzieckiem. - Kjell podniósł kamień, po czym rzucił go w fale, które kłębiły się w dole. - Nie możesz ponosić odpowiedzialności za to, co wydarzyło się w przeszłości. Wszystko to, o czym mówisz, nie powinno cię obciążać. Wspomnienia tamtych dni były

dla twojej matki wyjątkowo trudne. Nic dziwnego, że próbowała zapomnieć.

- Ale w końcu musiałem poznać prawdę - powiedział Dalton. Czuł się okropnie, ponieważ przysporzył matce cierpienia. - Nigdy nie chciałem jej zranić. Także i teraz robię wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

-Ale?

Dalton spojrzał na ojca.

- Czuję się rozdarty. Z jednej strony chciałbym pomścić matkę. Nienawidzę wszystkich, którzy mogliby ją próbować zastraszyć czy zranić, a gdy myślę, że ktoś próbował ją zabić... Najchętniej odpłaciłbym mu tym samym.

- Czuję to samo - przyznał Kjell. Dalton pokręcił głową.

- Z drugiej strony czuję, że powinienem dowiedzieć się czegoś więcej. Chcę poznać swoich braci i siostrę. A nawet ojca. Ale czy to wszystko w ogóle ma sens?

Kjell rozważał przez chwilę słowa syna.

- Daltonie, wydaje mi się, że każde zdarzenie na tym świecie ma swoją przyczynę i swój cel. Rozumiem, że chciałbyś o swoich krewnych wiedzieć więcej, że pragniesz ich poznać. Ale pamiętaj, że dziewiętnaście lat temu byli to ludzie naprawdę niebezpieczni. Mówię tu przede wszystkim o twoim bracie Marstonie. To on wszystkim kierował. Mitchell jest jego bliźniakiem i tylko realizował plan nakreślony przez brata.

- Po prostu czuję się... jakbym... - Dalton po raz kolejny potrząsnął głową. - Nie wiem, kim jestem. Może się wydawać, że to wyznanie szaleńca. Wiem przecież, że nazywam się Dalton Lindquist. Mieszkam w Sitce i mam cudowną, kochającą rodzinę. Byłeś dla mnie wspierałym ojcem. Nie chciałbym, żebyś odniósł wrażenie, że mógłbym myśleć inaczej. Zawsze będę cię kochał i zawsze będę ci wdzięczny za

to, że uczyniłeś mnie swoim synem. Powinienem być szczęśliwy... a ja mimo to pozostaję rozdarty. Czuję się okropnie.

- Tak naprawdę to, kim jesteś, nie jest takie ważne, liczy się to, *do kogo należysz*.

- Nie rozumiem.

Kjell wyciągnął rękę i dotknął ramienia Daltona.

- Synu, zostałeś poczęty jako Grey, a urodziłeś się jako Lindquist. Ale istnieje coś znacznie ważniejszego. Wybrałeś służbę Bogu, uwierzyłeś, że Jezus umarł za twoje grzechy i zmartwychwstał, by uczynić tve życie wiecznym. Dokonałeś tego wyboru dawno temu. Należysz do Niego. Oto twoja tożsamość. Z tej świadomości możesz czerpać spokój, kiedy wszystko inne zawiedzie.

- A jednak mam potrzebę zrozumienia mojej ziemskiej przeszłości. Wiesz, kim byli twoi rodzice. Nie czułeś tego brzemienia, nie musiałeś ukrywać wstydu związanego z przeszłością.

- Każdy nosi w sobie wspomnienia, o których wolałby zapomnieć. Niezależnie od tego, co się wtedy stało, w żadnym stopniu nie odpowiadasz za wybory czy decyzje, które zostały podjęte, zanim się urodziłeś albo kiedy nie miałeś na to żadnego wpływu. Czyny twojego ojca mogły odcisnąć na tobie piętno, ale nie można dopuścić, żeby wpłynęły także na przyszłość.

- Jak sądzisz, czy moi bracia mogli się zmienić? Czy moja siostra pragnie mieć ze mną taki kontakt, jaki mamy z Evie?

Kjell wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ludzie się zmieniają, zwłaszcza jeżeli znajdzie się ktoś, komu na tym zależy. Pamiętaj jednak, że po latach mogą być jeszcze gorsi.

- Wygląda na to, że niżej nie można już upaść. - Dalton odszedł od ojca i stanął nad przepaścią. Spojrzał w dół.

Woda była ciemna jak stal, jej kolor przypominał barwę ciemnych chmur, które tego dnia zawisły nad wyspą. Foki bawiły się w zatoce, co i rusz nurkowały, by po chwili wynurzyć się na powierzchnię. Dalton pomyślał, że chciałby być tak beztroski jak one. Może lepiej by było, gdyby nigdy nie poznał prawdy. Wtedy nie musiałby się z tym wszystkim zmagać, nie rozważałby kroków z góry skazanych na porażkę.

- Daltonie, bez względu na to, jaką decyzję podejmiesz, porozmawiaj najpierw z matką. Ona jest osobą, która o tym powinna dowiedzieć się pierwsza. - Kjell zamilkł na chwilę. Zaczął mówić dopiero w momencie, kiedy Dalton odwrócił się do niego. - Odkąd się urodziłeś, ona robi wszystko, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Cały czas miała się na baczności, ponieważ bała się, że ktoś może próbować wyrządzić ci krzywdę. Mam wrażenie, że nawet dzisiaj nerwowo się rozgląda, by mieć pewność, że nic ci nie grozi.

-Ale...

Kjell uniósł dłoń.

- Wysłuchaj mnie, synu. Twoja matka cię kocha i jest to być może uczucie głębsze niż to, którym obdarzyła nasze dziewczynki. Ona cię niemal straciła i wie, że to zagrożenie jeszcze nie minęło.

- Nikt mnie stąd nie zabierze. Współczuję człowiekowi, który próbowałby to zrobić - powiedział Dalton z uśmiechem świadczącym o pewności siebie.

- Być może nie powinieneś traktować tych słów zbyt dosłownie. Łatwo jest bowiem zawładnąć umysłem lub duszą człowieka, którego opuściła czujność. Twoi bracia całe życie doskonalili się w sztuce manipulacji. Są przebiegli, nawet w największym gąszczu potrafią znaleźć drogę, która doprowadzi ich do celu. Nie ma żadnych podstaw, by zakładać, że się zmienili. Nigdy nie znałem ich tak dobrze jak

twoja matka. To kolejny argument, żeby spytać ją, co o tym wszystkim myśli. Jeżeli chcesz ich odnaleźć, proszę cię, zwróć się najpierw do niej. Nie lekceważ jej słów i dobrze się zastanów, czy cel, do którego dążysz, warty jest ceny, jaką będziesz musiał zapłacić w drodze do jego osiągnięcia.

Phoebe siedziała przy stole naprzeciwko swojego ojca. Matka przyjęła do pomocy miejscową Rosjankę, która miała zajmować się sprzątaniami i gotowaniem. Decyzja ta nie spotkała się ze zrozumieniem ze strony ojca.

- Powinnaś to była ze mną omówić - powiedział.

- Dotychczas sprawami domu zajmowałam się bez twojej pomocy - odpowiedziała. - Mam liczne obowiązki i sama nie dałabym sobie ze wszystkim rady. Kobieta, o której mówimy, nie zamieszka z nami, więc uspokajam cię: nie będzie wchodziła ci w drogę.

- Wiesz dobrze, jak bardzo nie lubię, kiedy obcy kręcą się po domu.

Phoebe słyszała już tę rozmowę wiele razy. Powtarzała się ona zawsze, kiedy się przeprowadzali. W każdym nowym miejscu matka prędzej czy później wbrew ojcu zatrudniała jakąś dziewczynę do pomocy.

- Ona się nazywa Daria Bielikow. Poleciała ją pani Lind-quist. Daria jest żoną miejscowego, który zajmuje się budową łodzi. Mają czwórkę dzieci. Ich rodzina mieszka trzy przecznice od nas. Daria będzie przychodziła codziennie koło południa, żeby gotować obiady i sprzątać dom. Ja natomiast nadal będę robiła śniadania i lunchy, więc przestań już narzekać.

- W tym domu mieszkają dwie dorosłe kobiety, więc mogłoby się wydawać, że pomoc okaże się zbędna.

Matka Phoebe uśmiechnęła się.

- Tak, ale mieszka tu także trzech mężczyzn, którzy nie sprzątaję po sobie i nie wykazują talentu w cerowaniu, praniu i robieniu świec.

Ojciec Phoebe, zmęczony tą bitwą, westchnął ciężko i odsunął się od stołu.

- Skoro jest to konieczne... - Podniósł się z krzesła. - Wrócę dziś późno. Lyman i ja mamy wiele spraw do załatwienia, między innymi czeka nas spotkanie z dowództwem marynarki wojennej. - Pochylił się i pocałował matkę Phoebe w czoło. - Życzę ci miłego dnia, moja droga.

Kiedy jej ojciec wyszedł, Phoebe zebrała naczynia po śniadaniu i zaniósła je do niewielkiej kuchni. W przeszłości mieszkała w znacznie większych domach i uważała, że to małe, zniszczone miejsce można było w najlepszym razie nazwać znośnym.

- Mogłoby się wydawać - powiedziała do matki, która pomagała jej sprzątać ze stołu - że ojciec porzuci wreszcie spory tego rodzaju. A powtarza się to przy każdej przeprowadzce.

Matka Phoebe roześmiała się.

- To prawda. Twój ojciec zawsze do tego wraca. Doskonale wie, że i tak zatrudnimy kucharkę i gosposię, ale nie jest w stanie się z tym pogodzić. Boi się, że obca osoba mogłaby się czegoś o nim dowiedzieć, a to z kolei skompromitowałyby jego przyjaciela.

- Przecież ojciec ma nieskazitelną reputację - zdziwiła się Phoebe, potrząsając głową. - Nigdy nie wpadał w tarapaty.

- Każdy ma coś do ukrycia. Nie znam człowieka, który by pewnych spraw się nie wstydził i nie chciał o nich raz na zawsze zapomnieć. Pod tym względem twój ojciec nie różni się od innych ludzi. Losy rodziny ojca nie pomagają mu w obecnej karierze.

Phoebe doskonale wiedziała o szemranych interesach swojego dziadka, a także o tym, że w końcu trafił on do więzienia. Wcześniej był właścicielem banku, a jej ojciec pracował w rodzinnej instytucji. Kiedy wyszło na jaw, że dziadek dopuścił się licznych oszustw, odpowiedzialnością za te praktyki obciążono także jego syna. Wydawało się, że społeczeństwo lubuje się w obciążaniu przedstawicieli młodego pokolenia winą za grzechy ich ojców.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby na tym pustkowiu znalazł się ktoś, kogo zajmowałyby tego typu sprawy i jeszcze chciałby wykorzystać tę wiedzę przeciwko twojemu ojcu. Wiem jednak, że przeszłość ciągle jest dla niego prawdziwym ciężarem. Dawniej miał wielkie ambicje. Gdyby nie ta afera z bankiem, mógłby przybyć tu jako gubernator, a może, kto wie, zostać nawet prezydentem. Albo chociaż stać na czele instytucji, którą założył jego ojciec. Ci, którzy znają jego przeszłość, nie dają mu o tym zapomnieć, a ci, którzy szukają informacji, jakie mogłyby go skompromitować, nie ustają w wysiłkach, żeby tę przeszłość poznać.

Phoebe rozumiała, że matka ma rację. Nikogo tu nie interesowały losy banku jej dziadka, ale mimo to niepokój jej nie opuszczał. Pragnęła, żeby ludzie doceniali jej ojca, który był przecież naprawdę uczciwym człowiekiem.

- Zastanawiałam się, czy mogłabyś pójść w moim imieniu do państwa Lindquist - zapytała jej matka, nagle zmieniając temat. - Pani Lindquist przysłała wiadomość, że czeka już zamówiony przez nas tłuszcz niedźwiedzi. Pomyślałam, że mogłabyś pojechać tam powozem i go odebrać. Sprawdzimy, czy nadaje się do produkcji świec.

- Nigdy nie używałyśmy niedźwiedziego tłuszczu - powiedziała Phoebe. W jej głosie dało się słyszeć sceptycyzm. Najbardziej nieprzyjemnym aspektem wyrabiania świec łożowych była właśnie woń tłuszczu. Spróbowała sobie wy-

obrazić zapach niedźwiedzia. Może dodadzą trochę żywicy olibanowej, która powinna zneutralizować zapach dzikiego zwierzęcia. Obcowanie z tym surowcem nie byłoby wtedy aż tak nieprzyjemne. A może tłuszcz niedźwiedzi miał łagodniejszą woń niż tłuszcz bawoli czy owczy? Phoebe nie była jednak co do tego przekonana.

- Musimy eksperymentować z tym, co mamy pod ręką -odparła jej matka. - Pani Lindquist mówiła, że świece będą się tu dobrze sprzedawały. Wspomniała także, że będzie mogła zdobyć dla nas trochę pszczelego wosku.

- Wspaniale. - Z tego, co pamiętała Phoebe, świece z pszczelego wosku należały do najbardziej cenionych. -Czy mamy wystarczająco dużo wodorowinianu potasu i wodorotlenku glinu w paście?

Jej matka założyła fartuch.

- Tak mi się wydaje. Zamówimy więcej, jeśli będzie trzeba. Twój ojciec przekazał mi, co mówił gubernator: nie musimy oszczędzać na surowcach. Gubernator dopilnuje, żeby zamówione przez nas rzeczy zostały dostarczone razem z jego towarami.

Kiedy Phoebe jechała do Lindquistów, zaczęło padać. Dziewczyna próbowała otworzyć parasolkę, trzymając jednocześnie lejce, ale okazało się to dla niej zbyt trudne. W końcu pogodziła się z tym, że zmoknie, i ruszyła dalej. Czy w tej okolicy zawsze pada deszcz?

Kiedy Phoebe dotarła na miejsce, pani Rockford siedziała na ganku, pochylona nad robótką. Pomachała dziewczynie i wróciła do szycia, a tymczasem Phoebe zdążyła zatrzymać powóz.

- Dzień dobry, pani Rockford - zawołała, unosząc parasolkę. Schodząc z powozu i wymachując tym nieporęcznym rekwizytem, dziewczyna poczuła się naprawdę niezręcznie.

Starsza kobieta uśmiechnęła się.

- Dzień dobry.

Phoebe spróbowała strząsnąć z siebie tyle wody, ile się dało. Zerelda podniosła się z krzesła i wskazała drzwi.

- Wejdz i ogrzej się przy ogniu, inaczej się przeziębisz.

Wdzięczna za ciepłą, domową atmosferę Phoebe usadowiła się na stołku przy ogniu, a pani Rockford wróciła z filiżanką gorącej herbaty.

- To pozwoli ci się rozgrzać - powiedziała Zee do dziewczyny.

- Bardzo dziękuję. Nie zdążyłam jeszcze nauczyć się jeździć powozem w taki sposób, żeby nie przemoknąć do suchej nitki.

Kobieta roześmiała się.

- Tutejsi mieszkańcy dawno zrezygnowali z podobnych prób. Większość z nich wcale się tym nie przejmuje. Pewnego dnia przestaniesz zwracać na to uwagę i wtedy staniesz się jedną z nas.

- Mam wrażenie, że w tej okolicy zawsze pada albo zbiera się na deszcz - odparła Phoebe. - Nie spodziewałam się, że będzie tu tak wilgotno.

- Bywają też okresy bez deszczu - powiedziała Zerelda z uśmiechem. - W zeszłym miesiącu przez całe dwadzieścia cztery godziny nie spadła ani jedna kropla.

Phoebe mimowolnie zachichotała.

- Czy urządzono z tej okazji uroczystość?

- Oczywiście. Mieszkańcy zamknęli sklepy i cieszyli się pięknym dniem. Wkrótce się do tego przyzwyczaisz.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Poczucie izolacji musi być bardzo frustrujące.

- Wydaje mi się, że wszystko zależy od tego, czego w życiu szukamy. Sitka ma wiele do zaoferowania, przede wszystkim spokój i prostotę. Dla mnie jest to źródło radości.

Phoebe zaczęła żałować swoich słów. Być może wypowiedziała je pochopnie, nie myśląc, jak mogą one zabrzmieć. Nie chciała przecież mówić źle o Sitce. Wypiła łyk herbaty, po czym zwróciła się do pani Rockford.

- Przepraszam, jeśli panią uraziłam. Po prostu jeszcze się nie przyzwyczaiłam.

Pani Rockford roześmiała się.

- Nic w tym dziwnego i wcale nie czuję się urażona. Mam tylko nadzieję, że to ja cię nie uraziłam. Kiedy rozmowa dotyczy naszego miasta, uderzam we wzniósłe tony. Wiem, że powinnam się powstrzymać, ale w takich momentach nie mogę się opanować. Wychowałaś się w dużym mieście?

- Nie. Ale w porównaniu z Sitką można by je nazwać dużym - przyznała Phoebe. - Mieszkaliśmy w Montpelier, stolicy Vermont. Oczywiście to miasto nie przypomina w niczym Bostonu czy Nowego Jorku.

- Nie byłam nigdy w tych miastach, ale wiem coś o Seattle i Portland. Dla mnie były to dostatecznie duże miasta.

Phoebe się odprężyła. Pani Rockford była naprawdę szczerą i Phoebe bardzo się to podobało.

- Pani Rockford, zainteresowało mnie to, co pani mówiła o ludziach z plemienia Tlingitów. Bardzo chętnie dowiedziałabym się czegoś więcej.

- Proszę, mów mi Zerelda albo lepiej Zee. - Zerelda sięgnęła po robótkę, którą przedtem położyła na stole. - Szyję dla dziewczynek flanelowe ubranka. Ani się obejrzymy, a już nadejdzie zima, a dzieci bardzo podrosły od zeszłego roku. Nie do końca wiem, co powinnam ci powiedzieć o Tlingi-tach. Mają bogatą historię, która bardzo różni się od naszej. Nie zawsze jesteśmy w stanie zrozumieć ich obrzędy, ale ja z biegiem czasu bardzo się przywiązałam do tych ludzi.

- Jacy oni są? Mama się ich boi. Kiedyś jedna z kobiet, należąca do tego plemienia, podeszła do nas i próbowała nam coś powiedzieć, ale mama zareagowała histerycznie.

Zerelda pokiwała głową.

- Tlingici są bardzo pracowitymi ludźmi. Świetnie opanowali różne rodzaje rzemiosła. Uczyli się najpierw od Rosjan, a teraz przejmują wiele od Amerykanów. Mam jednak obawy związane z ich edukacją, medycyną i sprawami duchowymi. Ojciec Donskoj i Sheldon Jackson walczą o uwagę Tlingitów.

- Kim oni są?

- Ojciec Donskoj stoi na czele tutejszego Kościoła prawosławnego, natomiast pan Jackson jest założycielem misji prezbiteriańskiej i odpowiada za edukację na Alasce. To dobrzy ludzie i życzliwi wobec Tlingitów. Ale kiedy starają się wypełniać swoją misję, powstają problemy.

- Rozumiem. Czy Tlingitów interesują w ogóle nasze szkoły i wyznania? - spytała Phoebe.

- Tak, odnoszę wrażenie, że nie są wobec nich obojętni. Nie różnią się pod tym względem od innych ludzi, którzy szukają lepszego życia dla swoich dzieci. Są otwarci na chrześcijaństwo, choć niektórzy nie chcą zrezygnować z własnej tradycji. To jeden z powodów, dla których brat Jackson chce, aby dzieci z plemienia Tlingitów mieszkały przez pięć lat w szkole przemysłowej. Uważa, że powinny się znaleźć z dala od obrzędów i podań swojego plemienia. Jackson jest przekonany, że dzieciom łatwiej będzie przyjąć naszą kulturę, jeżeli ich świat będzie przedstawiany w opozycji do świata białego człowieka.

- Rozumiem.

Zerelda potrząsnęła głową.

- Niestety, poglądy Jacksona sprawiły, że wielu Tlingitów odsunęło się od głoszonych przez niego wartości.

Kościół prawosławny nie wymaga od Tlingitów tak wielu zmian, usiłuje wychodzić tym ludziom naprzeciw i uzupełniać ich własną kulturę, jednocześnie zachęcając tubylców, by porzucili najbardziej szkodliwe i mało pożyteczne obrzędy. Tlingici mają poczucie, że ojciec Donskoj ich rozumie. On przebywa razem z nimi w wiosce i ma dla nich dużo szacunku. Natomiast Jackson i jego ludzie zostali odrzuceni przez przeważającą część plemienia.

- To smutne. Przypuszczam, że Tlingici mają lepszy kontakt z Rosjanami, ponieważ zetknęli się z nimi znacznie wcześniej. Być może właśnie dlatego bardziej im ufają.

Zerelda skinęła głową.

- Na to wygląda. Człowiek, który zajmował poprzednio miejsce ojca Donskoja, nie był lubiany. Wielu Tlingitów, którzy włączyli się do wspólnoty Kościoła, zdecydowało się z niej wystąpić, ponieważ byli traktowani z pogardą. Przez pewien czas Tlingici uważali, że Rosjanie są nimi zainteresowani tylko ze względu na futra. Wtedy w okolicy kwitł handel wyprawionymi skórami. Teraz ma on mniejsze znaczenie, ale nadal są ludzie, którzy się tym trudnią.

- Och tak, wiem coś o tym. Mój ojciec wypatrył ładne skóry i ma nadzieję, że będzie można uszyć futrzany płaszcz dla mojej matki.

- W futrzanym płaszczu będzie jej tu za ciepło. Ładna futrzana peleryna bardziej by się przydała.

Phoebe skinęła głową.

- Powiem jej o tym.

Zegar wydzwonił kolejną godzinę i Phoebe odstawiła herbatę.

- Ojej, powinnam zabrać tłuszcz niedźwiedzi i wracać do domu. Matka na mnie czeka.

Zerelda podniosła głowę.

- Ogrzałaś się? Nie chcę, żebyś się przeziębiła. Przeziębienia latem są takie męczące.

- Czuję się dobrze. Bardzo się cieszę, że przyjechałam. Czy mogłabym znowu panią odwiedzić i dowiedzieć się czegoś więcej na temat wyspy i plemienia Tlingitów?

Zerelda uśmiechnęła się.

- Sprawi mi to wielką przyjemność. Odwiedź mnie, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Nie musisz czekać na zaproszenie.

- Będę o tym pamiętała.

Phoebe pomyślała nagle o Daltonie. Byłoby miło zobaczyć również i jego. Poczwała, jak policzki zaczynają jej płonąć na samo wspomnienie ich ostatniego spotkania. Nagle potknęła się o dywan i o mało nie wpadła na Zereldę, która szła tuż przed nią.

Mój Boże, zrobiłam się taka niezdarna, odkąd zamieszkałam w Sitce. jeśli nie będę uważać, ludzie pomyślą, że jestem niezrównowazona. Wyprostowała się i uświadomiła sobie, że Zerelda niczego nie zauważyła. Phoebe westchnęła i szła dalej. Najlepiej będzie, jeśli przestanie myśleć o Daltonie. Przynajmniej do czasu, kiedy zdoła usiąść i nie będzie mogła zrobić krzywdy ani sobie, ani ludziom znajdującym się wokół.

Rozdział 6

LIPIEC 1889

Phoebe z niepokojem myślała o zbliżającym się balu powitalnym, który miał zostać wydany na cześć gubernatora. Było w niej tyle entuzjazmu, ile tli się w każdym, kto przypomina sobie o zbliżającej się wizycie u dentysty. W przeciwieństwie do swoich koleżanek, które cieszyły się, że nadarzy się okazja, by przetańczyć całą noc, nie przywiązywała wielkiej wagi do przyjęć. Phoebe marzyła jedynie, by zatopić się w ciszy własnego pokoju.

- Mama mówi, żebyś się pospieszyła - zza drzwi dobiegło wołanie jej brata Theodore'a. - Powiedziała, że ona i ojciec muszą przyjechać na miejsce razem z gubernatorem, co oznacza, że my też musimy.

- Zaraz przyjdę.

Phoebe spróbowała upiąć niesforny loczek. Kiedy sprawa była naprawdę poważna, jej włosy odmawiały posłuszeństwa. Przeglądając się w lustrze, zastanawiała się nad efektem końcowym. Widząc swoje odbicie, poczuła satysfakcję. Długie blond włosy opadały kaskadami od czubka głowy na plecy. W ten sposób układała włosy żona gubernatora i to od niej Phoebe się tego nauczyła. Ponadto miała na sobie nową suknię, uszytą niedługo przed przyjazdem do Sitki. Suknia była z jedwabiu o pięknym, różowym odcieniu. Wewnętrzna spódnica kontrastowała z zewnętrzną,

śliwkową w różowe paski. Gors sukni, wykończony łagodnym dekoltem, stanowił kombinację obu kolorów.

Phoebe westchnęła i sięgnęła po rękawiczki. Do tej pory wielu mężczyzn zabiegało o jej względy. Matka zapewniła dziewczynę, że nie było w tym nic niezwykłego - mieszkały w mieście, w którym na jedną kobietę przypadało dziesięciu mężczyzn. A jednak Phoebe czuła się nieswojo, kiedy poświęcano jej tyle uwagi. Tym bardziej że do tej pory nie pochodziła ona od Daltona Lindquista.

- Nareszcie jesteś - powiedział jej ojciec- Chodź, bo się spóźnimy.

- Wyglądasz jak różowy namiot cyrkowy - oznajmił jej młodszy brat.

- Grady, to było mało uprzejme z twojej strony. Phoebe wcale tak nie wygląda - upomniała go matka.

- Pamiętajcie, jak poszliśmy do cyrku w zeszłym roku? Cały namiot był w paski i...

- Cicho bądź - rozkazała mu matka.- Za chwilę dołączymy do gubernatora i jego żony.

Grady zachichotał i dźgnął w bok Theodore'a. Phoebe potrząsnęła głową. Zapowiadał się długi wieczór.

Bal rozpoczął się z wielką pompą. Jak na możliwości Sitki odbywał się w ogromnej sali. Wszystko to zrobiło na Phoebe duże wrażenie, najbardziej zaś ucieszyła się z orkiestry. Muzyka była dla niej wszystkim. Wystąpiła nawet kiedyś razem z orkiestrą Montpelier, grając na flecie. To właśnie dzięki muzyce zdołała przetrwać długą podróż na Alaskę.

Ku zdumieniu dziewczyny orkiestrą dyrygowała Lydia Lindquist. Ubrana jak zwykle nienagannie, w ciemnozłotą suknię, kobieta przyciągała wzrok zgromadzonych, gdy rozmawiała z muzykami. Oprócz skrzypiec Lydii, jak zauważyła Phoebe, w skład orkiestry wchodziły jeszcze inne

instrumenty: wiolonczela, waltornia, gitara oraz pianino. Już wcześniej miała okazję słyszeć muzykę w wykonaniu tego zespołu. To zadziwiające, że muzycy mogli wydobyć tak piękne dźwięki z tak niewielu instrumentów.

Może pozwolą mi się przyłączyć - pomyślała. Tęskniła za muzyką bardziej niż za czymkolwiek innym. Nagle dostrzegła Daltona, który przedzierał się przez tłum. Chłopak odbył krótką rozmowę z matką i stanął z boku. Phoebe wpadła na pewien pomysł. Jeśli Dalton do niej nie podejdzie, sama może go zaczepić i zamienić parę słów o orkiestrze.

Ruszyła w jego stronę. Ale w tej właśnie chwili zabrzmiała muzyka. Gubernator i jego żona wysunęli się naprzód, by zacząć tańce. Phoebe zrobiła zaledwie parę kroków, kiedy ubrany na czarno mężczyzna poprosił ją do tańca. Nie była na to przygotowana, chociaż należała do nielicznej grupy młodych kobiet niezwiązanych z żadnym mężczyzną. Skinąwszy głową, Phoebe pozwoliła się zaprowadzić na parkiet.

Dziewczyna zaczęła się rozglądać za Daltonem. Pogrzyżył się w rozmowie z innym młodym mężczyzną. Dalton miał ciemne włosy, natomiast stojący obok mężczyzna był blondynem. Byli podobnego wzrostu i wagi, wyglądali na ludzi, którzy nie boją się ciężkiej pracy.

Kolejny nieznajomy podszedł do Phoebe i jej partnera, nie czekając nawet, aż taniec dobiegnie końca. Mężczyzna zajął miejsce poprzedniego tancerza, tak jakby się umówili. Nowy tancerz się przedstawił.

- Reginald Cavendish, do usług. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że wkroczyłem przed czasem. Jest tu tak niewiele kobiet, z którymi można zatańczyć, że trudno nam doczekać do końca piosenki.

Phoebe skinęła głową.

- Muszę przyznać, że trochę mnie to zdziwiło.

- Powinna się pani do tego przyzwyczaić. Podczas większości tańców podejdzie do pani trzech albo czterech partnerów, zanim skończy się muzyka. O ile się nie mylę, jeden już ku nam zmierza.

Kiedy Phoebe zerknęła przez ramię, zobaczyła zbliżającego się starszego mężczyznę. Nieznajomy uśmiechnął się na powitanie i Phoebe zauważyła, że brakuje mu jednego zęba. Był to właściciel jednego ze sklepów. Dziewczyna rozpoznała go, ale za nic w świecie nie potrafiła sobie przypomnieć, jak się nazywał.

I tak mijał wieczór. Kolejni mężczyźni przekazywali sobie Phoebe - pod pretekstem dobrych manier i dobrego nastroju. Nie chciała nikogo zawieść, ale gdy przetańczyła już przeszło godzinę, poczuła desperacką potrzebę opuszczenia sali balowej. Kiedy orkiestra zrobiła przerwę, Phoebe uznała, że to najlepszy moment, by się oddalić. Minęła grupę żon z Sitki i zatrzymała się tylko na chwilę, by matka przedstawiła ją kilku kobietom. Uśmiechała się i odpowiedziała na ich pytania.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała w końcu, zerkając z nadzieją na matkę, która bacznie jej się przyglądała. - Muszę zaczerpnąć trochę powietrza.

- Nie odchodź zbyt daleko - powiedziała jej matka ostrzegawczym tonem. - Może lepiej znajdź któregoś z braci, aby dotrzymał ci towarzystwa.

Phoebe skinęła głową, ale nie miała zamiaru prosić braci o pomoc. Pospiesznie opuściła salę i wypadła na zewnątrz - prosto w ramiona Daltona Lindquista.

- Chciałaś uciec? - spytał.

Phoebe podniosła głowę. Po raz kolejny doświadczyła uczucia zażenowania z powodu tak bliskiego kontaktu z przystojnym mężczyzną. Spróbowała odwrócić głowę i uwolnić się z jego uścisku, ale Dalton ani myślał jej puścić.

- Masz talent do robienia zamieszania.

Phoebe poczuła, że płoną jej policzki. Dlaczego zawsze musi zachować się niewłaściwie w obecności jedyne go mężczyzny, na którym chciałyby zrobić wrażenie? Uwolniła łokieć z jego uścisku.

- Tak, najpierw wpadłam do wody, a teraz to.

- Zapomniałaś o przygodzie u nas w domu.

- Ależ pamiętam o niej, szczególnie że w tak miły sposób mi o niej przypomniawsz.

Schyliła głowę i poczuła, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Dlaczego na dworze było tak jasno? Dalton na pewno zauważył jej zmieszanie.

Chłopak roześmiał się i Phoebe poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie. Miała ochotę skarcić Daltona tak, jak karmiła swoich braci.

- Naprawdę nie powinnaś myśleć o sobie z taką powagą - powiedział Dalton.

Phoebe podniosła głowę.

- Słucham?

- Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Mieszkańcy Sitki nie rozpamiętują incydentu, podczas którego wpadłaś do zatoki. Skupiają się przede wszystkim na tym, że nic ci się nie stało. Oczywiście, ludzie będą przez pewien czas o tym mówić, ale co z tego? Przecież nie mogą się rozerwać w operze. - Dalton uśmiechnął się prowokująco, wyraz jego twarzy wydawał się przeczyć sensowi wypowiedzi.

- Nie lubię robić z siebie widowiska. - Phoebe zmarszczyła czoło. - Ale mam ku temu skłonności.

- Może wobec tego powinnaś nauczyć się z siebie śmiać, co ty na to?

Phoebe spojrzała mu w oczy i natychmiast zapomniała, co chciała powiedzieć. Myślała teraz tylko o tym, jak bar-

dzo chciałyby dotknąć jego twarzy. Ale zamiast to zrobić, odwróciła głowę.

- Chciałam cię wypytać o orkiestrę - powiedziała, strzepując niewidzialny włos z rękawa.

- A co chciałybyś wiedzieć?

- Zastanawiałam się, czy twoja matka wszystkim kieruje. To znaczy, zorientowałam się, że twoja matka stoi na czele zespołu.

Dalton skinął głową.

- Muzyka zawsze była jej pasją. Matka mawiała, że skrzypce są jej najlepszym przyjacielem.

- Dobrze to rozumiem. Gram na flecie i mam podobne wrażenie.

- Ojciec i ja gramy na gitarze. Pewnie zauważyłaś mojego ojca wśród muzyków.

Phoebe pamiętała ojca Daltona, chociaż nigdy wcześniej go nie spotkała.

- Tak, ich występ zrobił na mnie duże wrażenie. Szczególnie że w zespole jest tak niewielu muzyków. Czy myślisz, że twoja mama byłaby zainteresowana przyjęciem do zespołu jeszcze jednej osoby?

Dalton roześmiał się.

- Byłaby zachwycona. Ona zawsze ubolewa, że niewielu ludzi interesuje się tą inicjatywą. Powinnaś z nią o tym porozmawiać. Muzycy z zespołu ćwiczą, kiedy tylko czas im na to pozwala, no i mogą liczyć na zaproszenie wszędzie tam, gdzie akurat coś się dzieje.

- Dzięki temu nie będę musiała tańczyć - powiedziała Phoebe pochoinnie.

- Dlaczego miałabyś zrezygnować z tańca? - spytał Dalton. - Przecież jesteś w tym dobra.

Phoebe zerknęła na niego.

- Widziałeś, jak tańczę?

- Oczywiście. Juri i ja rozmawialiśmy o twoim przyjeździe i zgodziliśmy się co do tego, że jesteś największą ozdobą przyjęcia.

Jego słowa zbiły ją z tropu. Phoebe miała do czynienia z tak śmiałymi mężczyznami, ale nie przypuszczała, że należy do nich Dalton. Zmieniła szybko temat.

- Kim jest Juri?

- To mój przyjaciel. Razem z nim i z jego ojcem zajmujemy się budową łodzi.

- To ten wysoki blondyn?

- A więc zauważyłaś go? Teraz jestem zazdrosny.

- Nie powinieneś być zazdrosny. Nie mogłam się powstrzymać. Ja... patrzyłam na twoją matkę i orkiestrę. A ty podszedłeś do niej, a później stanąłeś w innym miejscu i zacząłeś rozmawiać z jakimś blondynem.

- A więc to mnie obserwowałaś. Znowu poczuła, że płoną jej policzki.
-Ja...

Cóż mogła powiedzieć?

- Chodźmy, taniec zaraz się zacznie - powiedział ktoś za plecami Phoebe.

Kilka osób przeszło szybko obok nich. Jednocześnie rozległa się dobrze znana melodia walca. Phoebe nie wiedziała, co począć. Jeśli wejdzie do środka, będzie musiała dalej tańczyć.

- Dołączymy do nich? - spytał Dalton.

- Słucham? - Phoebe nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Czy miałabyś ochotę ze mną zatańczyć?

Phoebe poczuła się tak, jakby połknęła własny język. Zdołała jedynie skinąć głową i ujęła pod rękę Daltona, który zaprowadził ją z powrotem do budynku. Zadrżała, kiedy przyciągnął ją do siebie. Położyła mu rękę na ramieniu. Jego

muskuły zrobiły na Phoebe duże wrażenie. Dalton prowadził ją w milczeniu, mijając innych tancerzy. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie, ale wiedziała, że to tylko marzenie. Po chwili Juri - przyjaciel Daltona - zbliżył się, by odebrać ją jedynemu mężczyźnie, z którym pragnęła tańczyć.

- Moja kolej. - Juri klepnął Daltona i zajął jego miejsce. Phoebe znalazła się w ramionach Juriego i spojrzała

tęsknie na oddalającą się postać Daltona. Jednocześnie starała się zrobić wszystko, żeby ukryć swoje uczucia.

- Jestem Juri Bielikow - oświadczył młodzieniec. - Moja matka jest waszą gosposią.

- Phoebe Robbins - odparła. Nie mogła się nadziwić, że wszyscy w tym mieście byli tak bezpośredni. Zasady życia społecznego były przestrzegane i jednocześnie ich nie narzucano.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną na tej sali - powiedział.

Phoebe nie była pewna, jak powinna zareagować. Jego komentarz wprowadził ją w zakłopotanie, ale wiedziała, że Juri po prostu stara się być miły.

- Dziękuję, nie jestem pewna, czy to prawda, ale to bardzo uprzejme z twojej strony. - Natychmiast pożałowała swoich słów. Miała nadzieję, że chłopak nie pomyśli, iż czeka na dalsze komplementy. Spytała więc szybko:

- Czy Bielikow to rosyjskie nazwisko? Juri uśmiechnął się.

- Tak. Moja rodzina pochodzi z Rosji. Moja matka i ojciec przyjechali tu krótko po ślubie.

- Byłeś kiedyś w Rosji? Juri potrząsnął głową.

- Często o tym mówiliśmy. Moja matka chciałaby tam wrócić. Jej matka nie czuje się dobrze i siostry mamy chcą, żeby przyjechała.

- A ty pojedziesz?

Phoebe zauważyła zbliżającego się mężczyznę. Wiedziała, że za chwilę zostanie oddana w jego ręce. Juri najwyraźniej nie chciał jeszcze rezygnować z towarzystwa dziewczyny i poprowadził ją w innym kierunku.

- Przepraszam, ale tańczę z tobą zaledwie parę minut. On może poczekać na swoją kolej. Poza tym, tak się składa, że wiem coś na jego temat: ten mężczyzna pachnie rybami i jest kiepskim tancerzem.

Phoebe stłumiła chichot. Nie spodziewała się usłyszeć tego rodzaju uwagi. Nagle poczuła się swobodnie w towarzystwie znajomego Daltona. Podniosła głowę i napotkała spojrzenie jego niebieskich oczu. Uśmiechnęła się.

- Pytałam, czy pojedziesz z rodziną do Rosji. Szelmowsko się uśmiechnął.

- Nie zrobię tego, jeśli okaże się, że ktoś będzie chciał mnie tu zatrzymać.

Dalton od razu zauważył, że Juri jest z siebie zadowolony. Chłopakowi udało się zatrzymać przy sobie Phoebe przez resztę walca. Dopiero teraz oddał ją innemu mężczyźnie.

- Więc widziałeś, jak tańczyliśmy? - spytał Juri. - Uważam, że jesteśmy wspaniałą parą, a ty?

Dalton poczuł ukłucie zazdrości, ale postanowił to zignorować. Jego siostra Evie właśnie do nich dołączyła i nie chciał, żeby dziewczyna zasypała go pytaniami. Zamiast odpowiedzieć na uwagę Juriego, zwrócił się do Evie.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem wykończona. Nie mogę uwierzyć, że tyle tańczyłam. Naprawdę powinnam już wracać do domu, ale chyba mi się to nie uda. - Uśmiechnęła się do Juriego. - Jak się masz?

- Dobrze. Rozmawialiśmy właśnie o panie Phoebe Robbins.

- Ona jest śliczna, nie sądzisz?

- Sądzę - odparł Juri. - Powiedziałem właśnie Daltonowi, że moim zdaniem ja i Phoebe tworzymy wspaniałą parę.

Dalton poczuł trudne do opanowania pragnienie, by wymierzyć Juriemu cios w szczękę. Evie zerknęła na brata, lecz on odwrócił wzrok, jakby coś innego zaprzętało jego uwagę. Jeżeli Evie zobaczy wyraz jego twarzy, będzie wiedziała, co się stało, a on nie miał ochoty się tłumaczyć. Poza tym jak miał wytłumaczyć coś, czego sam nie rozumiał.

- Jeszcze ze mną nie zatańczyłeś, braciszku. Dalton był zaskoczony.

- Myślałem, że jesteś wykończona. Evie wzięła go pod ramię.

- A jednak mam jeszcze siłę, by zatańczyć ze swoim bratem.

Weszli na parkiet i dołączyli do pozostałych. Evie uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- Wyglądałeś tak, jakbyś chciał się pozbyć Juriego. Dalton nie był pewien, co odpowiedzieć.

- On czasem za dużo mówi.

- Zdaje się, że jest zainteresowany Phoebe Robbins.

- Chyba tak.

- Daltonie, jeśli ona ci się podoba, powinieneś o nią walczyć.

Dalton spojrzał ze zdumieniem na Evie.

- O czym ty mówisz?

Evie roześmiała się i wskazała drzwi.

- Chodź ze mną.

Dalton wyszedł za siostrą na dwór. Był bardzo ciekawy, co Evie miała mu do powiedzenia. Odczekał, aż oddalili się nieco od głównego wejścia, i spytał:

- Dlaczego to powiedziałaś?

Evie zatrzymała się i odwróciła do brata.

- Daltonie, to jasne, że jesteś, delikatnie mówiąc, zafascynowany panną Robbins. Poza tym według mnie to jasne, że ona żywi do ciebie coś więcej niż przyjacielskie uczucia. Jeśli jesteś nią zainteresowany, powinieneś o nią walczyć, zamiast oddawać ją Juriemu.

- Kto powiedział, że mu ją oddałem? Jego siostra się uśmiechnęła.

- Musisz uświadomić Juriemu, że jesteś nią zainteresowany. Juri cię rozdrażnił, ale musisz zająć stanowisko. Jeśli ona nic dla ciebie nie znaczy, wycofaj się.

Dalton potrząsnął głową.

- Sam nie wiem, co czuję. Ona mi się podoba, lubię z nią rozmawiać. - Wiedział, że to nie wszystko, ale nie był jeszcze gotów, by mówić o swoich uczuciach.

Evie wygładziła fałdy sukienki.

- Nie musisz od razu proponować małżeństwa, by odpowiedzieć na wyzwanie Juriego. Po prostu daj mu znać, że jesteś zainteresowany Phoebe i nie zamierzasz przyglądać się obojętnie, jak on próbuje zdobyć jej względy. - Evie łagodnie poklepała Daltona po ramieniu. - Posłuchaj, to niezwykle ważne, by znaleźć osobę, z którą będziesz chciał spędzić resztę życia. Mój los jest najlepszym tego dowodem. Proszę, nie zmarnuj szansy na prawdziwą miłość.

Głos Evie był tak intensywny i pełen emocji, że Dalton instynktownie otoczył ją ramieniem.

- Przykro mi, że nie było ci to dane. Jesteś jedną z najpiękniejszych i najbardziej niezwykłych kobiet, jakie znam. Masz złote serce.

Evie podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Ominął mnie romans, ale nie miłość. Mam ciebie i resztę rodziny. Gdybym nie poznała tego uczucia, moje życie byłoby znacznie uboższe.

- Czy on kiedykolwiek próbował nawiązać z tobą kontakt? - spytał Dalton z wahaniem. - Czy przez te wszystkie lata twój mąż nie przysłał ci ani jednego listu? Nie odezwał się ani słowem?

- Nie - wyznała Evie. - Nasza siostra Jeannette pisze mi czasem o nim. - Evie przekrzywiła głowę. - Tak mi przykro, że przez te tajemnice ty i ja nie mogliśmy się zbliżyć. Jeannette jest bardzo nieszczęśliwa. Nigdy nie była szczęśliwa, nawet jako dziecko. Moim zdaniem jest naprawdę irytująca i nieznośna. Dotyczy to prawie wszystkiego, co robi i mówi. - Evie wzruszyła ramionami. - Ale Jeannette o wszystkim mnie informuje. Uwielbia plotkować i wydaje się, że to główny powód, dla którego do mnie pisze. Odpisuję jej od czasu do czasu, ale niezbyt szczegółowo, i staram się robić to jak najrzadziej.

Dalton opuścił rękę.

- Nasza rodzina jest tak rozproszona i dziwna. - Odszedł kawałek i spojrzał na wodę, w której odbijało się zachodzące słońce.

Evie wyciągnęła do niego rękę.

- Wracajmy na przyjęcie. Musisz powiedzieć Juriemu, że ci na niej zależy.

Dalton pozwolił, by Evie pociągnęła go za sobą, ale nadal nie był przekonany, czy powinien posłuchać jej rady.

- Co mam mu powiedzieć? Evie roześmiała się.

- Następnym razem, kiedy będzie się przechwalał, że tworzy z Phoebe wspaniałą parę, powiedz mu, że nie jesteś co do tego przekonany.

Wrócili na salę. Dalton nie musiał długo czekać. Juri chciał go najwyraźniej sprowokować. Tak jakby wiedział, co czuje jego przyjaciel, i nie mógł się powstrzymać, by go nie pognębić.

- Znowu tańczyłem z Phoebe. Myślę, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Zgadza się.

Juri wyglądał na rozbawionego. Zwrócił się do Daltona:

- Wiedziałem. Wiedziałem, że ona też ci się podoba.

- Oczywiście. Jest nie tylko piękna, ale również czarująca i mądra.

Juri podszedł bliżej.

- Ona wygląda lepiej ze mną.

- To twoja opinia. - Dalton wzruszył ramionami. - Więc co teraz? Podoba nam się ta sama dziewczyna. Załatwimy to na dworze za pomocą pięści?

Juri roześmiał się głośno.

- Nie masz szans. Poza tym, gdzie tu zabawa? Moim zdaniem powinniśmy się założyć o to, kto ją zdobędzie. Jesteś teraz bogaczem. Stać cię chyba na to, żeby przyjąć zakład od przyjaciela?

- Od kiedy interesuje cię hazard? Moja matka by mi nie wybaczyła, gdybym zrobił coś takiego - oznajmił Dalton. - A twoja byłaby podobnego zdania.

- Nasze matki nie muszą o niczym wiedzieć. Jesteśmy mężczyznami, a mężczyźni uprawiają hazard.

- Nie wszyscy.

- Mówię o mężczyznach, którzy nie biegają, uczeni fartucha matki.

- Więc uprawiasz ostatnio hazard?

- Robię to, na co mam ochotę. Jestem dorosły, dlaczego ktoś miałby mi mówić, co mogę, a czego nie?

- Lepiej zająć się czymś rozsądnym.

Juri machnął ręką, najwyraźniej zirytowany.

- Więc nie nazywajmy tego zakładem. Uznajmy, że to rywalizacja. Jestem pewien, że Phoebe Robbins będzie moja, zanim odbędzie się zimowy bal.

- Zdobędę ją, nim spadnie pierwszy śnieg - oznajmił Dalton.

Wiedział, że to nierozsądny ruch. Nie powinien się zgodzić na tego rodzaju rywalizację. W grę wchodziły przecież uczucia Phoebe.

Juri potarł brodę i zamyślił się.

- Zwycięzca dostanie Phoebe, a ten, kto przegra... - zamilkł na chwilę.

Dalton spróbował sobie wyobrazić przegraną. Nie był zadowolony z obrotu spraw. Evie doradziła mu, żeby nie ustępował Juriemu, a skończyło się na miłosnej rywalizacji.

- Ten, kto przegra, nie dostanie Phoebe - powiedział Dalton, zanim Juri zdążył cokolwiek dodać.

Przyjaciel spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co to znaczy?

- Powiedziałeś, że zwycięzca dostanie Phoebe. Ja mówię, że ten, kto przegra, straci ją. To wystarczy. Nie lubię grać, kiedy chodzi o tak ważne sprawy.

Juri roześmiał się i klepnął Daltona po ramieniu.

- Po prostu boisz się, że wygram.

Dalton nie odpowiedział. Czuł strach. Bał się, że traci kontrolę nad swoimi uczuciami, i nie wiedział, jak to się skończy.

- Daj spokój, wiem, gdzie można wypić coś mocniejszego niż ten poncz.

- Juri, przecież ja nie piję. Moja rodzina też nie pije. Jesteśmy powściągliwymi ludźmi i doskonale o tym wiesz.

- Sporo tracicie - zapewnił go Juri. - Ale niech będzie, jak chcesz.

- Twoim rodzicom się to nie spodoba - wtrącił Dalton.

- Moi rodzice nie muszą o niczym wiedzieć. Poza tym jestem mężczyzną. Sam podejmuję decyzje.

Rozdział 7

Przybycie parowca „Corona” spowodowało w miasteczku ogromne poruszenie. Dalton miał świadomość, że będzie musiał stawić czoło prawdziwemu tłumowi. Obiecał matce, że jeżeli tylko statek zawinie do portu, jeszcze tego wieczoru wszystkie przesyłki znajdą się u nich w domu. Sortowanie listów i paczek odbywało się w sposób niezwykle drobiazgowy. Działo się tak ku niezadowoleniu tych, którzy postanowili zjawić się na poczcie już w chwili, gdy przesyłki trafiły do urzędu. Wszyscy czekali w napięciu na wieści od rodziny i bliskich. Dla mieszkańców małego, położonego na wyspie miasteczka był to dzień wyjątkowy.

Kiedy w końcu przyszła kolej Daltona, ktoś wręczył mu pospiesznie stertę listów. Potem musiał jeszcze raz przedrzeć się przez tłum i w końcu wydostał się z budynku poczty. Wtedy jego uwagę zwrócił list znajdujący się na wierzchu pliku kopert, które trzymał w ręku. Nadała go niejaka Jeannette Stone. Jego siostra.

Trzymał w ręku list od kobiety, której nie znał - nigdy jej nawet nie widział - a która była jego siostrą, zupełnie jak Evie. Dotknął koperty, badawczo przyglądając się kobiecemu pismu. Kim ona była? Czy czasem o nim myślała, czy zastanawiała się, co dzieje się z jej bratem, synem jej macochy?

Zmarszczył brwi. Tak wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Czy kiedykolwiek zdoła to wszystko zrozumieć?

- Dalton?

Podniósł wzrok i zobaczył Phoebe. Uśmiechnęła się do niego. Dalton czuł się winny po rozmowie, którą odbył niedawno z Jurim. Jak mógł przyjąć taki zakład? Jak mógł rywalizować o jej względy?

- Cześć - odpowiedział nieco skrępowany.

- Mama chciała się dowiedzieć, czy na pokładzie statku nie znajduje się reszta naszego dobytku - wyjaśniła.

- A ja przyszedłem po listy.

Przez chwilę oboje milczeli. Dalton myślał o tym, jak bardzo niebieskie są jej oczy, i obserwował, jak koniuszek jej nosa lekko unosi się w górę. Miała śliczną twarz: przypominała anioła. Pokręcił głową. To wszystko do niczego nie prowadziło.

- Świetnie się bawiłam na tańcach - przerwała milczenie. - Całkiem dobrze tańczysz.

- Och, dziękuję. To chyba dlatego, że moja mama nalegała, bym ćwiczył od dziecka. A ty?

Co za idiotyczne pytanie - pomyślał. - Teraz na pewno uzna mnie za koszmarne nudziarza.

- Nauczyłam się tańczyć w Vermont. Bardzo mi się to przydało w tym roku, bo dwie moje przyjaciółki właśnie wyszły za mąż.

Dalton skinął głową. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Chciał zapytać Phoebe, czy i ona myśli o małżeństwie i czy ktoś stara się o jej względy. Chciał wiedzieć, jak nauczyła się tańczyć i jak wyglądało jej życie w Vermont. Zamiast tego spuścił jednak wzrok i zerknął na listy.

- Chyba muszę już wracać do domu.

- Wobec tego życzę miłego dnia - powiedziała dość oficjalnie, po czym odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Dalton nie był pewien, czy jej nie uraził. Zastanawiał się, czy zawsze zachowywała się w ten sposób. Ruszył w prze-

ciwnym kierunku, po chwili przyspieszył. Kiedy mijał tartak, Joshua wychodził akurat ze swojego biura.

- Wracasz do domu? - zapytał Daltona.

- Tak, a ty?

- Jadę akurat w twoją stronę. Jeżeli chcesz, mogę cię podwieźć, furmanka czeka. I tak muszę dostarczyć twojemu ojcu ostatnią partię drewna do budowy wędzarni.

- Na pewno się ucieszy. Mama i ciocia Zee nie mogły się doczekać, kiedy budowa dobiegnie końca i wreszcie będą mogły zacząć wędzić ryby.

Okrażyli budynek. Przy jego bocznej ścianie dwóch chudych rosyjskich chłopców zabezpieczało ładunek. Duże konie pociągowe Joshuy niecierpliwie grzebały kopytami w ziemi. Dalton pogłaskał aksamitny pysk tego, który stał bliżej.

- Spokojnie, mały. Zaraz ruszymy w drogę.

Koń skinął łbem, jakby chciał dać znać, że się zgadza. Joshua wspiął się na wóz, sprawdził ładunek, po czym poprosił swoich pomocników, żeby sprzątnęli budynek, zanim opuszczą teren. Dalton wspiął się na wóz, Joshua też zajął swoje miejsce.

- W jakim stanie jest teraz droga do waszego domu? -zapytał Daltona.

- Gdzieś tam jest trochę mokro, ale da się przeżyć. Nie powinieneś mieć większych trudności, zwłaszcza z takimi końmi.

- Ani przez chwilę nie żałowałem, że zdecydowałem się sprowadzić je aż z Seattle. A trochę to kosztowało! - powiedział Joshua. Potem odblokował hamulec i delikatnie poruszył lejcami. - No już, w drogę.

Konie bez większego wysiłku pociągnęły za sobą wóz. Powoli ruszyły przed siebie. Jechali teraz prowadzącą do

ulicy alejką. Dalton cieszył się z tej przejażdżki i z towarzystwa Joshuy.

- A co słyhać w branży szkutniczej? - zapytał Joshua.

- Całkiem nieźle, chociaż ostatnio nie mieliśmy wielu zamówień, więc pan Bielikow trochę się niepokoi. Poza tym rodzina jego żony suszy jej głowę, żeby wracała do Rosji, do domu. Przez to jest rozdrażniony, a to uderza w Juriego i we mnie.

- To śmieszne, ale zawsze tak to się kończy - powiedział Joshua, szeroko się uśmiechając. - Kiedy szef jest nie w humorze, cierpią na tym wszyscy jego pracownicy.

Dalton skinął głową i na chwilę się odwrócił, żeby spojrzeć na port.

- Długo zastanawiałem się nad tym, co chciałbym robić, zwłaszcza gdyby pan Bielikow postanowił zamknąć warsztat i wracać do Rosji.

- I co zdecydowałeś?

- Naprawdę lubię budować łodzie. Chciałbym założyć własny warsztat. Myślę, że skoro będzie tu przyjeżdżać coraz więcej ludzi, to zajęcie będzie niebawem przynosiło spore zyski. Zastanawiam się tylko, czy nie powinienem patrzeć na to trochę bardziej realistycznie i na razie skoncentrować się na budowie mniejszych szalup. A gdyby ktoś zamówił większą łódź, traktowałbym to jako dodatkowy zarobek.

- Zresztą mniejsze łodzie na pewno szybciej by się sprzedawały.

- Jeśli nie tutaj, to może w Juneau czy gdzie indziej - dodał Dalton. - Pana Bielikowa cechuje pewna krótkowzroczność, w ogóle nie myśli o przyszłości. Może dzieje się tak dlatego, że ma świadomość, że prędzej czy później i tak wrócą do Rosji, i nie chce się angażować w długofalowe działania.

- Na jego miejscu zachowywałbym się tak samo - odpowiedział Joshua. - Nie chciałbym umówić się z kimś na coś, z czego nie mógłbym się potem wywiązać.

- W każdym razie mamy tu świetny rynek. Słyszałem, że w okolicy powstanie zupełnie nowa fabryka konserw, a wtedy oczywiście konieczne staną się większe połowy.

Joshua wzruszył ramionami.

- W miasteczku położonym na wyspie zawsze będzie zapotrzebowanie na łodzie, przyjacielu.

- A jeśli rynek się zepsuje, ojciec zawsze chętnie skorzysta z mojej pomocy.

- W związku z przyjazdem nowego gubernatora i jego świty Kjell ma tego lata dużo więcej roboty niż zwykle. Słyszałem, że powstają już plany budowy paru nowych domów.

- To prawda - potwierdził Dalton. - Ojciec zebrał kilka zespołów do pomocy, ale trudno mu znaleźć wykwalifikowanych robotników. Do każdego zadania podchodzi bardzo poważnie. Nigdy nie odwała roboty po to tylko, żeby mieć z głowy kolejne zlecenie.

- Zawsze podziwiałem jego uczciwość. Twój ojciec jest człowiekiem honorowym i odpowiedzialnym, i właśnie dzięki temu cieszy się tak nienaganną reputacją. Nie wątpię, że właśnie dlatego gubernator i jego ludzie zwrócili się do niego z prośbą o pomoc.

Skręcili w stronę domu Lindquistów. Dalton raz jeszcze zerknął na listy, które trzymał w dłoni.

- Byłeś tu, kiedy moja matka pojawiła się w Sitce. Zaskoczony Joshua roześmiał się.

- Owszem, ale co to ma wspólnego z budową domów i łodzi?

- Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się po moich narodzinach. Wtedy, gdy z powo-

du intryg mojego brata matka została postrzelona, a mnie z kolei porwano.

- Twój ojciec wspominał, że zacząłeś ostatnio zadawać wiele pytań. Przez tak długi czas utrzymywaliśmy to wszystko w tajemnicy, że wiele detali z tamtego okresu dosłownie wyparowało mi z głowy.

Zmarszczył brwi.

- A co pamiętasz?

- Że twój ojciec zakochał się bez pamięci, w chwili kiedy po raz pierwszy zobaczył twoją matkę.

Dalton często słyszał opowieści o tym, jak poznali się jego rodzice: ona straciła przytomność i padła w jego ramiona. Ojciec wspominał tę chwilę z ogromnym wzruszeniem i z rozrzewnieniem opowiadał, jak natychmiast się w niej zakochał. Dalton pomyślał o swoim pierwszym spotkaniu z Phoebe Robbins. Nietrudno było dostrzec podobieństwo między tymi dwoma sytuacjami.

Dalton dostrzegł w oddali swój dom i usłyszał bawiące się siostry. Odwrócił się do Josha.

- A co działo się wtedy, gdy mnie porwali?

- To, co się stało, prawie zabiło Kjella. Kochał was nad życie, a to, że Lydia mało nie zginęła... - Joshua pokręcił głową. - Przez pewien czas myśleli, że nie żyjesz. Porywaczom właśnie o to chodziło: chcieli upozorować twoją śmierć.

- To był pewnie plan mojego brata.

- Na pewno. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że uniknął kary za wszystko, czego się dopuścił.

- Matka twierdzi, że mając wystarczająco dużo pieniędzy, można się wykupić niemal z każdej sytuacji.

- Kjell nie mógł jej opuścić - mówił dalej Joshua. - Przekazał mi tartak i wąpnię, czy potrafił myśleć o czymkolwiek innym, chciał tylko mieć pewność, że Lydia wydobrzeje.

A potem, kiedy wróciła do zdrowia, okazało się, że niczego nie pamięta. To złamało mu serce po raz drugi.

Dziewczynki puściły się biegiem w ich stronę. W drzwiach pojawił się Kjeł, a Joshua zatrzymał konie.

- Możemy o tym porozmawiać innym razem - zwrócił się do Daltona, po czym zawołał do Kjella: - Przywiozłem ci tarcicę, o którą prosiłeś. Gdzie mam ją zostawić?

Dalton zsiadł z wozu. Żałował, że nie mieli więcej czasu na rozmowę. Ojciec zajął jego miejsce obok Joshuy.

- Rozładujmy ją za domem Zee.

- Zaraz przyjdę wam pomóc, tylko zaniosę mamie pocztę - powiedział Dalton.

- Czy przyszedł do mnie jakiś list? - zapytała Kjerstin, kiedy wóz powoli zaczął się oddalać.

Dalton pociągnął ją za jeden z warkoczy.

- A dlaczego pytasz? Czy kiedykolwiek dostałaś jakiś list?

Lekko pokręciła głową i ze złością uniosła brodę.

- Ale to nie znaczy, że nigdy nie dostanę. Może kiedyś będę dostawała całe góry listów.

- A kto miałby ci te listy wysyłać, panienko? - zapytał z rozbawieniem.

- Jakiś chłopiec - wtrąciła się Britta, po czym zaczęła chichotać i zasłaniać usta dłonią.

Kjerstin nie stropiła się żartem siostry.

- Mogę dostać list od chłopca. Nigdy nie wiadomo. Dalton roześmiał się i wyciągnął ramiona, żeby mocno przytulić siostrę.

- Pewnie będziesz dostawała tyle listów, że nie zdołasz ich wszystkich przeczytać. Trzeba będzie cię dobrze pilnować, kiedy mężczyźni zaczną się za tobą uganiać. Nie dam cię nikomu skrzywdzić.

Evie spojrzała na list od Jeannette i westchnęła. Zamierzała odłożyć lekturę na później, ale nagle zmieniła zdanie. Zbliżała się pora kolacji, ale Lydia i Zee zapewniały, że nie potrzebują pomocy. Otworzyła kopertę i znalazła tam tylko krótki, jednostronicowy list. Zdziwiła się, że siostra nie miała jej tym razem wiele do powiedzenia. Jeannette zwykle dzieliła się z nią niezliczonymi plotkami i zapisywała całe strony.

***Genevieve,
musisz wracać do Kansas City przy pierwszej możliwej okazji. Twój mąż jest poważnie chory i najprawdopodobniej wkrótce umrze.***

Evie przysunęła sobie krzesło i usiadła, po czym zaczęła czytać dalej.

Wielokrotnie o Ciebie pytał i błagał, żebyśmy po Ciebie posłali. Wiem, że ten list może dotrzeć zbyt późno, ale musisz przyjechać. Bilet na pociąg będzie na Ciebie czekał na stacji w Seattle. Wiem, że to męcząca podróż, ale nie mieliśmy wyboru.

Musisz przyjechać, niezależnie od wszystkiego, co wydarzyło się w przeszłości. Jesteś jego żoną i powinnaś być teraz u jego boku.

W tym miejscu list się urywał. Jeannette nie napisała nic więcej. Nie wspomniała, na jaką chorobę cierpiał Thomas Gadston. Nie wyjaśniła też, dlaczego prosił, by wezwać Evie.

- Wyglądasz, jakbyś połknęła muchę - powiedziała Lydia, wchodząc do jadalni, żeby nakryć stół.

Evie podniosła wzrok, a Lydia natychmiast zorientowała się, że coś się stało.

- O co chodzi? - W jej głosie pobrzmiwał strach.

- Chodzi o Thomasa. On umiera. - Złożyła list. - Tak przynajmniej twierdzi Jeannette. Prosił, żebym przyjechała.

Lydia postawiła talerze na stole i usiadła obok Evie.

- Kiedy został wysłany ten list?

Evie raz jeszcze rozłożyła kartkę i spojrzała na datę.

- Szóstego czerwca.

- Ponad miesiąc temu - Lydia pokręciła głową. - Myślisz, że on jeszcze... no cóż... żyje?

- Nie wiem. Jeannette nie pisze nawet, co mu jest, a znając jej skłonność do przesady, trudno powiedzieć, czy w ogóle mówi prawdę. Równie dobrze może chodzić o zwykłe przeziębienie. Może to też być sztuczka, która ma mnie skłonić do powrotu do domu.

Lydia złożyła ręce i zastanawiała się przez chwilę.

- Ale czemu miałyby to służyć?

Evie sama chciałaby to wiedzieć. Wydawało się jej, że tonie. I nie mogła się od tej myśli uwolnić. Czuła ciężar w piersiach, zaczęła mieć trudności z oddychaniem. Co miała robić? Czy powinna jechać do Kansas City? Czy jeśli się na to zdecyduje, zdoła kiedykolwiek wrócić do Sitki?

- Nie wiem, co robić - szepnęła. - Jeannette pisze, że w Seattle czeka na mnie bilet na pociąg. - Podniosła wzrok i spojrzała na Lydię. - Nie chcę tam jechać.

Lydia otoczyła Evie ramieniem.

- Żaden wybieg nie uwolni cię od tej odpowiedzialności. Nawet jeżeli on już nie żyje, ciąży na tobie obowiązek zajęcia się jego pogrzebem i innymi sprawami, które bez wątpienia będzie trzeba uporządkować.

- Na pewno ma ludzi, którzy się tym zajmą. Nie było mnie przez osiemnaście lat. Nikt nie liczy na to, że nagle wrócę.

- Twoja siostra na to liczy - przypomniała Lydia. Evie spojrzała na list i rzuciła go na stół.

- Nie obchodzi mnie, czego chce Jeannette. To głupia gęś. Nikt nie myśli tak jak ona.

- Nie wiem, co powiedzieć - Lydia cofnęła rękę. - To twój mąż. Prosi, żebyś przyjechała. Możliwe, że czeka tylko na twój powrót i chce cię zobaczyć po raz ostatni. Może liczy na to, że będzie miał okazję cię przeprosić.

Evie zerwała się na równe nogi, patrząc na Lydię z niedowierzaniem.

- Przeprosić? Przeprosić za to, że nigdy mnie nie kochał? Że wynajął swojego sekretarza po to, żeby mnie uwiódł? A może powinien zwrócić się z przeprosinami za to, że przez niemal dwadzieścia lat nie napisał do mnie nawet jednego słowa? - Niesiona wściekłością Evie zaczęła przemierzać pokój w tę i z powrotem. - Co miałyby mnie skłonić do wysłuchania jego prośby? Nie może tak po prostu pstryknąć palcami po tych wszystkich latach i oczekiwać, że natychmiast się pojawię.

- Jesteś wzburzona i masz do tego prawo. Ale zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, powinnaś się nad tym wszystkim dobrze zastanowić. - Lydia wstała. - Evie, to zbyt poważna sprawa, żeby podejmować pochopne decyzje. Jeżeli emocje wezmą górę, to możesz później tego żałować do końca życia.

- Tak jak wtedy, kiedy pozwoliłam ojcu zmusić się do ślubu z człowiekiem, którego nie kochałam i który mnie nie kochał? Ach, prawda: nie miałam w tej sprawie nic do gadania. Ty zresztą też nie, o ile dobrze pamiętam. - Jej drwiący ton sprawił, że Lydia zadrżała. Evie natychmiast zaczęła żałować swoich słów. - Przepraszam, Lydio. Bardzo cię przepraszam. To nie twoja wina, a mimo to wyładowuję się na tobie.

Lydia objęła ją. Evie z początku się opierała, ale po chwili wtuliła się w nią i wszystkie siły ją opuściły.

- Dlaczego Jeannette nie mogła po prostu napisać, że on nie żyje? Dlaczego tego wszystkiego nie dało się załatwić bez mojego udziału?

- Evie, wszystko, co się dzieje, ma jakiś głębszy sens, stanowi część Boskiego planu. Nie zawsze rozumiemy, dlaczego nasze życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Najważniejsza jest jednak świadomość, że możemy Mu ufać i wierzyć, że nad nami czuwa.

- Staram się Mu ufać - wyznała Evie. - Nie chcę czuć się w tym wszystkim tak słaba i przerażona. Naprawdę nie chcę. Po prostu nie wiem, co mam robić.

Lydia oparła się na fotelu, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Czasem przyznanie się do własnej słabości i strachu to pierwszy krok na drodze do odnalezienia oparcia w Bogu. To, że mamy do Niego zaufanie, nie wynika z jakiejś nadludzkiej pewności: przypominamy raczej dzieci, które zdają się na Niego i wierzą Mu bezgranicznie.

- Nie jestem na to gotowa. Nie potrafię.

- Wiesz przecież, że wielu ludzi ma z tym niemałe trudności. Pamiętam, ile ja sama musiałam się modlić, zanim zdołałam zawierzyć Bogu. Wbrew pozorom to nie ostanía deska ratunku, ale pierwszy krok na drodze do odnalezienia prawdziwego zrozumienia i spokoju ducha.

Evie skinęła głową.

- Wiem, że masz rację. Wiem o tym. - Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. - Po prostu nie mam pojęcia, co powinnam zrobić. O co się modlić.

- W takim razie i z tym zwrócimy się do Boga. Będziemy Go prosiły, żebyś postąpiła zgodnie z Jego wolą i żeby

dał nam znak, co powinniśmy dalej robić. Zawierzmy Mu i będziemy czekały na dar rozeznania, który pozwoli nam wybrać właściwą drogę.

Rozdział 8

Następnego dnia Evie oświadczyła, że zamierza pojechać do Kansas City. Choć działała wbrew sobie, wiedziała, że jest to jedyny sposób, żeby uwolnić się od brzemienia przeszłości. Jeżeli jej mąż rzeczywiście umarł, Evie wreszcie stanie się naprawdę wolna. Jeżeli tak się nie stało, miała nadzieję, że zdołają się pojednać, a potem ona wróci spokojnie na Alaskę.

Kjell podniósł kubek z kawą i zanim upił kolejny łyk, powiedział:

- Wydaje mi się, że to doskonała okazja, żeby Dalton poznał resztę rodziny.

Evie nagle zaczęło brakować powietrza. Kjell mówił dalej:

- Myślę, że Lydia byłaby spokojniejsza, gdyby miała świadomość, że Evie nad nim czuwa. Poza tym obecność Daltona sprawi, że Evie będzie zdecydowanie bezpieczniejsza.

Lydia spuściła głowę i wbiła wzrok w swój talerz.

- Tak będzie chyba najlepiej.

- Co o tym myślisz, synu? Dalton spojrzał na ojca.

- Nie spodziewałem się, że wszystko potoczy się tak szybko. - Zerknął na Evie. - Czy zgodziłabyś się, żebym ci towarzyszył?

- To wspaniały pomysł. Podróż do Missouri jest długa i męcząca. To nie lada wyzwanie. Oczywiście przebyłam tę

drogę osiemnaście lat temu, od tego czasu sytuacja mogła znacznie się poprawić. - Uśmiechnęła się. - Nie możesz tego pamiętać, ale i ty przebyłeś tę drogę. To niebywałe, ale raz już wspólnie odbyliśmy tę podróż. Wtedy ja się tobą opiekowałam, a teraz to ty będziesz dbał o moje bezpieczeństwo.

- Kto by pomyślał, że to wszystko tak się potoczy - szepnęła Lydia. - Z drugiej strony i w moim życiu nie brakowało niespodziewanych zbiegów okoliczności.

- Czy zostaniemy tam na długo? - zapytał Dalton. Evie pokręciła głową.

- Wolałabym, żebyśmy wyjechali stamtąd jak najszybciej. Nie mam ochoty jechać, ale wiem niestety, że powinnam się na to mimo wszystko zdecydować.

- Będziesz musiała załatwić różne sprawy - przypomniała Lydia.

Myśl o tym, co ją tam czeka, uderzyła w Evie nagle, jak wzburzona fala.

- Owszem, tak się stanie, jeżeli Thomas rzeczywiście umarł. Natomiast jeżeli nadal żyje, będę musiała podjąć decyzję innego rodzaju: „Czekać czy wracać?”. A doprawdy nie mam ochoty czuwać przy jego łóżku i czekać, aż wyzionie ducha.

- Myślę, że miałabyś do siebie ogromny żal, gdybyś nie pojechała - powiedział Kjell ze współczuciem. - W życiu wielokrotnie musimy mierzyć się z wyzwaniem, których najchętniej byśmy w ogóle nie podejmowali, ale ucieczka nie jest w takich przypadkach dobrym rozwiązaniem. Tak naprawdę stanowi ona prostą drogę do rozpacz.

- Wiem. Wszystko to rozważyłam i właśnie dlatego postanowiłam wrócić. - Evie odepchnęła od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem i opadła na oparcie krzesła. - Myślę, że Dalton będzie mnie wspierał i pomoże mi przez to wszystko przejść.

Odwróciła się i spojrzała Daltonowi w oczy.

- Jeżeli tylko chcesz, wyrównam straty, które poniesiesz, przerywając pracę w warsztacie.

- Nie ma takiej potrzeby. Podobno jestem dziedzicem wielkiej fortuny. - Spojrzał na matkę i mrugnął.

- Dziedzińcem, takim dużym, po którym się chodzi? -zapytała Britta, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Jak to, to po Daltonie się chodzi?

- Dziedzicem, nie dziedzińcem - poprawiła ją matka. - To znaczy, że Dalton odziedziczył pieniądze.

- A skąd się wzięły te pieniądze? - zapytała Britta. - Czy ja też dostanę jakieś pieniądze?

Dalton wyciągnął dłoń i delikatnie pociągnął ją za ucho.

- A co takiego zrobiłabyś z tymi pieniędzmi, panno Britto? Masz przecież wszystko, czego ci potrzeba. Pieniądze przysporzyłyby ci tylko kłopotów.

- Mogłabym mieć różne ładne sukienki i nową lalkę -odpowiedziała. - I własnego kucyka. Bardzo bym chciała własnego kucyka.

Wszyscy się roześmiali. Britta prosiła o kucyka od dawien dawna, tak długo, jak wszyscy sięgali pamięcią. Ojciec usiłował jej wytłumaczyć, że utrzymanie takich zwierząt na wyspie jest bardzo kosztowne i że każde zwierzę musi w Sitce pracować na swoje utrzymanie, zamiast zabawiać młode damy.

- Gdybym miała mnóstwo pieniędzy, mogłabym zapłacić za jego siano. - Spojrzała na matkę. - Czy mogę też zostać takim dziedzińcem?

- Omówimy to przy innej okazji. A teraz, jeśli nie skończysz szybko śniadania, spóźnisz się do szkoły. Zee zaprzęła już konie, żeby zawieźć was z Kjerstin do szkoły. Jedz.

- Muszę ruszać do pracy - powiedział Dalton, wstając od stołu. Raz jeszcze spojrzał na Evie. - Pojadę z tobą do

Kansas City. Mam wrażenie, że Bóg otworzył przed nami te drzwi po to, żebyśmy mogli pogodzić się z własną przeszłością i ostatecznie zamknąć za sobą ten rozdział.

Kiedy to powiedział, Evie uświadomiła sobie, że Dalton ma rację. I skinęła głową.

- Musimy wyruszyć od razu.

Wszyscy już wstali od stołu i zajęli się swoimi sprawami, a ona została jako jedyna i jeszcze długo piła herbatę. Lydia zajęła się znoszeniem naczyń. Wydawało się, że Evie słyszy jej niewypowiedziane troski. W pewnym momencie podniosła wzrok i spostrzegła, że Lydia na nią patrzy.

- Nic mu nie grozi. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek go skrzywdził.

Lydia kiwnęła głową i przerwała sprzątanie.

- Ja po prostu... No cóż, po prostu boję się, że Marston i Mitchell będą starali się go zmanipulować.

- Rozumiem, ale dołożę wszelkich starań, żeby do tego nie dopuścić.

- Będiesz miała własne zmartwienia - zauważyła Lydia.

- Ale Dalton będzie cały czas przy mnie. Zatrzymamy się w hotelu. - Evie zmarszczyła brwi. - Chyba że Thomas nie żyje. W takim wypadku zamieszkamy w moim dawnym domu.

Evie starała się nie wspominać swojego życia w Kansas City. Przez lata robiła wszystko, żeby wyprzeć tę część swojej przeszłości, a teraz nie wiedziała, jak sobie z tym wszystkim da radę. Jak zareaguje, kiedy po tak długim czasie spotka Thomasa? Jak zachowają się jej bracia i co robi siostra? Niewątpliwie wszyscy musieli się zestarzeć, ale czy czas mógł mieć jakikolwiek wpływ na ich postawy albo charaktery? Zeznawała jako świadek w procesie swojego brata i doskonale wiedziała, że Marston nigdy jej tego nie

wybaczy. Na pewno nienawidził jej za to, że pokrzyżowała mu plany i wywiozła Daltona do Sitki.

- To, co cię czeka, nie będzie łatwe - szepnęła Lydia. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

-Nie.

Jeżeli ktokolwiek mógł zrozumieć, w jakim znalazła się położeniu, to była właśnie Lydia.

- Może jednak nie powinnaś jechać? - zastanowiła się nagle Lydia. - A jeśli zechcą cię skrzywdzić?

- Nie wiem. Też się nad tym zastanawiałam. - Evie wiedziała, że jej bracia, podobnie jak ich ojciec, potrafią postępować w sposób bezwzględny i okrutny. Nie ufała im za grosz, nie ufała nawet Jeannette. - Obecność Daltona doda mi otuchy. On jest naprawdę silny.

Lydia usiadła obok niej i odchyliła się w kierunku oparcia.

- Tak, to prawda. Wychowałam go tak, żeby nie czuł do nikogo nienawiści, żeby żył pełnią życia i skupiał się na czynieniu dobra. Nie mówiłam mu o braciach i Jeannette także dlatego, że nie chciałam, żeby zetknął się z całą brzydotą i podłością, które stanowiłyby nieodłączną część tej opowieści.

- Dobrze zrobiłaś - odpowiedziała Evie.

- Wszystko, co się wydarzyło, przepełnione jest gniewem i nienawiścią... Wiem, że Dalton tam pojedzie i spotka się z nimi, żeby przekonać się, co to za ludzie. Nie wierzę, żeby w tym wieku mogli się zmienić. - Nachyliła się ku Evie, wpatrując się w nią przenikliwie. - Wiem, że to strasznie brzmi, ale dla niektórych ludzi po prostu nie ma nadziei.

- Masz całkowitą rację. Widać to choćby w listach Jeannette, która szczegółowo opisuje poczynania naszych braci. Marston zna wielu ludzi z półświatka. A Mitchell nie

jest lepszy. Dbają tylko o własne sprawy i pieniądze, które mogą zdobyć. Właśnie dlatego nie martwię się o Daltona. Jestem przekonana, że oni nie będą w stanie go omamić.

- Ale pokażą mu bogactwo i władzę - odpowiedziała Lydia. - To będzie dla niego zupełna nowość, kompletnie inny świat niż ten, w którym dorastał. Ten świat może się okazać dla niego pokusą... w gruncie rzeczy dla każdego byłaby to pokusa.

- Musimy zatem modlić się o to, żeby Dalton miał jak najwięcej siły i pokładał swoją ufność w Panu, a nie w dobrach tego świata. - Evie pochyliła się w jej stronę. - Lydio, nie wydaje mi się, żeby dobra materialne mogły stać się dla niego magnesem. On nie szuka bogactw: chce po prostu zrozumieć, jaka była jego rodzina w przeszłości i jaka jest teraz. Marston i Mitchell nie zdołają długo ukrywać swojej prawdziwej natury. Nawet jeśli będą udawali świętych, Dalton natychmiast przejrzy ich na wylot.

Lydia przez chwilę rozważała te słowa. Wreszcie powoli kiwnęła głową.

- Wiem, że masz rację. Dalton jest przecież wyjątkowo dobrym człowiekiem. Niewiele jeszcze widział i brakuje mu doświadczenia, ale nie sposób odmówić mu bystrego umysłu i prawdziwej mądrości.

- Tak jest też w moim przypadku - dodała Evie. - A bliźny, które noszę, przypominają mi, jaką ofiarę musiałam ponieść, żeby znaleźć się po właściwej stronie. We dwoje pokażemy im, że trzeba się z nami liczyć.

Dalton nie spodziewał się, że tego ranka spotka w miasteczku Phoebe Robbins - ale oto się pojawiła, jak promień słońca rozświetlający wszystko wokół.

- Dzień dobry - powiedział, równie skrepowany co poprzednio.

- Jak zwykle spotykamy się dość niespodziewanie - zauważyła Phoebe. Ruchem głowy odrzuciła na plecy swój gruby warkocz i uśmiechnęła się. - Muszę powiedzieć, że to bardzo miła niespodzianka.

- Dokładnie to samo pomyślałem. - Chciał powiedzieć coś więcej, wspomnieć o podróży, w którą miał wkrótce wyruszyć, ale nie wiedział, w jaki sposób poruszyć ten temat. Nie mógł się też skoncentrować: myślał przede wszystkim o tym, jak ślicznie Phoebe wyglądała w swojej sukience w kwiaty. - Jesteś bardzo ładna, panno Robbins.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- To dość śmiałe wyznanie. Roześmiał się.

- No cóż, wierzę, że warto mówić prawdę. Wtedy nie trzeba ukrywać się za okrągłymi zdaniem. Słowa powinny płynąć prosto z serca.

Phoebe podniosła wzrok. Zauważyła, że się w nią wpatrywał.

- A co panu leży na sercu, panie Lindquist?

- Wiele spraw - wyznał.

- Rozumiem. Muszę przyznać, że mnie też wiele spraw leży na sercu. Na przykład pewien dżentelmen, którego niedawno poznałam.

- I kto teraz wykazuje się śmiałością?

- Co pan ma na myśli? Mówiłam tylko o panu Seymourze - odpowiedziała z udawanym zakłopotaniem.

- O Arniem? - zapytał Dalton, szeroko się uśmiechając. - A cóż na Boga sprawiło, że pan Seymour znalazł miejsce w pani sercu?

Wzruszyła ramionami.

- Wydaje się samotny. Czy ma żonę?

- Kobiety są tu na wagę złota. Wkrótce sama się pani o tym przekona, kiedy zalotnicy zaczną ustawiać się do pani w kolejce. Może nawet Arnie będzie chciał sprawdzić, czy okaże się pani dla niego łaskawa.

- Och, jest dla mnie zdecydowanie za stary i na pewno nie taki typ mężczyzny mnie interesuje.

Dalton nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- A jaki typ mężczyzny panią interesuje?

W zamyśleniu zaczęła uderzać palcem w podbródek.

- Wolę typ pracowity, pomysłowy... wykształcony, ale nie nadmiernie wykształcony. - Phoebe zamilkła na chwilę i wzruszyła ramionami. - Trudno mi to wyrazić słowami, ale gdy tylko go ujrzę, na pewno go rozpoznam.

- Więc go pani szuka?

- Szukam? - zapytała.

- Tego pracowitego, pomysłowego, wykształconego mężczyzny... tego, który by panią interesował.

Phoebe uśmiechnęła się i zaczęła się bawić brzegiem swojego czepka.

- To możliwe, panie Lindquist. Całkiem możliwe. Mam osiemnaście lat i wiele moich przyjaciółek wyszło już za mąż. Nie chciałabym zostać starą panną.

Słyszając te słowa, serdecznie się roześmiał.

- Szczerze wątpię, żeby mogło to pani grozić, panno Robbins. Ja w każdym razie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Phoebe! - zawołała jej matka, która stała w pewnej odległości od nich. - Chodź, pomóż mi wybrać materiał.

Phoebe raz jeszcze uśmiechnęła się do Daltona.

- Wspaniale było znowu pana spotkać. Miłego dnia, panie Lindquist.

- Miłego dnia, panno Robbins.

Dopiero kiedy była już dość daleko, przypomniał sobie, że czeka go przecież wyjazd. Czy kiedy opuści wyspę na kilka tygodni, a może nawet miesięcy, Phoebe w ogóle to zauważy? W tym momencie pomyślał, że powinien jej o tym wszystkim powiedzieć.

I co jej powiem ? - Patrzył na oddalającą się postać Phoebe. Dziewczyna szła obok matki. - *Przecież nie wyznam jej, że mnie oczarowała i że bardzo pragnąłbym okazać się tym pracowitym, pomysłowym, wykształconym człowiekiem, którego pragnie...*

Jeszcze tego samego dnia Dalton uprzedził o swoim wyjeździe pana Bielikowa i Juriego. Zaproponował nawet, że przywiezie z Seattle artykuły potrzebne do pracy w warsztacie.

- Pewnie nie wrócimy przed wrześniem, ale chętnie zabiorę listę potrzebnych rzeczy i kupię je w drodze powrotnej.

- To świetny pomysł - ucieszył się pan Bielikow, kiwając głową. - Niektóre rzeczy człowiek woli wybierać własnoręcznie, zamiast je po prostu zamawiać. O nic się nie martw, Daltonie. Praca będzie na ciebie czekała, kiedy wrócisz. - Zdjął swój skórzany fartuch. - Pójdę sprawdzić, czego potrzebujemy.

Kiedy jego ojciec wyszedł z pomieszczenia, Juri nachylił się nad Daltonem.

- Praca może i będzie na ciebie czekała... ale dziewczyna już nie, o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Dalton odwrócił się do niego.

- Nie mogę zajmować się naszym zakładem, gdy mam tyle na głowie. Siostra mnie potrzebuje. Zresztą, szczerze mówiąc, ja też potrzebuję tej podróży.

Uśmiech Juriego przygasł, a chłopak złapał Daltona za ramię.

- Ale wrócisz, prawda?

- Oczywiście.

- Czeka cię tam wiele podniecających przygód. Ojciec mówi, że w wielkich miastach można zaznać wielu uciech.

- Czeka tam też na mnie wiele niebezpieczeństw - odpowiedział Dalton. - Ostrzegali mnie przed nimi zarówno ojciec, jak i matka. Ale nie ulegnę tym pokusom.

- Dlaczego nie? Ze względu na Phoebe? - zapytał Juri, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Częściowo tak. Tak mi się wydaje. - Dalton podszedł do łodzi, którą szlifowali cały ranek. - Ale poza tym mam tu całe swoje życie. Czuję, że to... to miejsce jest częścią mnie.

- Chcesz jednak stać się też częścią czegoś większego? Mówiłeś wcześniej, że zależy ci na tym, żeby poznać braci.

Dalton odwrócił się i spojrzał na swojego przyjaciela.

- Tak. To dla mnie ważne, ale nie dlatego, że chciałbym zamienić Sitkę na wystawne, pełne przepychu życie u ich boku. Muszę po prostu dowiedzieć się czegoś o swojej rodzinie. Ty swoją znasz. Masz w Rosji rodzinę, która ma własną kulturę. Twoja matka może dzięki tradycji i zdjęciom wspominać swoich bliskich. Jeżeli przyjmujesz swoje dziedzictwo, to dlatego że coś ono dla ciebie znaczy. A ja nie jestem w stanie określić, ile, o ile cokolwiek, jest warta moja przeszłość.

Juri skinął głową.

- Rozumiem cię. Tak naprawdę chętnie pojechałbym z tobą. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie wątpię, że wpakowalibyśmy się w mnóstwo kłopotów.

- I właśnie dlatego nie możesz ze mną jechać - powiedział Dalton ze śmiechem. - To byłoby sprzeczne z celem mojej podróży. - Głęboko odetchnął i zaczął zbierać swoje

rzeczy. - Wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe. A jeśli chodzi o Phoebe... no cóż, będę się modlił, żebyś nie zrobił w tej sprawie żadnych postępów. Juri roześmiał się.

- To lepiej módl się z całych sił. Ona z dnia na dzień podoba mi się coraz bardziej.

Dalton zignorował słowa przyjaciela, ale w drodze do domu ledwo oparł się pokusie, by wrócić do miasteczka i jeszcze raz zobaczyć młodą damę, o której była mowa. Od czasu tańców widzieli się tylko dwa razy - za każdym razem jedynie przypadkiem. Nigdy nie miał odwagi w jakikolwiek sposób zasygnalizować, że jest nią zainteresowany. Może przed wyjazdem powinien napisać list?

Może... Może powinien wyjaśnić, że chciałby ją lepiej poznać, że go oczarowała i że myśli o niej cały czas...?

Ale co to da? - zapytał sam siebie. - *Przecież mnie tu nie będzie.*

Dalton pokonał drogę do domu w rekordowym tempie. Na ganku siedziała jego matka. Czekwała na niego - tak jakby się wcześniej umówili. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Wiedziałam, że wcześniej dziś wrócisz - powiedziała.

- Ojciec przyszedł do warsztatu i powiedział, że Evie załatwiła nam transport, dzięki temu zdołamy dogonić „Coronę”. Uznałem, że wobec tego lepiej wracać jak najszybciej i zacząć się pakować.

Matka skinęła głową.

- Najpierw musimy porozmawiać o twoim spadku. Dostrzegł troskę na jej twarzy.

- Dobrze. - Położył swoje narzędzia przy drzwiach ganku. - Gdzie chcesz rozmawiać?

- Wejdzmy do środka. - Ruszyła w stronę swojego ulubionego fotela bujanego i usiadła. - Usiądź obok mnie przy ogniu. Zrobiło się dzisiaj dość chłodno.

Dalton ruszył za nią. Nie wspomniał o tym, że jego zdaniem wcale się nie ochłodziło. Spojrzał na matkę - jej postać wydawała mu się teraz wyjątkowo wąła i delikatna. Na samą myśl, że jego starszy brat usiłował ją skrzywdzić, Dalton poczuł głęboki gniew. Co zrobi, kiedy spotka człowieka, który chciał ją zabić?

- Masz świadomość, że czeka na ciebie spadek po rodzinie Grayów.

- Mówiłaś, że dostałaś pieniądze, które przekazał ci dziadek, i część majątku mojego ojca.

- Tak. - Splotła dłonie i głęboko odetchnęła. - Daltonie, jesteś bogatym człowiekiem. Na przestrzeni lat ten majątek bardzo się powiększył. Zarządzają nim ludzie, których śmiało można nazwać najlepszymi w branży. Co pewien czas otrzymywałam od nich raporty dotyczące stanu twoich finansów.

- Bogatym? - Nie potrafił tego pojąć. W Sitce żyli wygodnie, wygodniej niż większość ludzi, ale nigdy sobie nie wyobrażał, że mogą być bogaci.

- Będiesz mógł dysponować tymi pieniędzmi, dopiero kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat i staniesz się pełnoletni - mówiła dalej.

- Ale ze względu na to, że wyruszasz w podróż, zdecydowałam się przekazać ci dokumenty, dzięki którym już teraz będziesz w stanie korzystać z części środków. Podczas waszego pobytu w Kansas City wystarczy ci pieniędzy, żeby zapewnić sobie i Evie wszystko, co okaże się wam potrzebne. Możesz zlecić przelew, który dotrze na Alaskę, albo kupić wszystko, co chciałbyś sprowadzić do Sitki. Pieniądzy na pewno ci nie zabraknie. Masz ich więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

- Dlaczego mi o tym teraz mówisz? - zapytał. Spojrzała na niego ze smutkiem. Nie potrafiła ukryć troski, która malowała się na jej twarzy.

- Bo się o ciebie boję. Boję się tego, co mogą zrobić twoi bracia. Oni na pewno wiedzą, że jesteś bogaty. Mają swoich szpiegów, którzy dokładnie informują ich o sumach, jakimi dysponujesz. Zawsze byli chciwi i nie mam powodu, by sądzić, że w jakimkolwiek stopniu się zmienili.

- Każdy się zmienia, mamó. Nie wiadomo tylko, czy to oznacza, że stali się gorsi, czy lepsi niż dawniej. - Uśmiechnął się. - Proszę, spróbuj się nie zamartwiać. Nie jestem już dzieckiem.

- Ale oni zachowują się jak wilki w owczej skórze. Będą usiłovali namówić cię do tego, żebyś połączył z nimi siły. Będą sugerowali, że wspólnie możecie zbudować imperium Grayów, o którym zawsze marzyli. Będą odwoływali się do twojego pragnienia, by ponownie połączyć się z rodziną. Zrobią wszystko, żeby cię przeciągnąć na swoją stronę.

Dalton zmarszczył brwi. Matka mówiła to z pełnym przekonaniem. Naprawdę sądziła, że jego bracia są podobni do samego Szatana i że ciemne moce pozwolą im zdobyć nad nim władzę.

- Mamó, będę ostrożny. Bóg mnie poprowadzi. Potrząsnęła głową, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie mam pewności, czy Bóg mieszka w Kansas City.

Rozdział 9

SIERPIEŃ 1889 ROKU

Dalton zachwycił się panoramą Kansas City. Czytał wcześniej o wielopiętrowych budynkach, które przeciwstawiły się prawom grawitacji, ale nigdy się nie spodziewał, że będzie miał okazję je zobaczyć. Ten widok robił na nim ogromne wrażenie - podobnie jak tłumy ludzi mknących w pośpiechu ulicami.

Otarł czoło. Był wdzięczny losowi za lekki wiatr, który ich owionął, kiedy jechali powozem. Wszędzie wokół panował nieznośny upał. Dalton zdążył już zdjąć marynarkę, którą kupili dla niego w Seattle. Evie wachlowała się jak szalona. Wyglądała na mocno zaniepokojoną.

- Zapomniałam, jak nieznośna bywa tu pogoda. Ta wilgoć i upał sprawiają, że tęskni się za zimą. - Usiadła wygodniej. Najwidoczniej nie mogła znaleźć właściwej pozycji. - Pamiętam, że bardzo często braliśmy zimne kąpiele.

- To niesamowite. Chwilami mam wrażenie, że widzę ten upał w powietrzu. - Wyrzwał przez okienko znajdujące się po przeciwległej stronie powozu. - Muszę przyznać, że ta podróż otworzyła mi oczy na wiele spraw.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- W jakim sensie?

Dalton odchylił się na pokryte grubą tapicerką oparcie wynajętej przez nich dorożki.

- To dla mnie ogromne zaskoczenie. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jak funkcjonuje świat poza naszą małą Sitką. Tak naprawdę żyliśmy odizolowani i odgradzeni od problemów tego świata. Oczywiście mamy własne problemy, ale w tej perspektywie wydają się one małe i nieistotne. Rozejrzyj się wokół siebie. Posłuchaj. Wokół nas jest taki hałas... tak wielu ludzi.

Evie wyjrzała przez okno.

- Ma się wrażenie, że wszyscy walczą o powietrze.

- To prawda - zgodził się Dalton. - Podobały mi się rozległe, otwarte przestrzenie zachodnich stanów. Przepiękna była też Montana. I zadziwiły mnie ogromne, otwarte prerie, dziesiątki kilometrów pszenicy i kukurydzy, które zaczęły się pojawiać, w miarę jak zbliżaliśmy się do Kansas City.

- I wreszcie dotarliśmy na miejsce - westchnęła Evie. - Jak wiesz, wychowałam się tu. Oczywiście od tamtego czasu wszystko się zmieniło. Idę o zakład, że miasto jest teraz trzy razy większe.

- Trudno mi sobie to wszystko wyobrazić. Już na samej stacji kolejowej widziałem więcej ludzi niż na całej Wyspie Baranowa.

Evie roześmiała się.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, ale masz oczywiście rację.

Mimo jej rozbawienia Dalton zauważył malujący się na jej twarzy niepokój.

- Czy powinniśmy w pierwszej kolejności zameldować się w hotelu? Wzięła głęboki oddech i pokręciła głową.

- Poprosiłam, żeby zawieziono nas od razu do mojego dawnego domu. Zobaczymy, co dzieje się z Thomasem. Jeżeli już nie żyje, to tam się zatrzymamy. Nie ma sensu

wynajmować pokoju, dopóki nie dowiemy się, co się właściwie stało.

- Myślisz, że będą się nas spodziewali?

- Nie mają powodu. Jeannette napisała tamten list już dwa miesiące temu. Musiała zdawać sobie sprawę, że w związku z odległością, jaka dzieli Sitkę od Kansas City, dostanę te wieści z dużym opóźnieniem i nie pojawię się prędko. Wyślę kogoś ze służby, żeby powiadomił naszą siostrę. Mieszka niedaleko, w domu, w którym się wychowałam.

- Pamiętam, że o tym wspominałaś. - Dalton poprawił kołnierzyk. - A co jeśli oni się zmienili, Evie?

- O czym ty mówisz? Wzruszył ramionami.

- Jeśli nasi bracia stali się lepszymi ludźmi? Jeśli Marston rzeczywiście żałuje tego, co zrobił? Co wtedy?

- Nawet jeśli tak było, czy to cokolwiek zmienia? To nie ma znaczenia: on to wszystko zrobił.

- Tak, rozumiem. Ale ty i matka pamiętacie go takiego, jakim był wiele lat temu. Może teraz wszyscy stali się zupełnie inni. Pomyśl, jak bardzo ty sama zmieniłaś się na przestrzeni lat.

Evie rozważała przez chwilę jego słowa.

- Wszystko jest możliwe, Daltonie. Po prostu nie robiłabym sobie wielkich nadziei.

Zmarszczył brwi. Tak bardzo chciał wierzyć, że odnajdzie w swoim dziedzictwie choćby odrobinę dobra. Przecież Evie była wspaniałą osobą. *Ale nie jest mężczyzną* - przypomniał sobie Dalton. Zdażył się przekonać, że mężczyźni z rodu Grayów to ludzie bezwzględni i nieuczciwi.

Powóz zjechał z ruchliwej alei i pokonując kolejne zakręty, znalazł się wkrótce w dzielnicy willowej. Ruch uliczny był tu zdecydowanie mniejszy, a gęsty baldachim drzew sprawiał, że upał nie był tak uciążliwy.

Dalton przyglądał się okazałym domom, które mijali, i starał się nie myśleć zbyt wiele o swojej rodzinie. Tak duże i luksusowe wille trudno byłoby sobie w ogóle wyobrazić w Sitce. Wspaniałe budynki z marmuru, cegły lub wapienia wyrastały pośród nienagannie utrzymanych trawników jak kaplice wzniesione ku czci właścicieli.

- Och, chciałabym, żeby wiatr był nieco silniejszy - zaczęła narzekać Evie. Także i ona kupiła trochę eleganckich ubrań w Seattle, by przygotować się na spotkanie z rodziną. Dalton widział, że jest jej równie niewygodnie i gorąco co jemu.

W końcu skręcili w kolejną długą aleję. Po obu jej stronach stały domy jeszcze bardziej okazałe niż te, które widzieli wcześniej.

- Prawie dotarliśmy na miejsce - oznajmiła Evie. Zmarszczyła brwi i przygryzała dolną wargę.

Dalton wyciągnął rękę i dotknął obleczonej w rękawiczkę dłoni siostry.

- Wszystko będzie dobrze. Niezależnie od tego, co nas tam czeka. Skinęła głową.

- Po prostu wolałabym, żeby ten dzień nigdy nie nastąpił. Bardzo chętnie żyłabym dalej w Sitce, tak jak do tej pory.

- Ale w takim wypadku - zażartował Dalton - może nigdy nie miałabyś okazji przyjąć zalotów Joshuy.

Szybko odwróciła głowę w jego stronę i spojrzała mu w oczy. -Co? Roześmiał się.

- Wahałem się, czy ci o tym mówić, ale Joshua Broadstreet jest w tobie bez reszty zakochany. Jestem zresztą pewien, że i tobie na nim zależy. Oboje zachowywaliście się przez

te lata w godny podziwu sposób, ale jeżeli twój mąż rzeczywiście zmarł, będziesz mogła powtórnie wyjść za mąż.

- Nie spodziewałam się po tobie takich słów.

- Dlaczego nie? Nie widzę powodu, żeby ukrywać prawdę. Zawsze żałowałam, że nie możecie zostać parą.

Odprężyła się nieco i spuściła głowę.

- Zbyt wiele mnie w życiu ominęło. Ledwo śmiem liczyć na to, że kiedykolwiek zaznam jeszcze prawdziwej miłości.

- No cóż, myślę, że to całkiem możliwe. - Dalton odchrząknął dość nerwowo. - Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Evie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, dlaczego nie miałyby być możliwa. Ludzie potrafią błyskawicznie przywiązywać się do przedmiotów, więc dlaczego w przypadku ludzi byłoby inaczej?

- Nie wiem. Ja po prostu... no cóż... zastanawiałem się... -zamilkł. Może nie powinien mówić o tym wszystkim Evie.

- Czy chodzi o Phoebe Robbins?

Gwałtownie odwrócił głowę i dostrzegł rozbawienie na twarzy swojej siostry.

- Dlaczego pytasz?

- Bo wydaje mi się, że się w niej zakochałeś.

- Ale dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Po prostu kiedy widzę was razem, jest w tym coś szczególnego.

- Też to czuję. Wiem, że spotkaliśmy się tylko kilka razy, ale nie mogę przestać o niej myśleć. A kiedy Juri powiedział mi, że Phoebe mu się podoba... no cóż, miałem ochotę dać mu w zęby.

Jego siostra roześmiała się i poklepała go po kolanie.

- Przemocą nie zdobędziesz jej serca.

- Nie zdobędę też jej serca, siedząc w Kansas City. Juri zamierza zrobić wszystko, żeby ją zdobyć. Ciągle myślę

O tym, jak wiele będą mieli dla siebie czasu. A ja nawet nie mogę zwierzyć jej się ze swoich uczuć.

- Jeżeli to ona jest dziewczyną dla ciebie... jeżeli to wasze przeznaczenie - powiedziała Evie ze współczuciem - to nic wam nie przeszkodzi. Bóg ma cel i plan dla każdego z nas. Jeżeli czeka cię życie u boku Phoebe Robbins, starania Juriego niczego nie zmienią. - Wyprostowała się nagle. - Jesteśmy na miejscu.

Dalton spojrział na potężny, trzypiętrowy, ceglany dom i starał się wyrzucić z pamięci obraz uśmiechu Phoebe.

- Jest ogromny. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć jego wnętrze.

Powóz zatrzymał się, a ze schodów zszedł mężczyzna w liberii. Młody człowiek otworzył drzwi i podszedł do Evie.

- Proszę pani?

Evie wyprostowała ramiona i po raz ostatni zerknęła na Daltona.

- Myślę, że nie ma co tego odkładać. - Pozwoliła mężczyźnie pomóc sobie wysiąść z powozu. - Jestem żoną Thomasa Gadstona.

Oczy młodego człowieka rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Pani domu?

- Tak. Zdaję sobie sprawę, że mnie pan nie zna. Czy wśród służby znajdzie się tu jeszcze ktoś, kto pracował tu osiemnaście lat temu?

- Tak. Zabiorę panią do nich.

Dalton wysiadł z powozu i ruszył za siostrą. Usłyszał, jak zawahała się, po czym odchrząknęła i zapytała o męża.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Nie ma go już z nami.

- Tak przypuszczałam - odparła oficjalnym tonem. Drzwi otworzył starszy dżentelmen. Przez chwilę przyglądał się Evie, po czym z aprobatą pokiwał głową.

- Pani Gadston. Witamy w domu.

Skinęła głową i rozejrzała się po holu. Dalton poszedł w jej ślady. To był wspaniały widok. W pomieszczeniu znajdował się bogato zdobiony stół z marmuru i złota, na którym stał duży bukiet kwiatów. Dopelnienie szkarłatnej tapety stanowił nieco już przetarty złoto-czerwony dywan.

- Kiedy... zmarł pan Gadston? - zapytała Evie kamerdynera, który tymczasem wziął od niej rękawiczki i kapelusz.

- Trzynastego czerwca - z prawej strony dał się słyszeć męski głos. Po chwili drzwi rozsunęły się i zobaczyli człowieka, który wypowiedział te słowa.

- Trayton Payne - szepnęła Evie.

- We własnej osobie. Nie miałem pewności, czy rozpoznasz mnie po tak wielu latach. Czas nie obszedł się ze mną tak łagodnie jak z tobą. Bez trudu mogłabyś nadal uchodzić za siedemnastolatkę.

- Śmiem wątpić - odpowiedziała. - Jeżeli dobrze pamiętam, znałeś każdy szczegół dotyczący interesów mojego męża. Będę potrzebowała pełnego raportu.

Daltona uderzył sposób, w jaki Evie natychmiast przeszła do interesów. W jednej chwili przeobraziła się w kogoś, kogo Dalton w ogóle nie znał. Czy to właśnie była pani Gadston z przeszłości? Czy zawsze tak się zachowywała, kiedy chodziło o kwestie związane z finansami? A może źródłem tej postawy były lata spędzone u boku człowieka, który w ogóle jej nie kochał?

- Czy ten dom nadal należy do mnie? - zapytała.

- W rzeczy samej. Musimy jednak omówić wiele spraw, o ile tylko ma pani na to siłę. - Uśmiechnął się w taki sposób, że Dalton miał ochotę natychmiast rzucić się Evie na ratunek. Wydawało się jednak, że jego słowa nie zrobiły na Evie wrażenia.

Zwróciła się do kamerdynera.

- Czy zechce pan rozpakować moje rzeczy i zadbać o to, żeby ułożono Daltona w pokoju sąsiadującym z moim? Proszę też przekazać to dorożkarzowi i odprawić go. - Podała służącemu pieniądze i zwróciła się z powrotem do Traytona. - A teraz omówimy wszystkie sprawy.

- Mogę zostać z tobą - zaproponował Dalton. Nadal nie był przekonany, czy powinien zostawiać siostrę sam na sam z tym mężczyzną.

- Wszystko w porządku, nie ma takiej potrzeby. Idź odpocząć. Później do ciebie przyjdę i wszystko ci zrelacjonuję.

Dalton wymienił spojrzenie z Payne'em i skinął głową.

- Poślesz po mnie, gdybyś mnie potrzebowała? Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Evie miała świadomość, że jej pewność siebie stanowi pewnego rodzaju grę. W rzeczywistości wcale nie czuła się tu aż tak swobodnie. Wręcz przeciwnie - od kiedy przekroczyła próg tego domu, trudno jej było nawet oddychać. Ruszyła za Traytonem przez salon na tył domu, gdzie znajdował się gabinet Thomasa.

- Jak widzisz, mimo upływu lat wszystko wygląda prawie tak samo - powiedział Trayton. - Thomas nie lubił wprowadzać jakichkolwiek zmian.

- Na co zmarł?

Trayton odwrócił się do niej, najwyraźniej zaskoczony tym pytaniem.

- Myślałem, że wiesz. Cierpiał na gruźlicę.

- Rozumiem. To częsta choroba również na Alasce.

Obserwowała Traytona, który podszedł do jednego z dużych, obitych skórą krzesel, stojących naprzeciw biurka jej męża.

- Proszę, usiądź. Postaram się odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. Czy masz ochotę się czegoś napić?

- Chętnie napiję się herbaty.

- A próbowałaś mrożonej herbaty? Sally robi wspaniałą mrożoną herbatę z cytryną i imbirem.

- Kim jest Sally?

- Pracuje tu jako pomoc kuchenna od jakichś czterech lat.

- Świetnie. To dobry pomysł. - Evie usiadła, a Trayton zadzwonił tymczasem na służącą.

Do pokoju weszła młoda, atrakcyjna kobieta, która z zapalem przytakiwała, słuchając poleceń. Kiedy Trayton przedstawił ją Evie, służąca lekko dygnęła.

- To panna Dahlia Cummings, jedna z tutejszych służących.

Evie skinęła głową. Trayton wyjaśnił Dahlii, kim jest Evie i dlaczego przyjechała. Młoda kobieta wyglądała na zafascynowaną: najprawdopodobniej wśród służby krążyło wiele opowieści o Evie i jej wyczynach. Mogła sobie to tylko wyobrażać. Rzadko kiedy żony uciekały z domów swych mężów i nigdy już potem nie wracały.

No cóż, trudno powiedzieć, żebym nigdy nie wróciła - pomyślała. - W końcu jestem tu w tej chwili.

Trayton usiadł za biurkiem i sięgnął do jednej z bocznych szuflad.

- Twoja siostra miała nadzieję, że przyjedziesz. Staralem się dbać o to, żeby wszystkie dokumenty pozostawały przygotowane na taką właśnie okoliczność. Byłem osobistym sekretarzem twojego męża przez te wszystkie lata. Prawdopodobnie znam jego interesy lepiej niż ktokolwiek

inny, może z wyjątkiem jego adwokatów. Lepiej od nich znam też jego sprawy osobiste. Położył na biurku kilka teczek.

- Od czego mam zacząć?

- Dlaczego Thomas prosił, żebym przyjechała? Po wszystkich tych latach milczenia... dlaczego poprosił Jeannette, żeby mnie tu sprowadziła? Czy w ogóle to zrobił? A może Jeannette po prostu to wszystko zmyśliła, żeby mnie tu ściągnąć?

- Nie, naprawdę prosił, żebyś przyjechała - zapewnił Trayton. - Na łożu śmierci podyktował mi list do ciebie. To była jego ostatnia, niezamknięta sprawa i nie mógł zaznać spokoju, dopóki się z tym nie uporał.

Evie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Niezamknięta sprawa, tak? Dokładnie w ten sposób myślałam o Thomasie. To jedyny powód, dla którego tu przyjechałam. Muszę raz na zawsze zamknąć za sobą ten rozdział.

Trayton przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu. Pod wpływem tego hipnotyzującego spojrzenia Evie natychmiast przypomniała sobie, jak dzięki swemu niezwykle urokowi zdołał ją uwieść i zdobyć nad nią kontrolę. Jej mąż wynajął Traytona Payne'a, żeby ją czymś zająć i odwrócić jej uwagę: sama ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

- Dlaczego wyjechałaś, Evie? Rozumiem, że chciałaś zabrać brata do jego matki, ale dlaczego potem nie wróciłaś?

Zamierzała zganić go za to, że pozwolił sobie na tak osobiste pytanie, ale ostatecznie nie zdecydowała się tego zrobić.

- Nie miałam już domu, do którego mogłabym wrócić. Doskonale o tym wiesz.

- Thomas niczego by ci nie odmówił. Był gotów dać ci wszystko, czego byś zapragnęła. Dlaczego okryłaś go

hańbą tylko dlatego, że nie mógł stać się mężem, jakiego chciałaś?

- Nigdy do tego nie dążyłam - odpowiedziała. - Sam okrył się hańbą. Ani razu do mnie nie napisał, nawet nie próbował mnie odwiedzić. Nigdy mnie nie kochał.

Trayton nie zaprzeczył. Na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

- To prawda. Okrył się hańbą. Był na tyle wpływowy, że większa część tutejszego towarzystwa bała się go i nie miała odwagi dyskutować z jego decyzjami. Ale wszyscy domyślali się prawdy.

- Co masz na myśli? Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Wziął sobie kochankę, jeszcze zanim za ciebie wyszedł. I nie chodzi tu o inną kobietę: to był mężczyzna.

Evie czuła, jak jej ciało wpadło w odrętwienie. W jednej chwili ogarnęło ją przejmujące zimno. Jeannette często formułowała tego typu podejrzenia, ale Evie nie wierzyła, żeby to mogła być prawda.

- Skąd o tym wiesz? Odchylił się na oparcie fotela.

- Wiem to, bo tak jak mówiłem, wiem wszystko o życiu osobistym Thomasa Gadstona. Do moich obowiązków należało utrzymywanie tego faktu w tajemnicy. Najwidoczniej moje działania nie okazały się do końca skuteczne.

- Taką rzecz trudno sobie nawet wyobrazić. Dlaczego mówisz mi o tym właśnie teraz? - Evie próbowała znaleźć w sobie choćby cień żalu czy współczucia dla zmarłego męża, ale tam, gdzie powinna mieć serce, znalazła tylko pustkę.

- Mówię ci o tym ze względu na testament, który zostawił. Thomas podzielił swój majątek i nieruchomości właśnie między was dwoje...

- Między swojego kochankę i mnie? - szepnęła.

- Tak. Tobie zostawił ten dom i całe jego wyposażenie. Dżentelmen, o którym mowa... nazwijmy go panem Smithem... otrzymał inną posiadłość. - Trayton otworzył jedną z teczek. - Thomas zadbał o wasze potrzeby, pisząc dwa odrębne testamenty. Każde z was dostanie tyle, by móc żyć całkiem dostatnio.

- Rozumiem.

Podał jej kopertę. Evie przez chwilę wpatrywała się w list, po czym wzięła go od Traytona.

- Thomas wyraża w nim nadzieję, że nie będziesz chciała upublicznić tej sprawy i że w konsekwencji uda się uniknąć skandalu. Prosi też, żebyś nie sprzeciwiała się podjętym przez niego decyzjom i uszanowała jego wolę.

- Rozumiem - powtórzyła. Z trudem wypowiadała kolejne słowa. Spojrzała na list, ale nie mogła się zmusić, by go otworzyć. Jeszcze nie teraz.

- Evie, wiem, że to wszystko jest dla ciebie bardzo trudne. Przykro mi. Myślę, że Thomas na swój sposób troszczył się o ciebie. Wydaje mi się, że nie było mu obojętne, że pozostawałaś w tym małżeństwie nieszczęśliwa. Wszystkiego dowiesz się podczas lektury tego listu.

- Ach, biedny Thomas. - Wstała, nie czując się na siłach, by dłużej rozważać tę kwestię. - Pójdę teraz do siebie. Muszę trochę odpocząć.

Trayton natychmiast wstał. Podeszedł do niej i złapał ją za ramię.

- Evie, wiem, że moje słowa mogą stanowić dla ciebie duże zaskoczenie, ale nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Zapewne wiesz, że moje zainteresowanie tobą zdecydowanie wykraczało poza polecenia, które otrzymywałem od Thomasa.

Podniosła wzrok i w tym momencie jej oczom ukazało się czarujące spojrzenie, które знаła sprzed lat. To właśnie

dzięki niemu uwiódł ją, gdy była jeszcze bardzo młoda, w okresie, gdy dopiero stawała się kobietą.

- Nie jesteś żonaty? - zapytała.

- Byłem. Dawno temu. Moja żona zmarła w połogu. Evie dostrzegła w jego oczach smutek.

- Przykro mi.

- Była jedyną kobietą, która zdołała oderwać mnie od myśli o tobie. Kiedy odeszła, wspomnienia wróciły i znów zaczęły mnie prześladować. Każdy kąt tego domu przypominał mi czas, który razem spędziliśmy.

Czy rzucił na nią jakiś czar? Evie gwałtownie się odsunęła, mając nadzieję, że zdoła w ten sposób odciąć się wreszcie od uczuć, które targały nią w przeszłości. Ruszyła szybko do drzwi, ale Trayton już tam na nią czekał.

- Evie, proszę, nie odrzucaj mnie teraz. Oboje wiemy, że nigdy nie było miłości między tobą a Thomasem. Teraz, kiedy odszedł, możesz mnie pokochać. Możesz robić, co tylko zechcesz. Zdecydowałam się postąpić w godny podziwu sposób, nie żądając od niego rozwodu, ale teraz Thomas nie żyje. Ponowne zamążpójście nie okryje cię hańbą.

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. Zdawał się mówić zupełnie szczerze. Miała ochotę roześmiać mu się w twarz. I pomyśleć, że wraz z Lydią martwiły się o pokusy, które mogą w Kansas City czekać na *Daltona*...

- Pójdę teraz odpocząć. - Ruszyła przed siebie i wyszła z pokoju bez słowa, obawiając się, że jeśli się odezwie, może powiedzieć coś, czego będzie później żałowała. Tak naprawdę nie miała wcale pewności, czy Trayton Payne nie był jeszcze w stanie obudzić w niej uczuć sprzed lat. Panicznie się tego bała.

Rozdział 10

Phoebe odłożyła flet. Uśmiechnęła się - bardzo się cieszyła, że dostała szansę gry w zespole, który miał w swoim repertuarze utwory największych kompozytorów.

- Naprawdę szybko robisz postępy - pochwaliła ją Lydia, kiedy pozostali członkowie niewielkiej orkiestry opuścili już salę prób. - Widzę, że na zimowym balu zrobimy prawdziwą furorę.

- Bardzo mi się podobają utwory, które wybrałaś. Szczególną radość sprawiają mi starsze dzieła Johanna Straussa. Nie mówiąc już o skomponowanym przez jego syna walcu *Nad pięknym modrym Dunajem*. To jeden z moich ulubionych. Moim zdaniem wszystkie te utwory idealnie nadają się na bal.

- Musimy jakoś tak to zaaranżować, żebyś mogła też trochę potańczyć, a nie tylko obserwować innych, grając na flecie - zażartowała Lydia. - Wiem, że większość tutejszych mężczyzn by mi tego nie wybaczyła.

- A czy panu Lindquistowi nie przeszkadza, że nie może z tobą tańczyć? - zapytała Phoebe. Od pewnego czasu bacznie obserwowała tę parę i pozostawała pod wrażeniem czułości, z jaką pan Lindquist zwracał się do swojej żony. Przyglądała im się podczas prób. On grał na gitarze, a Lydia towarzyszyła mu na skrzypcach. Kiedy na nich patrzyła, marzyła o tym, żeby doświadczyć takiej miłości.

- Nie. Już dawno odkryliśmy, że wolimy razem grać niż tańczyć. Muzyka pozwala nam odczuwać wyjątkową bliskość. Wierz mi, że to przeżycie, którego nie można z niczym porównać.

Te słowa sprawiły, że zadrzało jej serce. *To musi być cudowne uczucie* - pomyślała Phoebe.

- Mam nadzieję, że i mnie to kiedyś spotka - uśmiechnęła się do Lydii.

- Niezależnie od tego, czy stanie się to za pośrednictwem muzyki, czy w inny sposób.

Lydia pokiwała głową.

- A jak odnajdujesz się w Sitce?

- Nasza mała orkiestra na pewno bardzo mi pomaga - odpowiedziała Phoebe. - Ale poza tym nie czuję się tu najlepiej. Mam wrażenie, że nie pasuję do tego miejsca, chociaż usilnie staram się przystosować. Dużo czasu pochłania produkcja świec, którą prowadzimy z mamą, poza tym uwielbiam rozmawiać z Zee o Tlingitach. Bardzo wiele się od niej dowiedziałam.

- Nie rozważałyście z mamą otwarcia niewielkiego sklepu, w którym mogłybyście sprzedawać wasze świece?

- Mama twierdzi, że nie stać nas teraz na taką inwestycję i że nie zarobiłybyśmy na tym nawet tyle, żeby móc kupować niezbędne materiały. Zawsze robiłyśmy świece w domu. Zresztą to rozwiązanie najbardziej mi odpowiada. To w naszej rodzinie tradycja.

- Tak, twoja matka opowiadała o całych pokoleniach kobiet, które wytwarzały świece. Historia mojej rodziny jest przepelniona bólem i cierpieniem. Chętnie powitałabym w niej kogoś, kto oddaje się zajęciom bardziej pożytecznym niż te, które zaprzętały głowę moim krewnym. Chodzi mi właśnie o coś takiego jak wyrabianie świec.

- My też mieliśmy swoje problemy i troski - odrzekła Phoebe, niewiele się zastanawiając. Gdy tylko zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, zasłoniła usta dłonią.

- Nie przejmuj się - zapewniła ją Lydia. - Możesz mi zaufać.

- Chodzi po prostu o to... no cóż, karierze politycznej mojego ojca bardzo zaszkodziły sprawy, na które nie miał żadnego wpływu. Woli, żeby ludzie oceniali go jedynie na podstawie jego obecnej działalności.

- Najstraszniejsze są decyzje i wybory, które po latach stają się przyczyną żalu i cierpienia. Nasza rodzina z pewnością nie była wolna od skandali. Moje własne problemy zaczęły się w momencie, kiedy ojciec wydał mnie za mąż, traktując jako część kontraktu handlowego. Wierz mi, doskonale cię rozumiem i nie musisz się obawiać, że będę plotkowała na ten temat.

- Czy twoi rodzice jeszcze żyją? Lydia pokręciła głową.

- Nie, zmarli jakiś czas temu. Jedyna rodzina, jaką mam, żyje tutaj: to Kjell, moje dzieci i oczywiście Zee.

Phoebe rozejrzała się wokół i wykorzystała tę okazję, żeby zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Nie widuję ostatnio Daltona. Pewnie ciężko pracuje?

- Nie ma go. Wyjechał do Kansas City razem z siostrą Evie.

- Wyjechał? Kiedy? - Nie chciała, żeby te pytania brzmiały zbyt nerwowo, ale zaskoczyły ją słowa Lydii. Nikt nie wspominał nic o tym wyjeździe i z całą pewnością nie mówił o nim sam Dalton. Chociaż oczywiście nie był winien Phoebe żadnych wyjaśnień.

- Wyjechał jakieś trzy tygodnie temu. To dziwne, że o niczym nie wiedziałas.

- No cóż, pytałam Juriego, kiedy odwiedził mnie któregoś wieczoru - Phoebe poczuła, że lekko się rumieni. - Ale wspominał tylko, że Dalton jest ostatnio bardzo zajęty.

Lydia zachichotała.

- Przypuszczam, że Juri chciałby mieć cię tylko dla siebie. Na pewno uznał, że jeżeli uwierzysz, że Dalton się tobą nie interesuje, łatwiej zdobędzie twoje serce.

Phoebe była zaskoczona słowami Lydii. Spuściła głowę i przyjrzała się fletowi. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Jak już pewnie zdążyłaś się zorientować, wielu mężczyzn będzie się tu starało o twoje względy. Nie musisz się tego wstydzić ani myśleć, że powinnaś ukrywać takie rzeczy. Sitka to małe miasteczko i nie sposób uniknąć plotek.

Phoebe zebrała się na odwagę i podniosła wzrok. Lydia przyglądała jej się z matczyną czułością.

- Czy myślisz... że... no cóż... że Dalton mógłby chcieć... zostać jednym z tych mężczyzn?

Na twarzy Lydii pojawił się uśmiech.

- Dobrze znam mojego syna i wiem, że nigdy nie był obojętny na wdzięki kobiet. Dalton jest bardzo wrażliwy na piękno w każdej postaci, niezależnie od tego, czy chodzi o kobiety, sztukę czy nawet łodzie, które buduje. Nie chciałabym go wyřęcać, ale wydaje mi się, że naprawdę go oczarowałaś.

- W dniu przyjazdu, kiedy spotkałam go po raz pierwszy, zachowałam się naprawdę okropnie. Dalton uratował mi życie, a ja postąpiłam jak kompletna idiotka. Od tamtego czasu starałam się być dla niego miła i uprzejma.

- Dalton nie należy do tych, którzy długo chowaliby urazę. - Lydia na chwilę zamilkła, a na jej twarzy na ułamek sekundy pojawiły się oznaki troski. - Myślę, że powinnyśmy zakończyć tę rozmowę, żebym nie powiedziała zbyt wiele. Dalton zamierza wrócić w ciągu najbliższych kilku tygodni. On i jego siostra nie zamierzali wyjeżdżać na długo. Dzięki jego nieobecności będziesz miała więcej czasu, żeby skoncentrować się na nauce utworów, które zagramy na zimowym balu.

- Raz jeszcze dziękuję, że przyjechałaś mnie do zespołu. - Dzięki temu będę miała czym zająć myśli.

Tego samego wieczoru, kiedy po kolacji Phoebe zmywała z matką naczynia, nagle zdecydowała się zadać pytanie, które od dłuższego czasu nie dawało jej spokoju:

- Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Słucham? - Jej matka wyglądała na zdziwioną.

- Czy człowiek może się zakochać w drugiej osobie, którą widział tylko raz czy dwa razy w życiu?

- Dlaczego o to pytasz? Phoebe wzruszyła ramionami.

- Bez powodu. Po prostu się nad tym zastanawiałam. Czy nie mówiłaś mi kiedyś, że ojciec zakochał się w tobie już po pierwszym spotkaniu?

- Chyba tak mówiłam - odpowiedziała jej matka, po czym odwróciła się i zaczęła dalej zmywać. - Ale takie rzeczy zdarzają się bardzo rzadko.

- Ale to możliwe?

- Tak mi się wydaje. Zresztą ja sama zakochałam się w twoim ojcu niemal równie szybko. Mimo to uważam, że w dzisiejszych czasach lepiej dobrze poznać drugą osobę, zanim podejmie się tak ważną decyzję. Powolne, stopniowe pogłębianie znajomości to dużo rozsądniejsze rozwiązanie.

- Pewnie tak - odpowiedziała Phoebe. Nie mogła jednak przestać myśleć o Daltonie. - Ale moje serce nie zawsze zachowuje się w rozsądny sposób.

Evie raz jeszcze spojrzała na list. Słowa, które napisał Thomas na łożu śmierci, pełne były żalu i skruchy. Jej zmarły mąż tłumaczył, że pierwotnie w ogóle nie zamierzał się żenić, ale Floyd Gray zaproponował mu niezwykle korzystny kontrakt. Ponieważ ojciec Thomasa ciągle naciskał, żeby znalazł sobie żonę, podjął ostatecznie taką, a nie inną decyzję.

Dalej Thomas pisał o mężczyźnie, którego pokochał. Przyjaźnili się od dziecka, a teraz ten człowiek był kaleką i nie mógł się samodzielnie utrzymywać. Thomas zaklinał, żeby Evie zrozumiała jego położenie i nie kwestionowała testamentu.

„On nikogo nie ma. Nikt się nim nie zajmie, dlatego muszę zostawić mu część majątku” - tłumaczył Thomas.

Evie nie potrafiła zrozumieć relacji łączącej jej męża z tym mężczyzną, ale było jej żal ich obu. Odłożyła list i postanowiła załatwić pozostałe sprawy tak szybko, jak tylko mogła. Tęskniła za domem, za Sitką - i nie widziała powodu, by dłużej zostawać w Kansas City.

Patrząc w lustro, Evie zastanawiała się nad tym, jak potoczy się ten wieczór. Mieli ją odwiedzić bracia i siostra. Zaprosiła ich na kolację, zaznaczając, żeby zjawili się bez swych współmałżonków. Wszyscy potwierdzili swoją obecność, zapewniając, że przyjdą punktualnie o szóstej.

Spojrzała na zegar: do kolacji zostało mniej niż dwadzieścia minut. Głęboko odetchnęła, sięgnęła po ozdobny grzebień i zaczęła czesać gęste, jasne włosy. Przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała elegancko, ale nie była wystrojona.

W momencie, gdy już miała podnieść się z krzesła, usłyszała pukanie do drzwi.

-Tak?

- To ja, Dalton.

Jej brat miał na sobie nową marynarkę, ale jego zachowanie zdradzało, że nie czuje się pewnie w nowym otoczeniu. Nie było tajemnicą, że nie pasował do tego świata i prawdopodobnie nigdy nie zdołałby się do niego przystosować.

- Jesteś gotowy? - zapytała. - Gotowy na spotkanie z rodzeństwem?

- Tak, choć bardzo się denerwuję. Chciałbym już mieć to za sobą.

- Tylko pamiętaj: musisz mieć się na baczności - ostrzegła. - Oni potrafią być naprawdę czarujący.

Dalton zmarszczył brwi.

- Wierz mi, że ta sprawa nie daje mi spokoju. Chciałbym ufać, że teraz są inni, ale nie zmienia to faktu, że głęboko skrzywdzili moją rodzinę. Biorąc to pod uwagę, szczerze wątpię, żeby cokolwiek w ich zachowaniu mogło mnie oczarować. Zwłaszcza jeśli chodzi o moich braci.

- Marston zawsze świetnie grał. Jest przebiegły i podstępny, przypuszczam, że z biegiem lat rozwinął jeszcze te umiejętności.

- Nie martw się, siostrze. Będę ostrożny.

- Twoja obecność na pewno ich zaskoczy. Nie wspominałam, że przyjechałeś tu ze mną. O ile ktoś ze służby nie zdołał się wymknąć, żeby im o tym donieść, będziemy mieli nad nimi przewagę.

Przez otwarte drzwi sypialni Evie usłyszała, że ktoś dzwoni do drzwi. Zerknęła na zegar, który stał na kominku.

- To pewnie Jeannette. Zawsze przychodzi dziesięć minut przed czasem: lubi być pierwsza. Wtedy nikt się nie wtrąca i może przyprzeć gospodynię do muru. Lubi plotkować, dokłada wszelkich starań, żeby być dobrze poinformowaną. - Evie uśmiechnęła się do Daltona. - Może chciałbyś obserwować ich z drugiego salonu? Otworzę drzwi

łącznie wszystkie pomieszczenia, tak żebyś ich widział i słyszał naszą rozmowę. A kiedy już będziesz gotowy, po prostu do nas dołączysz. Co ty na to?

- To dobry pomysł. Dzięki temu będę miał czas, żeby wyrobić sobie o nich zdanie.

- A więc do roboty. - Poprowadziła go na dół schodami dla służby. - To pozwoli nam niepostrzeżenie dostać się do środka. - Evie uśmiechnęła się porozumiewawczo. - My, Grayowie, umiemy świetnie zakradać się w różne miejsca w taki sposób, żeby nikt nas nie zauważył.

Evie zaprowadziła Daltona do salonu.

- Zostań tu. Drzwi będą otwarte. Ja tymczasem pójde przywitać się z Jeannette - szepnęła. Dalton skinął głową, a Evie przemknęła do mniejszego salonu przez drzwi łączące oba pomieszczenia. Dotarła tam w chwili, gdy jej siostra zaczęła pouczać kamerdynera, w jaki sposób powinien zająć się jej szalem.

- Jeannette.

Siostra odwróciła się, żeby się z nią przywitać. Lata odcisnęły swoje piętno na twarzy Jeannette, która wyglądała dość mizernie - wskazywała wręcz na chorobę. Zaokrągliła się przy tym i przypominała prawdziwą matronę, ale nawet to nie skłoniło jej do rezygnacji z krzykliwych sukni i ekstrawaganckiej biżuterii.

- Genevieve! Trudno mi uwierzyć, że wreszcie wróciłaś do domu! - Zbliżyła się do Evie z otwartymi ramionami. Objęła ją dość sztywno, po czym cofnęła się i potrząsnęła głową. - Jesteś zdecydowanie za chuda.

Evie uśmiechnęła się.

- Dobrze cię widzieć, Jeannette. Jak się miewa twoja rodzina?

- Byli nieco urażeni, że ich nie zaprosiłaś. Oczywiście chłopcy wrócili na wschód do szkoły, ale Minnie i Mere-

dith bardzo chętnie zjawilyby się na dzisiejszej kolacji. Minnie chciałyby, żebyś poznała jej męża.

- Może przed moim wyjazdem uda nam się spotkać.

- Przed wyjazdem? - Jeannette wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- O czym ty mówisz? Przecież dopiero przyjechałaś. Dlaczego miałybyś znowu wyjeżdżać?

- Sitka to mój dom - odpowiedziała Evie. - I nie chcę tu zostawać. Kiedy załatwię wszystkie sprawy związane ze sprzedażą domu i z interesami Thomasa, zamierzam tam wrócić.

- Nie możesz tego zrobić. Twoje miejsce jest tutaj. To twój dom. Teraz, kiedy Thomas odszedł... niech spoczywa w pokoju... będziesz miała większe możliwości. Marston i Mitchell nie pozwolą ci znowu wyjechać.

Evie nadal się uśmiechała.

- Nie mają w tej sprawie nic do powiedzenia. A przynajmniej nic, co miałyby dla mnie znaczenie. Opowiedz mi lepiej o ślubie Minnie. - Wiedziała, że łatwo odwróci uwagę Jeannette, jeżeli zmieni temat i zapyta o wspaniały ślub swojej siostrzenicy, która wyszła za przedstawiciela jednej z najznamienitszych rodzin Kansas City.

- Och, to było coś wspaniałego. Myślałam, że miałyśmy cudowne ceremonie ślubne, ale to wydarzenie je zdeklasowało. - Jeannette zaczęła trajkotać o liście gości i o pozycji każdej z zaproszonych osób. Zdążyła już przejść do kwestii kompozycji kwiatowych, kiedy kamerdyner zapowiedział Marstona i Mitchella. Najwyraźniej przyjechali razem.

Evie nie zdawała sobie do tej chwili sprawy, jak bardzo denerwuje się spotkaniem z braćmi. Nagle poczuła się jak mała dziewczynka - bezbronna i niepewna. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Jej bracia bez najmniejszego trudu wyczuwali strach i wszelkie słabości ludzi, z którymi mieli do czynienia. Wykorzystywali to bez żadnych skru-

pułów. Wiedziała, że jeżeli nie będzie miała się na baczności, rozszarpia ją, tak jak wilki rozszarpują jagnię.

- Witajcie - rzuciła od niechcienia. - Widzę, że przyjechaliście tu razem.

Zatrzymali się gwałtownie i w milczeniu zaczęli się jej przyglądać. Mitchell wydawał się zaskoczony, natomiast Marston zmrużył oczy i wpatrywał się w nią, jakby była przedstawicielką nieznanego gatunku, który prezentuje się zwykle za szkłem muzealnej gabloty.

- Wyrosłaś na niezwykłą piękność - oznajmił Mitchell. - Wyglądasz dokładnie jak nasza matka w twoim wieku.

- Nasza matka żyła niewiele dłużej - odpowiedziała Evie.

- Mimo to do złudzenia przypominasz jej portret. Musisz zobaczyć go na własne oczy. Wisi w naszym domu rodzinnym u Jeannette, w głównym salonie.

- Uważam, że jest za chuda - wtrąciła się Jeannette. Marston zrobił krok naprzód.

- Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał - mruknął, nie spuszczać oczu z Evie.

Zastanawiała się, czy brat chowa do niej urazę. Nie wątpiła, że tak było. To przecież Gray, niezdolny do wybaczenia najmniejszej nawet zdrady. Chociaż tak naprawdę nie czuła potrzeby, żeby ktokolwiek jej wybaczwał.

Zbliżył się do niej i ujął jej dłonie. Evie nie stawiała oporu.

- Jesteś bardzo ładna. Będziesz miała duże powodzenie w Kansas City. - Przyciągnął ją do siebie, objął, a następnie pocałował w policzek. - Mogę cię ponownie wydać za mąż w ciągu miesiąca.

- Ona twierdzi, że nie zostanie tu długo - oznajmiła Jeannette. Najwyraźniej irytował ją fakt, że Evie skupiła na sobie całą uwagę.

Marston cofnął się, a Mitchell poszedł w jego ślady i delikatnie ucałował Evie.

- O czym ona mówi? - zapytał.

Evie próbowała zapanować nad nerwami.

- Nie zamierzam zostawać w Kansas City. Moim domem jest teraz Alaska i planuję tam wrócić, kiedy tylko załatwię tu wszystkie sprawy.

- To nie do przyjęcia - oznajmił Marston, kręcąc głową. - Potrzebujemy cię tutaj.

- Nie widzę powodu, by spierać się w tej kwestii - odparła. - Nie zmienię zdania. A teraz... mam dla was niespodziankę.

- Nie ma mowy o spieraniu się - odpowiedział Marston, krzyżując ramiona na piersiach. - Zostaniesz. Zbyt długo już cię nie było. Przyniosłaś tej rodzinie hańbę, a zostając, masz jeszcze szansę to jakoś naprawić. Wychodząc bogato za męża, zdołasz być może całkowicie odkupić swoje winy.

Evie głośno się roześmiała. Bracia spojrzeli na nią, kompletnie zaskoczeni.

- Zupełnie się nie zmieniliście. Żadne z was. Ale ja się zmieniłam. Nie jestem już tą przerażoną małą dziewczynką, która wyjechała stąd tak dawno temu. Nie dam się zastraszyć waszymi groźbami i żądaniem, więc zanim zaczniecie pogrążać się jeszcze bardziej, weźcie to, proszę, pod uwagę.

- Wiedziałam, że życie z tą kobietą cię zmieni. Lydia kompletnie cię zepsuła - wydyszała Jeannette. Podeszła do krzesła i usiadła, tak jakby ta sprawa całkowicie pozbawiła ją sił.

- Nie powiecie o Lydii złego słowa, jeśli zamierzacie usiąść przy moim stole - oznajmiła, po czym rzuciła braciom ostrzegawcze spojrzenie. - To mój dom i to ja ustalam tu zasady.

Marston roześmiał się.

- Jeannette ma rację. Ona miała na ciebie zły wpływ.

- Wygląda na to, że jesteś autorytetem w kwestii złego wpływu.

Evie odwróciła się, słysząc słowa Daltona. Jej młodszy brat swobodnie wkroczył do pokoju. Podszedł do niej, a Evie natychmiast poczuła się silniejsza.

- Kto to? - Jeannette niemal wrzasnęła.

Przez jakiś czas wszyscy milczeli. Wreszcie zamiast Evie odpowiedział Marston:

- To nasz młodszy brat, Dalton Gray.

- Dalton Lindquist - poprawił Dalton.

Evie widziała, jak jej siostra otworzyła usta ze zdumienia, a Mitchell zbliżył się do Marstona, żeby lepiej przyjrzeć się nieznanemu. Gdyby sytuacja nie była tak napięta, głośno by się roześmiała.

- Uznałem, że najwyższa pora, żebyśmy się poznali - powiedział Dalton mocnym i pewnym głosem.

Evie cieszyła się, że Dalton nie wydawał się onieśmielony obecnością braci. Widziała, że jego zachowanie wzbudziło ich zainteresowanie, być może nawet... szacunek.

- Uważam, że powinniśmy byli się poznać już dawno temu - odpowiedział Marston. - A już z pewnością powinienesz zająć należne ci miejsce w naszej rodzinie, miejsce, którego twoja matka pozbawiała cię przez wszystkie te lata.

Dalton zeszywniał, a Evie położyła dłoń na jego ramieniu, starając się dodać mu otuchy.

- Nie czuję się czegokolwiek pozbawiony - odpowiedział Dalton. - A jeżeli nie chciała, żebym zajmował należne mi miejsce w tej rodzinie, mogło się to raczej wiązać z faktem, że usiłowaliście ją zamordować.

Rozdział 11

Evie wyczuwała gniew Marstona. Był wyraźnie niezadowolony, że Dalton dążył do otwartej konfrontacji. Evie wiedziała, że Marston ma duże doświadczenie w zastraszaniu ludzi - zwłaszcza młodszych mężczyzn. Co zabawne, jego młodszy brat okazał się odporny na jego sztuczki. Marston bawił się mankietem swojego płaszcza.

- Jestem przekonany, że musiałeś przez te wszystkie lata wysłuchiwać wielu kłamstw.

Evie wiedziała, że zdaniem Daltona w jego rodzinie istniało zbyt wiele tajemnic i kłamstw, ale wierzyła też, że nigdy by się do tego nie przyznał. Wyznanie tego Mars tonowi zapewniłoby starszemu mężczyźnie przewagę, na co Dalton nigdy by nie pozwolił. Przyglądała się swojemu młodszemu bratu, który odpowiedział:

- Mam pewność, że to akurat prawda.

Uśmiezek na twarzy Marstona wskazywał, że ta rozmowa sprawiała mu ogromną przyjemność.

- Och, czyżby? To fascynujące.

- Nadszedł czas, żebyśmy skonfrontowali się z tym problemem i szczerze na ten temat porozmawiali - wtrąciła się Evie.

- Czy to oznacza, że nie zjemy kolacji? - zapytała Jeannette. - Obawiam się, że zaczynam czuć się dość słabo.

- Nie chciałabym powstrzymać cię przed jedzeniem - Evie zwróciła się do swojej siostry. - Proszę, możesz śmiało pójść do kuchni po jakąś przekąskę.

- Ja? Do kuchni? - Jeannette wydawała się kompletnie zszokowana tym pomysłem. Zdezorientowana, zaczęła się szaleńczo wachlować.

- Inaczej musisz poczekać, aż skończymy - dodała Evie, po czym zwróciła się do Marstona: - Mam kilka rzeczy do powiedzenia i chciałabym, żebyście wszyscy mnie wysłuchali. Usiądźcie. To potrwa tylko kilka minut.

Dalton natychmiast podał jej ramię i jakby się wcześniej umówili, poprowadził ją w stronę dwóch włoskich foteli, które stały na prawo od kominka. Upewniwszy się, że Evie wygodnie usiadła, usiadł obok niej - wyglądali jak król i królowa przyjmujący swoich dworzan.

Mitchell i Marston wymienili spojrzenia, po czym usiedli na dużej sofie. Marston przez chwilę wpatrywał się w grzbiet swojej dłoni, po czym przeniósł wzrok na Evie.

- No dobrze, przejdź do rzeczy.

- Nie macie prawa kłamać i opowiadać Daltonowi bzdur o przeszłości. Nie pozwolę na to. Powiedziałam mu wszystko, co wiedziałam o tamtym wieczorze, kiedy ustaliliście, że Lydia zostanie zamordowana. Jeżeli to dla was niewygodne, możecie winić tylko siebie.

- Zamordowana? - wydyszała Jeannette. - Co ty sugerujesz?

Marston nie zwrócił uwagi na jej pytanie. Wpatrując się w Evie i Daltona, oznajmił:

- Jestem przekonany, że powiedziałaś mu wszystko, co *myślałaś*, że wiesz. - Beztroska, z jaką to oznajmił, zirytowała Evie. Ten sposób mówienia był dla niego typowy.

- Dlaczego tak głęboko gardziliście moją matką? - zapytał Dalton. - Przecież to nie ona chciała wyjść za waszego ojca. Zmusił ją do tego mój dziadek. Usiłowała radzić sobie w tej sytuacji, jak mogła, ale wy okazywaliście jej wyłącznie nienawiść.

- Taką historię opowiedziała ci matka? - zapytał cicho Marston.

Evie zmarszczyła brwi.

- Przecież doskonale wiesz, że to prawda. Po co temu zaprzeczać?

Marston wpatrywał się w nią surowo.

- Byłaś wtedy tylko dzieckiem. Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć?

- Byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, co tak naprawdę stało się z naszą matką - odpowiedziała Evie. - Bawiłam się na strychu, kiedy przyszedł ojciec. Ukryłam się, żeby nie ukarał mnie za to, że znalazłam się tam, gdzie nie powinnam. Nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności. W przeciwnym wypadku przerzuciłby mnie przez balustradę dokładnie tak, jak zrobił to z matką.

- To oburzające! - oznajmiła Jeannette. - Jak możesz mówić coś takiego o naszym ojcu? Najpierw oskarżasz Marsto-na, że usiłował zabić Lydię... a teraz jeszcze to? To zupełnie nieprawdopodobne!

Evie miała świadomość, że Marston wie, iż mówiła prawdę. Mitchell, choć zaskoczony tymi zuchwałymi słowami, nie próbował protestować.

- Nasz ojciec był złym i bezdusznym człowiekiem - ciągnęła Evie. - Może nie chcecie mówić źle o zmarłych ze względu na jakieś zabobony, w które wierzycie, ale mnie to nie obchodzi. Nasz ojciec był złym człowiekiem i wiecie o tym lepiej ode mnie.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz - powiedział Marston, zwiężając oczy. - O naszym ojcu należy mówić jako o człowieku interesu, który walczył o to, co jest naprawdę ważne, i był gotowy na wszystko, co konieczne, by trafić na szczyt.

- Nawet jeśli chodziło o morderstwo? - zapytała Evie. - Ślub z naszą matką dał mu dostęp do wielkiego majątku.

To jej pieniądze stanowiły fundament kolejnych interesów. Spełniła swoje zadanie, po czym ojciec po prostu ją wyeliminował, bo przestała być potrzebna.

Brat oparł się o pokryte poduszkami siedzenie i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Zdajesz się całkowicie pewna tego, co rzekomo widziałaś, ale sądzę, że byłaś po prostu przerażoną małą dziewczynką, która wymyśliła sobie, że to wina jej ojca, bo nie mogła znieść myśli o tym, że jej matka popełniła samobójstwo.

- Stałam tuż obok. Słyszałam ich rozmowę. Widziałam, jak ojciec ją podniósł i przerzucił przez balustradę.

- Nie mogę uwierzyć, że wymyślasz takie brednie - rzuciła Jeannette, wściekle potrząsając głową. - Jeżeli rzeczywiście tak było, dlaczego nic dotąd nie mówiłaś?

Evie czekała na to pytanie.

- Bałam się, że stanę się kolejną ofiarą ojca. Czy myślisz, że gdyby wiedział o istnieniu świadka, pozostawiłby tak tę sprawę? Czy nie zdecydowałby się na kolejne morderstwo?

Przez cały ten czas Dalton milczał, ale w tym momencie wyciągnął rękę i poklepał Evie po dłoni, po czym powiedział:

- Nie widzę powodu, dla którego Evie miałyby kłamać w tej sprawie.

- Tak samo jak nie wierzysz, żeby mogła kłamać w kwestii tego, że próbowałem zabić twoją matkę? - zapytał Marston.

- Och, są na to dowody - powiedział nonszalancko Dalton. - Wynajęliście dwóch braci, Anatolija i Iwana Sido-rowów, którzy mieli zabić moją matkę i przywieźć mnie do was. Próbowali to zrobić i ponieśli porażkę, ale tylko dlatego, że wola życia mojej matki okazała się silniejsza.

Chcę wiedzieć, co zamierzaliście osiągnąć, sięgając po tak haniebne metody.

- Nigdy nie zamierzałem zabić twojej matki - zaprotestował Marston.

- Chciałem cię chronić i zadbać o to, żeby nie spotkało cię więcej krzywd. Znalazłeś się wtedy w trudnym położeniu i obawiałem się o twoje bezpieczeństwo. Wyjaśniłem przecież już to wszystko w sądzie. Wbrew twoim przypuszczeniom nie starałem się w ten sposób zabiegać o własne interesy.

- Zapewne bez znaczenia był dla ciebie fakt, że miałem odziedziczyć duże pieniądze, a do tego jeszcze udziały w rodzinnym interesie? O tym wtedy zupełnie zapomniałeś?

Marston posłał mu ironiczny uśmiech. Evie dobrze знаła to zachowanie. Jej brat oceniał adwersarza, przygotowując się do zadania mu śmiertelnego ciosu.

- Czyżby twoja matka nie wspomniała, że obrabowała nas ze spadku? Zawiłości związane z testamentem naszego ojca zostały wykorzystane i zmanipulowane w taki sposób, że zdołała ukraść dużą część tego, na co on tak ciężko pracował przez całe życie. Skoro Lydia zdecydowała się na taki krok, nie mogliśmy wiedzieć, do czego jeszcze będzie zdolna się posunąć. Obawialiśmy się po prostu o twoje bezpieczeństwo.

Evie obserwowała, jak Dalton przyjął słowa Marstona. Miała teraz pewność, że jej młodszy brat nie da się zwieść. Kłamstwa, które słyszał, nie robiły na nim wrażenia. Był niezwykle mądry i inteligentny. Wiedziała, że nie ustąpi Marstonowi.

- A więc twierdzisz, że nasz ojciec był albo zbyt głupi, albo nie wykazał się należną starannością, żeby zabezpieczyć swój testament i zadbać o przyszłość rodzinnych interesów? I te wszystkie zaniedbania zdołała w jakiś sposób wykorzystać moja matka?

Mitchell pochylił się w jego stronę.

- Nie masz prawa mówić o nim w taki sposób. Jesteś jeszcze dzieckiem. Nie było cię nawet na świecie, kiedy żył nasz ojciec.

- On ma rację! - zawołała Jeannette z oburzeniem. - Nawet nie było cię na świecie. Nie wiemy nawet, czy na pewno jesteś synem swojego ojca.

Dalton uśmiechnął się.

- Wolałbym nim nie być. Tak naprawdę moim ojcem jest Kjell Lindquist. Ten człowiek przez całe życie okazywał mi wyłącznie miłość i dobroć. Ale nie o tym chciałbym teraz rozmawiać. - Przeniósł wzrok na Marstona. - Zdołałeś uniknąć odpowiedzialności za to, co zrobiłeś mojej matce. Są chwile, kiedy ogarnia mnie pragnienie zemsty, ale ona by jej nie chciała.

- Jest naprawdę wspaniałomyślna - odparł Marston głosem pełnym sarkazmu. - Twoja matka, ta sama, która ukradła nasz majątek, ta sama, która zrobiła wszystko, żebyś nigdy nie poznał swojej prawdziwej rodziny... chce teraz odstąpić od zemsty? - Roześmiał się. - Pewnie dlatego, że już tej zemsty dokonała. I nie potrzebowała żadnej pomocy.

- Gdyby moja matka chciała się mścić, siedziałbyś od dawna w więzieniu, a ta rodzina nie dostałaby ze spadku ani grosza. - Dalton dostrzegł zdziwienie Mitchella. - Och, myśleliście, że o tym nie wiem? Moja matka nie musiała oddawać wam choćby ułamka z pieniędzy i nieruchomości, które odziedziczyła po naszym ojcu, a mimo to postanowiła tak zrobić. Jeżeli dobrze rozumiem, kobieta, którą oskarżacie o egoizm i oszustwa, tak naprawdę zachowała się wspaniałomyślnie.

- Może właśnie na tym polega problem. Ty niczego nie rozumiesz - odpowiedział Marston.

- Rozumiem wystarczająco wiele. Czytałem relację z procesu o porwanie. Widziałem, jak z morderstwa Ana-tolija Sidorowa udało ci się wykręcić w taki sposób, że nie zapłaciłeś nawet grzywny. Zrobiłeś to, co zawsze robiłeś: kupiłeś sobie wolność. - Dalton spojrział na Evie. - Widzę, że to kompletna strata czasu.

- Dlaczego? Czyżbyś spętany swoimi idealistycznymi wyobrażeniami o świecie nie mógł już znieść tej rozmowy? - zakpił Marston. - Oboje jesteście naiwnymi marzycielami. Nasz ojciec bardzo by się na was zawiódł. Zupełnie nie rozumiecie, przez co musiał przejść, żeby zbudować fortunę Grayów. Zapewnił nam dostatnie życie, którym w dzieciństwie i ty się cieszyłaś, Evie. Zdołał nawet wydać cię za niezwykle zamożnego człowieka... a ty po prostu uciekłaś.

- Daltonie, masz rację. To strata czasu. - Evie wstała i spojrzała raz jeszcze na Marstona i Mitchella. - W niczym nie różnicie się od naszego ojca. Wierzycie, że wolno wam robić absolutnie wszystko, o ile ma to prowadzić do realizacji waszych celów.

- Wszyscy tak postępują, Evie. Dlaczego nie możesz wreszcie przejrzeć na oczy i tego zrozumieć? - Jeannette zaskoczyła ich, wtrącając się nagle w rozmowę. - Dlaczego nie możesz po prostu docenić tego, co zostało ci dane? - Ona również podniosła się z krzesła. - Jesteś rozpuszczona i obojętna na nasze potrzeby. Nie podoba mi się to.

- A mnie nie podoba się życie ze świadomością, że nasz ojciec był mordercą. To ogromne brzemię. Czy któremuś z was przyszło kiedykolwiek do głowy, że skoro potrafił zamordować własną żonę, mógłby zabić każdego? Byli na pewno inni. Wykazalibyście się prawdziwą głupotą, wierząc, że to nieprawda.

- Cofnij to! - Jeannette ruszyła w jej stronę. - Natychmiast cofnij to, co powiedziałaś. Nasz ojciec... nasz ojciec...

- Zachwiała się, jakby miała zaraz zemdleć. - O Boże. - Jeannette opadła na krzesło. - Och, wywołaliście u mnie atak apopleksji. Całkiem możliwe, że... że mnie zabiliście. - Dramatycznym gestem przyłożyła dłoń do skroni i jęknęła.

- Jeżeli zamierzasz umierać, postaraj się zrobić to w ciszy - powiedział Marston. Jeannette na chwilę otworzyła oczy, ale po chwili znowu opadła niezdarnie na krzesło. Mogłoby się wydawać, że zemdląca.

Evie pamiętała takie występy sprzed lat, ale w przeszłości nie wyglądało to aż tak dramatycznie. Zerknęła na Daltona, który marszcząc brwi, przyglądał się Jeannette. Mrugnęła do niego. Następnie przeszła przez pokój i zadzwoniła na służącą.

- Czy nie zamierzasz czegoś z tym zrobić? - Mitchell zapytał Evie, kiedy ta zakończyła krótką wymianę zdań z młodą służącą.

- Z czym? - zapytała beztrosko. Starła się nie zwracać uwagi na nieprzytomną siostrę.

- Z Jeannette, oczywiście. Czy ty jesteś kompletnie bez serca?

- Nigdy nie byłam bez serca. Wy natomiast gotowi jesteście zaspokajać swoje pragnienia nawet wtedy, kiedy inni muszą płacić za to ogromną cenę. Kompletnie nie zważacie na innych ludzi. Wasze dusze są zepsute.

W tej chwili wróciła służąca. Evie podeszła do dziewczyny i wzięła od niej dzbanek. Nie zważając na braci, ruszyła prosto w kierunku Jeannette, która dalej udawała nieprzytomną - po czym wylała zawartość dzbanka na głowę siostry. Pod wpływem zimnej wody Jeannette zerwała się na równe nogi, wykrzykując nieprzyzwoite słowa, których Evie od lat nie słyszała.

- Co, do diabła, się z tobą dzieje? Zniszczyłaś moją fryzurę... i moją suknię!

- Przykro mi, Jeannette, ale straciłaś przytomność. W ciągu wszystkich tych lat spędzonych na Alasce przekonałam się, że w takich przypadkach najlepiej posłużyć się wodą. Lekarz mówił mi nawet, że tego rodzaju terapia szokowa dobrze wpływa na serce. Miałam nadzieję, że zdołam zapobiec twojej śmierci.

Evie uśmiechnęła się. Podeszła do służącej i podała jej dzbanek.

- Dziękuję.

Dalton starał się powstrzymać uśmiech. Marston natomiast nie zadawał sobie nawet trudu, żeby ukryć rozbawienie. Kiedy Evie odprawiła służącą i do nich podeszła, zaczął bić brawo.

- Zajęłaś się tym tak, jak przystało na przedstawicielkę rodziny Grayów.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Myśl, co chcesz, ale nie mam ochoty być łączona z tym nazwiskiem.

- Widzę, że moja matka ani trochę nie myliła się w ocenie tej rodziny

- zwrócił się do Evie Dalton, po czym ze smutkiem potrząsnął głową. - Odnoszę wrażenie, że ta ocena była naprawdę łagodna.

- Twoja matka nie ma o niczym pojęcia. Ma na względzie wyłącznie własny interes - oznajmił Marston, podnosząc się z krzesła.

- Czy nikt nie zauważył, że jestem kompletnie przemoczona? - zapytała zrozpaczona Jeannette. - Na pewno się przeziębnię i umrę.

- Na Boga, Jeannette - odparł Mitchell. - Na dworze jest ponad trzydzieści stopni ciepła. Co najwyżej będzie ci nieco chłodniej niż nam. Zamilknij wreszcie.

- Wracam do domu - oznajmiła naburmuszona Jeannette. - Nie muszę tu dłużej siedzieć i wysłuchiwać obelg

z ust całej waszej czwórki. - Ruszyła do drzwi, zerkając przez ramię, tak jakby czekała, aż ją ktoś zatrzyma.

- Dobranoc, Jeannette - zawołał za nią Marston. - Pozdrów ode mnie swojego męża.

Evie miała ochotę klasnąć w dłonie, tak jak zrobił to wcześniej Marston, ale nie mogła sobie na to pozwolić: musiała wreszcie pokazać swoim braciom, gdzie jest ich miejsce - raz na zawsze.

- Chcę, żebyście mnie uważnie posłuchali - oznajmiła, zwracając się do Marstona i Mitchella. - Zatrudniłam prawnika, który zajmie się sprzedażą tego domu i całego majątku, a także będzie czuwał nad sprawą spadkową. Zamierzam wrócić na Alaskę, kiedy tylko załatwię te sprawy.

- Zabraniam ci - rzucił wściekle Marston. - Jesteś tak skupiona na sobie, że nawet nie zapytałaś, jak się miewamy. Mimo to sam ci o tym opowiem. Mitchell i ja ponieśliśmy wielkie straty. Ledwo udaje się nam dotrzymywać zobowiązań. Twój mąż był nam winien dużo pieniędzy i zamierzam dopilnować, żebyś spłaciła ten dług wraz z odsetkami. - Zbliżył się do niej groźnie, ale Dalton objął Evie w obronnym geście. Marston zatrzymał się.

- A jeśli chodzi o ciebie - dodał, zwężając oczy i koncentrując się na Daltonie - radzę ci, żebyś zrozumiał, że mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, mam nadal bardzo wpływowych przyjaciół. Nie chciałbym, żeby twoja absurdałna potrzeba odgrywania bohatera wpędziła cię w kłopoty.

- Czyżbyś próbował mi grozić? - zapytał Dalton, ani na chwilę nie odwracając wzroku i odwzajemniając gniewne spojrzenie Marstona.

- Nie grożę ci, po prostu cię ostrzegam. - Uśmiechnął się, a Evie poczuła, jak dreszcz przebiegł jej po plecach.

Po chwili dodał: - Często się zdarza, że moje ostrzeżenia poprzedzają konkretne działania.

Miała tego dość. Wykazując się brawurą, której tak naprawdę jej brakowało, zrobiła krok naprzód i stanęła twarzą w twarz ze swoimi braćmi.

- Ta rozmowa dobiegła końca. Nie zostanę w Kansas City, Marstonie. W żaden sposób nie wspomogę ciebie i Mitchella. Jeżeli mój mąż rzeczywiście był waszym dłużnikiem, zwróćcie się do jego sekretarza, pana Traytona Payne'a. Prowadzi on drobiazgowy rejestr wszystkich interesów Thomasa. Odnajdzie zapewne zapis warunków pożyczki, jakiej udzieliliście mojemu mężowi. Jestem przekonana, że pan Payne rozwiąże z wami tę sprawę polubownie.

Marston zaczął coś mówić, ale Evie podniosła rękę, przerywając mu.

- Dostyc. Nie zamierzam wysłuchiwać kolejnych gróźb czy „ostrzeżeń”. Sama jednak dam wam pewne ostrzeżenie. Zostawcie Daltona w spokoju. Zostawcie w spokoju jego rodzinę. Nie mieszajcie się w nasze życie. Jeżeli wasza stopa jeszcze kiedykolwiek postanie w Sitce, zwrócę się do wszystkich gazet i wyjawię każdą bolesną tajemnicę naszej rodziny. - Uśmiechnęła się, ponieważ gdy wypowiedziała te słowa, poczuła się znacznie silniejsza. - To zrujnuje was samych, wasze rodziny i wasze interesy, jeszcze zanim skończę tłumaczyć dziennikarzom wszystkie szczegóły i zawiłości tych spraw.

- Nie zrobiłabyś tego - oznajmił Marston. - W ciebie też by to uderzyło.

- Widzisz, na tym właśnie polega zaleta życia w Sitce - powiedziała Evie, patrząc na zmianę to na Marstona, to na Mitchella. - Nikogo tam nie obchodzą skandale dotyczące ludzi z innego świata. Moich bliskich przyjaciół i rodziny na Alasce nie będzie interesować, czy mój ojciec zamordo

wał matkę, czy moi bracia uknuli spisek, żeby dla pieniędzy dokonać wielu zabójstw, ani to, że mój mąż miał kochankę. - Zamilkła na chwilę. - Żadna z tych spraw nie będzie ich obchodziła, za to idę o zakład, że towarzystwo w Kansas City będzie stawało na paluszkach, żeby usłyszeć najpiquantniejsze fragmenty plotek dotyczących Grayów i Gadstonów. Dlatego radzę wam dobrze zastanowić się nad tym, co powiedziałam.

- I masz czelność mówić mi, że w niczym nas nie przypominasz? - zapytał Marston ze śmiechem. - Jesteś z nas wszystkich najgorsza.

Te słowa zabolęły Evie, ale szybko się otrząsnęła. Wyprostowała ramiona.

- Jeżeli wejdziecie mi w drogę, przekonacie się, do jakiego stopnia mogę uprzykrzyć wam życie... ale ani razu nie będę musiała przy tym skłamać i nikt nie będzie musiał zginąć. - Zwróciła się do Daltona: - Czuję, że zgłodniałam. Co powiesz na kolację?

Wzięła Daltona pod ramię i ruszyła do drzwi. Wychodząc z pokoju, zatrzymała się i powiedziała:

- Jeżeli jesteście głodni i będziecie się dobrze zachowywali, możecie do nas dołączyć. W przeciwnym wypadku życzę wam dobrej nocy.

Rozdział 12

WRZESIEŃ 1889 ROKU

Ranek pierwszego września okazał się pochmurny i deszczowy. Jednak gdy nabożeństwo dobiegło końca, Phoebe z radością zauważyła, że na niebie nie ma już ani jednej chmury, a słońce zaczęło świecić naprawdę mocno. Przywitała się ze znajomymi i podziękowała pastorowi za kazanie, po czym podeszła do matki.

- Wracam teraz do domu - powiedziała cicho. Nie chciała, żeby ktokolwiek ją usłyszał i zaczął pytać, dlaczego nie zamierza towarzyszyć rodzicom podczas lunchu.

- Na pewno nie zmienisz zdania? Gubernator i jego żona będą zawiedzeni. Mogą nawet uznać to za afront z twojej strony.

- Po prostu wytłumacz im, że byłam już wcześniej umówiona. Juri zaprosił mnie na ten piknik dwa tygodnie temu. Czekaliśmy po prostu na ładną pogodę, a teraz wreszcie zrobiło się ładnie. Obiecałam mu.

- Mam wrażenie, że pan Bielikow poświęca ci bardzo dużo uwagi. Może nawet za wiele... - ostrzegła ją matka.

- Może i tak, ale dobrze się czuję w jego towarzystwie. Jeżeli Dalton Lindquist kiedykolwiek powróci do Sitki, powitam go z radością. ***O ile w ogóle się do mnie odezwie*** - pomyślała. Co prawda Lydia wydawała się pewna sympatii swojego syna do Phoebe, ale Dalton nie zdążył jeszcze nawet wrócić ze swojej podróży na południe.

- Dobrze. Przepraszę ich za twoją nieobecność. Pamiętaj tylko, żebyś zachowywała się jak młoda dama: skromnie i dyskretnie. Żałuję, że nie mogę wysłać z tobą Theodore'a i Grady'ego.

Phoebe wzniosła oczy do nieba.

- Zamierzam stać się wzorem przyzwoitości. Zresztą, jeżeli chodzi o dobre wychowanie, to mieszkańcy Sitki nie kierują się tymi samymi zasadami co ludzie z południa. -Uśmiechnęła się: mimo woli powiedziała o Sitce coś pozytywnego.

Ruszyła przed siebie. Cieszyła się, że nareszcie zdołała się uwolnić od swojej rodziny. Całą resztę dnia miała tylko dla siebie. W ostatnim czasie jej bracia stali się niezdolni i ponurzy. Po letnich wakacjach, kiedy robili wszystko, na co tylko mieli ochotę, musieli się teraz pogodzić z nadejściem roku szkolnego. Dzień wcześniej Phoebe sprzeczała się z nimi, tłumacząc, dlaczego edukacja ma tak duże znaczenie. Puszczali jej argumenty mimo uszu, nie chcieli też już słuchać uwag rodziców.

Phoebe wróciła do domu i szybko się przebrała. Uznała, że prosta brązowa spódnica z wełny będzie na spacer dużo wygodniejsza niż odświętny strój. Znalazła przyzwoitą szmizjerkę i żakiet pasujący do spódnicy, szybko się przebrała, po czym zaczęła poprawiać fryzurę. Rozpuściła burzę jasnych włosów i zaplotła pojedynczy warkocz, który opadał jej na plecy. Kiedy skończyła, zdjęła niedzielne skórzane buty i włożyła parę solidnych trzewików. Juri uprzedzał, że wybiorą się na wycieczkę w góry i odwiedzą jego ulubione miejsce, z którego rozciąga się piękny widok na port.

Uśmiechnęła się na myśl o Jurim. Był dowcipny i czarujący. Uwielbiała słuchać opowieści o jego krewnych z Rosji i dzieciństwie na Wyspie Baranowa. Przede wszystkim jed-

nak lubiła opowieści o przygodach, które przeżył wspólnie z Daltonem. Czasem były to zwykłe relacje o chłopięcych wyjazdach na biwak. Czasami Juri opisywał codzienność w warsztacie, w którym budowali łodzie i wspólnie uczyli się rzemiosła. Niezależnie od tego, czego dotyczyły te opowieści, Phoebe miała poczucie, że coraz lepiej poznaje ich obu: Daltona i Juriego. Dziś miał jej opowiedzieć o Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Odkąd przyjechała do Sitki, fascynowała ją cerkiew z zieloną kopułą i pop, ojciec Donskoj, który uchodził w miasteczku za człowieka pełnego dobroci i empatii. Zee tłumaczyła jej, że Tlingici go kochają, ponieważ okazuje im szacunek i traktuje jak równych sobie.

Phoebe usłyszała zbliżającego się Juriego. Śpiewał rosyjską piosenkę, którą już wcześniej słyszała. Sitka była prawdziwym tygłem kulturowym, w którym spotykały się kultura rosyjska, kultura rdzennych mieszkańców Alaski oraz kultura amerykańska. Miejsce to stanowiło rodzaj kotła, w którym współistnieli różni ludzie i ich tradycje.

Chwyciła laskę, którą zrobił dla niej Juri, i wyszła przed dom, żeby pozdrowić przyjaciela.

- Witaj - powiedziała.

Juri uśmiechnął się i wskazał dłonią plecak.

- Mam dla nas lunch.

- Wspaniale. Muszę przyznać, że zrobiła się całkiem ładna pogoda. - Zamknęła drzwi i potrząsnęła laską. - Nie mogę się doczekać, kiedy będę miała okazję jej użyć.

Juri przełożył strzelbę do lewej ręki i podał jej ramię. Phoebe zawahała się. Nie chciała, żeby błędnie ocenił jej reakcję. Mógłby wtedy pomyśleć, że jest nim zainteresowana bardziej, niż miało to miejsce w rzeczywistości. Dlatego nie oparła swojej dłoni na jego ramieniu. Zamiast tego wyprzedziła go i zapytała:

- Dokąd idziemy?

Nie poczuł się urażony jej zachowaniem i szybko ją dogonił. Zaczęli oddalać się od miasteczka.

- Drugą stroną jeziora prowadzi śliczna ścieżka. To niedaleko stąd. Rozciąga się stamtąd piękny widok.

- Ciężko pracowałeś w tym tygodniu? - zapytała Phoebe. - Wydajesz się zmęczony.

- Było sporo roboty. Musieliśmy zająć się remontem kilku łodzi. Pomoc Daltona bardzo by się przydała.

Cieszyła się, że sam wspomniał o Daltonie.

- Masz od niego jakieś wieści?

- Nie. Zresztą nie spodziewaliśmy się od niego wiadomości. Dalton liczył, że jego podróż nie potrwa zbyt długo. Prawdopodobnie nie zdążyłby wysłać więcej niż jednego czy dwóch listów, a i tak musiałby je nadać na samym początku wyprawy. Inaczej pewnie przyplłynąłby do Sitki na tym samym statku co listy.

- To zadziwiające, że to tyle trwa - zauważyła Phoebe. - Czasem dostawałam dziesięć listów jednocześnie, a innym razem nie przychodziło do mnie absolutnie nic.

- Wierzę, że kiedyś poczta będzie docierała do Sitki raz w tygodniu.

Phoebe westchnęła na wspomnienie swojego dawnego domu w stanie Vermont, gdzie codziennie odbierała listy.

- To byłoby wspaniałe.

- Skoro już wiesz, co robiłem w minionym tygodniu, opowiedz mi, proszę, co wydarzyło się u ciebie.

- Zrobiłyśmy z mamą trochę świec. Wyszły całkiem nieźle. Niedługo będę musiała zapleść więcej knotów, ale na razie wystarczyło nam to, co miałyśmy.

- Moja mama bardzo lubi pracować u twojej matki. Mówiła, że nigdy nie widziała kobiety, która utrzymywałaby taki porządek.

Phoebe roześmiała się.

- Mama wierzy, że każda rzecz ma swoje miejsce i powinna znajdować się dokładnie właśnie tam, o ile nie jest w danej chwili używana. Pamiętam, jak ją naśladowałam, kiedy byłam mała. Ustawiałam lalki w szeregu, a obok układałam ich ubranka. Ścieliłam ich małe łóżeczka i wszystko porządkowałam.

- Chłopcy raczej nie skupiają się na takich rzeczach.

- Och, trudno mi w to uwierzyć. Czy nie układasz swoich narzędzi? Czy miejsce, w którym pracujesz, nie jest urządzone po twojemu?

Juri uśmiechnął się, a w jego błękitnych oczach pojawił się błysk.

- Opisujesz raczej Daltona. Ja taki nie jestem. Należę do mężczyzn, którzy nie zaprzatają sobie głowy takimi sprawami. Używam narzędzia, a potem odkładam je tam, gdzie skończyłem pracę.

- A co robisz, kiedy znowu go potrzebujesz?

- Wtedy zaczynam go szukać. Phoebe pokręciła głową.

- Przecież to straszna strata czasu.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale w Sitce nikomu się nie spieszy. Funkcjonujemy w równym, miarowym tempie, ale nigdy się z niczym nie spieszymy. Chyba że nadchodzi burza albo nagle pojawia się niedźwiedź grizzly, który przychodzi pożreć jakieś odpady. Nigdy nie mieszkałem w mieście, w którym ludzie nieustannie gnają w tę i z powrotem, ale słyszałem na ten temat wystarczająco dużo. Zresztą pewnie sama dobrze znasz życie w takim rytmie.

Zastanowiła się przez chwilę nad jego słowami.

- Tak, kiedy mieszkaliśmy w stanie Vermont, nasze życie toczyło się dużo szybciej. Zawsze było coś, co wymagało naszej uwagi, więc miałyśmy bardzo szczegółowo rozpisa-

ny plan dnia, żeby ze wszystkim się uporać i wszystkiego dopilnować.

- Nie chciałbym tak funkcjonować. Właśnie dlatego cenię życie tutaj, w Sitce.

- Więc nie zamierzasz stąd nigdy wyjechać? - zapytała Phoebe.

Juri uśmiechnął się do niej.

- Nie, o ile będę miał powód, żeby zostać.

- Już to kiedyś powiedziałaś. Co właściwie masz na myśli?

Juri zwolnił kroku. Zbliżali się do jeziora.

- Moi rodzice zamierzają wrócić do Rosji. Siostry mojej matki piszą do niej co miesiąc, błagając, żeby przyjechała do domu. Dziadkowie się starzeją i potrzebują opieki, a siostry mamy chcą, żeby dzieliła z nimi te obowiązki. Ojciec wie, że może budować lodzie w dowolnym miejscu na świecie i wydaje się, że nie ma nic przeciwko wyjazdowi, chociaż tak naprawdę wcale nie chce wracać do Rosji. Jednak na pewno pojedzie, jeżeli matka tak zadecyduje.

- To miło z jego strony, że bierze pod uwagę przede wszystkim jej potrzeby.

Juri kiwnął głową. Był pogrążony w myślach.

- Mój ojciec to dobry człowiek. Zawsze z ogromnym szacunkiem traktował wszystkie kobiety w naszej rodzinie. Mnie i mojemu bratu często powtarza, że porządny mężczyzna opiekuje się rodziną, wykazując się jednocześnie siłą i czułością.

Phoebe pomyślała, że takie słowa zasługują na prawdziwy podziw.

- Twój ojciec jest chyba mądrym człowiekiem.

- Uważaj, były tu niedźwiedzie - ostrzegł Juri, wskazując ślady. - Próbują zjeść, ile się da, zanim ruszą wyżej w góry i zapadną w sen zimowy.

Phoebe ominęła niedźwiedzie odchody i zmarszczyła brwi.

- Czy na pewno nic nam tu nie grozi? Może nie powinniśmy tak bardzo oddalać się od miasteczka...

- O nic się nie martw. Wziąłem strzelbę, zresztą niedźwiedzie zbliżyłyby się do nas tylko wtedy, gdyby były naprawdę głodne, a przecież miały do dyspozycji mnóstwo jedzenia: jagody, łososie i inne przysmaki. Zachowajmy niezbędną ostrożność, ale nie przestawajmy cieszyć się tym dniem.

Phoebe poczuła pewien niepokój na myśl o tym, że być może przyjdzie im uczestniczyć w pikniku z rodziną niedźwiedzi. Nerwowo rozejrzała się wokół siebie i ogarnęła wzrokiem jezioro oraz ciągnącą się wzdłuż niego ścieżkę.

- Jeżeli wolisz, możemy po prostu urządzić sobie piknik tutaj. Myślę, że niedźwiedzie ruszyły w dalszą drogę, zresztą wędrują tędy także inni ludzie. Hałasy powinny odstraszyć zwierzynę - zaproponował Juri, widząc jej niepokój.

- Tak, chyba tak bym wołała. - Westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do Juriego. - Dziękuję.

Wskazał jej miejsce nad samym brzegiem jeziora. Phoebe skinęła głową i w milczeniu przyglądała się, jak Juri zaczyna się krzątać. Najpierw rozwinął kwadratową ceratę i rozpostarł ją na ziemi, a następnie, ku jej zaskoczeniu, rozłożył na niej wełniany koc.

- Wziąłem go na wypadek, gdyby ziemia okazała się zbyt wilgotna. Uśmiechnęła się.

- Bardzo miło, że o tym pomyślałeś. - Musiała przyznać, że postępował dokładnie tak, jak należało. Być może nie powinna widzieć w nim tylko przyjaciela? Był przecież przystojnym młodym człowiekiem, czasami trochę nieokrzesanym, ale zwykle zachowywał się nienagannie.

- Pozwól, że ci pomogę. - Juri zbliżył się do niej i pomógł jej usiąść. Phoebe cierpliwie czekała, aż jej towarzysz skończy rozkładać jedzenie.

- Mama przygotowała nam kanapki i ciastka. Robi najlepsze ciastka, jakie kiedykolwiek jadłem. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Lubisz piec?

- Tak - przyznała. - A najbardziej lubię piec właśnie ciastka.

- Dobrze wiedzieć. - Podał jej kanapkę. - Dalton mówił, że twoje ciastka są przepyszne.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Bardzo się ucieszyła, że Dalton chwalił jej wypieki. Wzruszyła ramionami.

- Czyli wiedziałeś już, że lubię piec. Roześmiał się.

- Może i tak. - Zamilkł na chwilę. - A jak ci się podoba życie w Sitce? Nie doświadczyłaś jeszcze tutejszej zimy, ale nie musisz się obawiać. Nasze zimy są dość łagodne w porównaniu z tym, co dzieje się w innych częściach Alaski.

- To całkiem miłe miejsce - powiedziała Phoebe, ostrożnie dobierając słowa. Nie chciała urazić Juriego, przyznając się, że czasami nie mogła znieść Sitki.

- To nie brzmi zbyt przekonująco.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Juri bacznie jej się przygląda.

- Przepraszam. Wszystko jest tu dla mnie nowe. Trudno przyzwyczać się do tych zmian w tak krótkim czasie. Spędziliśmy tu dopiero kilka miesięcy. Wcześniej żyłam w społeczności, która nie była tak mała i odizolowana jak ta. Trudno sprowadzić tu materiały niezbędne do wyrobu świec, w związku z czym nie możemy zarobić tyle, ile byśmy chciały. Poza tym zostawiłam w Vermont wielu przyjaciół.

- Tu też udało ci się poznać kilka osób - zauważył.

- Ale tamci przyjaciele... znałam ich wszystkich od dziecka. To były więzi, które miały trwać przez całe życie.

Bardzo za nimi tęsknię - przyznała. - Poza tym została tam moja babcia oraz inni krewni. Z Sitki jest wszędzie daleko. Czasem czuję się tu naprawdę... no cóż... samotna. Juri nagle się roześmiał.

- Chętnie dotrzymam ci towarzystwa i uwolnię cię od samotności.

Phoebe zmarszczyła brwi.

- To było dość bezczelne, Juri. Wzruszył ramionami.

- Muszę szybko działać, jeżeli mam podbić twoje serce.

- A co z powolnym rytmem życia w Sitce, o którym wspominałeś?

- Dalton niedługo wróci i będę musiał się z nim tobą dzielić, chyba że zdołam cię wcześniej przekonać, żebyś się zgodziła.

- Zgodziła? Na co?

- Zgodziła się wyjść za mnie. Phoebe upuściła kanapkę na kolana.

- Ależ ja cię prawie nie znam! - Wiedziała, że to marna wymówka, tym bardziej że zastanawiała się już, jak by to było, gdyby wyszła za Daltona, którego znała przecież jeszcze słabiej. - Jak możesz sugerować coś takiego?

Tym razem to Juri zmarszczył brwi.

- Myślałem, że wszystkie kobiety marzą o tym, żeby wyjść za męża. Nie przyszło ci nawet do głowy, że moje zaloty mogą zakończyć się oświadczeniami?

- Nie przyjmowałam żadnych zalotów. Myślałam, że jesteśmy po prostu przyjaciółmi i że wybieramy się na zwykły niedzielny piknik - odpowiedziała Phoebe. - Nie zastanawiałam się nad niczym więcej. - Powtarzała sobie, że to przecież nie do końca kłamstwo. Nie zastanawiała się przecież nad motywami postępowania Juriego.

- A więc najwyższy czas, żebyś się nad tym zastanowiła. Wiem, że kiedy wróci Dalton, z pewnością zacznie się o ciebie starać. Już wcześniej zaczęliśmy rywalizować o twoje serce.

Phoebe poczuła wstyd i złość jednocześnie. Czy naprawdę traktowali ją jak nagrodę, którą można zdobyć podczas zawodów?

- Mówisz o miłości, jakby chodziło o jakąś grę! Uśmiechnął się.

- Tak w pewnym sensie jest. Ustaliliśmy z Daltonem, że urządzimy sobie rodzaj zawodów i zobaczymy, kto cię zdobędzie. Miałem szczęście: problemy rodzinne zmusiły go do wyjazdu do Kansas City. Dzięki temu mogę bez przeszkód starać się o twoje względy.

Phoebe zerwała się na równe nogi. Widziała, że Juri był dumny z tego, że podzielił się z nią tą informacją. Czyżby myślał, że w ten sposób ją sobie zjedna?

- Nie jestem jakąś nagrodą w waszych absurdalnych zawodach! - oznajmiła. - Siegnęła po laskę, po czym rzuciła Juriemu tak surowe spojrzenie, na jakie tylko potrafiła się zdobyć. - Powinieneś poprosić swojego ojca o lekcję przyzwoitego traktowania kobiet.

Phoebe ruszyła przed siebie wzdłuż szlaku. Maszerowała tak szybko, że niemal w ostatniej chwili udało jej się ominąć niedźwiedzie odchody. Była zła, że straciła nad sobą panowanie. Zachowanie Juriego nie było aż takim nietaktem, ale mimo to jego słowa sprawiły jej ogromną przykrość. On i Dalton rozmawiali o niej tak, jakby nie była niczym więcej niż tylko nagrodą, czekającą na zwycięzcę ich rywalizacji. Czowała się do pewnego stopnia poniżona: ta świadomość zbrukała w pewnym sensie miłość, na którą dotąd czekała.

- Jak oni śmiały urządzać sobie takie zawody!

W poniedziałkowy poranek Dalton obudził się, myśląc o Phoebe Robbins. Nie po raz pierwszy wspominał ją podczas tej podróży - ale jej obraz jeszcze nigdy nie stanął mu przed oczami z taką intensywnością. Tym razem Phoebe mu się śniła, a to sprawiło, że poczuł jeszcze silniejsze pragnienie powrotu do domu.

Włożył spodnie i jedną z białych koszul, które Evie wyjęła dla niego z szafy Thomasa, po czym zszedł na dół. Ku jego zaskoczeniu Evie już pracowała, intensywnie omawiając coś ze swoim adwokatem. Dalton zatrzymał się w drzwiach jadalni i zamierzał już się wycofać, kiedy Evie dała mu znak, żeby wszedł.

- Już kończymy. Proszę, dołącz do nas.

Dalton zbliżył się, a adwokat wstał, żeby się przywitać.

- Panie Lindquist, miło pana znowu widzieć.

- Panie Haskins - Dalton uścisnął mu dłoń, po czym usiadł przy stole. Jedna ze służących natychmiast znalazła się przy nim i nalała mu kawy do porcelanowej filiżanki. To naczynie było tak delikatne, że Dalton niemal bał się go dotknąć: wydawało się, że zaraz się rozleci.

- Właśnie kończyliśmy ustalać wszystkie szczegóły dotyczące tej posiadłości - wyjaśniła Evie. - Pan Haskins twierdzi, że prawdopodobnie do jutra zdoła przygotować dla mnie wszystkie papiery. Lada dzień będziemy mogli wyjechać.

- To świetne wieści - ucieszył się Dalton. Młoda służąca wróciła z kuchni z pełnym talerzem, który postawiła przed Daltonem. Uśmiechnął się. Jedzenie było z pewnością jedną z największych zalet Kansas City, wartą całej tej podróży. Serwowane tu dania sprawiały mu ogromną przyjemność, a ogromny wybór potraw robił na nim duże wrażenie. Dziś

zamierzał zjeść na śniadanie soczyste parówki, smażone ziemniaki i świeże owoce. Evie ciągnęła dalej:

- Pan Haskins kupi nam też bilety na pociąg do Seattle. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wyruszymy już w czwartek.

- Im wcześniej, tym lepiej - oznajmił Dalton.

Podróż do Kansas City całkowicie potwierdziła to, co mówiły na temat rodziny Grayów jego matka i siostra. Sprawdziły się wszystkie ich ostrzeżenia. Pragnienie, by poznać rodzeństwo i lepiej zrozumieć własną przeszłość, przerodziło się w wielkie rozczarowanie. Stał z nimi twarzą w twarz i dopiero wtedy poznał ich prawdziwe oblicze. Przekonał się, do czego mogą się posunąć, jeżeli ktoś stanie im na drodze.

Jednak mimo rozczarowania własną rodziną jego przyszłość była zabezpieczona pod względem finansowym. Evie zaaranżowała spotkanie z adwokatem Lydii, który wydawał się miły i naprawdę kompetentny. Umożliwił Daltonowi dostęp do niesamowitej sumy pieniędzy. Dalton po raz pierwszy zrozumiał, że majątek, którym dysponuje, pozwoli mu otworzyć własny interes albo zbudować dom - albo nawet zrobić obie te rzeczy. A te pieniądze stanowiły przecież tylko część tego, co miał dostać po skończeniu dwudziestu jeden lat. Nie mógł w to wszystko uwierzyć.

- Jeżeli chcesz kupić coś przed wyjazdem do Sitki, możemy później wybrać się na zakupy - powiedziała jego siostra. - I tak muszę znaleźć kilka rzeczy dla Lydii, Zee i dziewczynek. Chodź ze mną. Sprawdzisz, czy nie ma czegoś, czego potrzebowalibyście ty albo Kjell.

- Bardzo chętnie. Muszę też kupić parę rzeczy w Seattle. Pan Bielikow dał mi listę.

- Dobrze, tak zrobimy - oznajmiła Evie, zwracając się do adwokata. - Proszę dać nam dzień albo dwa dni więcej w Seattle, tak żebyśmy mogli załatwić wszystkie sprawy.

Mężczyzna kiwnął głową i wyjął ołówek z kieszeni płaszcza.

- Wszystkiego dopilnuję.

Evie uśmiechnęła się do Daltona.

- Niedługo wrócimy do domu.

Kiedy Dalton usłyszał te słowa, ogarnął go wyjątkowy spokój. Tęsknił za rodziną i marzył o tym, żeby wreszcie zobaczyć się z Phoebe. Wydawało mu się, że to głupie: nie znali się przecież aż tak dobrze, żeby ta tęsknota była uzasadniona. Z drugiej strony nie opuszczało go przekonanie, że to jest właśnie kobieta, z którą się ożeni. Wiedział, że pewnego dnia założą rodzinę i rozpoczną wspólne życie.

Najpierw jednak zamierzał załatwić jeszcze kilka spraw w Kansas City. Przede wszystkim jutro miał się spotkać w cztery oczy z Marstonem.

Rozdział 13

Uważam, że to kompletny absurd - oznajmił Marston następnego ranka, kiedy spotkał się z Daltonem w salonie Evie. - To nie ma żadnego sensu.

Evie wyszła na zakupy godzinę wcześniej i Dalton cieszył się, że zostali sam na sam. Nie zamierzał grać ze swoim bratem w żadne gierki.

- Dla mnie to ma sens - odpowiedział. - A w tej chwili tylko to się dla mnie liczy.

Marston wzruszył ramionami.

- Skoro tego chcesz.

- Owszem. - Dalton usiadł w tym samym fotelu, w którym siedział ostatnio u boku Evie, kiedy spotkali się z Marstonem i resztą rodzeństwa.

- Zwykle nie tracę czasu na rozmowy z bezbożnikami, ale nie widzę powodu, by tym razem nie zrobić wyjątku.

- Bezbożnikami? Nazywasz mnie bezbożnym tylko dlatego, że nie uczestniczę w religijnych nonsensach?

Dalton wpatrywał się w niego przez chwilę, czekając, aż Marston wreszcie usiądzie.

- Ja też nie uczestniczę w religijnych nonsensach. Mimo to cenię uczciwość, pokorę, współczucie i wielkoduszność.

Marston zaklął.

- Mówisz jak naiwny kaznodzieja.

- To nie ma znaczenia. Przyjechałem tu po to, żeby usłyszeć, co twoim zdaniem wydarzyło się na Alasce między tobą a moją matką.

Oczy jego brata zwięzły się jeszcze bardziej.

- Wyglądasz na kompletnego półgłówka. Dlaczego myślisz, że cokolwiek ci powiem? Nawet ludzie w moim wieku nie zwracają się do mnie w sposób, w jaki ty to robisz. Dlaczego zakładasz, że miałbym ci na to dłużej pozwalać?

- Pozwolisz na to i powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Do niedawna bardzo niewiele wiedziałem o naszym ojcu, a o waszym istnieniu nie miałem w ogóle pojęcia. Moja matka nigdy o tym nie wspominała.

- Nie spodziewałbym się po niej niczego więcej. Twoja matka to oszustka i złodziejka. Nie zasługuje nawet na to, żeby chodzić po tym pustkowiu.

Słyszając pełne nienawiści słowa Marstona, Dalton miał ochotę zerwać się na równe nogi. Wiedział jednak, że brat celowo stara się wyprowadzić go z równowagi: chce, żeby połknął haczyk, i usiłuje wzbudzić w nim gniew. *Jeżeli stracisz nad sobą panowanie - pomyślał Dalton - Marston przejmie nad tobą kontrolę.*

- Radzę ci powstrzymać się od ataków na moją matkę.

- Chciałeś poznać prawdę.

Dalton zacisnął pięść, ale po chwili ją rozluźnił.

- Chcę wiedzieć, dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś. Daruj sobie oczernianie mojej matki.

Marston roześmiał się.

- A jeśli sobie nie daruję? Co wtedy zrobisz? Na twarzy Daltona pojawił się uśmiech.

- W Sitce, kiedy mężczyzna obraża kobietę, odpowiada się zwykle porządnym ciosem w twarz. Biorąc pod uwagę, że nie należysz do najmłodszych i nie masz zbyt wielu atutów, a ja jestem młody i całkiem silny, nie wątpię, że miałbym nad tobą dużą przewagę. To mogłoby mi dać sporą satysfakcję.

Marston przez chwilę przypatrywał się w milczeniu Daltonowi, po czym raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Co takiego chcesz wiedzieć?

- Chcę poznać prawdę. Jesteśmy tu sami. Chcę wiedzieć, dlaczego to wszystko zrobiłeś.

Marston siedział w milczeniu przez kilka długich minut. Wreszcie spojrzał Daltonowi w oczy.

- Zrobiłem to dla pieniędzy. Nic więcej. Stanowiłeś klucz do rodzinnego majątku. Dzięki tobie miałem uzyskać do niego dostęp.

Dalton nigdy by się do tego nie przyznał, ale słowa brata bardzo go zaboląły. Matka ostrzegała go przed Marstonem, ale on ciągle miał nadzieję, że prawda okaże się inna. Targały nim silne emocje, ale w tej sytuacji musiał pozostać skoncentrowany.

- Czy w jakimkolwiek stopniu żałujesz tego, co zrobiłeś? - zapytał Dalton, który zdawał sobie sprawę, że jego brat nie ma na tyle rozwiniętego sumienia, żeby móc odczuwać żal.

-Tak.

Ta odpowiedź zaskoczyła Daltona.

- Czy zechcesz wytłumaczyć, co masz na myśli?

- Powinienem po prostu poczekać, aż będziesz trochę starszy, a potem zwabić cię do Kansas City, do mnie i Mitchella. Wtedy wprowadzilibyśmy cię w rodzinny interes: przecież zgodnie z wolą ojca to właśnie my mieliśmy go zastąpić. On nie miał nawet pojęcia o twoim istnieniu. Przez cały ten czas Lydia nie potrafiła mu dać potomstwa.

- Bo bił ją tak mocno, że za każdym razem dochodziło do poronienia - odpowiedział Dalton. - Dzięki temu, że umarł, zdołała donosić mnie aż do porodu.

- Twoja matka przysporzyła mu wielu problemów. Ojciec musiał trzymać ją w ryzach. Nie było cię jeszcze na

świecie, więc łatwo ci widzieć w niej świętą. Ale uwierz mi, to nieprawda.

Dalton roześmiał się.

- Nigdy tego nie powiedziałem, ale jeżeli żyje na tym świecie kobieta, która przypomina świętą, bez wątpienia jest nią moja matka. Zupełnie jej nie znasz.

- Wiem, że to z jej powodu oskarżono mnie o zabójstwo i usiłowanie zabójstwa. Nie wspominając o porwaniu. Wiem też, że nastawiła przeciw mnie moją młodszą siostrę i całą rodzinę. Oraz własnego męża.

- Moja matka nie nastawiła nikogo przeciw tobie. Evie przybyła na Alaskę złamana i pogrążona w rozpacz. Słyszała, jak przyznałeś się bratu i jej mężowi, że usiłowałeś zabić moją matkę, po to żeby mnie porwać. Nie mogła tego znieść. - Dalton pokręcił głową. - Im dłużej z tobą rozmawiam, tym wyraźniej widzę, że nic cię nie obchodzi ból i cierpienie, którego stajesz się przyczyną. Z twojej winy moja matka niemal nie umarła, a proces jej powrotu do zdrowia był wyjątkowo powolny i żmudny. Zakładam, że raczej cię to cieszy, niż zasmuca. Mogę tylko dziękować Bogu za to, że nie wychowywał mnie człowiek tak bezduszny jak ty.

- Jesteś strasznie naiwny - oznajmił rzeczowo Marston. - Nie rozumiesz, jak funkcjonuje świat. Ludzie odnoszą rany. Ludzie cierpią. Ludzie umierają. To prosty cykl. Nasz ojciec był człowiekiem interesu, człowiekiem zamożnym. Łaknął władzy i szacunku... dostawał i jedno, i drugie. Tego typu rzeczy są ważne dla większości mężczyzn.

- Mój ojciec potrafi się nimi cieszyć, choć rzadko kiedy na kogokolwiek podnosi głos, nie mówiąc już o morderstwach. Wydaje mi się, że to ty nie rozumiesz, jak funkcjonuje świat.

- Być może w twoim odizolowanym małym miasteczku tak to rzeczywiście wygląda. Ale nie tutaj. Na świecie ży-

ją naprawdę źli ludzie, Daltonie, ale ja do nich nie należę. Najlepiej, żebyś tu został i sam się o tym przekonał. Zmieniłem się. Gdybym dawniej postąpił inaczej i podjął inne decyzje, może prosiłbyś mnie teraz, żebym opowiedział ci o rodzinnym interesie. Rozumiałbyś, jakie znaczenie ma to, żebyśmy z Mitchellem go odbudowali, co zawsze było nam pisane. Z czasem zrozumiałbyś też, że więź, która łączy nas, mężczyzn z rodziny Grayów, ma ogromną siłę: jest niezniszczalna. To, że matka wywiozła cię na Alaskę i pozwoliła wychowywać cię nieznanemu, nie zmienia faktu, że jesteś jednym z nas. Płyń w tobie ta sama krew. Jesteśmy braćmi, Daltonie, i nic tego nie zmieni. Ani pragnienia twojej matki, ani tysiące kilometrów. Gdybyś tu został, moglibyśmy wspólnie zbudować imperium.

- Jesteśmy braćmi: to prawda. Nie czuję jednak, żeby łączyła nas jakakolwiek więź. Szczerze mówiąc, brzydzę się tobą. Znajdujesz tysiące wymówek i wzajemnie sprzecznych, wręcz absurdalnych wyjaśnień. Jesteś samolubny i działasz przede wszystkim z myślą o własnym interesie. Nic cię nie obchodzą inni ludzie. Nigdy nie mógłbym prowadzić z tobą jakiegokolwiek interesu. Nie ufam ci teraz i nie wierzę, żebym mógł ci kiedykolwiek zaufać.

Marston zarechotał.

- I to jest to twoje chrześcijańskie przebaczenie i współczucie? Myślałem, że chrześcijańskie wartości są dla ciebie najcenniejsze.

Dalton wstał i przez chwilę wpatrywał się w Marstona w milczeniu. Potwierdziło się absolutnie wszystko, co opowiadały mu o nim siostra i matka. Marston był kłamcą i oszustem, bezwzględnym człowiekiem, który nie zamierzał przestrzegać żadnych zasad - ani ludzkich, ani Boskich.

- Powinieneś dziękować Bogu za to, że chrześcijańskie wartości i przekonania są dla mnie tak ważne. Sądzę, że

gdyby nie to, zabiłbym cię już przy pierwszym spotkaniu: bez chwili namysłu zemściłbym się za to, co zrobiłaś mojej matce. Jednak z radością pozwolę Bogu dokonać zemsty i w jej, i w moim imieniu. A teraz chciałbym, żebyś już wyszedł. Nie ma sensu, żeby Evie cię tu zastała po powrocie.

- Myślałem, że chcesz poznać moją wersję wydarzeń - rzucił szyderczo Marston.

Dalton pokręcił głową i ruszył w stronę drzwi.

- Znam już twoją wersję wydarzeń.

Phoebe szła po schodach prowadzących do domu Lindquistów. Ostrożnie wetknęła pod ramię pudełko świec, które zamówili. Zastanawiała się, czy nie powinna porozmawiać z Lydią o tym, co powiedział Juri, ale ostatecznie uznała, że to głupi pomysł. Lydia na pewno nie miała pojęcia o zawodach, które urządzili sobie Dalton z Jurim - a nawet jeśli o nich wiedziała, co mogła w tej sprawie powiedzieć?

- O, miło cię widzieć - powitała ją Zee, otwierając drzwi. Wprowadziła Phoebe do środka. - Chciałabym cię przedstawić kilku młodym damom, które akurat nas odwiedziły.

Phoebe zobaczyła kilka dziewcząt siedzących w kręgu. Wydawało się, że żadna z nich nie ma więcej niż piętnaście lat. Posłała dziewczętom uśmiech, który one odwzajemniły.

- Moje drogie, poznajcie Phoebe Robbins - oznajmiła Zee. - Razem z matką wytwarza świece, zresztą przyniosła kilka z nich z sobą. - Przedstawiła po kolei każdą z dziewczyn, podając zarówno tlingicką, jak i amerykańską wersję jej imienia. - Eleanor i Edith to siostry. Edith ma szesnaście, a Eleanor siedemnaście lat. Mary i Deborah mają po piętnaście lat, a Catherine osiemnaście. Wszystkie są mężatkami i przychodzą tu się uczyć, bo nie mogą chodzić do szkoły.

Meżatkami? Ta wiadomość, a także wiek dziewcząt, stanowiły dla Phoebe spore zaskoczenie. Wszystkie wydawały się niewysokie. *Chociaż właściwie sama nie należę do najwyższych* - pomyślała. W związku z jej drobną figurą i niskim wzrostem ludzie często błędnie oceniali jej wiek.

- Miło mi was poznać.

- Dziś zajmujemy się pikowaniem. Może masz ochotę się do nas przyłączyć? - zapytała Zee.

- Nie, dziękuję za zaproszenie, ale dziś nie mogę długo zostać. Mama prosiła, żebym przyniosła świece, które zamówiła Lydia.

Zee wzięła od Phoebe pudełko.

- Jeśli masz ochotę się z nią przywitać, Lydia pracuje za domem.

- Tak zrobię. Miło cię było widzieć, Zee. Mam nadzieję, że niedługo znowu się spotkamy.

- Może kiedyś pokazałabyś dziewczętom, jak się robi świece?

- Chętnie wspomnę o tym pomysle matce - odpowiedziała Phoebe. - Myślę, że mogłybyśmy coś takiego zorganizować.

Zee uśmiechnęła się.

- Zatem do następnego razu.

Phoebe skinęła głową i wyszła przed dom. Ruszyła we wskazanym przez Zee kierunku i po chwili dostrzegła Lydię idącą w jej stronę alejką.

- Dzień dobry, pani Lindquist.

- Przecież umówiliśmy się, że będziesz mówiła do mnie na „ty”.

- Zapomniałam - przyznała Phoebe. - Przyniosłam ci świece. Dałam je Zee i przy tej okazji dowiedziałam się, że jesteś na zewnątrz. Chciałam się tylko przywitać.

- To miło z twojej strony - odpowiedziała Lydia. - Chciałabym z tobą porozmawiać. Przyszły do nas nowe wieści: Evie wysłała do Seattle telegram i poprosiła kapitana statku płynącego na północ, żeby go nam przekazał. Wczoraj odebraliśmy tę wiadomość. Ona i Dalton powinni dotrzeć do domu za mniej więcej dwa tygodnie.

- Wspaniała wiadomość. Jestem pewna, że się za nimi stęskniłaś.

- To prawda. Muszę przyznać, że bardzo się o nich niepokoiłam. Ale Evie zapewnia, że wszystko jest w porządku. Na pewno opowiedzą o szczegółach pobytu po powrocie.

- A... Dalton? Czy on też wraca?

- Och, oczywiście. Dalton nie potrafiłby opuścić Sitki na długo. Kocha to miejsce. To jego dom.

Choć Phoebe niecierpliwie czekała na jego powrót, słowa Lydii w pewnym sensie ją rozczarowały. Sitka nadal wydawała jej się obca. Teraz, kiedy nadeszła jesień, Phoebe jeszcze bardziej tęskniła za Nową Anglią i wspaniałymi kolorami drzew w Vermont. Tęskniła za wieloma rzeczami, które za sobą zostawiła.

- Wydajesz się smutna. Źle się czujesz? - zapytała Lydia.

- Nie, nic mi nie jest - odpowiedziała Phoebe. - Po prostu nie do końca odnajduję się w Sitce. Zazdroszczę wam, że tak dobrze się tu czujecie. W jaki sposób udało się wam przyzwyczaić do niemal całkowitej izolacji?

Lydia roześmiała się.

- Nigdy nie lubiłam życia w mieście. Panował tam zgiełk i zaduch, na ulicach roiło się od ludzi... Wydaje mi się, że tak samo łaknęłam ciszy, jak ty starasz się od niej uciec.

- To spokojne miejsce - zgodziła się Phoebe. - Mimo to nieustannie modłę się, żeby Bóg pozwolił mi się stąd wydostać. - Natychmiast zaczęła żałować tego, co powiedziała.

Lydia poklepała ją po ramieniu.

- Nigdy nie prosiłaś Boga, żeby pomógł ci pokochać nowe miejsce? Często modlimy się nie o to, co trzeba.

- Miałabym modlić się o miłość do Sitki?

- Dlaczego nie? Zamiast prosić Go, by cię stąd zabrał, może lepiej, żebyś modliła się o dostrzeżenie zalet nowego miejsca, do którego On cię zaprowadził? I o to, żebyś zaczęła się tu dobrze czuć?

Phoebe nigdy nie przyszło to do głowy.

- To by pewnie nie zaszkodziło. Ale co potem?

- Kto to może wiedzieć? To Bóg kieruje naszą wędrówką po tej ziemi. Tylko on wie, dokąd cię to wszystko doprowadzi - odpowiedziała Lydia.

- Zamiary Boga pozostają dla nas niekiedy niezrozumiałe, ale to dobry Ojciec, Phoebe. Chce dawać swoim dzieciom wszystko, co najlepsze. Święty Paweł pisał w *Liście do Filipian*, że warto nauczyć się tego, by czerpać zadowolenie z życia niezależnie od okoliczności, w jakich się w danym momencie znajdujemy. To niezwykle ważne. Jeśli naprawdę będziesz chciała, Bóg pozwoli ci tego dostąpić.

Phoebe przez chwilę rozważała te słowa, po czym kiwnęła głową.

- Chyba tego chcę. Wspaniale byłoby budzić się każdego ranka, nie tęskniąc za innym miejscem. Czasem tęsknota staje się tak silna, że boję się wstać z łóżka.

- No cóż, ja też tego doświadczam, choć z zupełnie innych powodów. Zauważyłam, że w miarę jak się starzeję, coraz bardziej lubię spać - odpowiedziała Lydia ze śmiechem.

Phoebe zastanawiała się nad słowami Lydii do późna w nocy. Gdy była już sama w swoim pokoju, sięgnęła

po Biblię i w *Liście do Filipian* zaczęła szukać fragmentu, o którym mówiła Lydia. Wreszcie udało jej się go znaleźć w czwartym rozdziale:

„Nie mówię tego bynajmniej z powodu niedostatku: ja bowiem nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem. Umiem cierpieć biedę, umiem i obfitować. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, obfitować i doznawać niedostatku. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”*.

Czy Chrystus pomoże jej pokochać Sitkę i nauczyć się odczuwać zadowolenie niezależnie od okoliczności, w których się znajdzie, niezależnie od tego, dokąd poniesie ją życie? Ludzie zawsze uzależniali swoje radości i smutki od okoliczności zewnętrznych. Kiedy umierali ich bliscy, rodziny rozpaczały. Kiedy ktoś otrzymywał jakieś błogosławieństwo, cieszyli się. Nawet pogoda wpływała na poziom zadowolenia niektórych ludzi. Czy naprawdę potrafiłaby odnaleźć szczęście w każdych warunkach, w jakich by się znalazła?

- Napisano tu, że „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”.
Wszystko - szepnęła do siebie. - *Wszystko*.

* Biblia Tysiąclecia, *List do Filipian*, 4, 11-13.

Rozdział 14

Idźcie już - nakazała Zee. - My z dziewczynkami zjemy sobie tymczasem miłą kolację, a potem popracujemy nad pikowaniem narzuty.

Lydia zerknęła na Kjella i uśmiechnęła się.

- Słyszysz? Będziemy mieli chwilę tylko dla siebie. Od dawna nam się to nie zdarzyło.

Kjell uśmiechnął się szeroko.

- Ten pomysł bardzo mi się podoba, pani Lindquist. Przygotuję furmankę.

Delikatnie pocałował żonę w policzek i wypadł z pokoju jak młody człowiek, który zaleca się do swojej wybranki. Zee roześmiała się.

- Bawcie się dobrze, Lydio. Spróbujcie choć na chwilę zapomnieć o wszystkich zmartwieniach. Bóg nad wszystkim czuwa.

Lydia kiwnęła głową. Obawiała się, że jej ukochany syn wróci do domu całkowicie odmieniony. Nie wiedziała tylko, czy będzie to zmiana na lepsze. Zrobiła, co tylko mogła, żeby wychować go na człowieka kochającego Boga i myślącego przede wszystkim o terażniejszości. Często powtarzała swoim dzieciom, że nie mogą ani zmienić przeszłości, ani przenieść się w przyszłość. Tłumaczyła, że mają tylko terażniejszość i że muszą żyć w taki sposób, żeby nie żałować później ani jednego dnia. Rozpamiętywanie przeszłości nie ma w sobie nic z myślenia konstruktywnego. Dobrze o tym wiedziała.

Było jej chłodno przez cały dzień, dlatego teraz sięgnęła po wełnianą pelerynkę.

- Dziękuję ci, Zereldo. Jestem niezwykle wdzięczna Bogu za te wszystkie lata, które wspólnie przeżyliśmy. Pomogłeś mi w tak wielu sprawach. - Pocałowała ciotkę w policzek. - Myślę, że stałaś mi się bliższa niż moja własna matka.

Zee wyciągnęła dłoń i dotknęła policzka Lydii.

- A ty jesteś dla mnie jak córka, której nigdy nie miałam. Kjella traktuję jak syna. Wasze dzieci są dla mnie tak ważne jak własne. To ja ci dziękuję.

- Kiedy przypominam sobie, jak przyjechałam tu wiele lat temu... - Lydia zamilkła i potrząsnęła głową. - Moje życie w niczym nie przypomina tamtego i prawie udało mi się zapomnieć o przeszłości. Aż do chwili, kiedy Dalton postanowił odbyć tę podróż na południe. Mam nadzieję, że mu to nie zaszkodzi.

- Wychowałeś go na dobrego człowieka, Liddie. Teraz ma szansę tego dowieść.

- Nie zdajesz sobie sprawy, z jakimi ludźmi mamy do czynienia - powiedziała Lydia, marszcząc brwi.

Zee chwyciła jej dłoń.

- Ale wiem, co obiecał nam Bóg. I co ważniejsze: wierzę, że Bóg dotrzymuje swoich obietnic.

Lydia kiwnęła głową.

- Ciągle to sobie powtarzam. Staram się zachowywać spokój i cieszyć się życiem niezależnie od okoliczności. Wczoraj nawet przypominałam sobie ten ustęp z *Listu do Filipian*.

- Więc posłuchaj własnej rady i pamiętaj, że Chrystus da ci siłę niezbędną do zmierzenia się ze wszystkimi przeciwnościami losu. Nawet z koszmarami przeszłości.

Lydia wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Jej ciotka miała rację. Musiała po prostu pozostać silna - i ufać w siłę Boga.

- Wygląda na to, że Kjell na ciebie czeka. - Zee popchnęła ją lekko w stronę drzwi. - No już, uciekaj stąd. Mamy z dziewczynkami swoje plany. Wysłałam je po materiał i po jedzeniu urządzimy sobie prawdziwą sesję pikowania.

- Mam nadzieję, że będziecie dobrze się bawiły - powiedziała Lydia.
- Nie wrócimy późno.

Kiedy wyszła na dwór, Kjell zatrzymał furmankę pod domem. Podszedł i pomógł jej wsiąść, po czym usiadł obok niej, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Wreszcie mam cię tylko dla siebie. - Pochylił się i zaskoczył ją namiętym pocałunkiem. Lydia wtuliła się w niego, głośno wzdychając. Kjell zachichotał. - No cóż, skoro już udało mi się zwrócić twoją uwagę, kochanie... dokąd chciałabyś pojechać?

- Dokądkolwiek, o ile będziesz przy mnie. - Uśmiechnęła się do niego i pozwoliła, żeby otoczył ją swoim ramieniem. - Możemy po prostu urządzić sobie miłą przejażdżkę, a potem przekąsić coś, kiedy już się ściemni.

- Podoba mi się ten pomysł. - Kjell łagodnie potrząsnął lejcami i konie ruszyły. - Wio!

Droga stopniowo zbliżała się do linii wybrzeża, a Lydia mogła podziwiać wspaniały widok na port. Przypomniało jej się zamieszanie, które wybuchło w Sitce kilka lat temu. To wtedy Sheldon Jackson rzekomo bezprawnie zajął pobliskie tereny. Tak naprawdę nie chodziło wtedy o nic więcej, tylko o rozdmuchany konflikt terytorialny. I na tym by się pewnie skończyło, gdyby Jackson nie naraził się kilku osobom, które były wtedy u władzy. Ludzie ci postanowili się zemścić i próbowali zszargać jego reputację - co niemal się udało. Szkoła dla indiańskich dzieci wkrótce opustoszała, a Jacksona aresztowano. Ostatecznie jednak konflikt został zażegnany, Jacksona uwolniono, a większość ludzi, którzy próbowali się go pozbyć, dawno już wyjechała z Sitki.

- Wyglądasz na zamyśloną.

Lydia spojrzała na Kjella i kiwnęła głową.

- Ostatnio miałam dużo na głowie.

- Chodzi ci o Daltona i Evie?

- Między innymi - odpowiedziała nieśmiało.

- Liddie, żyjemy z sobą od dziewiętnastu lat i zdążyłem cię już nieźle poznać.

- No cóż, myślę też o innych sprawach i ludziach - wyjaśniła lekko zmieszana.

- Ale to głównie o Daltona się martwisz, prawda? No już, Liddie. Przyznaj się.

Lydia cofnęła się.

- A która matka nie martwiłaby się na moim miejscu? Wiemy dobrze, jak podłym człowiekiem jest Marston.

- Przez ten czas nawet on mógł się zmienić - zauważył Kjell.

- Och, nigdy nie tracisz optymizmu - odpowiedziała, krzyżując ramiona na piersiach.

Kjell roześmiał się, ale ciągnął dalej:

- Najprawdopodobniej masz rację i Marston nie zmienił się w najmniejszym stopniu. Ale nawet jeśli rzeczywiście pozostał tak samo złym człowiekiem, to nie ma znaczenia. W sercu Daltona mieszka przecież Bóg. Niełatwo na niego wpłynąć. Musisz wziąć pod uwagę, że nasz syn bardzo wydorósł. Potrafi o siebie zadbać, Liddie.

Westchnęła.

- Wiem, że masz rację. Dalton to dobry człowiek i muszę ufać, że Bóg nad nim czuwa, niezależnie od tego, gdzie przebywa i kogo spotyka na swojej drodze. Bóg mu towarzyszy.

- To prawda. Musimy pamiętać, że czasem martwimy się biegiem wydarzeń, bo pozostają one poza naszą kontrolą. Nigdy jednak nie pozostają poza kontrolą Boga.

- Czy myślisz, że ta podróż pomoże Daltonowi?

Kjell przez chwilę milczał: Lydia widziała, że poważnie zastanawia się nad jej pytaniem. Często tak robił, kiedy chodziło o jakąś istotną sprawę.

Lydia przeniosła wzrok na słońce, które tymczasem zachodziło na horyzoncie. Woda łagodnie uderzała o brzeg: był w tym jakiś niezwykle spokojny. Ten niezmienny, miarowy ruch dodawał jej otuchy.

- Myślę, że za sprawą Boga spotyka nas wiele rzeczy, które na pozór nic nam nie dają, dopiero z perspektywy czasu widzimy, że w pewien sposób nam pomogły. Dotyczy to nawet największych tragedii, które dotyczą nas na przestrzeni lat. - Kjell dał koniom znak, żeby zwolniły. - Sądzę, że jeżeli Dalton na to pozwoli, Bóg wyjawia mu za pośrednictwem tych doświadczeń wiele ważnych prawd o sobie samym i o życiu.

Te słowa przyniosły jej ukojenie.

- Wiem, że masz rację.

- Więc czym jeszcze się martwisz? - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Nie niepokoisz się chyba o dziewczynki, prawda?

- Nie, nie do końca. Chociaż Kjerstin coraz wyraźniej deklaruje, że chciałaby zostać pielęgniarką, tak jak Zee. To oznacza, że będzie musiała wyjechać do szkoły na południe.

- Ale przecież nie robi tego przez najbliższych dziesięć lat. Do tego czasu może jeszcze dwadzieścia razy zmienić zdanie.

- Wiem, ale ten czas minie szybciej, niż nam się wydaje. Ale... No cóż... ostatnio moje myśli zaprzęta jeszcze jedna dziewczyna.

Uniósł brew. - Kto?

- Phoebe Robbins.

- A to dlaczego? Czy chodzi o jej grę w naszej orkiestrze? Nadal chce z nami występować, prawda?

- Tak. Wszystko jest w porządku i chce z nami występować. - Lydia zamilkła, a po chwili zaczęła mówić dalej. - Niepokoi mnie raczej coś... tylko proszę, nie uznaj mnie za naiwną... coś, co wiąże się z nią i z Daltonem.

Na twarzy Kjella malowało się całkowite zaskoczenie.

- O czym ty mówisz?

W umyśle Lydii kłębiły się obrazy Daltona i Phoebe, a także wspomnienia jej własnych modlitw.

- Zanim Dalton wyjechał do Kansas City, na podstawie urywków jego wypowiedzi zrozumiałam, że zaczął interesować się Phoebe. Także i ona dała mi ostatnio jasno do zrozumienia, że za nim tęskni. Zadawała mi też zawoalowane pytania na jego temat. Zresztą od dawna modliłam się, żeby Dalton znalazł właściwą kobietę, z którą będzie mógł się ożenić. Im więcej się modłę, tym głębsze mam poczucie, że Bóg przygotował dla niego Phoebe. Nie wiem do końca dlaczego, ale wierzę, że są sobie przeznaczeni.

W typowy dla siebie sposób Kjell zamilkł, rozważając to, co przed chwilą usłyszał. Tymczasem wjechali do miasteczka i zaczęli witać się ze znajomymi. Wreszcie Kjell zatrzymał furmankę.

- Przejdźmy się.

Lydia zaczęła, aż pomógł jej zsiąść, po czym ruszyli na spacer ścieżką prowadzącą wzdłuż nabrzeża. Trzymali się za ręce, a słońce powoli znikało za linią horyzontu.

- Myślę, że jeżeli rzeczywiście tak jest, Liddie, powinnaś zwrócić się do Boga z pytaniem, co robić w tej sytuacji. Oczywiście problem miłości trzeba zostawić Phoebe i Daltonowi.

- Ale właśnie o to się martwię. Bardzo lubię Phoebe i uważam, że jest uroczą młodą kobietą. Problem polega na

tym, że ona nie znosi Sitki. A wiesz przecież, jak Dalton kocha to miejsce. Zawsze powtarzał, że nie mógłby mieszkać nigdzie indziej.

- Jak dotąd nigdy nigdzie nie wyjeżdżał. Teraz, kiedy ma za sobą podróż do Stanów i kiedy doświadczył życia w mieście, mógł zmienić zdanie.

Lydia zmarszczyła brwi, rozważając słowa męża. Trudno było jej uwierzyć, że miasto mogłoby zauroczyć Daltona. Tak bardzo kochał samotność, którą zdawał się odnajdywać tylko wysoko w górach, że nawet Sitka zdawała się dla niego za duża.

- Co cię tak martwi? - zapytał Kjell. Pokręciła głową.

- Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby Dalton z własnej woli porzucił to miejsce. Łatwiej mi już wyobrazić sobie Phoebe pozostającą w Sitce niż Daltona, który zgodziłby się stąd wyjechać.

- Mężczyzna gotów jest robić najbardziej zaskakujące rzeczy dla kobiety, którą kocha - odpowiedział Kjell. - Nigdy nie zamierzałem ponownie się żenić, ostatecznie też pożegnałem się z myślą o założeniu rodziny. Myślałem po prostu, że do końca życia będę pracował w tartaku. I wtedy w moim życiu pojawiłaś się ty.

Uśmiechnął się do niej w sposób, który sprawił, że serce Lydii na chwilę przestało bić. Ach, jej mąż pozostawał najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała.

- Dalton może w pewnym momencie zrozumieć, że nic nie jest ważniejsze od tego, by kochać Phoebe i być z nią, cokolwiek to oznacza. Podobnie stało się ze mną, kiedy cię poznałem.

- Masz rację. Kiedy Phoebe wyznała mi, jak trudno żyje jej się w Sitce, przypomniałam jej słowa świętego Pawła

z *Listu do Filipian*. Przywołałam fragment, w którym święty Paweł mówi o zadowoleniu, i zasugerowałam, żeby się modliła i prosiła Boga, by pomógł jej znaleźć jak najwięcej rzeczy, które zdoła pokochać w Sitce. - Lydia ominęła kałużę. - Wolałam nie sugerować, że Dalton mógłby dla niej zmienić zdanie i wyjechać. Och, Kjell, gdyby nas zostawił, pękłoby mi serce.

Kjell otoczył Lydię ramieniem.

- Wiem, że to byłoby trudne, ale kochanie, musimy brać pod uwagę i taką możliwość. Nie możemy przecież trzymać go na smyczy. Będzie podejmował własne decyzje i podążał w kierunku, który przygotował dla niego Bóg. - Zamilkł na chwilę i wziął Lydię w ramiona. - Ale nie martw się. Będę przy tobie na każdym etapie tej drogi. Nie musisz mierzyć się z tym wszystkim sama. Ty i ja stawiliśmy już czoło znacznie gorszym rzeczom. - Pocałował ją w czubek nosa. - Wspólnie przez to wszystko przejdziemy.

- Chyba nie jesteś w najlepszym humorze - zauważyła Evie, siadając obok Daltona na patio. Słońce już dawno zdążyło zniknąć z nieba nad Kansas City, ale zapalono kilka lamp gazowych, które delikatnie rozświetlały ogród.

- Mam po prostu poczucie, że nie osiągnąłem tego, co sobie założyłem przed wyjazdem - wyjaśnił. - Liczyłem na to, że zbuduję prawdziwy związek z moim ojcem i lepiej zrozumieć dziedzictwo Grayów. Liczyłem na to, że poczuje choćby nić przywiązania do mojej rodziny. A tymczasem myśl o tych ludziach napawa mnie głębokim smutkiem.

Evie wyciągnęła z kieszeni metalowe pudełko i podała je Daltonowi.

- Otwórz je.

Zrobił, o co prosiła, i jego oczom ukazała się ferrotypowa fotografia mężczyzny, który bardzo przypominał Marstona i Mitchella. Dalton zerknął na Evie pytającym wzrokiem.

- To nasz ojciec, Floyd Gray. Pomyślałam, że może chciałbyś mieć jego zdjęcie.

Dalton raz jeszcze spojrzął na fotografię.

- Czy jestem do niego podobny?

- Nie. Ani trochę. Jesteś podobny do matki.

- Wydaje się srogi, wręcz bezduszny. Dokładnie taki jak Marston i Mitchell. - Zamknął pudełko. - Jak oni mogą tak postępować? Czy są kompletnie pozbawieni serca?

Evie westchnęła.

- Myślę, że ojca wychowano na surowego i nieugiętego człowieka. Moja matka była łagodna, a jej pełne miłości i dobroci zachowanie stanowiło dla mnie wzór. Natomiast Jeannette zazdrościła chłopcom uwagi, jaką poświęcał im ojciec, i usiłowała zrobić wszystko, żeby mu zaimponować. Nawet jeśli musiała się w tym celu stać dokładnie taka jak on. Moi bracia mogli te cechy wykorzystać do robienia interesów, ona natomiast stała się po prostu kłótniwa i jędzowata.

- Cieszę się, że wdałaś się w matkę - powiedział Dalton, lekko się uśmiechając. Po chwili odwrócił głowę i wbił wzrok w trawnik. - Myślę, że w moim sercu już na zawsze pozostanie puste miejsce. Nigdy nie poznam ojca ani nie zrozumieję jego motywacji.

Evie zamyśliła się, po czym odrzekła:

- Wiem, że jutro wyjeżdżamy, ale pociąg rusza dopiero koło południa. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Chciałabym cię zabrać do domu, w którym dorastaliśmy. Należy teraz do Jeannette, ale wiele rzeczy pozostało takimi, jakie były w naszym dzieciństwie. Mogę ci nawet pokazać portret mojej matki. Wszyscy twierdzą, że jestem do niej bardzo podobna.

Dalton przytaknął.

- Bardzo chętnie go zobaczę.

- Być może wizyta w tym domu pozwoli ci lepiej poznać naszego ojca. Kto wie? W każdym razie chciałabym, żebyś wrócił do Sitki z poczuciem, że udało nam się coś osiągnąć. Wiem, że podobnie jak dla mnie, ta podróż wiele dla ciebie znaczyła.

Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że dzięki tej podróży zaznasz wreszcie spokoju ducha.

- Tak się stało. Teraz mogę wreszcie zamknąć za sobą wiele drzwi. Odejście Thomasa przyniosło mi wielką ulgę. Nie życzyłam mu śmierci, ale nie chciałam też, żeby wszystko wyglądało dalej tak samo jak do tej pory. Brałam pod uwagę i to, że kiedy się tu zjawimy, okaże się, że nic mu nie dolega, a Jeannette zmyśliła całą tę historię. Podjęłam decyzję, że jeśli tak się stanie, poproszę go o rozwód.

- Wiem, że to byłoby dla ciebie bardzo trudne - powiedział Dalton.

- To prawda, ale z pewnością nie trudniejsze niż to, przez co już przeszłam. Wiele lat byłam żoną pozbawioną męża... no cóż, to było trudne, delikatnie mówiąc. Thomas nie chciał ani mnie, ani miłości, którą mogłam mu dać. Teraz nadszedł czas, żebym poszukała kogoś, kto tej miłości pragnie.

- Tak się składa, że znam idealnego kandydata - na twarzy Daltona malowało się rozbawienie. - Biedny Joshua. Kiedy wrócisz do domu, będzie kompletnie zaskoczony.

- Daltonie Lindą! - zawołała z udawanym oburzeniem. - Jak możesz wygadywać takie rzeczy?

Jej brat serdecznie się roześmiał. Evie uśmiechnęła się: cieszyła się, że coś zdołało poprawić mu nastrój.

- Wiem tylko, że Joshua szaleje za tobą, a ty jesteś w nim równie zadurzona. Jeżeli chcesz mojej rady, Evie, nie trać

czasu na głupie tradycje, zrezygnuj z żałoby i zalotów. Wmaszeruj prosto do biura Josha i wyznaj mu, co czujesz. Wystarczająco długo czekałaś na miłość - odpowiedział wreszcie Dalton.

Na samą myśl o Joshu zarumieniły jej się policzki. A jeśli źle odczytała jego uczucia? A jeśli podczas jej nieobecności znalazł sobie inną kobietę? Evie zmusiła się do porzucenia tych rozważań. Nawet jeśli tak się stało, nie pozna odpowiedzi, jeśli nie zada pytania. Dalton miał rację. Musiała zebrać się na odwagę i zacząć walczyć o to, co liczyło się najbardziej.

Rozdział 15

Muszę przyznać, że trochę mnie zaskoczyliście - oznajmiła Jeannette, podejrzliwie przyglądając się Evie i Daltonowi.

Dalton pomyślał, że jego krążąca po salonie siostra przyrodnia do złudzenia przypomina niespokojną kwokę. Jej lawendowa suknia wydawała się zbyt obcisła, co sprawiało, że wyglądała jeszcze bardziej groteskowo.

- Przykro mi, ale wyjeżdżamy za niecałe trzy godziny - wyjaśniła Evie. - Właśnie dlatego zawiadomiłam cię wczoraj wieczorem.

- Mimo to uprzedziłaś mnie dość późno.

- Nie wiedziałam, że muszę zapowiadać nasze odwiedziny. Nie przyjechaliśmy tu przecież z wrogą misją - odpowiedziała Evie, zdejmując rękawiczki.

- A dlaczego właściwie przyjechaliście? - zapytała Jeannette. - Wczoraj wieczorem niewiele mi wyjaśniłaś.

- Dalton chciał zobaczyć dom, w którym żyli jego rodzice.

- Po co? - zapytała podejrzliwie Jeannette. Dalton uśmiechnął się.

- Po to, żeby lepiej zrozumieć przeszłość i choćby przez chwilę jej doświadczyć.

Na twarzy Jeannette malowała się irytacja.

- No cóż, skoro musicie... Oprowadzę was po domu, a potem możemy wspólnie napić się herbaty.

- Jeannette, jeżeli nie masz nic przeciwko, wolałabym sama oprowadzić Daltona. Jeżeli nie chcesz, żebyśmy wchodzili do któregoś z pokoi, po prostu powiedz, a będziemy trzymali się od niego z daleka.

- Jeannette wyglądała na urażoną, więc Evie szybko dodała: - A potem zdążymy jeszcze wspólnie napić się herbaty.

- Ja... no cóż... to dość niecodzienne - oznajmiła Jeannette.

- Jeżeli to ci nie odpowiada, możemy natychmiast opuścić twój dom - zaznaczył Dalton.

- Nie! - zaprotestowała ich siostra. - I tak zrezygnowałam już z planów na dziś. Skoro już przyszliście, możecie zostać.

Jeannette wydawała się bardzo samotna i Dalton zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście miała na dziś jakieś plany. Najwyraźniej ich obecność nie była tu pożądana, ale z drugiej strony Jeannette desperacko pragnęła towarzystwa.

- Śmiało, oglądajcie dom. Wszystkie pokoje są otwarte - powiedziała Jeannette. - Ja w tym czasie będę przygotowywać nam coś do picia. - Evie kiwnęła głową, a ich siostra pośpiesznie opuściła pokój.

Dalton rozejrzył się wokół siebie. Znajdowali się w bogato urządzonej sypialni. Meble zdawały się nieco zniszczone, w każdym zaś kącie i na każdej płaskiej powierzchni stały niezliczone bibeloty. Wprawdzie nie znał się na dziełach sztuki, ale przypuszczał, że wszystkie te przedmioty są bardzo cenne.

- Czy to rzeczy z czasów naszego dzieciństwa? - zapytał.

- Nie. Jeannette ma specyficzny gust. Nasza matka lubiła eleganckie przedmioty, ale nie znosiła przesady i nadmiernego przepychu. Wydaje mi się, że ten portret to jedyna rzecz, która do niej należała - powiedziała Evie, przyglądając się obrazowi, wciąż wiszącemu nad kominkiem.

- W pierwszej chwili myślałem, że to ty - oznajmił zaskoczony Dalton, po czym raz jeszcze spojrzął na obraz.

- Zauważyłem go, kiedy tu weszliśmy. To podobieństwo robi niesamowite wrażenie.

Evie pograżyła się w myślach. Dalton widział, że portret miał na nią szczególny wpływ. Milczał, czekając, aż jego siostra będzie gotowa i wróci do rozmowy.

Evie najwyraźniej uwielbiała swoją matkę. Świadczyły o tym choćby wspomnienia, którymi się z nim podzieliła. Na tę głębię uczuć nakładał się fakt, że Evie na własne oczy widziała, jak jej ojciec - ich ojciec - zamordował ją bez żadnych skrępowań.

- A wiele lat później jego syn usiłował zabić moją matkę

- wyszeptał.

Evie odwróciła się, nagle przypominając sobie o jego obecności.

- Słucham?

- Myślałem właśnie o tym, jak nasz ojciec ją zabił. A potem, wiele lat później, jego syn, a nasz brat, próbował zabić moją matkę.

- To dość osobliwa więź, nie sądzisz? - zapytała Evie, patrząc mu w oczy. - To śmieszne, ale nigdy nie czułam bliskości z resztą rodzeństwa. Jedyne ty jesteś dla mnie prawdziwym bratem. Współdzielimy wspaniałe wspomnienia pięknych, radosnych chwil. Takie obrazy nie łączą mnie z pozostałymi braćmi. Ani nawet z Jeannette. Wiem, że wyjazd do Sitki w pewnym sensie uratował mi życie - mówiła dalej. - Nie sądzę, by ktokolwiek próbował mnie zabić, ale jeśli chodzi o emocje, każdego dnia odbierali mi coś bardzo ważnego. Tak jakby czuli, że mogą stopniowo odrywać kolejne części mojej duszy, jedną po drugiej, powoli, aż ostatecznie zdobyliby ją całą. A ja przestałabym po prostu istnieć.

Dalton widział ból w jej oczach. Odczuwał głęboki smutek na myśl o tym, co spotkało Evie. Jej życie w Kansas City okazało się okrutnym żartem. W tym przypadku słowo „rodzina” było bez wątpienia fikcją, pozbawioną tego, co wśród bliskich ludzi najważniejsze - miłości i radości.

Evie opuściła dłonie i dotknęła swojego granatowego kostiumu. Jej wzrok przeniósł się z powrotem na portret jasnowłosej kobiety.

- Kiedy powstał ten portret, była zaledwie rok starsza ode mnie, a mimo to wyglądała tak staro. Ma puste, pełne smutku oczy. Ale znam ją od innej strony. Ten portret zamówiła dla naszego ojca. Taki dała mu prezent na Boże Narodzenie: ten obraz i własną śmierć.

Dalton otoczył Evie ramieniem. Poczul, że jego siostra drży.

- On już cię nie skrzywdzi. Nikt spośród nich nie może ci nic zrobić.

Spojrzała na niego, a w jej oczach wyczytał błaganie o to, żeby dodał jej pewności. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Niedługo wrócimy do domu, Evie. Już żadne z nich nie będzie miało na nas wpływu.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała, lekko kiwając głową. - To wszystko okazało się dużo trudniejsze, niż myślałam.

- Powrót do tego domu? - Tak.

- Evie, jeżeli chcesz, możemy już iść. Nie muszę niczego więcej oglądać - zaproponował Dalton.

- Może ty nie... aleja muszę. - Podniosła głowę. - Muszę wrócić na strych. Nie byłam tam od... tamtego dnia.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz? Skinęła głową.

- Chyba nie mam wyboru. Tylko w ten sposób mogę się uwolnić od ciężaru wspomnień.

- W takim razie prowadź. Pójdę z tobą i wspólnie stawimy im czoło.

Ruszyli przez kolejne pomieszczenia i zaczęli piąć się do góry po majestatycznych schodach. Evie opowiadała Daltonowi niezliczone historie o tym, jak bawiła się na stopniach, podczas gdy młode służące polerowały kolejne słupki poręczy. Kiedy dotarli na drugie piętro, pokazała mu, gdzie znajdował się pokój Lydii.

- Prawie nic się tu nie zmieniło - powiedziała. - Odnoszę wrażenie, że pościel i dywany są inne, ale nawet zasłony do złudzenia przypominają te, które zapamiętałam z tamtego czasu.

Dalton spojrzał na zniszczoną boazerię.

- Rzeczywiście, wygląda tak, jakby nic się nie zmieniło.

Nie mógł uwolnić się od świadomości, że ojciec bił jego matkę. Przerząła go także myśl o nocy, podczas której został poczęty. Dlaczego ten mężczyzna był taki okrutny? Czy z biegiem lat on sam może stać się podobny do Floyda Gray a? Jego bracia mieli w sobie tę samą bezwzględność. Czy to było w tej rodzinie dziedziczne?

- Wszystko w porządku? - zapytała Evie.

- Ja też mam swoje demony. Matka opowiadała mi, jak okrutnie traktował ją nasz ojciec. Mówiła, że nie zostałem poczęty z miłości, tylko na skutek jego brutalnego ataku.

Tym razem to Evie starała się go wesprzeć.

- Tak mi przykro, Daltonie. Nie chcę kłamać i utrzymywać, że jej życie było przyjemne. Sądzę, że nie zaznała tu ani jednego szczęśliwego dnia. Kiedy akurat nie musiała mierzyć się z naszym porywczym ojcem, to zmagiła się z nami, jej pasierbami. Nasi bracia nie mieli do niej za grosz szacunku, o miłości nie wspominając. A Jeannette niena-

widziała Lydii za to, że zajęła miejsce naszej matki. Ale ja ją kochałam. Już wtedy ją kochałam. Oczy Evie wypełniły się łzami.

- Kiedy moja matka zginęła, byłam bardzo młoda, a okoliczności tej śmierci sprawiły, że pogrążyłam się w strachu i rozpacz. Żyłam w przekonaniu, że jeżeli ojciec odkryje moją tajemnicę, spotka mnie ten sam los.

- Moja matka była taka młoda, kiedy wyszła za ojca... -powiedział Dalton. - Musiała być przerażona.

- Wiem, że bywała maltretowana i wykorzystywana, ale Lydia zawsze zwracała się ku mnie. Wiedziała, że ze strony naszego rodzeństwa nie może na nic liczyć. Ja zaś pragnęłam czułości, a ona potrzebowała mojej miłości. Oczywiście nie mogłyśmy się z tym ujawniać. Jeannette ciągnęła mnie za ucho, ilekroć zastawała mnie w towarzystwie Lydii. Zabierała mnie wtedy pod byle pretekstem i mówiła, że nigdy nie powinnam być miła dla tej kobiety. Miłość do Lydii, jak powtarzała Jeannette, oznaczała nienawiść do naszej matki. A nienawidząc naszej matki, wystawiałyśmy się na straszliwą karę z rąk Boga.

- I wierzyłaś jej?

Evie wzięła głęboki oddech i westchnęła.

- Myślę, że czasami wierzyłam. Pamiętaj, że żyłam wtedy w przekonaniu, że pewnego dnia ojciec może mnie zabić. Przez te wszystkie lata chciałam żyć u boku Lydii także dlatego, że tylko ona rozumie moje bolesne wspomnienia: koszmar małżeństwa z dużo starszym człowiekiem, którego się nawet nie zna, a tym bardziej nie kocha.

Wyszli z pokoju i wrócili na schody.

- Moja matka usiłowała stworzyć ciepły, przytulny dom, ale ojciec nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Jeannette opowiadała mi, że matka często okazywała Marstonowi

i Mitchellowi czułość, a wtedy ojciec oskarżał ją, że stara się osłabić jego synów i zrobić z nich nieudaczników.

- To takie smutne - powiedział Dalton, kiedy dotarli na trzecie piętro.
- Gdyby Bóg nie otoczył mnie opieką, spotkałby mnie ten sam los.

Evie kiwnęła głową.

- O tym też często myślałam. Cieszę się, że Bóg dał ci lepszego ojca. Kjell to niezwykły człowiek. Wypełnił moje serce nadzieją, że nie wszyscy mężczyźni są bezwzględni i okrutni.

Evie zerknęła w prawo i wyjaśniła:

- To piętro było przeznaczone dla służby. - Skręciła w lewo, po czym ruszyła przed siebie korytarzem, a Dalton ruszył za nią. Kiedy dotarli do końca korytarza, Evie zatrzymała się. - Na lewo znajdują się schody dla służby.

- A tu? - zapytał Dalton, wskazując na prawo. Spojrzała na drzwi, a na jej twarzy dało się zauważyć oznaki troski.

- To droga na strych. - Wydawało się, że próbuje zebrać myśli. - Kiedy byłam mała, uwielbiałam się tu zakradać. Grzebałam w starych kufkach i skrzyniach i znajdowałam niezliczone skarby. Lubiłam też to miejsce ze względu na panującą tu ciszę. Poza tym często przychodziła tu matka.

Evie wyciągnęła dłoń i przekręciła gałkę. Drzwi jęknęły i zaskrzypiały, po czym ustąpiły i otworzyły się na oścież. Na szczycie schodów widniała plama jasnego światła.

- Idziemy? - zapytała.

Dalton przytaknął i uśmiechnął się do niej.

- Jestem przy tobie.

Zaczęli wspinać się po schodach. Evie nie bez powodu szła wolno. Wydawało się, że podczas tej drogi próbuje się przygotować na to, co czeka ją u jej kresu.

- Tamtego dnia bawiłam się tu jak zwykle, mimo że nie wolno mi było tego robić. Matka weszła na górę. Na taras, który znajdował się na dachu, prowadziło niewielkie przejście. Lubiła tam czasem spacerować... pewnie po to, żeby chociaż na chwilę zapomnieć o codziennych troskach. -Kiedy dotarli na strych, Evie wskazała dłonią. - To właśnie tutaj.

Dalton dostrzegł drzwi prowadzące na taras. W pomieszczeniu zamontowano kilka dużych, owalnych okien, przez które wlewało się światło wypełniające całe pomieszczenie.

- Matka stała w tym miejscu, a ja się ukryłam. Może gdybym się ujawniła, nie zginęłaby tamtego dnia.

- Albo zabiły was obie - zauważył rzeczowo Dalton.

- To prawda. Często się nad tym zastanawiałam. Ojcu zdarzało się już łapać mnie wcześniej na strychu i za każdym razem dostawałam lanie. Twierdził, że strych jest po to, żeby zajmowała się nim służba, a nie żeby bawiła się tam córka Graya.

- Co się stało tamtego dnia, Evie?

- Moja matka płakała. Często to robiła, kiedy tu przychodziła. Spacerowała w tę i z powrotem i łkała, wiedząc, że nikt jej tu nie usłyszy. Zawsze miałam poczucie, że dzięki temu łączy nas szczególna więź. Mama nie chciałaby, żebym o tym wiedziała, więc nigdy o niczym nie wspominałam. Wiedziałam jednak, że coś nas z sobą wiąże. Coś zdecydowanie głębszego niż wszystko, co mogliby dzielić z nią moi bracia i siostra.

Evie podeszła do drzwi i spróbowała je otworzyć. Z początku nawet nie chciały drgnąć, ale po chwili ustąpiły. Do środka wdarło się rześkie, wrześniowe powietrze. Evie mówiła wcześniej, że tego dnia panuje wyjątkowy jak na tę porę roku chłód, i Dalton zastanawiał się, jaka pogoda musi teraz być w domu, na Alasce.

- Przez chwilę ją obserwowałam, a potem nagle usłyszałam czyjeś kroki. Zjawił się ojciec. Ledwo zdążyłam się ukryć. Wszedł na taras, objął mamę i przez chwilę myślałam, że może wszystko dobrze się skończy. Kiedy ją pocałował i wziął w ramiona, pomyślałam, że to bardzo romantyczna chwila. Taka naiwność głupiutkiej małej dziewczynki... - Odwróciła się do Daltona. - Ale nie łudziłam się długo. Chwilę później przerzucił ją przez balustradę. Spadła z czwartego piętra i zginęła na miejscu. Wszystko widziałam przez to okno. - Wskazała duże owalne okno po swojej lewej stronie. - Tak bardzo się bałam. Byłam przekonana, że ktoś odkryje, iż to wszystko zobaczyłam. Po tym wydarzeniu nie mogłam spać przez wiele tygodni. Lekarz tłumaczył mojej niani, że dziecko w taki sposób oplakuje stratę matki. Podali mi więc laudanum i nikt się nad tym dłużej nie zastanawiał.

- Tak mi przykro, Evie. To straszne przeżycie, nie tylko dla dziecka, ale dla każdego człowieka. - Dalton podszedł i dotknął jej ramienia. - Ale to już przeszłość. Nie musisz się dłużej zadręczać tym, co widziałaś. Mówiłaś, że twoja matka żarliwie kochała Jezusa. Teraz ma swoje miejsce w niebie i może wreszcie zaznać prawdziwego spokoju.

- Tak. - Evie zamknęła oczy i kiwnęła głową. - Myślę, że mogę to wreszcie zostawić za sobą. Cały mój smutek i żal. Wszystkie troski dzieciństwa. - Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. - Mogą zostać tutaj, razem z wszystkimi innymi niechcianymi wspomnieniami z przeszłości.

- Myślę, że masz rację. - Dalton przytulił siostrę. - A teraz wracajmy do domu.

Phoebe poszła na długi spacer wzdłuż wybrzeża, niedaleko szkoły dla indiańskich dzieci, założonej przez Jackso-

na. Uwielbiała rosnące tu wysokie świerki, a także sposób, w jaki ocieniały tę okolice, tworząc coś w rodzaju baldachimu wiecznie zielonych konarów. Unosił się tu mocny, czysty i orzeźwiający zapach. Właśnie tutaj najłatwiej jej było sobie wyobrazić, że mogłaby pokochać Sitkę.

Zaczęło mżyć, ale Phoebe znalazła schronienie pod osłoną zieleni. Ostry aromat porośniętej mchem ziemi łączył się z zapachem drzew. Zapach ten sprawiał, że zapuszczała się coraz głębiej w las. Stał tu totem, niczym milczący wartownik, jeden ze wspaniałych wytworów Tlingitów - poza nim nie było tu ani śladu obecności człowieka.

W pobliżu dostrzegła skałę i postanowiła na chwilę usiąść. Zatopiła się w panującej tam ciszy, wspominając ostatnie wydarzenia. Myślała o wizycie, którą złożył jej niedawno Juri: przeproszał ją za swoje zachowanie i błagał, żeby nie chowała urazy do niego ani do Daltona. Rozpaczliwie tłumaczył, że on i Dalton od zawsze z sobą rywalizowali, a tego rodzaju zawody były dla nich codziennością. Nie chcieli w żaden sposób urazić Phoebe.

Zgodziła się im wybaczyć, ale uprzedziła Juriego, że wolałaby nie spotykać się z nim przez jakiś czas. Musiała poszukać w swoim sercu pewnych odpowiedzi i zdecydować, czego tak naprawdę chce. Potrzebowała czasu, żeby przystosować się do nowego życia na Alasce. Juri nie był zachwycony, ale zgodził się trzymać od niej z daleka aż do powrotu Daltona.

- On wróci już niedługo - szepnęła. Radość, którą poczuła, nie pozostawiała wątpliwości, czego tak naprawdę pragnie jej serce. Mimo to nie opuszczała jej świadomość, że Dalton kochał to miejsce i samotność, której mógł tu doświadczać. Nie zamierzał stąd nigdy wyjeżdżać.

- A ja zostanę tu tylko tak długo, jak długo pan Knapp będzie gubernatorem - przypomniała sobie.

Gdyby prezydent wezwał go z powrotem do Stanów, gdyby Knapp zachorował i musiał zostać zastąpiony... wyjechaliby stąd i najprawdopodobniej nigdy by nie wrócili. Phoebe zastanawiała się nad tym przez chwilę. Co by się stało, gdyby wzięła ślub z Daltonem? Jak przyjęłaby rozstanie z rodziną, która musiałaby wyjechać z Alaski?

Ależ ja jestem głupia. Przecież nikt nie powiedział, że po powrocie do Sitki Dalton zechce się o mnie starać. Mógł nawet poznać w tym czasie jakąś inną kobietę i się z nią ożenić.

Zmarszczyła brwi. Z pewnością by tego nie zrobił. Wielu mężczyzn jeździło na południe w poszukiwaniu żony i wielu z nich żeniło się dużo szybciej, niż Phoebe uznawała to za stosowne - ale była przekonana, że Dalton do nich nie należał.

Wstała i ruszyła w dalszą drogę. Wątpliwości nie dawały jej spokoju. Wyszła z lasu i dotarła na brzeg, gdzie zaczęła w zamyśleniu wpatrywać się w fale. Nadchodził przypływ. Czy miał przynieść z sobą Daltona?

Rozdział 16

Wspaniale! - oznajmiła Zee, oceniając pracę każdej z dziewcząt.

Phoebe zarumieniła się, słysząc te słowa pochwały. Wielu jej nauczycieli traktowało uczniów niezwykle surowo, kompletnie nie zważając na to, czy lekcje sprawiają im jakkolwiek przyjemność. Zee zdawała się rozumieć wartość nauki opartej na pochwałach, które stanowią najlepszy bodziec do wykonania zadania.

- Ściegi będą trochę drobniejsze, jeżeli ustawisz igłę pod nieco innym kątem - Zee poinstruowała Eleanor. - Widzisz, jeżeli będziesz ją trzymała bardziej pionowo, ledwo przebijając materiał, możesz ją potem łatwiej wyciągnąć. - Eleanor skinęła głową i podjęła kolejną próbę. Zee uśmiechnęła się. - Świetnie. Dużo lepiej.

Chcąc wypełnić czymś wolny czas, Phoebe spędzała ostatnio całe dni razem z Zee i jej uczennicami. Stopniowo kończyły się zapasy materiałów niezbędnych do produkcji świec, a Phoebe i jej matka postanowiły zostawić sobie jakiś zapas do czasu przyjscia następnej dostawy. Kolejny parowiec miał się pojawić w miejscowym porcie około dwudziestego - dopiero za kilka dni. Phoebe miała nadzieję, że na jego pokładzie przybędą zarówno zapasy, jak i Dalton oraz Evie.

Phoebe starała się choć na chwilę zapomnieć o Daltonie, ale jej myśli cały czas krążyły wokół niego. Szczególnie

często powracało do niej wspomnienie, jak wspaniale się czuła, tańcząc w jego ramionach. To wszystko wydawało jej się dość niedorzeczne. Przecież przed jego wyjazdem na południe ledwo zdążyli się poznać. Myśl o tym, że mógł odwzajemnić jej uczucie... Poza tym nie dawała jej spokoju kwestia rywalizacji Daltona i Juriego o jej względy. To musiało coś znaczyć. Schlebiało jej takie zainteresowanie: w Vermont nigdy nie interesowało się nią zbyt wielu mężczyzn, ale tu, na Alasce, Phoebe miała z czego wybierać. Mężczyźni często zwracali się do jej rodziców, prosząc o jej rękę. Atrakcyjna dziewczyna z porcelanową cerą i jasnymi włosami stanowiła w Sitce pewną nowość. To wszystko sprawiało, że Phoebe czuła się tu trochę jak królowa balu.

Jedyny problem polegał na tym, że w niezrozumiały sposób zdążyła już stracić głowę dla Daltona Lindquista, choć teraz nawet nie było go w Sitce i nie miał okazji się do niej zalecać. Słuchała opowieści Lydii o jego dzieciństwie i wiedziała o jego marzeniu: chciał założyć własny interes i budować łodzie. Lydia wspominała też o jego głębokiej wierze, a Phoebe w ostatnim czasie dużo więcej uwagi przykładła do spraw wiary. O ile w przeszłości nie bardzo interesowały ją niedzielne kazania, to od pewnego czasu słuchała ich wyjątkowo uważnie.

Cieszył ją też duchowy aspekt przyjaźni z Lydią i Zee. Dzięki nim Phoebe zrozumiała, że Biblia jest czymś więcej niż tylko zbiorem reguł sformułowanych przez Boga. Ich wskazówki pozwoliły jej pojąć, że to raczej napisany przez Boga list miłosny do ludzi, który miał im pozwolić Go lepiej poznać. Lydia i Zee modliły się w niezwykle sposób, tak jakby Bóg siedział tuż obok nich i prowadził z nimi zwykłą rozmowę. Pod ich wpływem Phoebe zaczęła uczyć się na pamięć biblijnych wersetów.

- Czyżbyś śniła na jawie? - zapytała ją Zee. Zaskoczona Phoebe podniosła wzrok i zauważyła, że

pozostałe dziewczęta zdążyły już odłożyć swoje robótki.

- Przepraszam. Jak zwykle się zamyśliłam. - Oderwała nitkę i zaczęła pakować swoje rzeczy do małego kuferka podróznego, który dostała od matki.

Młode Tlingitki pożegnały się i ruszyły do domów. Phoebe miała ochotę zapytać Zee, czy nie miała jakichś wieści od Daltona, ale wiedziała, że nie warto tego robić. Nie było szans, żeby dotarły do nich nowe listy. Phoebe miała nadzieję, że parowiec zawita do portu za kilka dni, przywożąc na swoim pokładzie Daltona zamiast listu.

Jestem zbyt niecierpliwa - pomyślała. - Muszę odnaleźć w sobie dar wytrwałości.

- Nie mogę się doczekać powrotu Daltona i Evie - powiedziała Lydia, krzątając się po pokoju. - Nie potrafię przestać o nich myśleć, a przez to nie mogę się skupić na niczym innym.

- To akurat prawda - potwierdziła Zee, puszczając oko do Phoebe. - Wczoraj wyszedł jej piękny zakalec, bo pomyliła wszystkie składniki.

Lydia zarumieniła się i potrząsnęła głową.

- Nie powinnaś wyjawiać wszystkich moich wstydliwych tajemnic.

Zee roześmiała się.

- No cóż, przecież nie wspomniałam Phoebe o tym, że całymi nocami chodzisz w tę i z powrotem, bo nie możesz spać. Nie mówiłam też, że przyszyłaś rękaw do koszuli, którą robisz dla Daltona, w taki sposób, że w żaden sposób nie można jej założyć.

- Och, przestań - poprosiła Lydia. - Nie chcę, żeby nasza Phoebe źle o mnie myślała.

- Nie mogłabym źle myśleć ani o tobie, ani o Zee - zapewniła natychmiast Phoebe. Bardzo lubiła, gdy Lydia mówiła o niej „nasza Phoebe”. Dzięki temu mogła czuć się tak, jakby już należała do rodziny Lindquistów. - Podziwiam was. Nie mogłabym wskazać wspanialszych kobiet, oczywiście poza moją matką.

- Towarzystwo twojej matki stanowi dla mnie bardzo miłą odmianę - powiedziała Lydia. - Jest rozsądna i inteligentna, a te cechy bardzo cenię u kobiet. Kobiety często starają się ukrywać swoją inteligencję, bojąc się, że w jakiś sposób urażą mężczyzn. Wydaje się, że twoja matka się tym nie przejmuje.

- To prawda. Twierdzi, że to jedna z rzeczy, które przyciągnęły do niej mojego ojca. Pewnego dnia usłyszał jej przemówienie poświęcone prawom kobiet. Przedstawiła tak przekonujące argumenty, że poprosił ją, by wystąpiła przed grupą jego znajomych, postępowych myślicieli. Ta propozycja zaintrygowała matkę. Opowiadała mi, że byli to prawdopodobnie najinteligentniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek poznała. Co ciekawe, nie budziła w nich grozy myśl o tym, że kobiety mogłyby uzyskać prawo do udziału w wyborach albo posiadania nieruchomości czy samodzielnego prowadzenia interesów. Opowiadała, że zakochała się w ojcu właśnie podczas tego spotkania.

- Ależ to romantyczne - powiedziała Lydia. - To wspaniała historia, wprost wymarzona, żeby po latach opowiadać ją własnym dzieciom.

- Z pewnością jest to lepsza opowieść niż ta, którą trzeba zacząć od wyznania, że wypadło się przez burtę i mało co nie straciło życia w wodach zatoki - odpowiedziała Phoebe. W momencie gdy uświadomiła sobie sens własnych słów, zasłoniła usta dłonią i zrobiło jej się gorąco.

Lydia i Zee roześmiały się, ale nie zaczęły jej dokuczać. Nie zbeształy jej też za te śmiałe słowa, wręcz przeciwnie: starały się dodać jej otuchy.

- Dlaczego, przecież to wspaniała opowieść. To naprawdę piękne: miłość twojego życia ratuje cię przed śmiercią - stwierdziła Lydia.

Zee kiwnęła głową.

- A to, że go zrugłaś, sprawia, iż ta historia staje się jeszcze bardziej atrakcyjna.

Phoebe jęknęła.

- Och, musicie myśleć, że jestem okropna.

- Nonsens. - Lydia wyciągnęła dłoń i poklepała ją po ramieniu. - Uważam cię za wspaniałą i czarującą osobę. Nie potrafiłabym wyobrazić sobie lepszej żony dla mojego syna.

Phoebe szeroko otworzyła oczy i usta.

- Nie powinnaś mówić takich rzeczy. Zee zachichotała.

- Dlaczego nie? Czyżbyś i ty o tym nie myślała? Phoebe zaczęła nerwowo bawić się dłońmi.

- Nie wiem, co powiedzieć... Ja po prostu... no cóż... jestem tylko głupią gąską, jak mawia mój ojciec.

- Takie myślenie to nedorzecznosc - zaprotestowała Lydia. - Uważam, że ty i Dalton świetnie do siebie pasujecie, i zamierzam namawiać swojego syna, żeby cię odwiedził po powrocie... choć wątpię, żebyś musiała to robić. Zdążyłaś zrobić na nim duże wrażenie, jeszcze zanim wyjechał. Jeżeli dobrze oceniam uczucia swojego syna, a znam go przecież nie najgorzej, ta rozłąka sprawi, że będzie zabiegał o ciebie z jeszcze większą determinacją. Ale teraz chciałabym na chwilę zmienić temat.

Phoebe skinęła głową. Wydawało jej się, że nic nie mogłoby już wprawić ją w większe zakłopotanie.

- O co chodzi?

- Zastanawiałam się, czy nie chciałabyś pomóc nam z Zee zaplanować przyjęcia powitalnego dla Evie i Daltona

- zagadnęła Lydia.

Phoebe uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością. Co miałabym zrobić? Lydia usiadła obok Phoebe.

- Myślę, że powinniśmy zająć się dekoracjami. Czy mogłabyś nam w tym pomóc?

- Nie wiem, co konkretnie planujecie, ale bardzo chętnie wezmę w tym udział.

- Zee uważa, że powinniśmy poprzestać na prostych dekoracjach. Na przykład przystroić pomieszczenie gałązkami świerków i wstążkami. Wykorzystamy też trochę świec, które kupiłam od twojej matki.

- Ja zamierzam upiec tort - dodała Zee. - Ugotuję też porządny garnek potrawy z kluskami. Wybrałam już nawet w tym celu ładnego, tłustego koguta. Mięso powinno być przepyszne.

- A kiedy urządzimy to przyjęcie? - zapytała Phoebe.

- Przecież nie sposób przewidzieć, kiedy parowiec przyplynie do Sitki.

- Już się nad tym zastanawialiśmy - odpowiedziała Zee. - Po prostu wszystko wcześniej przygotujemy, a szczegółami zajmiemy się w ostatniej chwili. - Uśmiechnęła się. - Koguta mogę umieścić w chłodni do czasu, aż będzie potrzebny.

- A ja przygotowuję zaproszenia - dodała Lydia. - Ludzie powinni wiedzieć, że organizujemy przyjęcie w dniu, w którym do portu zawita parowiec. Czy mogłabyś doręczyć zaproszenia mieszkańcom miasteczka?

- Oczywiście. Bardzo chętnie to zrobię. - W jednej chwili w głowie Phoebe pojawiły się setki pytań. Co włożyć na przyjęcie? Czy właśnie wtedy zobaczy Daltona po

raz pierwszy po tak długiej rozłące? Oczekiwanie na jego powrót okazało się wyjątkowo trudne. A jeśli marzenie, które powstało w jej umyśle, nigdy nie będzie mogło się spełnić? Co pocnie, jeżeli jej serce podąży fałszywym tropem, a Dalton okaże się zupełnie innym człowiekiem niż ten, o którym śniła?

Och, dlaczego parowiec nie mógł pojawić się w zatoce już jutro? Wtedy mogłaby rozwiązać dręczące ją obawy i wreszcie odetchnąć z ulgą.

W tej samej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi, a do środka wpadły Kjerstin oraz Britta. Zaaferowane dziewczynki przekrzykiwały się i wymachiwały rękami.

- Mamo, w szkole była dziś bójka! - oznajmiła Britta.

- To poważna sprawa. Jeden z chłopców miał rozbity nos - dodała Kjerstin.

Phoebe przyglądała się, jak Lydia wstaje, żeby opanować sytuację.

- Tak, mnie też miło was widzieć - oznajmiła Lydia.

- Joseph nazwał Vasilę śmierdzącym mieszkańcem - wyjaśniła Kjerstin. - Jego matka jest Tlingitką, a ojciec Rosjaninem. Nauczycielka tłumaczyła, że to Kreol.

- Ale wcale nie śmierdział - wtrąciła Britta. - Pachniał normalnie. Bawiłam się z nim. Brał kąpiel w zeszłą sobotę.

Dziewczynki były tak przejęte swoją opowieścią i skupione na przytaczaniu kolejnych mrożących krew w żyłach szczegółów, że nie zwróciły nawet uwagi na Phoebe. Britta drobiazgowo opisała nawyki kąpielowe Vasily. Wyglądało na to, że chłopiec kąpał się co sobotę przed niedzielną wizytą w kościele. Jego matka i ojciec byli członkami Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i bardzo dbali o to, żeby Vasilła wchodził czysty do domu Boga.

Kjerstin niepokoiła się przede wszystkim niesprawiedliwością, do której jej zdaniem doszło podczas tego zda-

rzenia. Wydawała się zbulwersowana faktem, że pozostałe dzieci, a także nauczycielka, odpowiedzialnością za całą sytuację obarczyli Vasilę.

- Nie lubią go, bo nie jest całkiem biały. Mówili, że powinien chodzić do szkoły dla Tlingitów - oznajmiła Kjerstin.

- Tłumaczyłam, że to głupota, ale nie chcieli mnie słuchać.

- Dopiero w tym momencie dziewczynka zwróciła uwagę na Phoebe.

- Twój brat Grady powiedział, że to tylko brudny Indianiec.

- No cóż, mogę cię zapewnić, że mój brat Grady nie uniknie kary - odparła Phoebe. Czuła gniew na samą myśl o tym, że jej brat uczestniczył w tym wydarzeniu. - Nie został wychowany w taki sposób i nie powinien ani mówić takich rzeczy, ani mieć takich przekonań. Nasi rodzice będą zbulwersowani.

Kjerstin skinęła głową, usatysfakcjonowana odpowiedzią Phoebe. Po chwili przeniosła wzrok na swoją matkę.

- Dlaczego oni są tacy wstrętni? Nie lubią Tlingitów i nie lubią ludzi, którzy tylko częściowo są Tlingitami.

Lydia pokręciła głową.

- Uważają, że kolor skóry w jakiś sposób wpływa na wartość człowieka. Ale my wiemy, że to nieprawda. Bóg kocha wszystkich ludzi i to On nas wszystkich stworzył. Kolor skóry nie ma tu żadnego znaczenia.

- Popołniają wielki błąd - wtrąciła się Zee. - Nie rozumieją obcej kultury, a to sprawia, że zaczynają się jej bać.

- Nawet nie chcą jej poznać - dodała Lydia. - A to czyni ich ignorantami.

- A czy nie mogą spróbować jej rozumieć? - zapytała Britta. - Nie chcę, żeby doszło do następnych bójek.

- Ja też bym tego nie chciała - zapewniła ją matka. - Ale obawiam się, że dopóki będą między nami istniały różnice, dopóty ktoś zawsze chętnie zwróci na nie uwagę, a nawet

potępi drugiego człowieka z powodu tych różnic. Komuś mogą się nie spodobać jasne włosy. Ktoś inny uzna, że dziewczynki są gorsze od chłopców. Jeszcze inny człowiek zniechęci ludzi mówiących z obcym akcentem. Zawsze znajdzie się coś, co nie przypadnie innym do gustu. Phoebe pokiwała głową.

- Twoja mama i Zee mają rację. Gdyby ludzie poświęcili choć trochę czasu na poznawanie innych kultur, zamiast je z góry potępiać, być może nie budziłyby one w nich takiego strachu. - Zaczęła zastanawiać się nad tym, co powiedziała. Ileż to razy przechodziła na drugą stronę ulicy tylko dlatego, żeby nie mijać grupy Tlingitów siedzących obok przejścia? Przerażali ją zwłaszcza mężczyźni. Wydawali się szorstcy i niechętni. Być może był to tylko wytwór jej wyobraźni, ale miała wrażenie, że sama jej obecność budzi ich gniew.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Lydia swoim córkom - że z czasem, w miarę jak coraz więcej osób będzie wybierało tolerancję i uprzejmość zamiast pogardy i niechęci, podobne zachowania znikną na dobre.

- Po prostu mi się to nie podoba - oznajmiła Kjerstin, krzyżując ręce na piersiach. - Jutro walnę Josepha w nos i mu to powiem.

- Niczego podobnego nie zrobisz - ostrzegła Lydia. - Jesteś młodą damą, a młode damy nie walą innych w nos.

- Nigdy? - upewniła się Britta. - A jeśli ktoś uderzy cię pierwszy? Phoebe nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Żadna młoda dama nie powinna zostać przyłapana na udziale w bijatyce - wtrąciła Zee.

- Czyli jeśli nikt nas nie przyłapie, wszystko będzie w porządku? - zaciekawiała się Kjerstin. - Bo znam jedno dobre miejsce, gdzie nikt by nie zobaczył, jak walę Josepha w nos.

- Kjerstin, nie chcę, żebyś kogokolwiek biła - upomniała ją Lydia. -
Może zamiast tego pomodlisz się za Josepha?

- Ale on nie modlił się za Vasillę. Tylko go uderzył - zaprotestowała
Kjerstin.

Phoebe miała ochotę się roześmiać. Rozumowanie dziewczynki
wydawało się całkiem logiczne. Kjerstin kręciła teraz głową.
Najwyraźniej nie przekonały jej argumenty matki.

- I jak się to wszystko skończyło? - zapytała Zee, starając się odwrócić
uwagę dziewczynek.

- Nauczycielka powiedziała, że Vasilla powinien wrócić do domu i się
wykąpać - odpowiedziała Britta. - Ale on nie pachniał źle. Mył się w
sobotę - powtórzyła, tak jakby wcześniej przeoczyła ten istotny fakt. -
Nauczycielka zabroniła mu wracać, dopóki się nie wykąpie.

Zee zmarszczyła brwi.

- Chyba pójdę jutro do szkoły i zamienię parę słów z twoją
nauczycielką. To dobra kobieta, może po prostu źle oceniła sytuację. Nie
wolno pozwalać dzieciom dręczyć i lekceważyć kogoś tylko dlatego, że
jest inny.

- Dobrze - zgodziła się Kjerstin, zadowolona, że wreszcie udało im się
osiągnąć jakiś kompromis. - Ale nie zdziw się, jeżeli cię nie posłucha.

- Nigdy mnie to nie dziwi - zapewniła Zee. - To mnie po prostu
zasmuca.

Phoebe myślała o tym, co powiedziała Zee, jeszcze długo po
zrelacjonowaniu wydarzenia swojej matce. Grady został tego wieczoru
surowo ukarany, a także nie dostał deseru. Uważał, że to straszna
niesprawiedliwość. Jego zdaniem wszyscy Tlingici byli po prostu
brudnymi Indiancami: mieszkali na dworze przez większą część roku, nie
mie-

li zbyt wielu ubrań i zawsze siedzieli na ziemi. Jak mogli nie być brudni?

Większość ludzi myślała podobnie. Amerykańscy misjonarze i nauczyciele przekazywali Tlingitom podstawowe zasady higieny, ale ich tryb życia nie zawsze pozwalał się do zaleceń stosować. Mimo to Phoebe uważała, że nie czyni ich to złymi ludźmi. Westchnęła. Świat czasami okazywał się naprawdę okrutny.

Kładła się właśnie do łóżka, kiedy usłyszała stłumione głosy swoich rodziców. Wydawało się, że jej matka zwróciła się do ojca słowami: „Co ty mówisz?”.

Phoebe zakradła się pod drzwi i uchyliła je tak, żeby nieco lepiej słyszeć ich rozmowę. Ojciec coś tłumaczył:

- Miałem pewne podejrzenia, ale teraz wiem już na pewno. I myślę, że będą z tego kłopoty.

- Ale dlaczego musisz się w to mieszać?

- To przecież ja za to odpowiadam. Pracowałem z tym młodym człowiekiem przez ponad trzy lata, to mój podwładny. Lyman będzie oczekiwał, że zajmę się tą sprawą.

Matka Phoebe westchnęła.

- Ale on zna prawdę o twoim ojcu.

Przez kilka minut panowała straszna, pełna napięcia cisza. Wreszcie odezwał się jej ojciec:

- Nie pozwolę mu zrujnować reputacji Lymana. Może to oczywiście oznaczać koniec mojej kariery, ale nie pozwolę na to, żeby dalej kradł pieniądze z rządowych funduszy. Jeżeli postanowi mnie skompromitować, po prostu złożę rezygnację i wrócimy do Stanów. Moglibyśmy zamieszkać w Kalifornii.

Phoebe odetchnęła ciężko i zamknęła drzwi. „Zamieszkać w Kalifornii”? Ale co z Daltonem? I co z szansą na to, żeby lepiej się poznać - a może nawet zbudować wspólną przyszłość?

Rozdział 17

Phoebe przez wiele dni zamartwiała się tym, co usłyszała. Dwudziestego czwartego września dostrzeżono wreszcie parowiec, który zbliżał się powoli w kierunku Sitki. Rybacy, którzy zauważyli statek ze swojego kutra, szybko przekazali te wieści mieszkańcom miasteczka. Phoebe nie mogła opanować podekscytowania. Przejrzała swoją garderobę po raz setny, starając się zdecydować, co włożyć na tę okazję. Wreszcie ograniczyła wybór do uroczego haftowanego kostiumu w kremowym kolorze, dwuczęściowej jedwabnej sukienki, którą czasem wkładała do kościoła, i pięknej bladoniebieskiej sukienki z krepdeszynu.

Wiedziała, że żaden z tych strojów nie będzie szczególnie wygodny podczas pracy w kuchni, ale zależało jej przede wszystkim na tym, by oszołomić Daltona. To miało być ich pierwsze spotkanie po długiej rozłące i chciała, żeby zapadło mu w pamięć.

- Ale w pozytywny sposób - powiedziała na głos. - Nie tak, jak kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Podjęła już decyzję, że będzie na niego czekała w domu Lindquistów. Lydia chciała pójść po Daltona do portu i Phoebe uznała, że dzięki temu matka i syn zdołają spokojnie omówić wszystko, co wydarzyło się w Kansas City. Kjell zawiezie ich furmanką do domu, a Phoebe i Zee w tym czasie dokończą przygotowania.

Phoebe zdecydowała się w końcu na krepdeszynową sukienkę i zawołała matkę, prosząc, żeby pomogła jej za-

piąc guziki. Ledwo mogła spokojnie ustać, myśląc o wszystkim, co miała jeszcze do zrobienia przed pójściem do Lindquistów.

- Phoebe, nie kręć się tak, bo nigdy nie zapnę tych guzików.

- Przepraszam, mam. Po prostu... no cóż... po prostu bardzo się cieszę.

- Czy chodzi o Daltona Lindquista? Phoebe odwróciła się do matki.

- Nie mogę przestać o nim myśleć.

Matka uśmiechnęła się i odwróciła ją, żeby dokończyć zapinanie guzików.

- To bardzo miły młody człowiek, ale przecież ledwo go znasz.

- Mam poczucie, że znam go całkiem dobrze - przyznała Phoebe. - Spędziłam tak wiele czasu z jego matką i stryjeczną babką, że dowiedziałam się niemal wszystkiego o jego dzieciństwie i zainteresowaniach.

- To wspaniale, ale on nadal nie zna ciebie. Podczas swojej nieobecności nie miał przecież podobnej okazji. Gotowe, wszystkie guziki pozapinane.

Phoebe przypomniała sobie, co jej ojciec mówił o wyjeździe z Sitki. Nie chciała się przyznać, że podsłuchiwała ich rozmowę, ale rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

- Jak byś się czuła, gdybym... no cóż... gdybym wyszła za Daltona?

Jej matka ze zdziwienia rozdziawiła usta.

- O czym ty mówisz?

- Sama nie wiem - odpowiedziała Phoebe z pewnym zawstydzeniem.

- Czas, który razem spędziliśmy, był... wspaniały. Pamiętam, że nawet kiedy wypadłam z łodzi, a on mnie uratował, cudownie czułam się w jego ramio-

nach. Jest pełen dobroci i taktowny, a jednocześnie silny i zdecydowany.

- Ależ Phoebe, to za mało, by zbudować na tym małżeństwo. Musicie lepiej się poznać. Dajcie sobie trochę czasu. Skoro wrócił, na pewno cię odwiedzi. Dzięki temu będziecie mogli nieco więcej się o sobie dowiedzieć. A co z Jurim? Wydawało się, że i jego lubisz. Wiem, że doszło między wami do jakiejś kłótni, ale wyglądało na to, że odpowiada ci jego towarzystwo. Skąd wiesz, że nie byłby lepszym kandydatem?

- A ty skąd wiedziałaś, że to właśnie ojciec jest mężczyzną dla ciebie?
- zapytała Phoebe. Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Wiem, że to dość dziwne. Nie mam wielu argumentów, którymi mogłabym się podeprzeć, ale nie wyobrażam sobie przyszłości bez Daltona. Nie mogę przestać o nim myśleć.

Pokręciła głową i sięgnęła po szczotkę.

- Mamo, nie chcę zachowywać się lekkomyślnie, ale czy kiedy serce podpowiada, że to ten jedyny, nie powinno się go słuchać?

- Myślę, że wsłuchiwanie się w podszepty własnego serca jest ważne, ale trzeba też używać rozumu. Nie pozwól, by poniosły cię emocje. Jesteś przecież młoda i masz jeszcze czas na znalezienie męża.

- W marcu przyszłego roku skończę dziewiętnaście lat, a stąd już tylko krok do dwudziestu. Większość moich przyjaciółek wyszła za mąż tego lata albo weźmie ślub tej zimy. Wiesz doskonale, że gdyby chodziło mi tylko o znalezienie męża, mogłam wykorzystać już wiele sposobności. W Sitce mieszka mnóstwo samotnych mężczyzn. Ale tylko Dalton opanował moje myśli i podbił moje serce.

Matka podeszła do Phoebe i ucałowała ją.

- W takim razie słuchaj swojego serca. Ja tak zrobiłam i nigdy nie żałowałam. Nigdy.

Phoebe cofnęła się.

- Nawet kiedy dowiedziałaś się o ciemnych interesach dziadka? Nawet kiedy zrujnowały one reputację ojca?

Jej matka potrząsnęła głową.

- Nawet wtedy. Znam prawdę i wiem, kim jest twój ojciec. Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Kocham go.

Te słowa zrobiły na Phoebe duże wrażenie. Jak wspaniale po tylu latach czuć tak głęboką, nieprzemijającą miłość do drugiej osoby. Właśnie tego pragnęła: męża, u boku którego mogłaby się zestarzeć - niezależnie od tego, co przyniesie życie.

Myśli te nie opuszczały Phoebe także wtedy, gdy zjawiała się w domu Lindquistów, żeby pomóc w przygotowaniach do przyjęcia. Jej brat Theodore zatrzymał furmankę i niechętnie pomógł jej zsiąść.

- Przypomnij mamie, żeby zjawili się tu koło szóstej.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musimy przychodzić.

- Dlatego, że będzie mnóstwo pysznego jedzenia - zażartowała. - Posmakuj ci ciastka i torty Zee. Ona i Lydia mają wielki talent kulinarny.

Theodore nieco się ożywił.

- Myślisz, że zrobią coś czekoladowego?

- Na pewno. Zee wspominała coś o torcie czekoladowym.

Te słowa spotkały się z uznaniem piętnastolatka.

- W takim razie może nie będzie tak źle.

- Tylko koniecznie przypomnij mamie, że mają zjawić się tu na szóstą.

Jej brat wskoczył z powrotem na wóz.

- Dobrze, powiem jej.

Phoebe weszła po schodkach na ganek i po chwili znalazła się pod drzwiami. Delikatnie zapukała. Nie zdziwiła się, kiedy po chwili jej oczom ukazała się postać Zee.

- Wszyscy pojechali do portu - wyjaśniła Zee. - Ojej, ależ ty ślicznie wyglądasz. Musimy ci natychmiast włożyć fartuch, żebyś nie poplamiała tej pięknej sukienki.

- Nie byłam pewna, co powinnam włożyć. Chciałam wyglądać... no cóż... ładnie. - Phoebe zawahała się. Nie chciała, by zabrzmiało to tak, jakby domagała się komplementu.

- No i osiągnęłaś swój cel. Wyglądasz wspaniale. Ja przebiorę się, kiedy już polukruję tort. A ty możesz tymczasem zająć się dekorowaniem domu. Wszystko, co udało nam się tu zgromadzić, przeniosłyśmy do salonu.

Phoebe skinęła głową i wzięła fartuch. Zee pomogła jej uporać się z guzikami, a ona sama wygładziła go z przodu.

- Gotowe. Zawiążesz go już własnoręcznie - oznajmiła Zee.

Phoebe poradziła sobie z zawiązaniem fartucha w drodze do salonu. Spojrzała na gałęzie, które tam leżały, i uśmiechnęła się. Lydia poprosiła Kjella, żeby ten naścinał trochę świerkowych gałęzi, których zapach wypełniał teraz całe pomieszczenie. Wiedziała, że wkrótce rozejdzie się on po całym domu. Poprzedniego dnia Kjerstin i Britta pomogły jej zrobić girlandę. Teraz Phoebe zajęła się więc rozwieszaniem dekoracji.

Nad kominkiem Lydia ustawiła nową akwarelę namalowaną przez miejscową artystkę, Paulinę Cohen. Phoebe podobał się sposób, w jaki kobieta uchwyciła malowniczy port. Na niebie pojawiał się delikatny pomarańczowy

odcień, sugerujący nadejście zmierzchu. Phoebe ustawiła świece po obu stronach obrazu. Ich światło świetnie wydobywało kontrastujące z sobą barwy.

- To naprawdę piękny widok - oznajmiła Zee. - Skończyłam dekorować tort, więc pójdę teraz się przebrać. Zaraz wrócę.

- Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

- Nie, po prostu poczekaj i naciesz się tą ciszą. To nie potrwa długo.

- Zee uśmiechnęła się szeroko i ruszyła w stronę drzwi.

Phoebe skrzyżowała ręce na piersiach i rozejrzała się po pokoju, upewniając się, czy wszystko jest na swoim miejscu. Nagle poczuła niepokój. A jeśli Dal ton zmienił się tak bardzo, że przestał być mężczyzną, którym był przedtem? Lydia martwiła się o wpływ, jaki mogła na niego wywrzeć rodzina z południa. Co będzie, jeżeli jej obawy okażą się uzasadnione?

- Rozważałaś to już przynajmniej sto razy - powiedziała do siebie na głos. - W tej kwestii musisz ufać Bogu.

Zee wróciła tuż przed przyjazdem pierwszej furmanki. Ludzie zaczęli wlewać się do domu i wkrótce wypełnili każdy jego kąt. Phoebe już dawno zdążyła zdjąć fartuch i krążyła teraz pośród gości, rozmawiając z nimi i zabawiając ich, jak tylko mogła. Niektórzy z nich należeli do jej Kościoła, inni byli po prostu sąsiadami. Wszyscy zdawali się mieć nastrój idealny do świętowania. Ale gdzie podziewał się Dalton i pozostali?

- Nie martw się - szepnęła jej do ucha Zee. - Wkrótce się zjawią. Lydia i Kjell celowo zatrzymali się przy tartaku, żeby zabrać Joshuę. Postarają się opóźnić swój przyjazd, żeby wszyscy goście zdążyli tu dotrzeć.

Phoebe westchnęła.

- No tak, to świetny plan.

Tymczasem zjawili się jej rodzice w towarzystwie Theodore'a i Grady'ego. Żaden z braci nie zwrócił na nią uwagi. Grady nadal gniewał się za to, że Phoebe powiedziała rodzicom o szkolnym incydencie z jego udziałem. Theodore natomiast bardziej skoncentrował się na stole z jedzeniem, do którego natychmiast ruszył.

Phoebe przecisnęła się przez tłum, żeby przywitać rodziców.

- Mamo, tato.

- Och, przyszło mnóstwo ludzi - zauważyła jej matka. - Czy Dalton już przyjechał?

- Nie, ale zjawi się lada chwila. Staraliśmy się zrobić mu niespodziankę - wyjaśniła Phoebe.

- Gubernator i jego rodzina ze wzruszeniem przyjęli zaproszenie - oznajmił jej ojciec. - Zjawią się trochę później.

- Wspaniale - powiedziała Phoebe, przypominając sobie, że jej ojciec miał jakieś kłopoty z gubernatorem i swoim podwładnym. - Lindquistowie na pewno się ucieszą.

- Już są! - zawołał ktoś z ganku.

Phoebe poczuła się tak, jakby miała zaraz połknąć własny język. Wzięła głęboki oddech, usiłując uspokoić nieco serce, które biło jak oszalałe. W tej samej chwili usłyszała charakterystyczny dźwięk tłuczonej zastawy. Phoebe przeprosiła rodziców i ruszyła w stronę kuchni, gdzie jakiś starszy człowiek upuścił na podłogę talerz.

- Zajmę się tym - Phoebe zapewniła Zee, która także przybiegła sprawdzić, co się stało.

Zadowolona, że znalazła sobie zajęcie, Phoebe starała się zachować spokój, słysząc radosne poruszenie wśród zgromadzonych. Po chwili usłyszała powitalne okrzyki: wielokrotnie powtarzano imiona Daltona i Evie.

Kucając na kuchennej podłodze, Phoebe nie widziała niczego poza nogami gości. Pospiesznie zebrała wszystkie

kie kawałki potłuczonej porcelany. W chwili kiedy ostatni kawałek znalazł się na szufelce, za jej plecami rozległ się głos.

- Ty to potłukłaś?

Phoebe powoli wstała i odwróciła się, żeby spojrzeć na Daltona. Uśmiechnął się do niej, a w jego oczach pojawiły się iskierki. Boże, przecież on był jeszcze przystojniejszy, niż jej się wydawało. Phoebe niemal zapomniała o szufelce, którą trzymała w dłoni, i gdyby nie interwencja Zee, która pospiesznie ją przejęła, być może musiałyby raz jeszcze sprzątać cały ten bałagan.

- Nie, ja tylko to sprzątałam... tym razem. - Patrzyła mu w oczy, z trudem wydobywając z siebie słowa.

- Cieszę się, że to słyszę. Mam wrażenie, że ilekroć się spotykamy, czemuś lub komuś dzieje się krzywda. - Kilka osób stojących tuż obok nich zachichotało, a Phoebe poczuła, że się rumieni.

- No już, nie żartuj sobie z tej biednej dziewczyny - wtrąciła Zee, stając obok Phoebe. - Przez ostatnich kilka tygodni była naszą prawą ręką.

Dalton zmarszczył brwi.

- Naprawdę? Czyli pewnie zdażyłaś już poznać wszystkie moje tajemnice: straszliwe przygody mojej młodości i wszystkie błędy, które po drodze popełniłem.

Phoebe pokręciła głową.

- Nie. Twoja matka opowiadała mi same wspaniałe historie.

- Zgadza się - zapewniła Lydia. - I wszystkie były prawdziwe.

Chwilę później otoczyli ich inni goście, domagający się uwagi Daltona, więc Phoebe poszła po flet: orkiestra Lydii miała zaraz zagrać kilka powitalnych utworów.

Muzycy czekali na przybycie gubernatora i jego rodziny. Korzystając z okazji, Juri podszedł do Phoebe i bez chwili wahania oznajmił z pewnym siebie uśmiechem:

- Mam nadzieję, że dasz mi jeszcze szansę.

Phoebe przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Rozumiała jednak, że chociaż uważała go za uroczonego i miłego mężczyznę, nie wywoływał w niej takiego drżenia serca jak Dalton.

- Przykro mi - powiedziała, łagodnie potrząsając głową. - Po prostu nie mogę.

Juri zmarszczył brwi.

- Wciąż się na mnie gniewasz?

Wydawało jej się, że wyczuła od niego alkohol.

- Wiesz, że nie o to chodzi. Wybaczyłam ci i rozmawialiśmy już o tym - odpowiedziała Phoebe. - Po prostu nic do ciebie nie czuję, Juri. Jesteś dobrym człowiekiem, ale... - Zaschło jej w gardle i nie potrafiła nic więcej powiedzieć.

- Ale pragniesz Daltona - dokończył z mieszaniną rezygnacji i obrzydzenia.

Podniosła wzrok i delikatnie skinęła głową.

- Przykro mi.

- Opuść sobie. - Wymaszerował sztywnym krokiem dokładnie w chwili, w której Lydia i Kjell zjawili się razem z resztą zespołu.

- Zajmijmy miejsca - poprosiła Lydia.

Phoebe ledwie mogła skupić się na muzyce. Wiedziała, że jej pomyłka może pograżyć cały zespół, więc starała się robić wszystko, żeby się skoncentrować. Kiedy nadeszła pora na jej partię solową, tak bardzo się bała, że jej umysł nagle zacznie błędzić, iż zdołała przebrnąć przez cały fragment bez żadnej pomyłki.

Po występie orkiestry głos zabrał gubernator, ale Phoebe go nie słuchała: zauważyła, jak Dalton i Juri wymknęli się

na zewnątrz. Była bardzo ciekawa, o czym rozmawiają. Czy wspominali z rozbawieniem swoje małe zawody? A może stały się one zarzewiem konfliktu? Po rozmowie z Phoebe Juri wydawał się wzburzony. Modliła się, żeby tylko nie doszło do bójki. Nagle Phoebe źle się poczuła. Miała ochotę natychmiast opuścić przyjęcie i wrócić do domu.

A jeśli naprawdę wszystko zepsułam? Dręczyło ją przeczucie, że gniew Juriego nie wróży dobrze jej przyjaźni z Daltonem. Phoebe wymknęła się do kuchni, gdzie zamierzała się zastanowić, co dalej robić. Może powinna wyjść i porozmawiać z nimi, żeby wytłumaczyć im, co czuła? A może jednak wrócić do domu?

- Ale przecież nie mogę po prostu pójść na piechotę do domu. To zbyt niebezpieczne - wymamrotała. Musi po prostu poczekać, aż rodzice postanowią wracać. Jeżeli miało to oznaczać wstyd i upokorzenie, będzie musiała to znieść.

- Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? Dalton stał zaledwie o krok od niej. Phoebe odwróciła

się, zdziwiona tą bliskością. Kiedy zdążył wejść do środka? Czy słyszał jej słowa? Zmusiła się, by skinąć głową, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.

- Bardzo podobała mi się twoja partia solowa - zaczął. -Zawsze uwielbiałem muzykę, którą tworzyli wspólnie moja matka i ojciec, ale już ci to chyba kiedyś mówiłem. Tak naprawdę chciałem cię zapytać, czy zgodziłabyś się ze mną jutro spotkać. Chciałbym ci opowiedzieć, dlaczego wyjechałem i co się w tym czasie wydarzyło.

Phoebe kiwnęła głową, poruszona obecnością Daltona i tym, jak mocno waliło jej serce, kiedy stała tuż obok niego. Uśmiechnął się.

- Świetnie. Przyjdę po ciebie około dziesiątej, jeżeli to ci odpowiada. Może pójdziemy na spacer, o ile będzie ładna pogoda?

- Czemu nie? - zdołała tylko odpowiedzieć, zanim ktoś im przerwał, pytając o coś Daltona.

W jej umyśle kołatało się tylko jedno pytanie: czy Dalton zaczął się o nią starać?

Dalton bardzo się cieszył, kiedy ostatni goście opuścili przyjęcie. Był zmęczony podróżą i pragnął tylko położyć się do łóżka. Przeprosił wszystkich i poszedł do swojego pokoju. Z radością zauważył, że ktoś rozpałił ogień w kominku: niewątpliwie dopilnowała tego jego matka albo Zee. Pokój był teraz ciepły i przytulny. Łóżko zostało pościelone, a przy ogniu stał dzbanek z wodą.

Dalton usiadł na skraju łóżka i zdjął buty. Myślał o tym, jak pięknie wyglądała tego wieczoru Phoebe Robbins. Jej uśmiech był olśniewający. Dalton rozpromieniał się na samo jego wspomnienie.

Rozczarowało go natomiast zachowanie Juriego, który go osaczył i niemal siłą wyciągnął na ganek, żeby oznajmić, że Phoebe wie wszystko o ich zawodach. Dodał też, że nie była z tego powodu szczególnie zadowolona.

Daltona zaniepokoiły te wieści, ale zamierzał omówić tę sprawę z Phoebe podczas spaceru. Jego rozważania przerwało ciche pukanie. Wiedział, że to na pewno jego matka.

- Proszę. - Uśmiechnął się lekko, kiedy stwierdził, że miał rację.

- Zastanawiałam się, czy czegoś nie potrzebujesz.

- Nie, wszystko w porządku. Pomyślałaś o wszystkim. Po prostu cieszę się, że jestem już w domu.

- Nie sposób wyrazić za pomocą słów, jak bardzo za tobą tęskniłam.

- Podeszła i usiadła obok niego na łóżku. - Staralam się nie zamartwiać, ale nie jest to moja specjalność.

- Niepotrzebnie. Szybko się przekonałem, że wszystko, przed czym mnie ostrzegaliście, to absolutna prawda

- przyznał Dalton. - Moje rodzeństwo, Grayowie, to egoiści i manipulatorzy. Marston jest dokładnie taki, jak mówiłaś: to po prostu bezduszny, wyrachowany człowiek.

Lydia zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że mimo to znalazłeś odpowiedzi, których szukałeś.

- Odnalazłem prawdę - odpowiedział Dalton. - Chciałem, żeby rzeczywistość okazała się inna. Rozczarowałem się, ale przynajmniej zobaczyłem to wszystko na własne oczy. Jestem wdzięczny Bogu za to, że dzięki jego interwencji w niczym nie przypominam swoich braci. Oczywiście zawdzięczam to przede wszystkim tobie, ale także Kjellowi. Nie sposób znaleźć lepszego ojca. Cieszę się, że nie jestem podobny do swojej rodziny z Kansas City.

Lydia poklepała go po ramieniu.

- Kjell to dobry człowiek. Kochał cię, odkąd się dowiedział, że przyjdiesz na świat. - Uśmiechnęła się. - Byłeś dla nas prawdziwym błogosławieństwem i cieszymy się, że wróciłeś do domu.

- Mamo, mimo że odbyłem tę podróż, nadal mam poczucie, że niewiele się o sobie dowiedziałem. Zacząłem się też zastanawiać nad tym, do czego chciałbym w życiu dążyć.

- Co masz na myśli? - zapytała. Dalton potrząsnął głową.

- Nie do końca potrafię to wytłumaczyć, ale spróbuję.

- Przez chwilę milczał, po czym ciągnął dalej: - Mogę powiedzieć, że ta podróż utwierdziła mnie w przekonaniu, że chcę być chrześcijaninem. Zobaczyłem, jak wygląda życie ludzi, którzy odrzucają Boga i Jego Słowo, wiem już, że takie życie jest nie dla mnie. To samo dotyczy wartości, jaką stanowi rodzina. Tacy ludzie nie mają pojęcia, jak ogromną

siłę i radość może dawać wzajemna miłość i głęboka więź, jaka łączy nas z drugą osobą. Lydia ścisnęła jego ramię.

- Twoje słowa są dla mnie przejawem wielkiej łaski. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie wielkość mojego spadku. Mam już w związku z tym pewne plany i liczę na to, że będziesz mnie w nich wspierała.

- A co to za plany? - zapytała jego matka.

- Chciałbym zatrudnić ojca, żeby pomógł mi wybudować własny warsztat i dom. Zamierzam dalej budować łodzie, tak jak do tej pory. Może nawet zawarłbym z panem Bielikowem umowę, która pozwoliłaby rozwinąć jego interes i połączyć nasze siły.

- Uważam, że to świetny pomysł. Ale wiesz, że nie musisz się wyprowadzać. To zawsze będzie twój dom.

- Wiem, ale mojej żonie może nie odpowiadać perspektywa mieszkania z teściami. - Uśmiechnął się szeroko, widząc zaskoczenie na twarzy matki.

- Żonie?

- No cóż, jeszcze jej nie mam, ale przychodzi mi do głowy pewna kandydatka.

- Phoebe? - zapytała Lydia. Dalton pokiwał głową.

- Przez cały czas tylko o niej myślałem. Wiem, że to dość śmiałe słowa, ale...

Jego matka podniosła dłoń.

- Nie musisz mówić nic więcej. Wydaje mi się, że Phoebe chętnie przyjąłaby twoją propozycję.

- Skąd ten wniosek? Lydia podniosła się.

- Nie chciałabym zbyt wiele zdradzać, ale powiem tylko, że podczas twojej nieobecności Phoebe usilnie starała

się o ciebie nie pytać. Moim zdaniem poniosła kompletną porażkę.
Dalton roześmiał się.

- Świetnie. Jutro mamy się spotkać. Porozmawiamy o tym, jak przez ostatnich kilka miesięcy oboje staraliśmy się o sobie nie myśleć.

Lydia zatrzymała się w drzwiach.

- Bardzo lubię Phoebe, Daltonie. Uważam, że to wspaniała dziewczyna.

- Powinnaś wiedzieć, że długo się o to modliłem. Lydia zachichotała.

- Ja też, Daltonie. Ja też. Jestem o was całkowicie spokojna.

- Miło to słyszeć - odpowiedział, ciesząc się, że matka go wspiera. Do tej chwili obawiał się, że gdy członkowie jego rodziny dowiedzą się, że zakochał się w kobiecie, którą niedawno poznał, uznają go za wariata.

- Synu, w tej sprawie powinieneś zawierzyć Bogu. Idź drogą, którą On ci wskaże.

- Tak zrobię. Obiecuję.

Rozdział 18

Więc tak przedstawia się sytuacja - zakończył Dalton, kiedy następnego ranka przedstawił panu Bielikowowi swoje plany. - Mam odpowiednio duży kapitał i chciałbym albo odkupić od pana część udziałów w interesie, o ile zechce pan przyjąć wspólnika, albo otworzyć własny warsztat.

- To świetne wieści - oznajmił pan Bielikow, pocierając podbródek. - Myśleliśmy z żoną o tym, żeby wyjechać z Sitki na wiosnę. To idealna okazja. Gdybyś na przykład kupił połowę udziałów, drugą oddałbym Juriemu i moglibyście zostać wspólnikami, a my mielibyśmy pieniądze na podróż do Rosji.

Dalton kiwnął głową.

- Nie spieszy mi się. Możemy to wszystko spokojnie przemyśleć i zastanowić się wspólnie nad najlepszym rozwiązaniem. Chciałbym oczywiście, żeby porozmawiał pan o tym z Jurim. Jeżeli nie spodoba mu się ten pomysł, nie chcę mu niczego narzucać.

- Ba, ty i Juri jesteście jak dwie strony tej samej monety. Przyjaźnicie się od tak dawna, że trudno określić, w którym miejscu kończy się jeden z was, a zaczyna drugi.

Dalton przez chwilę rozważał w milczeniu słowa swojego pracodawcy.

- Teraz jest między nami dziewczyna - przyznał. - Kobieta, z którą zamierzam się ożenić.

- Co zamierzasz? - zapytał Juri, który nagle pojawił się w drzwiach. Dalton nie miał pojęcia, jak długo tam stał i czy słuchał ich rozmowy. Juri wpadł wściekły do pomieszczenia.

- Nawet cię tu nie było tego lata i nagle wymyśliłeś sobie, że po prostu jej się oświadczysz? - W jego błękitnych oczach kipiał ogień. - Co z ciebie za mężczyzna?

Pan Bielikow próbował interweniować.

- Juri, usiądź i porozmawiajcie o tym spokojnie jak przyjaciele. Niepotrzebnie się tak unosisz.

- Nic nie rozumiesz - oznajmił Juri. - Spędziłem całe lato, zabiegając o względy Phoebe Robbins. Powiedziałbym, że całkiem dobrze mi szło.

- Dopóki nie poinformowałeś jej o naszych zawodach -przerwał mu Dalton.

- O jakich zawodach on mówi? - zapytał pan Bielikow. Juri wzruszył ramionami.

- To nic ważnego. Obu nam podobała się Phoebe. Zastanawialiśmy się, który z nas zdoła ją zdobyć.

- I założyliście się o to?

- Nie - zaprzeczył Dalton. - Obaj wiedzieliśmy, że to byłoby niedopuszczalne. Mimo to Juri zdenerwował ją, mówiąc o wszystkim, jakby chodziło o zawody.

- Spraw serca nie powinno się traktować jak zwykłego współzawodnictwa - powiedział pan Bielikow.

- Zgadza się. Właśnie dlatego nie chcę dłużej grać w tę grę. - Dalton wstał. - Jeśli o mnie chodzi, te zawody skończyły się już dawno. A teraz przepraszam, ale mam trochę pracy przed wyjściem. Proszę rozważyć moją propozycję i omówić ją z Jurim.

Dalton ruszył do drzwi. Wychodząc, słyszał, jak Juri pyta ojca, o co w tym wszystkim chodzi. Miał nadzieję, że jego przyjaciel z czasem ochłonie. Juri zawsze był porywczy, ale

najczęściej, gdy ochłonał, puszczał wszystko w niepamięć. Dalton modlił się, żeby i tym razem wszystko rozeszło się po kościach.

Skończył rozładowywać skrzynie, które przywiózł z Seattle. Dokładnie je obejrzał, żeby się upewnić, czy podczas transportu nic nie zostało uszkodzone. Wszystko prezentowało się idealnie, poza jedną lampką, która miała zbity klosz.

Wyszedł z budynku usatysfakcjonowany i ruszył w stronę domu Phoebe. Kiedy mijał Bielikowów, z ostrego tonu Juriego wywnioskował, że jego przyjaciel dalej kłócił się z ojcem, więc darował sobie pożegnania. Miał nadzieję, że do jutra Juri zdąży zapomnieć o Phoebe i skupi się na tym, że może zostać współwłaścicielem całego interesu.

Phoebe chodziła w tę i z powrotem. Co jakiś czas wyglądała przez okno i niecierpliwie wypatrywała Daltona. Zaczynała już tracić nadzieję, ale w tym właśnie momencie on się pojawił. Zbliżał się do jej domu i wyglądał tak, jakby był wolny od wszelkich trosk. Serce na chwilę jej zamarło. Pragnęła wybiec i rzucić mu się w ramiona.

Boże, to by go dopiero zaskoczyło - pomyślała.

Chwilę później pobiegła do przedpokoju i szybko się przejrzała w lustrze. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy nie powinna była upiąć włosów, zamiast po prostu splatać je w zwykły warkocz.

A może pomyśli, że nie zwracam uwagi na swój wygląd? Spojrzała na swoją ciemnobrązową wełnianą spódnicę - tę samą, którą wybrała na piknik z Jurim. Może to nie była zbyt szczęśliwa decyzja. Czy nie zepsuje w jakiś sposób czasu, który miała spędzić u boku Daltona?

Przestań wymyślać głupoty - zbeształa samą siebie.

Pukanie do drzwi położyło kres wszystkim tym rozważaniom. Kiedy otworzyła, stał przed nią szeroko uśmiechnięty Dalton.

- Witaj. - Nagle poczuła się onieśmielona. - Wezmę tylko żakiet.

Ku jej zaskoczeniu, kiedy sięgnęła po wiszący obok żakiet, Dalton wyciągnął rękę.

- Pozwól, że ci pomogę. - Kiedy już była gotowa, podał jej ramię. -
Idziemy?

Phoebe kiwnęła głową. Była tak skrepowana, że niemal bała się odezwać. Dalton wydawał się tego nie zauważać. Szybko wrócił do rozmowy, którą zaczęli poprzedniego wieczoru.

- Mam ci tak dużo do powiedzenia - zaczął. - Po pierwsze, przepraszam, że nie zdążyłem pożegnać się z tobą przed wyjazdem. Podjąłem decyzję o wyjeździe w ostatniej chwili. - Zmarszczył brwi i przez chwilę milczał, po czym spojrzał na Phoebe. - Przyczyny nie były szczególnie przyjemne. Dowiedzieliśmy się, że mąż mojej siostry zachorował.

- Przykro mi to słyszeć. W związku z tym, że Evie mieszka tutaj, nie zdawałam sobie nawet sprawy, że jej mąż nadal żyje.

- Zmarł, zanim dotarliśmy do Kansas City. To długa historia. W małżeństwie Evie nigdy nie było miłości. Przyjechała tu tylko po to, żeby oddać mnie matce. - Pokręcił głową. - Trochę się zagalopowałem.

Oddalili się od centrum miasteczka i minęli miejsce, w którym stały wszystkie kutry rybackie. Phoebe widziała, że Daltonowi trudno jest powiedzieć to, czym chciał się z nią podzielić.

- W mojej rodzinie doszło do nie lada skandalu. Uważam, że powinnaś mieć tego świadomość.

Phoebe podniosła wzrok i zorientowała się, że Dalton bacznie jej się przygląda. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Nie tylko w twojej.

- Co masz na myśli?

- Rodzinny skandal. - Od tak dawna kazano jej utrzymywać tę sprawę w tajemnicy, że gdy wypowiedziała te słowa, natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. - Ale proszę, mów dalej.

Dalton kiwnął głową. Opowiedział jej o strasznym małżeństwie swojej matki i o okolicznościach, w jakich się urodził. W miarę jak mówił i szczegółowo opisywał to, co wydarzyło się, kiedy został porwany przez ludzi wynajętych przez jego brata, w Phoebe narastała ciekawość. To wszystko wydawało się dużo bardziej ekscytujące od problemów jej ojca.

Dalton zaprowadził ją do skał i zaproponował, żeby na chwilę usiedli.

- Czułem, że muszę pojechać z siostrą do Kansas City, żeby poznać moją rodzinę. Wiele się dowiedziałem, choć spotkanie z nimi nie należało do miłych.

- Przykro mi, Daltonie - powiedziała Phoebe. - Tu musiało być dla ciebie bardzo trudne.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Możliwe, że kompletnie bym się załamał, gdybym nie myślał jednocześnie o czymś... no cóż, a raczej o *kimś* innym.

- O czym ty mówisz? Dalton zaśmiał się cicho.

- Myślałem o tobie.

Phoebe szybko odwróciła wzrok. Wcześniej marzyła, żeby wypowiedział takie słowa, ale teraz, kiedy rzeczywiście to zrobił, czuła się przede wszystkim zawstydzona.

- Wiem, że nie spędziliśmy razem zbyt wiele czasu, ale często byłaś obecna w moich myślach. Zacząłem się o ciebie modlić.

- W nadziei, że Bóg sprawi, żebym zniknęła z twoich myśli? - zażartowała, unikając jego wzroku.

- Wręcz przeciwnie. - Wyciągnął dłoń i uniósł jej brodę. - Phoebe...

- I co, teraz pójdziesz za ciosem i poprosisz ją o rękę? -przerwał im nagle Juri. - Nie mogę uwierzyć, że jesteś na tyle bezczelny, żeby wykorzystywać mojego ojca i starać się ukraść mój spadek. A na koniec jeszcze coś takiego.

Phoebe zaskoczyły te słowa. Czy Dalton naprawdę zamierzał poprosić ją o rękę? Odsunął się od niej i podszedł do Juriego. Mężczyźni stali teraz o kilka centymetrów od siebie.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Dalton.

- To ty mi powiedz. Zaproponowałeś ojcu pieniądze i zamierzałeś ukraść coś, co należało się tylko i wyłącznie mnie.

- Nic takiego nie zrobiłem. Pytałem go o możliwość wykupienia udziałów w interesie. Powiedział mi, że zamierza wracać na wiosnę do Rosji, i twierdził, że to idealny moment. Pieniądze ze sprzedaży pozwoliłyby mu się wyprowadzić. Gdyby twój ojciec na to przystał, po prostu połączylibyśmy siły.

- Nie chcę być twoim wspólnikiem. Jesteś oszustem. Za moimi plecami wymachiwałeś swoim nowo odkrytym majątkiem przed nosem mojego ojca. Chciałeś mnie obrabować, pozbawić tego, co mi się zgodnie z prawem należy.

Dalton potrząsnął głową.

- To, co mówisz, nie ma sensu, Juri. Chciałem pracować z *tobą*, a nie przeciwko tobie. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, Juri.

- Już nie. - Juri wymierzył mu cios, który kompletnie zaskoczył Daltona.

Phoebe gwałtownie złapała powietrze, widząc, jak Dalton runął i wylądował na ziemi u jej stóp. Juri zamierzał już odejść, ale po chwili wrócił i podniósł Daltona, odciągając go jednocześnie od Phoebe.

- Zakładam, że opowiedziałeś już Phoebe o swoim majątku. No cóż, ja może nie mam pieniędzy, ale też ją lubię i doskonale o tym wiesz. Mówisz, że jesteśmy przyjaciółmi, po czym robisz coś takiego. - Znowu podszedł do Daltona i go popchnął. Nie możesz kupować wszystkiego i wszystkich.

- Nikogo nie starałem się kupić, Juri. Nie słuchasz mnie i wygadujesz brednie. Uspokój się. Możemy o tym później porozmawiać. - Dalton rozmasowywał policzek. - Bójka niczego nie rozwiąże.

Phoebe wstrzymała oddech. Mężczyźni znowu stali tuż obok siebie, a Juri najwyraźniej nie zamierzał się wycofać. Tym razem jednak, kiedy podniósł pięść, żeby zadać kolejny cios, Dalton był gotowy.

- Przestań, Juri! - powiedział, zatrzymując rękę przyjaciela. Nie zamierzam się z tobą bić. To niedorzeczne. Wściekasz się, bo nie chcę dłużej grać w twoje gry.

- Wściekam się, bo jesteś łgarzem i oszustem. - Juri wyrwał się Daltonowi i cofnął się o kilka kroków. Odwrócił się do Phoebe i powiedział: - Chcesz za męża takiego człowieka? Pozwolisz, żeby kupił twoją miłość?

- Nie wiem nawet, o czym mówisz - powiedziała Phoebe, kręcąc głową. Spojrzała bezradnie na Daltona: - O co tutaj chodzi?

- Och, więc jeszcze jej nie powiedziałeś, tak? Czyżbym zjawił się za wcześniej? - zapytał Juri głosem pełnym sarkazmu. - Okazuje się, że Dalton jest bogaty, bogatszy, niż kiedykolwiek śnił. Jego matka odziedziczyła fortunę.

Teraz Dalton zamierza wykupić interes mojego ojca i ukraść mój spadek.

- To nieprawda. - Po raz pierwszy Phoebe usłyszała gniew w głosie Daltona. - Jeżeli nie zamierzasz mówić prawdy, Juri, wynoś się stąd.

- Odejdę, kiedy będę gotowy, a to stanie się dopiero wtedy, jak wybije ci z głowy tę twoją dumę. - Juri rzucił się na Daltona i obaj runęli na ziemię.

Phoebe wydała krótki okrzyk, jakby ktoś nadepnął jej na stopę. Skoczyła w ich stronę i zaczęła krzyczeć, prosząc, żeby przestali, ale żaden z nich jej nie słuchał.

- Nie możecie się tak zachowywać - nalegała. - Tak nie wolno.

Byli znowu na nogach, okładając się pięściami. Czasem ciosy trafiały do celu, ale w większości nie, co przyniosło Phoebe pewną ulgę.

- Proszę, przestańcie!

- Ufałem ci! - krzyknął Juri. - Mój ojciec przyjął cię do siebie i uczył fachu, a ty odpłacasz nam w ten sposób!

- Nie myślisz racjonalnie - odpowiedział Dalton, wbijając pięść w brzuch Juriego.

Juri jęknął i zgiął się wpół, ale szybko doszedł do siebie. Zamierzał znowu rzucić się na Daltona, ale nagle wśród nich znalazła się Phoebe. Upadła na ziemię, w momencie gdy walczący zderzyli się z sobą tuż obok niej, w miejscu, w którym siedziała jeszcze kilka sekund wcześniej.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Poczowała, że zbliża się atak paniki. Mocno przełknęła ślinę i zmusiła się do wdechu. Dalton i Juri w mgnieniu oka znaleźli się u jej boku. Obaj wyglądali na przerażonych faktem, że została wciągnięta w tę awanturę.

Dalton pochylił się i pomógł jej wstać, a Juri zaczął przeproszać.

- Tak mi przykro, Phoebe. Nie jesteś ranna?

Poczuła delikatny dotyk Daltona na plecach. Raz jeszcze odetchnęła, po czym pokręciła głową.

- Chyba... nie...

Dalton rzucił Juriemu gniewne spojrzenie.

- Spowodowałeś już wystarczająco dużo problemów. Powinieneś już iść.

-Ja?

- To ty zaczęłaś tę bójkę. A ja ją kończę. Phoebe mogła stać się krzywdą. Nic cię nie obchodziło, że tam była.

- Nie zgrywaj niewiniątka - odparował Juri. - Ty też wiedziałeś, że tam była.

- Idź już. - Słyszac ton Daltona, Phoebe nie miała wątpliwości, że jeżeli Juri nie odejdzie, Dalton zakończy nie tylko bójkę, ale i przyjaźń.

- Proszę, idź już, Juri. Nie chcę patrzeć, jak znowu się bijecie - powiedziała błagalnie.

Juri przez chwilę jej się przyglądał, po czym obdarzył Daltona nienawistnym spojrzeniem.

- Pożałujesz tego. Wkrótce się przekonasz.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem, mamrocząc coś pod nosem.

Dalton przez chwilę przyglądał się Phoebe, po czym zapytał:

- Na pewno nic ci się nie stało? Kiwnęła głową.

- Powinna chyba wracać do domu. Przykro mi, że stałam się powodem tego zamieszania.

- To nie twoja wina - zapewnił Dalton, prowadząc ją w stronę drogi.

- Juri jest porywczy, ale jego gniew zwykle szybko mija. Uspokoi się i zacznie żałować, że zachował się w ten sposób. Teraz po prostu czuje się upokorzony.

- Mimo to przykro mi, że tak się stało - powiedziała Phoebe. - Przyjaźnicie się od tak dawna. Juri opowiadał mi o niektórych wspaniałych przygodach, które wspólnie przeżyliście. Wiem, że naprawdę cię podziwia i że zależy mu na tobie. Nie chciałabym, żebyście to wszystko zmarnowali.

- Nie zrobimy tego - odpowiedział Dalton. - Juri potrzebuje po prostu czasu, żeby wszystko sobie przemyśleć. Na pewno martwi się, że jego rodzice zamierzają wiosną wyjechać do Rosji. Liczyłem na to, że jeśli odkupię część udziałów od jego ojca, to Juri będzie miał szansę tu zostać i funkcjonować całkiem nieźle. Wygląda na to, że źle oceniłem sytuację.

Phoebe skinęła głową.

- No cóż, będę się za was modliła. Prawdziwych przyjaciół naprawdę trudno znaleźć.

Dalton nie powiedział nic więcej. Kiedy dotarli do domu Phoebe, zaprosiła go do środka.

- Czy masz ochotę zjeść z nami obiad? Pokręcił głową.

- Nie byłbym teraz dobrym towarzyszem. Przykro mi, Phoebe. - W jego głosie dało się słyszeć ton zbliżony do żalu.

- Mnie też jest przykro. - Nie miała do końca pewności, dlaczego tak się czuła. Czy rzeczywiście zamierzał się jej oświadczyć? To wydawało jej się mało możliwe. Przecież dopiero wrócił z podróży.

- Chciałbym cię znowu odwiedzić - powiedział, a wyraz jego twarzy złagodniał.

Phoebe nie mogła się oprzeć i spojrzała mu w oczy.

- Ja też bardzo bym tego chciała. Skinął głową.

- Wobec tego miłego dnia. - Ruszył przed siebie i ani razu się do niej nie odwrócił ani nie uśmiechnął.

Przyglądała mu się przez kilka minut, walcząc z pragnieniem, by natychmiast za nim pobiec. Zawsze trudno było jej patrzeć na skłóconych przyjaciół, ale teraz sytuacja wydawała się tym bardziej bolesna, że Phoebe stała się powodem tego sporu.

W końcu odwróciła się i weszła do domu - zupełnie się jednak nie spodziewała tego, co zastała. Jej matka siedziała zapłakana przy stole, a ojciec stał w milczeniu przy kominku. Zauważyła Theodore'a i Grady'ego zaglądających do pokoju z korytarza. O co, na Boga, mogło chodzić?

- Czy coś się stało? - zapytała.

Jej matka wyglądała na zrozpaczoną.

- Twój ojciec... on... - Rozpłakała się na nowo i ukryła twarz w dłoniach.

Phoebe zwróciła się do ojca:

- Co się dzieje?

Wyglądał, jakby cały jego świat się zawalił. Spojrzał na nią smutno i powiedział:

- Nie pracuję już dla gubernatora.

Rozdział 19

O czym pan mówi, panie Bielikow? Dalton spojrział na starszego człowieka, marszcząc brwi. Bielikow potrząsnął rękami. Na jego twarzy malowała się prawdziwa rozpacz.

- Nie wiem, co powiedzieć, Daltonie. Juri nie chce, żebyś został jego współnikiem. Gniewa się na ciebie ze względu na tę kobietę, która wam obu się podoba. Tę, z którą zamierzasz się ożenić.

- I tylko dlatego zamierza pan odrzucić korzystną ofertę? - Dalton był wściekły. Juri obiecywał, że pożałuje swoich słów...

Stojący przed nim starszy człowiek załamywał ręce. Był zrozpaczony.

- Nie mogę upokorzyć mojego syna i zgodzić się na coś, co będzie miało takie skutki. Zagroził, że jeżeli sprzedam ci połowę udziałów, porzuci rodzinny interes.

- To śmieszne - oznajmił Dalton.

- To... no cóż... jest jeszcze coś. Dalton spojrział na niego podejrzliwie.

- To znaczy?

- Ja... muszę... zrozum... - Wziął głęboki oddech i otarł czoło. - Muszę cię zwolnić. Nie możesz dłużej dla mnie pracować.

Dalton wpatrywał się w niego w milczeniu. Był całkowicie zaskoczony. Jak Juri mógł być tak mściwy? Przyjaźnili

się przecież od dziecka. Czy Juri gotów był to wszystko jednym ruchem przekreślić?

Pan Bielikow coś mówił, ale Dalton nie słyszał jego słów, pogrążony w myślach. Co teraz zrobi? Każdy kierunek wydawał mu się niewłaściwy.

- Bardzo mi przykro, naprawdę... - powiedział pan Bielikow. - Ale Juri to mój syn. Nie mogę go stracić. Poprzysiągł, że jeżeli cię nie zwolnię, wyruszy na południe i nigdy więcej się do nas nie odezwie. Jego matka zalewała się łzami. Chciała, żeby wrócił z nami do Rosji. - Wymamrotał kilka niezrozumiałych słów i wznosił ręce do nieba. - Nie wiem, co można zrobić w tej sytuacji.

- Rozumiem, w jakim znalazł się pan położeniu - przyznał Dalton. - Ale po prostu nie pojmuję, jak on może robić coś takiego. To do niego niepodobne.

Pan Bielikow przytaknął.

- Muszę z żalem powiedzieć, że podczas twojej nieobecności Juri zaczął się obracać w złym towarzystwie. Ci nowi przyjaciele mają na niego zły wpływ. A kiedy panna Rob-bins tak się na niego rozgniewała, Juri... no cóż... obawiam się, że zaczął pić.

Dalton poczuł głęboki smutek, którego nie potrafił wytłumaczyć. Juri zawsze lubił eksperymentować z tego typu rzeczami. Kiedy byli młodszy, zostali przyłapani na próbowaniu tlingickiej „gorzały” - jak nazywała ją większość miejscowych. Ojciec Daltona porządnie przetrzepał mu wtedy skórę, a później wytłumaczył, dlaczego lepiej trzymać się z daleka od takich rzeczy. Dalton nigdy nie zapomnił słów ojca: „Alkohol potrafi całkowicie zapanować nad człowiekiem. Z początku tworzy iluzję, że ma do zaoferowania wspaniałe rzeczy, ale jego nieodparty urok wkrótce sprawia, że wpadasz w pułapkę. Kiedy to się już stanie, ucieczka jest nie tylko trudna - ale często staje się w ogóle niemożliwa”.

On sam wziął sobie do serca naukę ojca, ale Juri zawsze miał naturę buntownika. Dalton wiedział, że jego przyjaciel od czasu do czasu popijał. Czy to mogła być prawdziwa przyczyna nagłej zmiany, jaka w nim zaszła?

Długo mnie tu nie było - pomyślał Dalton. - *A przecież tak naprawdę Juri nie był sobą jeszcze przed moim wyjazdem.* Przypomniawszy sobie wiele drobiazgów, które wcześniej starał się ignorować. Juri nie kończył powierzonych mu prac. Juri kłócił się coraz częściej z ojcem. Juri wymykał się z pracy w niewiadomym celu. Juri mógł już wpaść w pułapkę alkoholu i prawdopodobnie zaczęło się to dużo wcześniej, niż ktokolwiek mógł sądzić. Widząc, że pan Bielikow czeka na jakąś reakcję, Dalton uśmiechnął się i powiedział:

- To nie pańska wina. Musi pan pozostać wierny swojej rodzinie. Mnie nic się nie stanie.

Bielikow skinął głową.

- Nie wiem, co z nami będzie. Prawdopodobnie, wbrew temu, na co liczyłem, nie wystarczy nam pieniędzy na to, żeby wyjechać na wiosnę.

Dalton pomyślał o ogromnym majątku, który niespodziewanie otrzymał. Miał już dostęp do części pieniędzy. Wiedział, że całość spadku trafi w jego ręce, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat - a ta perspektywa wcale nie wydawała się tak odległa.

- Mogę panu pomóc - obiecał Dalton. - Ale Juri nie powinien o tym wiedzieć. Przyjął mnie pan i uczył zawodu, panie Bielikow. Nigdy tego nie zapomnę.

Twarz starszego człowieka wykrzywiła się - próbował opanować emocje.

- Dobry z ciebie człowiek, Daltonie Lindquście. Miałem dużo szczęścia, że cię poznałem.

- Zabiorę swoje rzeczy i odejdę. Nie chcę dłużej irytować Juriego swoją obecnością. Może z czasem zechce ze

mną porozmawiać o tym, co się stało, i o tym, co tak naprawdę go dręczy.

- Mam taką nadzieję.

Dalton zebrał narzędzia i starannie ułożył je w niewielkiej skrzynce. Na razie zamierzał zabrać je do tartaku. Kiedy jego ojciec będzie miał czas, przyjadą po nie i zabiorą do domu. Wiedział, że Joshua nie będzie miał nic przeciwko.

Z ciężkim sercem wychodził z warsztatu Bielikow: Budowa Łodzi. Pamiętał, jak pan Bielikow po raz pierwszy zlecił mu szlifowanie. To było piękne wspomnienie: on i Juri bardzo lubili to zajęcie. Traktował to jako pasję, nie zaś prawdziwą pracę.

Dalton zostawił rzeczy u Joshuy i ruszył piechotą na budowę, gdzie spodziewał się zastać swojego ojca. Dom, położony niedaleko wybrzeża, stał na zboczu góry. Dzięki pomocy dwóch tlingickich robotników Kjell był bliski realizacji powierzonego mu zadania. Tlingici zaczęli już wracać do miasteczka, a ojciec Daltona cieszył się, że znów może z nimi pracować.

- Nie spodziewałem się tu ciebie. - Kjellowi wystarczyło jedno spojrzenie na Daltona, żeby natychmiast zapytać: -Co się stało?

- Pan Bielikow musiał mnie zwolnić. Juri nie chce, żebym tam dłużej pracował. Nie chce też, żebym kupił część udziałów w interesie.

- Dlaczego?

Dalton usiadł na koźle do piłowania drewna.

- Nie mam do końca pewności. Zaczęło się od tego, że obaj zaczęliśmy się starać o Phoebe. Tak naprawdę stawka jest dużo wyższa i nie chodzi tylko o zwykłą młodzieńczą rywalizację. Poza tym wydaje mi się, że Phoebe nie stanowi jedynej przyczyny tego, co się wydarzyło. Pan Bielikow

twierdzi, że Juri zadaje się ostatnio z niewłaściwymi ludźmi. Zaczął pić.

- To wszystko do siebie pasuje - zauważył jego ojciec.

- Juri zmieniał się stopniowo przez ostatni rok, ale dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Mam poczucie, że gdybym zwracał nieco większą uwagę na jego zachowanie, być może sytuacja nie stałaby się tak poważna.

- Nie możesz obwiniać się za to, że Juri podejmuje takie, a nie inne decyzje.

Dalton przeszedł kilka kroków, klepiąc się po bokach.

- Wiem o tym, ale przyjaźnimy się od bardzo dawna. Dlaczego on chce to wszystko przekreślić? Już wcześniej zdarzały nam się kłótnie, nigdy jednak nie trwały długo. Tym razem gniew Juriego jest dużo silniejszy i mam wrażenie, że chodzi tu jednak o Phoebe.

- I co zamierzasz zrobić?

Dalton zatrzymał się i spojrzał na ojca.

- Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać. Nie mam pewności, co byłoby w tej sytuacji najlepsze. Nadal zamierzam założyć własny interes, ale nie chciałbym wpędzić pana Bielikowa czy Juriego w kłopoty.

- Daltonie, może Juri jest po prostu zazdrosny. Zdobyłeś i dziewczynę, i majątek. Może on się boi, że to cię zmieni.

- Ale to on się zmienił - zaprotestował Dalton. - To się zaczęło jeszcze przed przyjazdem Phoebe. Dopiero teraz to zauważyłem.

- Mógłbyś przez jakiś czas popracować ze mną - zaproponował Kjell.

- Może to pozwoliłoby ci oczyścić umysł. Chociaż z drugiej strony nadszedł pewnie czas, żebyś zaczął myśleć o swojej przyszłości.

- Co masz na myśli?

Minęło ich dwóch mężczyzn, którzy nieśli drzwi.

- Mocujemy je teraz? - jeden z nich zwrócił się do Kjella.

- Tak. Zajmijcie się tym. Przyjdę wszystko sprawdzić, kiedy skończycie. - Mężczyźni pokiwali głowami i ruszyli do pracy. Kjell mówił dalej: - Już prawie październik. Mógłbyś założyć swój własny niewielki warsztat. Pomógłbym ci go zbudować. Nie miałbyś środków na to, żeby budować większe łodzie, ale może dałbyś radę zacząć od mniejszych. W ciągu zimy mógłbyś budować skify albo pramy. Na wyspie jest na nie popyt.

- Nie mam tu niezbędnego sprzętu... - zawahał się Dalton. - Musiałbym sprowadzić go z Seattle.

- Albo po prostu sam tam pojechać. Może samotna podróż sprawi, że spojrzysz na to wszystko inaczej.

- Pewnie masz rację, ale przecież dopiero wróciłem do domu. Mama nie będzie zachwycona, kiedy dowie się, że znowu wyjeżdżam.

Kjell otrzepał spodnie z trocin.

- Twoja matka zrozumie. Poza tym są jeszcze dziewczynki, które całkiem skutecznie pozwolą jej zająć myśli.

Dalton szeroko się uśmiechnął.

- Pracujecie na pełnych obrotach. - Spojrzał na dom, który budował jego ojciec. - Dobrze wygląda.

- Dziś kończymy - odpowiedział Kjell. - To dom sędziego.

- Sitka bardzo się rozwinęła. Mamy tu sędziów, niebawem ma przyjechać nowy szeryf... Prawo i porządek na wszystkich frontach - zamyślił się Dalton. - Zaczynamy upodabniać się do zwykłego cywilizowanego miasta.

- To bardzo ekscytujący czas. Pomyśl tylko: założysz swój warsztat właśnie teraz, pośród tego wszystkiego. - Kjell wstał i wyprostował się. - No dobrze, muszę wracać do pracy. Idziesz do domu?

- Chętnie zostanę z tobą i ci pomogę, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Jego ojciec się roześmiał.

- Im więcej nas będzie, tym zwawiej pójdzie robota.

Phoebe usiadła z rodzicami przy stole kuchennym. Uznała, że powinna wykorzystać fakt, że jej bracia poszli do szkoły, i dokładnie zorientować się w sytuacji. Okazało się, że poprzedniego wieczoru odbyła się rozmowa, podczas której ustalono, że w związku z powziętym przez gubernatora planem ubiegania się o wyższe stanowiska w kolejnych latach jej ojciec przestanie z nim współpracować i złoży rezygnację.

- Nie prosił mnie o to - wytłumaczył. - Po prostu nigdy nie wiem, kiedy przeszłość znowu mnie dopadnie i skompromituje. To nie w porządku wobec Lymana.

- Ale przecież Lyman obiecywał, że cię nie zostawi - powiedziała matka Phoebe, potrząsając głową. - Jak mógł tak po prostu pozwolić ci odejść?

- Tak jak mówiłem, wcale tego nie chciał. - Phoebe przyglądała się ojcu, który smutno wpatrywał się w filiżankę z kawą. Wydawał się taki zagubiony... taki zdezorientowany.

- Co zrobimy, ojczy? - Bała się odpowiedzi, którą mogła usłyszeć, ale musiała zadać to pytanie.

- Nie wiem. Całe moje życie skupione było wokół bankowości i polityki. A teraz nie mogę zajmować się ani jednym, ani drugim.

Jej matka przyłożyła do oczu chusteczkę.

- To takie niesprawiedliwe. Dlaczego musimy płacić za złe uczynki naszych ojców?

- To ja sprowadziłem tę hańbę na naszą rodzinę - powiedział ojciec Phoebe, potrząsając głową. - I to ja muszę nas od niej uwolnić.

- Jeżeli mogę, chciałabym zauważyć, że to raczej Bóg nas od niej uwolni, ojcze. - Phoebe uśmiechnęła się do niego. - Nie wiem jeszcze, w jaki sposób i kiedy to nastąpi, ale Bóg jest miłosierny i nas nie opuści.

- Bóg mnie opuścił - odpowiedział jej ojciec. - Powinienem być złożyć zeznania przeciw mojemu ojcu podczas procesu. Gdybym zajął bardziej zdecydowane stanowisko i wyraźnie opowiedział się przeciw temu, co zrobił, ludzie nie mieliby wątpliwości co do mojego udziału w tej sprawie. Nie uważaliby, że nadal ukrywam w banku pieniądze, które ukradł im ojciec. - Wstał od stołu. - Podjąłem ostateczną decyzję.

- To znaczy? - zapytała matka Phoebe.

- Pojadę do Kalifornii. Wy zostaniecie tutaj do czasu, aż znajdę pracę i będę mógł dalej utrzymywać rodzinę. Zabiorę pieniądze, które zdołaliśmy odłożyć, i poszukam dla nas niewielkiego domu. Kiedy wszystko się ustabilizuje, od razu po was poślę. Nie powinno to potrwać dłużej niż kilka tygodni. Lyman zapewniał, że pokryje wszystkie koszty waszego utrzymania przez ten czas.

- Omawiałeś to już z Lymanem? - Jej matka była bliska hysterii. - Dlaczego nie przedyskutowałeś tego najpierw ze mną?

- Zawsze braliśmy pod uwagę taką możliwość. Musiałem wszystko zaplanować i podjąć odpowiednie kroki już wcześniej, z nikim ich nie omawiając.

Phoebe zrobiło się słabo. Jej ojciec zamierzał zabrać rodzinę do Kalifornii. Co to mogło dla niej oznaczać? Spojrzała na matkę i ogarnęła ją poczucie winy. *Martwię się o to, co*

to będzie dla mnie oznaczało, a tymczasem biedna mama musi się zmierzyć z takim koszmarem.

- Mamo, wygląda na to, że to jedyne rozwiązanie. Wszystko się ułoży. Przyszła nowa dostawa materiałów niezbędnych do produkcji świec, więc przez ten krótki czas możemy się samodzielnie utrzymywać.

- Zacznę od razu załatwiać wszystkie niezbędne sprawy. Będę musiał poprosić marynarkę wojenną o pomoc w organizacji mojego wyjazdu. - Jej ojciec wyprostował ramiona i spojrzał na żonę. - Przykro mi, Bethel. Nie takie życie zamierzałem zapewnić tobie i naszym dzieciom. - Zerknął na Phoebe i wyszeptał: - Tak mi przykro.

Po jego wyjściu dom wydawał się straszliwie pusty. Phoebe i jej matka jeszcze przez dłuższy czas siedziały w milczeniu przy stole. Phoebe marzyła o tym, żeby odnaleźć Daltona i skryć się w jego ramionach. Pragnęła, żeby ją pocieszał i zapewniał, że wszystko się ułoży.

- Chciałabym porozmawiać z Daltonem i wytłumaczyć mu, co się stało - powiedziała wreszcie Phoebe.

- Jakie to ma teraz znaczenie? Tak czy inaczej, nasza reputacja legła w gruzach.

- To nie ma dla Daltona żadnego znaczenia. W jego rodzinie dochodziło do wielu skandali i dramatycznych wydarzeń. Nie będzie żywił żadnych uprzedzeń ani względem ojca, ani całej naszej rodziny.

Jej matka zaczęła łkać.

- To takie niesprawiedliwe. Twój ojciec to dobry człowiek. Tak bardzo potrzebował tej szansy. Nie winię Lymana: ma wielkie ambicje. Pewnego dnia może nawet zostać prezydentem. Twój ojciec wiedział, że może stać się ciężarem dla Lymana, ale mieliśmy nadzieję, że czas i dobre uczynki wszystko naprawią. A teraz... teraz nawet Bóg nas porzucił, zostaliśmy bez jakiegokolwiek nadziei czy otuchy.

- Ale mammo, to nieprawda. Biblia mówi co innego. Pracując z Zee i z panią Lindquist, poznałam pewien werset z *Ewangelii Św. Jana*: „Nie zostawię was sierotami: Przyjdę do was”*. Jezus mówił swoim uczniom, że wróci do nieba. Obiecał jednak, że nie zostaną sami. Lydia... to znaczy pani Lindquist... mówi, że możemy ufać Bogu i wierzyć, że nigdy nas nie porzuci. Złożył nam obietnicę, a On nie łamie obietnic.

Matka spojrzała na Phoebe. Miała policzki mokre od łez.

- Trudno mi w to uwierzyć. Nie wiem, czy wystarczy mi sił, żeby to wszystko przetrwać.

- Nie musisz polegać wyłącznie na własnych siłach, mammo. Jezus da ci swoją siłę i pomoże nam przez to wszystko przejść. - Phoebe wyciągnęła dłoń i wzięła matkę za rękę. - Musisz Mu po prostu zaufać.

Jej matka przez chwilę milczała. Wreszcie kiwnęła głową:

- Wiem, że masz rację. Po prostu boję się przyszłości.

- Mammo, jestem pewna, że wszystko jakoś się ułoży. Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu przez ostatnie tygodnie wiele dowiedziałam się o Bogu. Jest miłosierny i należy Mu ufać. Kocha nas i ta miłość jest absolutnie bezwarunkowa. -Phoebe ścisnęła dłonie matki, po czym je puściła.

- Pójdę poprosić Daltona, żeby odwiedził mnie po pracy. Wydaje mi się, że im szybciej wytłumaczę mu, co to wszystko może oznaczać dla naszej rodziny, tym lepiej.

* Biblia Tysiąclecia, *Ewangelia wg św. Jana* 14, 18.

Rozdział 20

Phoebe nie musiała jednak długo szukać Daltona: on sam do niej przyszedł. Kiedy dostrzegła niepokój na jego twarzy, szybko zgodziła się na wspólną przejażdżkę furmanką.

- Miałam nadzieję, że się spotkamy. Zamierzałam pójść do waszego warsztatu, ale mnie uprzedziłeś.

Dalton pomógł jej włożyć płaszcz.

- I tak byś mnie tam nie zastała. Między innymi dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Czy coś się stało?

- I tak, i nie. Po drodze wszystko ci wytłumaczę.

Jej matka poszła się położyć, a ojca nie było w domu, więc nie miała kogo uprzedzić, że wychodzi. Postanowiła w związku z tym zostawić kartkę przy piecu kuchennym. Zdążyła już przygotować potrawkę na kolację i wiedziała, że jej bracia powinni niedługo wrócić. Miała nadzieję, że znajdą kartkę i powiedzą rodzicom, że wyszła.

- Dobrze, mogę już iść - oznajmiła Phoebe, wracając z kuchni.

Dalton pomógł jej wsiąść na furmankę. Phoebe spuściła głowę i uśmiechnęła się, gdy poczuła jego dotyk. Niczego nie pragnęła bardziej, niż usiąść blisko niego, ale przyzwoitość i zasady dobrego wychowania absolutnie jej na to nie pozwalały.

- Dlaczego nie byłeś dziś w warsztacie? - zapytała. Dalton popędził konie, po czym odpowiedział:

- Straciłem pracę.

Phoebe spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego?

- Chodzi o Juriego. Gniewa się, bo... no cóż, bo wie, co do ciebie czuję. Myślę też, że dzieje się z nim coś poważniejszego, ale nie chce ze mną rozmawiać.

Phoebe dziwnie się poczuła, słysząc wyznanie Daltona. Chciała zapytać, co miał na myśli, ale wiedziała, że lepiej zaczekać, aż sam wszystko wyjaśni.

- Zaproponowałem panu Bielikowowi, że wykupię część udziałów w jego interesie - mówił dalej Dalton. - Uwielbiam budować łodzie, a wiedziałem, że planuje opuścić Sitkę. Uznałem, że to byłby dobry pomysł i że dzięki temu mógłbym dalej pracować z Jurim.

- Czyli Juri nie zamierza wracać z rodziną do Rosji? -zapytała.

Dalton pokręcił głową.

- Zawsze zapowiadał, że zostanie tutaj. - Głęboko westchnął. - Juri jest naprawdę wściekły. Nie chciałem, żebyś został jego współnikiem. Nie chciałem nawet, żebyś dalej tam pracował, więc jego ojciec nie miał wyboru i musiał mnie zwolnić.

- I co teraz zrobisz? - Phoebe pomyślała o swoim ojcu, który też stracił tego dnia pracę.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. - Kiedy oddalili się od miasteczka, Dalton ściągnął lejce, a konie natychmiast zwolniły. - Wiem, że Juri wspominał ci o spadku, który odziedziczyłem. Sam chciałem ci o tym powiedzieć, ale to nie ma teraz znaczenia. Mówię o tym dlatego, że zamierzam część tych pieniędzy przeznaczyć na założenie własnego warsztatu. Będę dalej budował łodzie, tym razem

na własną rękę, a przy odrobinie szczęścia może uda mi się nawet zatrudnić kogoś, kto ma niezbędne umiejętności.

Dalton zatrzymał furmankę i zaciągnął hamulec. Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, po czym, ku jej zaskoczeniu, wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

Phoebe drżała od stóp do głów. Spojrzała Daltonowi w oczy, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że nie była w stanie odwrócić wzroku.

- Muszę pojechać do Vancouver albo Seattle po niezbędne narzędzia i materiały. Nie chciałem tym razem wyjeżdżać bez uprzedzenia. Bardzo żałowałem, że poprzednim razem nie zdołałem się z tobą pożegnać.

- Nie... nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień. - Starła się mówić pewnym głosem.

- Ale zależy mi na tym, żeby ci wszystko wyjaśnić - zapewnił. - To dla mnie ważne. - Poglaskał kciukiem wierzch jej dłoni. - Phoebe, chciałbym, żebyś na mnie zaczekała.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Zaczekała na ciebie?

- Tak. Nie chcę, żebyś pod moją nieobecność spotykała się z Jurim czy kimkolwiek innym. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Kiwnęła głową, mając pełną świadomość, że i tak nie spotykałaby się z kimkolwiek innym.

- Ale najpierw muszę ci coś wyznać - powiedziała. Przygryzając górną wargę, Phoebe zastanawiała się, jak najlepiej ująć to, co chciała mu wyznać. - Moja rodzina... mój ojciec... - Westchnęła. - Ostatnio dałam ci do zrozumienia, że także na mojej rodzinie ciąży skandal. Kiedy poznasz prawdę, być może nie będziesz już chciał mieć ze mną nic wspólnego.

- Chyba nie mówisz poważnie. Phoebe smutno się uśmiechnęła.

- Nie... właściwie nie. Ale coś się wydarzyło i wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą. Mój ojciec stracił dziś posadę i nie pracuje już dla gubernatora Knappa. W gruncie rzeczy sam złożył rezygnację.

- Ale dlaczego? - Dalton mocniej ścisnął jej rękę. - Co się stało?

Phoebe zaczęła mu opowiadać o swoim dziadku, właścicielu banku, w którym ojciec był wiceprezesem.

- Mój dziadek oszukał ludzi i ukraść tysiące dolarów. Wybuchł wielki skandal i dziadek trafił do więzienia. Ale pieniędzy nigdy nie odzyskano. Ponieważ nie znaleziono żadnych dowodów obciążających mojego ojca, nie został on aresztowany. Mimo to ludzie uważali, że brał w tym wszystkim udział. To wydarzenie zrujnowało jego reputację. Sytuację dodatkowo pogorszył fakt, że pieniądze nigdy nie odnaleziono. Wielu ludzi uważało, że mój ojciec gdzieś je ukrył. Kiedy pan Knapp zaproponował, żeby ojciec się przeprowadził i zaczął dla niego pracować w Montpelier, wydawało się, że wreszcie wysłuchane zostały modlitwy mojej matki.

- Dlaczego w takim razie złożył rezygnację?

- Któryś z pracowników gubernatora znał prawdę o przeszłości ojca. Ta osoba została przez ojca przyłapana na kradzieży i zagroziła, że wszystko upubliczni, jeżeli ojciec nie przymknie na tę kradzież oka. Ojciec odmówił. Poszedł prosto do gubernatora, szczegółowo opisał całą sytuację i złożył rezygnację. Gubernator Knapp nie chciał, żeby odchodził, ale ojciec obawiał się, że może stać się ciężarem dla przyjaciela. Gubernator może pewnego dnia zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych i wszelkie skandale w jego otoczeniu są bardzo niewskazane.

- Twój ojciec zachował się w godny podziwu sposób. Jak przystało na prawdziwego przyjaciela - powiedział Dalton.

- Wiem. Ale teraz zamierza wyjechać. Rusza do Kalifornii, żeby znaleźć pracę i raz na zawsze pogrzebać przeszłość.

- Najprawdopodobniej popłynie tym samym statkiem co ja - powiedział Dalton. - Może po drodze będziemy mieli okazję porozmawiać.

- To świetnie - stwierdziła Phoebe, zastanawiając się nad trudnym położeniem swojej rodziny. - Na pewno potrzebuje teraz towarzystwa.

Milczeli przez kilka minut. Wreszcie Dalton wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Delikatnie odwrócił twarz Phoebe w swoją stronę i zapytał:

- A więc zaczekasz na mnie?

Zastanawiała się, co tak naprawdę oznacza to pytanie. Czy prosił ją o rękę? Czy oferował jej jakikolwiek rodzaj zobowiązania? Nie miało to dla niej znaczenia. Znała już odpowiedź. Kochała go. Wiedziała, że będzie na niego czekała.

PAŹDZIERNIK 1889 ROKU

Wraz z nadejściem października do Sitki dotarły jesienne chłody. Wszyscy skarżyli się na pogodę: łagodna zazwyczaj aura została wyparta przez wilgotne i przejmująco zimne powietrze. Mimo to rozczarowanie Evie nie miało nic wspólnego z pogodą: po prostu zmęczyło ją już czekanie, aż Joshua wreszcie zdecyduje się wyznać, co do niej czuje.

Ubrała się starannie i postanowiła, że jeżeli on nie wykona żadnego ruchu, ona zrobi to za niego. Nie chciała dłużej

czekać na miłość. Nie chciała dalej żyć w samotności. Podczas podróży na południe zrozumiała, że nie może dalej marnować swojego życia i że czas już raz na zawsze skończyć z samotnością.

- Jesteś gotowa? - zapytała Zee, kiedy Evie zjawiała się w salonie.

- Tak. Dziękuję, że zaproponowałaś podwiezienie mnie do miasteczka.

- To żaden kłopot - zapewniła Zee. - I tak się tam wybierałam. Jeżeli nie masz nic przeciwko, pojedziemy mniejszym wozem. Kjell wziął większy. Mieli dziś zacząć transport drewna.

- Mniejszy jest idealny. Siedząc blisko siebie, trochę się rozgrzejemy.

Lydia rzuciła Evie jedno spojrzenie i oznajmiła:

- Nie zdoła ci się oprzeć. Evie roześmiała się.

- Wróciłam prawie trzy tygodnie temu, a on do tej pory skutecznie mnie unikał.

- Mężczyźni czasem się tak zachowują - przyznała Lydia. - Może po prostu potrzebuje zachęty?

- No cóż, dostanie ją - zapewniła Evie.

Kiedy Zee wysadziła ją pod tartakiem, Evie nie była już tak pewna siebie. Wcześniej przygotowywała w myślach krótką przemowę, ale wszystkie słowa zdążyły jej wylecieć z głowy. Prostując ramiona, weszła do środka i rozejrzała się. Wydawało się, że nikogo tu nie ma. Może Joshua i jego ludzie pojechali pomagać Kjellowi? Nie pomyślała o tym, kiedy Zee wspomniała wcześniej o mniejszym wozie.

- Halo? - zawołała. - Jest tu kto?

Drzwi biura gwałtownie się otworzyły i ukazał się w nich Joshua Broadstreet. Jego brązowe włosy były rozczochrane, a na twarzy malowało się całkowite zaskoczenie. Po chwili

Evie dostrzegła na jego policzkach ciemne smugi. Uśmiechnęła się.

- Widzę, że przerwałam ci pracę.

- Walczyłem z rurą spalinową piecyka. Chyba jest nie-drożna. -
Otworzył szeroko drzwi i cofnął się. - Wejdiesz?

Evie skinęła głową i weszła do biura. Panował tam chłód. Poczwała nagłe napięcie: nie wiedziała, co powiedzieć, a Joshua wyglądał na równie skrępowanego.

- Usiądź, proszę - zaproponował. - Przepraszam, straszny tu ziąb.

- Nie jest aż tak źle - stwierdziła, siadając. Splotła dłonie i starała się nieco uspokoić serce, które waliło jak oszalałe.

- Ja... no cóż... chciałem złożyć ci kondolencje w związku ze śmiercią twojego męża.

- Dziękuję - powiedziała, marszcząc brwi. Nie tak wyobrażała sobie tę rozmowę. - To miłe z twojej strony, ale jak wiesz, nie było między nami miłości.

- Tak, rozumiem - wymamrotał.

Evie nie mogła pozwolić, żeby sprawy toczyły się dalej w ten sposób. Wstała i spojrzała Joshowi w oczy.

- My też nie powinniśmy już dłużej bawić się w podchody.

- Co masz na myśli?

Nie odwrócił wzroku, a jego brązowe oczy zdawały się wwiercać w jej duszę. Evie zbliżyła się do niego o krok.

- Chcę wiedzieć... muszę wiedzieć... - Jej oddech stał się szybszy, a w klatce piersiowej poczuła silny ucisk. *To właśnie to* - pomyślała. To ta chwila, kiedy przekona się, czy wszystkie jej przypuszczenia rzeczywiście się sprawdzą. Czy Joshua rzeczywiście coś do niej czuje? - Chcę wiedzieć, jakie masz plany względem mojej osoby... teraz, kiedy jestem już wolna.

Ledwo skończyła mówić, a Joshua już znalazł się przy

niej, obejmując ją i głaszcząc po twarzy. Evie pozwoliła mu zacieśnić uścisk: nie przeszkadzało jej, że prawie nie miała czym oddychać.

- Evie. Och, Evie - szepnął jej do ucha. - Tak długo czekałem. Kocham cię od tak dawna.

Kiwnęła głową.

- Wiem.

Cofnął się i spojrzał jej w oczy.

- Wyjdiesz za mnie? Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Jak myślisz, po co tu przyszedłam? Joshua mocno przycisnął swoje usta do jej ust. W tym

pocałunku znalazły wyraz wszystkie tłumione przez lata tęsknoty, które dręczyły ich oboje. Przywarli do siebie zachłannie, niemal rozpaczliwie. Od dawna czekali na tę chwilę, ale szanowali nakazy, zgodnie z którymi musieli żyć w samotności. Przez te wszystkie lata nigdy nie pozwolili sobie na niestosowne zachowanie. Teraz jednak Evie westchnęła i objęła ramionami szyję Joshuy. Nie obchodziło jej, czy ktoś mógłby ich przyłapać.

- Kocham cię - szepnęła, podczas gdy on pokrywał jej twarz pocałunkami.

- A ja kochałem cię od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

Evie westchnęła, a Joshua zanurzył twarz w jej włosach i długo, długo ją obejmował. W tamtej chwili Evie nie potrzebowała żadnych słów: wystarczył jego dotyk, sama jego obecność. Położyła głowę na jego ramieniu. Właśnie tego pragnęła przez całe swoje życie.

Zamierzali wziąć ślub jak najszybciej, ale Evie wiedziała,

że nawet na drodze najlepszych planów może niespodziewanie stanąć choroba. Kiedy Lydia i jej córki zachorowały, podobnie jak wielu mieszkańców Sitki, plany weselne trzeba było odłożyć.

Zee wysłała Evie do miasteczka po kilka rzeczy, a sama została w domu, żeby opiekować się rodziną. Po powrocie Evie Zee miała sama ruszyć do miasteczka, żeby nieść pomoc innym. Wszystko wskazywało na to, że spadła na nich epidemia szkarlatyny. Jeżeli choroba pozostawała nieleczo-na, mogła poważnie osłabić organizm. W takim przypadku jej skutki były odczuwalne nawet do końca życia. Zdarzało się też, że zaniedbania kończyły się śmiercią.

Wprowadzono powszechną kwarantannę, ale mimo to trudno było prowadzić sprzedaż niezbędnych podczas leczenia artykułów bez jednoczesnego ryzyka dalszego rozprzestrzeniania się epidemii. Evie przeszła szkarlatynę jako trzyletnie dziecko, a przypuszczano, że po zwalczeniu choroby organizm już na zawsze się na nią uodparniał. Wielu ludzi to rozumiało, inni natomiast zamknęli się na głucho w domach, panicznie bojąc się epidemii.

Arnie wymyślił bezpieczny sposób obsługiwanie klientów w swoim sklepie. Chorzy mieli przychodzić na zaplecze, gdzie zostawiali kartkę z listą potrzebnych towarów. Arnie kompletował zamówienie i wystawiał przed drzwi pudełko z zamówionymi produktami. Klienci przekładali je do własnych toreb i zabierali do domów.

Po godzinie Evie doczekała się wreszcie na swoją kolej. Mogła z radością ruszyć do domu. Kolejki i niezadowolenie ludzi związane z tym nowym sposobem robienia zakupów doprowadziły już do kilku scysji. Nie ulegało wątpliwości, że bójki wiszą w powietrzu i niechybnie wybuchną, jeżeli sytuacja wkrótce się nie uspokoi.

- Evie, jak się miewasz?

Odwróciła się i zobaczyła Phoebe Robbins.

- Nie podchodź za blisko. Mamy w domu szkarlatynę.

- Wszystkie już ją przechodziłyśmy - zapewniła Phoebe. - Czy dziewczynki też chorują?

- Dziewczynki i Lydia. Biedny Kjell był zrozpaczony, kiedy zachorowała.

- A Zee? - zapytała Phoebe.

- Na razie jest w domu, ale kiedy wrócę, zamierza wybrać się do Tlingitów i sprawdzić, co można dla nich zrobić.

- Czy mogłabym was odwiedzić i jakoś pomóc?

Evie zastanawiała się nad tym przez chwilę. Ponieważ dziewczynki i Lydia chorowały, przydałoby się jej wsparcie.

- Jesteś pewna, że twoja mama nie miałaby nic przeciwko temu?

- Oczywiście. Pójdę ją uprzedzić i spakuję kilka rzeczy. Mogłabym przenieść się do was na jakiś czas. Niewiele wiem o opiece nad chorymi, ale na pewno będę mogła pomóc, choćby gotując albo sprzątając.

- Zee może nauczyć cię wszystkiego, co ci się przyda. A może po prostu wsiądziesz na furmankę? Zawiozę cię do domu i zabierzemy twoje rzeczy.

Phoebe skinęła głową.

- Mam nadzieję, że ta epidemia szybko wygaśnie i nie odbierze życia zbyt wielu ludziom.

- Modłę się o to. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym stracić Lydię albo którąś z dziewczynek. Cieszę się, że Dalton wyjechał.

- Ja też - szepnęła Phoebe. - Modłę się, żeby był zdrow.

Rozdział 21

Dalton podszedł do ojca Phoebe, który stał na rufie statku. Miał nadzieję, że będzie miał okazję choć przez chwilę z nim porozmawiać, zanim parowiec przybije do portu w Seattle. Pan Robbins trzymał się na uboczu przez większą część podróży i była to dla Daltona pierwsza i ostatnia okazja, żeby zamienić z nim parę słów.

- Panie Robbins?

Mężczyzna odwrócił się od barierki, przy której dotąd stał, w milczeniu patrząc w morze. Miał wykrzywioną twarz i wyglądał na przygnębionego.

-Tak?

- Znamy się tylko z widzenia. - Dalton wyciągnął dłoń. - Nazywam się Dalton Lindquist.

Robbins dość nerwowo skinął głową i po chwili uścisnął dłoń Daltona.

- Tak. To pan jest tym młodym człowiekiem, o którym opowiadała Phoebe.

- Między innymi ze względu na nią chciałem z panem porozmawiać.

- Dalton oparł się o barierkę, mając nadzieję, że taki gest pozwoli nieco rozluźnić atmosferę.

Robbins znów ścisnął poręcz i odwrócił wzrok.

- Moja córka ma o panu bardzo dobre zdanie.

- Ja o niej również - przyznał Dalton. - W gruncie rzeczy chciałbym pana prosić o udzielenie mi błogosławieństwa. Chciałbym prosić o jej rękę.

Te słowa najwyraźniej zaskoczyły Robbinsa. Cofnął się, tak jakby Dalton w jakiś sposób go zranił.

- Chodzi o małżeństwo? Mówi pan o małżeństwie? Dalton kiwnął głową.

- Wiem, że może się to wydawać niestosowne ze względu na to, że tak krótko się znamy. Nie należę do ludzi, którzy zachowują się lekkomyślnie czy niedorzecznie. Nie mam w zwyczaju podejmować takich decyzji, jeżeli poważnie ich nie przemyślę i nie rozważę wcześniej wszystkiego w swoim sumieniu. Phoebe od razu znalazła drogę do mojego serca. Kocham ją i chciałbym się z nią ożenić tak szybko, jak to będzie możliwe.

Robbins zmierzył go wzrokiem.

- I ma pan środki, które pozwoliłyby panu zapewnić żonie utrzymanie?

- Mam. Odziedziczyłem spadek, dość duży spadek, do którego uzyskam pełny dostęp, kiedy skończę dwadzieścia jeden lat. Na razie mogę korzystać z części tej sumy i zamierzam założyć własny interes, który pozwoliłby mi dalej zajmować się budową łodzi.

Robbins milczał przez kilka minut. Odwrócił się i wbił wzrok w wodę, pocierając jednocześnie podbródek i rozważając to, co przed chwilą usłyszał. Dalton zastanawiał się, czy jego prośba nieco uspokoiła mężczyznę, czy wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej wszystko skomplikowała.

- Zatem nie zamierza pan po prostu siedzieć beczynnie i żyć ze spadku? Zamierza pan również pracować?

Dalton uznał to za dość osobliwe pytanie, ale odpowiedział:

- Tak. Nie zamierzam siedzieć beczynnie. Nie zostałem w ten sposób wychowany. Lubię pracować własnymi rękami. Budowy łodzi uczyłem się od dziecka. Najprawdopo-

dobniej zatrudnię kilku pracowników, a w kolejnych latach chciałbym jeszcze bardziej rozbudować interes.

- A gdzie byście zamieszkali?

- W Sitce - odpowiedział Dalton. - To mój dom, a po podróży do Stanów jestem przekonany, że nie chcę żyć gdziekolwiek indziej. Nie podobają mi się wielkie miasta i problemy, jakim dają one początek. Poza tym wzdłuż wybrzeża istnieje duży popyt na łodzie.

Wydawało się, że Robbins lekko się przygarbił. Dalton nie potrafił określić, czy myśl o tym, że straci córkę, budziła w mężczyźnie smutek, czy raczej ulgę.

- Masz moje błogosławieństwo. Możesz poprosić ją o rękę - powiedział tak cicho, że Dalton ledwie go usłyszał.

Daltona niepokoiło zachowanie tego człowieka. Przez chwilę nie zamierzał mówić nic więcej, ale czuł się w obowiązku dodać:

- Phoebe opowiadała mi o przeszłości, o pańskim ojcu. Chciałbym, żeby pan wiedział, że nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Historia mojej rodziny też nie jest wolna od problemów. To zresztą dotyczy każdej rodziny.

Mężczyzna zeszywniał.

- Mam kamień młyński u szyi. Wątpię, żebym się kiedykolwiek od niego uwolnił. A już na pewno nie uda mi się to aż do śmierci.

Robbins wyprostował się i odwrócił w stronę Daltona.

- Wydajesz się porządnym młodym człowiekiem. Słyszałem o twojej rodzinie same dobre rzeczy. W małżeństwie wzajemna troska i opieka są bardzo ważne.

Dalton pokiwał głową i uśmiechnął się.

- To prawda. Rodzina jest najważniejsza.

Na twarzy Robbinsa malował się smutek i poczucie klęski.

- Tak, rodzina jest bardzo ważna. - Po chwili ojciec Phoebe zmienił temat, tak jakby nie był w stanie dłużej o tym rozmawiać. - Wsiadasz w Seattle?

- Tak. Muszę kupić towary niezbędne do założenia własnego interesu. Potem zamierzam wrócić do Sitki - odpowiedział Dalton. - A pan, panie Robbins?

- Płynę dalej na południe, do Kalifornii. - Przez chwilę zdawał się nad czymś zastanawiać. - Skoro dotrzesz do Sitki przede mną, chciałbym cię prosić, żebyś przekazał list mojej żonie.

- Oczywiście. Chętnie to zrobię.

- Świetnie. Poproszę, żeby przekazano ci go jutro rano.

- Może zje pan dziś ze mną kolację? - zaproponował Dalton.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie. Mam kilka ważnych spraw. Muszę też napisać list, o którym wspomniałem. - Złapał Daltona za ramię. - Modlę się, żebyś dobrze traktował moją córkę.

- Zapewniam pana, że tak będzie.

Twarz pana Robbinsa zmieniła się. Pojawił się na niej dziwny grymas, który Dalton uznał za oznakę żalu.

- Zawsze była dla mnie największą radością. Jako najstarsze z dzieci zajmowała szczególne miejsce w moim sercu. Będę za nią tęsknił.

- Mógłby pan zostać w Sitce - zaproponował Dalton. - A nawet pracować razem ze mną. - Nie brał tego dotąd pod uwagę, ale przecież ojciec Phoebe mógł okazać się prawdziwym atutem. Człowiek, który doskonale znał się na sprawach bankowych i księgowości, byłby cennym współpracownikiem.

Pan Robbins potrząsnął jednak głową.

- Nie mogę zostać na Alasce. To przysporzyłoby mojej rodzinie jeszcze więcej bólu.

Juri siedział przy stole i w napięciu wpatrywał się w karty, które trzymał w ręku. Gdyby dostał jeszcze królową kier, miałby pokera. Wtedy sterta pieniędzy leżąca na stole byłaby jego i udowodniłby ojcu, że nie tylko Dalton może wykupić część udziałów w interesie. Oczywiście ojciec tego nie oczekiwał, ale Juri miał świadomość, że desperacko potrzebował pieniędzy na powrót do Rosji. Wystarczyła odrobina szczęścia, żeby Juri mógł mu je dać.

- Jedna - powiedział Juri, rzucając kartę na stół.

Dwaj brodaci mężczyźni, którzy siedzieli naprzeciw niego, szeroko się uśmiechnęli.

- Tylko jedna? Musisz mieć niezłe karty.

Juri wpatrywał się w nich, starając się za wszelką cenę ukryć podekscytowanie. Brakowało tylko jednej karty - jednej karty, która mogła okryć go hańbą albo sprawić, że zyska uznanie w oczach ojca. Oczywiście gdyby ojciec dowiedział się, że Juri uprawiał hazard, z uznania byłyby nici.

- Daj mu kartę - zażądał mężczyzna siedzący na lewo od Juriego.

Krupier wzruszył ramionami i zrobił to, o co go proszono. Juri wpatrywał się jeszcze przez chwilę w swoje karty, po czym sięgnął po to, co miało stanowić antidotum na wszystkie jego problemy. Wciągnął powietrze i wstrzymał oddech. Pozostali grali dalej, podczas gdy Juri dołożył kartę do pozostałych. *To jest to* - pomyślał. Zamierzał postawić wszystkie swoje pieniądze na to, co trzymał w ręku. Nie starczyło mu nawet na drinka, chociaż tak naprawdę wcale go nie potrzebował.

- Nadeszła chwila prawdy, Juri - powiedział rozdający. Juri podniósł wzrok: wszyscy mu się przyglądali. Usiłował zachować spokój i znów spojrzał w karty. Rozkładając

je powoli, jedna po drugiej, zdał sobie nagle sprawę, w jakiej znalazł się sytuacji. Przegrana. Miał wrażenie, że król pik śmieje mu się w twarz.

Kiedy Juri z wściekłością rzucił karty na stół, krupier zakpił:

- Może będziesz miał więcej szczęścia w następnym rozdaniu.

Juri wstał i od razu się zachwiał. Dopiero teraz poczuł, ile wypił tego wieczoru.

- Nie dzisiaj. Nawaliłem się.

Wymaszerował z pomieszczenia i przepadł w ciemnościach nocy. Było już dobrze po dziesiątej, a rodzice na pewno się o niego martwili. Juriego to nie obchodziło. Poniósł porażkę. Po prostu najadł się wstydu. Dlaczego w niczym nie mógł dorównać Daltonowi? Przez całe życie Juri chciał być jak Dalton Lindauist. Nawet jako dziecko przyjaciel zdawał się zawsze osiągać wszystko to, co sobie postanowił. Juri już wtedy mu zazdrościł, ale teraz uczucie to było znacznie silniejsze.

Jak to się stało, że Dalton tak po prostu odziedziczył ogromny majątek? Gdzie tu sprawiedliwość? Juri ciężko pracował przez całe swoje życie. Cieszyła go aprobata ojca, cieszyły nauki, których ten mu udzielał. Był zadowolony, kiedy Dalton zaczął z nimi pracować. Ale teraz Juri czuł jedynie zazdrość - i rozgoryczenie związane z tym, że Daltonowi wszystko przychodziło tak łatwo.

Założy własny interes - pomyślał Juri. - Ożeni się z Phoebe i zdobędzie wszystko, czego pragnie. A ja jak zwykle zostanę z niczym.

Co się z nim stanie, kiedy jego rodzice wyjadą do Rosji? Czy zdoła dalej prowadzić warsztat i czerpać z niego zyski, tak jak robił to jego ojciec? Juri wątpił we własne siły. Ni-

gdy nie miał głowy do liczb i nie radził sobie, nawet kiedy ojciec usiłował nauczyć go podstaw księgowości.

Juri zbliżał się do domu. Staął, próbując nieco otrzeźwieć. Nie chciał, żeby jego ojciec zorientował się, że pił. Musiałby wtedy wysłuchiwać kolejnych wykładów o zagrożeniach związanych z alkoholem.

- Jestem mężczyzną - powiedział, wygrazając pięścią w stronę domu.
- Będę robił, co mi się żywnie podoba.

- Juri? - zawołał ktoś w ciemności.

- Kto tam?

- To ja, Maksim - odrzekł jego brat. - Szukałem cię.

- Dlaczego?

Maksim zbliżył się do niego, ale Juri nie mógł w ciemności dostrzec jego twarzy.

- Martwiłem się o ciebie.

- Niepotrzebnie - rzucił szorstko Juri, chcąc, żeby Maksim zostawił go w spokoju i wracał do łóżka. - Jestem mężczyzną.

- Tak, słyszałem, jak to ogłaszałeś - powiedział Maksim.

- Jesteś też pijany.

- I co z tego? Mam prawo robić, co mi się żywnie podoba. - Juri podszedł do brata chwiejnym krokiem i położył mu ręce na ramionach, starając się złapać równowagę.

- Co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć, jesteś jeszcze dzieckiem.

- Jestem na tyle dorosły, żeby zdawać sobie sprawę, jak bardzo sobie szkodzisz. Mama nie wie, co robić. Przysporzyłeś jej wielu zmartwień.

Juri nie chciał słyszeć prawdy. Gwałtownie odsunął się od brata, prawie przy tym upadając.

- Idę do łóżka - oznajmił. - A ty możesz tu spędzić całą noc, jeśli tylko masz ochotę.

- Nie. Pomogę ci. Inaczej wszystkich obudzisz i będziemy musieli wysłuchiwać wykładów ojca o tym, jak niebezpieczny jest alkohol. - Wziął Juriego pod ramię. - Chodź. Zaprowadzę cię do łóżka.

Juri milczał. Wiedział, że jeśli się odezwie, może się rozplakać. Czuł, że coś w nim pękło. Świadomość ta przepełniała jego duszę strachem.

- Ta choroba nie jest tak groźna, jak się obawialiśmy - wyjaśniła Zee.
- Okazuje się, że to łagodniejsza forma szkarlatyny. Dreszcze trwają o wiele dłużej, a gorączka nadchodzi nieco wolniej. Wielu Tlingitów już z tego wyszło.

- Doktor zbadał Lydię i dziewczynki - dodała Evie. - Twierdził, że stopniowo dochodzą do siebie. Radził robić Lydii ciepłe okłady z octu na gardło. Kazał też codziennie myć dziewczynki specjalnym mydłem, a potem wcierać w ich skórę tran albo tłuszcz foki. - Pokazała im kostkę mydła, którą trzymała w dłoni.

Zee kiwnęła głową.

- Powinnyśmy zrobić zapasy. Porozmawiam z Kjellem. Lydia zachorowała kilka dni po dziewczynkach, więc wkrótce też będzie potrzebowała tego mydła.

- Więc najgorsze już za nami? - zapytała Phoebe.

- Miejmy nadzieję - oznajmiła Zee. - Chociaż czasem pojawiają się powikłania. Szkarlatyna może źle wpłynąć na nerki i serce. Będziemy dalej się nimi opiekować i podawać im lekarstwa. Na razie tylko tyle możemy zrobić. Pozostaje jeszcze modlitwa.

- Kiedy epidemia ustąpi? - zapytała Evie, wsuwając mydło z powrotem do kieszeni fartucha.

- Myślę, że w ciągu tygodnia sytuacja powinna się poprawić. - Zee ruszyła do kuchni, gdzie sprawdziła zawartość stojącego na blacie wiadra z mlekiem. - Dziś wieczorem Kjell przyniesie wam więcej mleka. To naprawdę najlepsze, co możemy im podawać. Żałuję, że nie mamy stu dojnych krów zamiast jednej.

- Może powinniśmy się modlić, żeby Bóg cudownie rozmnożył mleko, tak jak to zrobił z chlebem i rybami? -śmiejąc się, powiedziała Phoebe.

Zee uśmiechnęła się.

- Może i tak.

Evie poszła wykapać dziewczynki, a Phoebe zajrzała tymczasem do matki Daltona. Ku jej zaskoczeniu Lydia nie spała, więc Phoebe weszła do pokoju.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała. - Czy jest ci dość ciepło? - Zbliżyła się do kominka i dołożyła polano do ognia.

- Czuję się już lepiej - powiedziała Lydia, ciężko oddychając. - Jestem tylko zmęczona i osłabiona.

Phoebe przystawiła sobie krzesło i usiadła przy matce Daltona. Lydia wydawała się mała i wątła.

- To normalne. Ale twój stan bardzo się poprawił.

- Jak się czują dziewczynki?

- Dużo lepiej. Evie myje je mydłem, które przyniósł nam doktor. Powinno zapobiec swędzeniu i łuszczeniu się skóry.

Lydia kiwnęła głową i zamknęła oczy.

- Phoebe, nie potrafię słowami wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, że nam pomagasz. Wiem, że Evie i Zee też są niesamowicie wdzięczne.

- Zee twierdzi, że sytuacja wygląda lepiej, niż początkowo sądzono. Przy odrobinie szczęścia do powrotu Daltona epidemia zdąży wygasnąć. Prawdopodobnie będzie mógł zejść na brzeg.

Lydia spojrzała na Phoebe i uśmiechnęła się.

- Wiem, że bardzo za nim tęsknisz.

- To prawda. Ale na pewno nie bardziej niż ty.

- Zależy mu na tobie - szepnęła Lydia.

- Wiem. Mnie też na nim zależy. Prosił, żebym na niego czekała.

Nie była pewna, dlaczego podzieliła się tym z Lydią, ale teraz, kiedy już to zrobiła, poczuła wielką ulgę.

- Spodziewałam się tego - Lydia z trudem się uśmiechnęła. - A co odpowiedziałaś?

- Oczywiście zapewniłam, że będę na niego czekała.

- Widzę, że przed końcem tego roku odbędą się prawdopodobnie aż dwa wesela - powiedziała Lydia, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

Nie było sensu silić się na udawanie czegokolwiek.

- Mam wielką nadzieję - odpowiedziała Phoebe. - Kocham go. Chcę, żebyś o tym wiedziała. To dla mnie nowość. Nie sądziłam, że poczuję coś tak intensywnego do drugiej osoby, ale nie potrafię sobie wyobrazić życia bez Daltona.

Mina Lydii nie pozostawiała wątpliwości, jak wielką radość sprawiły jej słowa Phoebe.

- Bardzo się cieszę. Dalton to dobry człowiek, ale będzie potrzebował silnej kobiety u swojego boku.

- Tak jak pan Lindquist potrzebował ciebie.

- Pewnie masz rację, chociaż wydaje mi się, że ja potrzebowałam go o wiele bardziej.

Phoebe zauważyła, że Lydia zdążyła zmęczyć się rozmową.

- Powinnaś teraz odpocząć. Niedługo wrócę, żeby sprawdzić, jak się czujesz.

Lydia wyciągnęła rękę i Phoebe dotknęła jej dłoni.

- Dziękuję. Będę się modliła, żeby Bóg wam błogosławił i zesłał na was wszystkie możliwe łaski.

Phoebe uśmiechnęła się. Lydia mówiła o jej ślubie z Daltonem w tak naturalny sposób, że serce Phoebe od razu przyspieszyło.

Boże, proszę cię, spraw, żeby wkrótce dotarł bezpiecznie do domu. Tak bardzo za nim tęsknię.

Dalton dopiero po trzech dniach spędzonych w Seattle zorientował się, że jeden z trzech listów, które przekazał mu ojciec Phoebe, adresowany był właśnie do niego. Pan Robbins nic o tym nie wspominał, a Dalton zakładał do tej pory, że listy mieli otrzymać jego synowie.

Nie miał pojęcia, co takiego pan Robbins chciał mu przekazać. Być może zależało mu na powtórzeniu błogosławieństwa, którego udzielił małżeństwu Phoebe i Daltona. Otworzył kopertę i przebiegł wzrokiem po kolejnych akapitach. Nagle poczuł dreszcz przerażenia.

Dlatego z wielkim żalem muszę odejść. Znajduję pocieszenie jedynie w świadomości, że będziesz wspierał moich bliskich. Wiedząc, że rodzina ma dla Ciebie tak duże znaczenie, mogę liczyć na to, że zaopiekujesz się nimi, kiedy mnie zabraknie.

Dalton potrząsnął głową i zaczął czytać list od początku. O czym mówił pan Robbins? W sposobie, w jaki się z nim żegnał, była jakaś osobliwa ostateczność, która wzbudziła głęboki niepokój Daltona. Spojrzał na dwa pozostałe listy i zaczął się zastanawiać, co Robbins mógł napisać żonie i córce.

Sięgnął po koperty i odwrócił je. Żadna nie była zapieczętowana. Czy powinien je otworzyć i przeczytać listy? Wiedział, że to naruszenie czyjejś prywatności, ale gorączkowo pragnął poznać ich treść.

- Może przesadzam - powiedział na głos. Raz jeszcze spojrzął na list, który przed chwilą przeczytał. Jego ton nie pozostawiał wątpliwości: Robbins ostatecznie żegnał się z Daltonem. - Nie, to wszystko tylko moja wyobraźnia. - Dalton rzucił list na łóżko i sięgnął po kopertę, którą Robbins zaadresował do swojej żony.

Najdroższa Bethel,

długo Cię kochałem i długo obciążałem Cię brzemieniem mojej hańby. Cierpiałaś u mojego boku, znosząc więcej, niż najlepsza żona powinna znosić. Kochałem Cię mocniej, niż jakikolwiek mąż kochał swoją żonę. Byłaś dla mnie wszystkim - byłaś samym moim oddechem. Proszę, wiedz, że w żadnym stopniu nie ponosisz odpowiedzialności za decyzję, którą podjąłem. Przekaż dzieciom, że je kochałem i że byłem z nich niezwykle dumny.

Kiedy wręczyłem Lymanowi rezygnację, wiedziałem, że podjąłem wreszcie decyzję, którą powinienem był podjąć wiele lat temu. Czuję to samo, rezygnując teraz z życia. Powinienem to zrobić już dawno temu, żeby oszczędzić rodzinie bólu i cierpienia, które dręczyły nas przez tak długi czas.

Daltonowi drżała ręka. Jego obawy się potwierdziły.

Wybacz mi, Bethel. Jestem tylko słabym człowiekiem i nie mam siły dłużej żyć. Dalton Lindquist poprosił mnie właśnie o rękę naszej córki. Udzieliłem mu swojego błogosławieństwa i wiem, że zaopiekuje się też Tobą i chłopcami. Tylko to zapewnia mojej duszy spokój w obliczu faktu, że wkrótce Cię zostawię.

Dalton czuł się tak, jakby z jego płuc całkowicie uszło powietrze. Opadł na łóżko i potrząsnął głową. Robbins zamierzał odebrać sobie życie.

- Co robić? - Wiedział, że statek już dawno odpłynął... z Robbinsem na pokładzie. Być może nawet ojciec Phoebe już nie żył. Dalton z całego serca żałował, że nie towarzyszy mu matka albo ojciec, którzy doradziliby mu, jak powinien postąpić. - Dobry Boże - modlił się. - Co mam zrobić?

Rozdział 22

LISTOPAD 1889 ROKU

Dalton wrócił do Sitki dwudziestego trzeciego listopada. Parowiec pocztowy „The City of Topeka”, który zapewnił mu wygodną podróż, odbywał swój pierwszy rejs na Alaskę. Dalton słyszał, jak załoga mówiła, że to tylko jeden z wielu kolejnych rejsów - statek miał się stać podstawowym środkiem transportu dla poczty.

Chłopak dowiedział się też, że podczas jego nieobecności w miasteczku wybuchła epidemia szkarlatyny. Modlił się, żeby jego rodzina nie ucierpiała wskutek tej choroby. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek sam na nią cierpiał, dlatego obawiał się o swoje młodsze siostry. Najbardziej jednak martwił się tym, że będzie musiał poinformować rodzinę pana Robbinsa o jego śmierci.

Spojrzał na nabrzeże, szukając w porcie znajomych twarzy. Nie dostrzegł ani matki, ani ojca - ale nie wiedzieli przecież, że Dalton dziś przybędzie. Rozwahał, czy nie pójść najpierw do domu. Była chłodna, deszczowa sobota, więc może ojciec i matka mogliby towarzyszyć mu podczas rozmowy z Robbinsami. Przerazała go konieczność złożenia im samotnej wizyty.

Śledztwo, które Dalton samodzielnie przeprowadził w kwestii podróży pana Robbinsa do Kalifornii, potwierdziło, że ojciec Phoebe zdołał zrealizować swój plan: męż-

czyzna wyskoczył za burzę i utonął. Dalton nie miał pojęcia, jak przekazać tę wiadomość Phoebe i jej rodzinie. Z początku miał ochotę ukryć listy, które dał mu Robbins, i o niczym nikomu nie mówić. Ale nie mógł podtrzymać kłamstw i tajemnic, które wisiały nad jego własnym życiem. Wiedział, że prawda o tym, co zrobił Robbins, okaże się dla nich bolesna, jednak nie mógł ich przed tym uchronić. Miał świadomość, że władze i tak skontaktują się wkrótce z Phoebe i jej rodziną. Dlatego uznał, że lepiej, by wieści przekazał ktoś bliski.

Ale co mam im powiedzieć? Nie istniał żaden łatwy sposób przekazywania takich wiadomości. Może jednak powinien poprosić rodziców o radę?

Ostatecznie Dalton zdecydował, że zrobi to jak najszybciej. Dom Phoebe znajdował się dwie przecznice dalej. Ruszył przed siebie, modląc się po drodze, żeby Bóg pomógł mu odnaleźć właściwe słowa.

Ten pochmurny dzień stanowił idealne tło dla wiadomości, którą miał przekazać. Dalton mozolnie przebijał się przez błotniste ulice, w roztargnieniu witając się z ludźmi, których po drodze spotykał. Dopiero kiedy w pewnej odległości dostrzegł Juriego, porzucił na chwilę myśli o zadaniu, które go czekało.

- Juri! - zawołał Dalton, machając do przyjaciela.

Juri spojrzał w jego kierunku, ale nie odwzajemnił pozdrowienia. Przez chwilę wpatrywał się w Daltona, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w drugą stronę. Dalton stanął, patrząc na oddalającego się przyjaciela. Najwyraźniej rozłaka nie ukoila jego gniewu.

W tej chwili nic na to nie mogę poradzić - powtórzył sobie Dalton. Widział już przed sobą dom Robbinsów. Niski budynek nosił podobne ślady eksploatacji co większość domów w Sitce, ale pani Robbins i Phoebe umiejętnie prze-

kształciły go w prawdziwy dom. Mimo pewnych zniszczeń koronkowe zasłony we frontowym oknie nadawały mu niemal radosny charakter.

Po tym, czego się dziś dowiedzą, radość zniknie stąd raz na zawsze.

Pukając do drzwi, Dalton raz jeszcze poprosił Boga o siłę. Nie mógł im już w żaden sposób pomóc. Wiedział, że niezależnie od tego, co powie, Robbins nie żył, a ich rozpacz będzie ogromna. W tej samej chwili drzwi otworzyła pani Robbins, która serdecznie go przywitała.

- Daltonie, nie wiedziałyśmy, że wróciłeś - cofnęła się o kilka kroków.
- Proszę, wejdź, na dworze jest bardzo zimno.

Tak też zrobił. Położył swoją torbę tuż przy drzwiach, zdjął czapkę i spojrzał na kobietę.

- Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Phoebe jest w kuchni, zaraz po nią pójde. Wzięła się za prasowanie. Chłopcy wyszli z przyjaciółmi, więc nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Dalton pozwolił jej pójść po Phoebe: wiedział, że powinna usłyszeć bolesne wieści w obecności córki, która w obliczu tragedii będzie dla niej ogromnym wsparciem. Może zresztą i on jej teraz potrzebował. Gdyby jej w tej chwili zabrakło, z pewnością czułby się znacznie bardziej samotny. Pamiętał jednocześnie, że miał im przekazać wiadomość o śmierci ojca Phoebe i że ta wiadomość z pewnością okaże się dla nich wielkim ciosem. Dalton przeczesał dłonią włosy. Żałował, że najpierw nie spotkał się z rodzicami.

W tej samej chwili do pokoju wkroczyła Phoebe, a wszystkie inne myśli nagle zniknęły. Włosy w kolorze złotego miodu opadały luźno na jej ramiona. Choć miała na sobie prostą sukienkę, Dalton pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej.

- Nie wiedziałam, że dziś przyplyniesz. Czekałabym na ciebie w porcie - powiedziała. Przeszła przez pokój i stanęła koło niego. Gdyby nie to, że jej matka stała tuż za nią, Dalton natychmiast wziąłby Phoebe w ramiona.

- Przykro mi, że nie mogłem cię zawiadomić. - Zebrał się w sobie i wskazał gestem sofę. - Czy moglibyśmy usiąść? Chciałbym z wami porozmawiać.

Phoebe uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Oczywiście. Mówisz bardzo poważnie. Czy coś się stało?

Usiadła, a matka poszła za jej przykładem. Kobiety wyczekująco wpatrywały się w Daltona, który marzył tylko o tym, żeby natychmiast zapaść się pod ziemię. Zamiast tego jednak przystawił sobie krzesło i usiadł dokładnie naprzeciwko nich. Wyciągnął z kieszeni listy od pana Robbin-sa, ale postanowił ich jeszcze nie wręczać.

- Obawiam się, że stało się coś strasznego. Żałuję, że muszę przekazać wam takie wieści, ale niestety spoczywa na mnie ten obowiązek.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy pani Robbins. Spojrzała na córkę, która pochyliła się w stronę Daltona.

- O co chodzi? Mów szybko, co się stało.

- Twój ojciec... pan Robbins... obawiam się, że... - Dalton nie potrafił wypowiedzieć tego słowa. Wydawało mu się tak brutalne, tak ostateczne... - Nie żyje.

Phoebe potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Jej matka wpatrywała się w Daltona szeroko otwartymi oczami, z ustami niedomkniętymi ze zdumienia. Chciał je pocieszyć, ale musiał najpierw udzielić im odpowiedzi na pewne pytania. Nie czekając, aż same zdecydują się je zadać, mówił dalej:

- Rozmawiałem z nim podczas podróży do Seattle. Przekazał mi te oto listy - Dalton podał im koperty. - Napisał

trzy listy, w tym jeden adresowany do mnie, ale dopiero po rozstaniu zrozumiałem, o co mu chodziło.

Kobiety wpatrywały się przez chwilę w koperty, po czym przeniosły wzrok na Daltona. Phoebe odezwała się pierwsza.

- Co się stało? W jaki sposób zginął?

- Wyskoczył za burtę. Ktoś to widział, ale zanim załoga zdążyła zatrzymać statek i ruszyć na pomoc, nie było już po nim śladu. - Dalton przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. - Kiedy rozmawiałem z nim na pokładzie, wydawał się pogrążony w smutku. Trzymał się na uboczu przez większą część podróży, więc zdołałem zamienić z nim kilka słów dopiero w przeddzień naszego rozstania. Poprosiłem go o rękę Phoebe - wyjaśnił, patrząc na nią przepraszająco. - Przykro mi, że wspominam o czymś tak wspaniałym przy tak smutnej okazji, ale to ważne, żebyście obie miały tego świadomość.

Phoebe kiwnęła głową i spojrzała na matkę.

- Rozumiemy.

Pani Robbins płakała w milczeniu.

- Prosił, żebym przekazał pani list. Następnego ranka przyniesiono mi trzy koperty. Tak jak już mówiłem wcześniej, przypuszczałem, że dwie są zaadresowane do was, a ostatnia do chłopców. Przez trzy dni zajmowałem się swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na listy. Dopiero później zauważyłem, że jeden z nich został napisany do mnie. Kiedy go przeczytałem, bardzo się zaniepokoiłem. Miałem wrażenie, że pan Robbins oficjalnie przekazuje mi opiekę nad swoją rodziną. Obawiałem się, że jest to list pożegnalny i że zamierza zrobić sobie krzywdę. Potrzebowałem jednak dowodów.

Dalton poruszył się na krześle, wyraźnie zakłopotany.

- Proszę, byście mi wybaczyły. W związku ze swoimi podejrzeniami musiałem otworzyć także i wasze listy. Kiedy je przeczytałem, natychmiast powiadomiłem władze. Skontaktowano się z kapitanem statku i ostatecznie potwierdzono, że pan Robbins utonął.

- Nie umiał pływać - pani Robbins odezwała się po raz pierwszy od czasu, kiedy przekazał im tę wiadomość. - Żadne z nas nie umie. - Głos jej się załamał i znów zaczęła szlochać. - Och, co my teraz pocniemy?

Dalton i Phoebe wymienili spojrzenia, a po chwili Dalton dotknął dłoni pani Robbins. - Proszę się niczym nie martwić. Kocham Phoebe całym sercem i wierzę, że ona też mnie kocha.

- To prawda - szepnęła Phoebe. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Czy kochasz mnie na tyle, żeby za mnie wyjść? Pokiwała głową.

- Wiesz, że tak.

Dalton przeniósł wzrok na panią Robbins.

- Weźmiemy ślub i zostaniemy rodziną. Zadbam o wszystkie wasze potrzeby. Proszę się nie obawiać tego, co przyniesie przyszłość.

- Ale jak możesz się nami zaopiekować? Jesteś jeszcze bardzo młody - powiedziała pani Robbins, potrząsając głową.

- Mam pieniądze. Ojciec zostawił mi spadek. Przez wszystkie te lata pieczę nad nim sprawowała moja matka. To dość duża kwota i wystarczy, żeby pokryć wszystkie nasze potrzeby. Proszę tylko o jedno.

- O co, Daltonie? - zapytała matka Phoebe.

- Żeby została pani tutaj, w Sitce. To mój dom, zawsze tu pracowałem. Nie chcę stąd wyjeżdżać. Dlatego na razie chciałem prosić, żeby pani nie wyjeżdżała. Gdyby z czasem

uznała pani, że woli wrócić do Vermont albo przenieść się w jakieś inne miejsce, zorganizuję tę podróż i dopilnuję, by miała się pani za co utrzymać. Ale chciałbym, żebyśmy z Phoebe zostali tutaj.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - powiedziała pani Robbins, przyciskając list do piersi. - Ja... ja... muszę zostać na chwilę sama. - Wstała i bez słowa wymknęła się z pokoju.

On i Phoebe siedzieli przez chwilę w milczeniu. Dalton cieszył się, że chłopcy akurat wyszli. Pomyślał, że łatwiej im będzie usłyszeć tę wiadomość od matki, kiedy jego już nie będzie.

- Przykro mi - powiedział wreszcie.

- Nie powinno ci być przykro. Zachowałeś się w godny podziwu sposób - odparła Phoebe.

- Ale zasługujesz na więcej. Żałuję, że musiałem oświadczyć ci się w tej samej rozmowie, w której powiadomiłem cię o śmierci ojca. - Dalton wstał i usiadł obok niej na sofie. Otoczył Phoebe ramieniem, przyciągnął ją do siebie i wciągnął w płuca zapach jej włosów.

Phoebe przytuliła się do niego, przywierając twarzą do jego piersi. Mając ją tuż przy sobie, czuł, że wszystko było wreszcie na swoim miejscu. Pragnął ją pocałować, ale wiedział, że jeszcze nie czas na takie gesty.

- Powinniśmy wziąć ślub możliwie szybko - powiedział wreszcie.

- Tak. Zgadzam się. - Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. - Daltonie, gdzie my zamieszkamy? Tutaj ledwo jest miejsce na naszą czwórkę.

- Nie miałem jeszcze czasu, żeby się nad tym zastanowić, ale zamierzam wkrótce założyć interes. Mogę też zbudować dom. Będę musiał porozmawiać o tym z ojcem.

Na razie twoja matka i bracia mogą zostać tutaj, a ty i ja zamieszkamy gdzieś w pobliżu. Moglibyśmy też przenieść się do mnie, ale byłabyś wtedy daleko od matki.

- Będzie jeszcze czas na te wszystkie decyzje. - Wydawała się bardzo zagubiona, więc Dalton znowu przyciągnął ją do siebie.

- Tak mi przykro, że nie mogłem ci się oświadczyć w bardziej romantycznych okolicznościach - powiedział. -Przez całą podróż myślałem tylko o tobie. Jak to się stało, że zupełnie niepostrzeżenie zajęłaś tak ważne miejsce w moim sercu?

- Chciałam cię zapytać o to samo - odpowiedziała, drżąc w jego ramionach.

- Boisz się?

Nie odpowiedziała. Dalton starał się spojrzeć jej w oczy.

- Popatrz na mnie, Phoebe.

Przechyliła lekko głowę, ich spojrzenia się spotkały. Dalton dotknął jej twarzy i pogłaskał ją po policzku.

- Nie bój się... ani mnie... ani przyszłości. Bóg nas nie opuścił. Wskaże nam właściwą drogę.

- Nie boję się ciebie - szepnęła. - Jestem po prostu... zdenerwowana... zaniepokojona. Chcę być dobrą żoną, ale ja... no cóż... jeszcze nigdy nikogo nie całowałam. Obawiam się, że uznasz mnie za bardzo naiwną i niedoświadczoną.

Uśmiechnął się.

- Nie przeszkadza mi to. - Przejechał palcem po linii jej ust. - I zamierzam wkrótce zaradzić temu problemowi.

Spojrzała na niego z takim podziwem i zachwytem, że Dalton z trudem oparł się pokusie pocałowania jej dokładnie w tej chwili. Powstrzymał się jednak. Chciał, żeby ich pierwszy pocałunek był równie wyjątkowy co ich pierw-

sza spędzona wspólnie noc. Choć ledwo się powstrzymał, wiedział, że warto.

- Już niedługo - obiecał.

- Tak się cieszę, że czujecie się już lepiej - powiedział Dalton. Spojrzał na matkę, która przykryta kocem siedziała na swoim ulubionym fotelu bujanym. - Nie miałem pojęcia, że zachorowałyście.

- Nie mogliśmy cię zawiadomić - odpowiedziała Evie, która przed chwilą położyła dziewczynki do łóżka. - To wszystko stało się tak nagle.

- Ale bez Phoebe byłoby z nami dużo gorzej - dodała jego matka.

- Nic mi o epidemii nie powiedziała. Ale też wieści, które jej przekazałem, były tak straszne, że pewnie o wszystkim zapomniała. - Dalton zdążył już domownikom opowiedzieć o samobójstwie pana Robbinsa.

- Żałuję, że nie mogliśmy ci pomóc, ale wiem, że Bóg miał cię w swojej opiece - cicho rzekła jego matka. - Trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógł w ten sposób odebrać sobie życie.

- Nie ulega wątpliwości, że tego człowieka przygniotło brzemie wydarzeń sprzed lat - powiedział Kjell, wchodząc do salonu. - Przeszłość potrafi skutecznie zatruć teraźniejszość.

Dalton westchnął i opadł na skórzane oparcie krzesła, które zrobił jego ojciec. Tak dobrze było wrócić do domu. Z utęsknieniem myślał o własnym łóżku i marzył, żeby porządnie się wyspać.

- Udało ci się kupić w Seattle wszystko, czego potrzebowałeś? - zapytała Zee.

- Tak, wszystko i jeszcze więcej - na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Część tych rzeczy zostanie wysłana dopiero za jakiś czas. Ale przywiozłem z sobą to, co najważniejsze... w tym prezenty dla was wszystkich.

Jego matka się roześmiała.

- Zbliżają się twoje urodziny. To ty powinieneś dostać prezenty.

- Załatwiłem sobie własny, specjalny prezent - odpowiedział Dalton.

- Oświadczyłem się i moje oświadczyzny zostały przyjęte. Nie był to najlepszy moment, ale chciałem uspokoić matkę Phoebe i zapewnić ją, że zaopiekuję się nią i chłopcami.

Jego rodzice wymienili spojrzenia.

- To wspaniały gest, synu - stwierdził Kjell.

- W pewnym sensie kontynuuję naszą rodzinną tradycję - odparł Dalton. - W końcu zaopiekowałeś się mną i mamą, a także Evie i ciocią Zee. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla kobiety, którą kocham.

Jego ojciec oparł się o gzyms kominka.

- To wielka odpowiedzialność.

- Kiedy weźmiecie ślub? - zapytała Lydia, ocierając załzawione oczy.

- Niedługo. W ciągu tygodnia, o ile to będzie możliwe. Uważam, że powinniśmy zrobić to jak najszybciej, żeby zapewnić całej rodzinie Phoebe jak największe poczucie bezpieczeństwa.

- Gdzie zamieszkacie? - zapytała Evie.

- No cóż, wydaje mi się, że najlepiej byłoby zbudować nowy dom. - Spojrzał na ojca. - Miałem nadzieję, że mi w tym pomożesz.

- Myślisz, że pozwoliłbym zrobić to komukolwiek innemu? - odrzekł ze śmiechem Kjell. - Podczas twojej nieobecności udało mi się nawet znaleźć nieruchomość położoną

niedaleko stąd, w pobliżu portu. Mógłbyś tam założyć swój warsztat, a obok postawić dom. Dalton szeroko się uśmiechnął.

- Kiedy będę mógł obejrzeć to miejsce?

- Może jutro po kościele? Kiwnął głową.

- Oczywiście trudno będzie wszystko skończyć w ciągu zimy. Na razie wynajmiemy pewnie nieduże mieszkanie w miasteczku. Matka Phoebe będzie chciała mieć ją blisko siebie.

- Rozumiem. Mimo to cieszę się, że będziecie mieli z Phoebe trochę czasu tylko dla siebie - powiedziała jego matka w zamyśleniu. - To dla was ważny okres i okazja, żeby lepiej się poznać.

- Nie wiem, czy słyszałeś, ale Joshua i ja bierzemy ślub siódmego grudnia - wtrąciła Evie.

Dalton roześmiał się i żartobliwie ją szturchnął.

- Najwyższa pora. Dlaczego tak długo zwlekał z oświadczeniami?

Evie wzruszyła ramionami.

- Chyba po prostu czekał, aż przyjdę i go zachęcę.

- No cóż, siostró, bardzo się cieszę. - Pomyślał o bólu i cierpieniu, których dotąd doświadczyła. Nikt nie zasługiwał na szczęśliwe małżeństwo bardziej niż Evie.

Kjell wyprostował się.

- Robi się późno, a rano idziemy do kościoła. - Podeszedł do Lydii, bez wysiłku uniósł ją z fotela i ruszył w stronę schodów. - Teraz będę cię miał tylko dla siebie.

Dalton usłyszał chichot swojej matki. Uśmiechnął się do Evie i Zee.

- Mam nadzieję, że w ich wieku będę równie romantyczny.

Evie kiwnęła głową.

- Ja też mam taki zamiar.

Phoebe siedziała na łóżku, wpatrując się w mrok. Jej ojciec nie żył. Nigdy nie przyznała się do tego matce, ale już wcześniej obawiała się, że ojciec może po nie nigdy nie wrócić. Początkowo sądziła, że zamierzał po prostu uciec - że wyjedzie do Kalifornii i nigdy nie sprowadzi ich do siebie. Nie potrafiła sobie uzmysłwić, dlaczego się tego obawiała: nie był przecież typem człowieka, który zdecydowałby się porzucić rodzinę.

- Ale właśnie to zrobił - szepnęła.

Objęła kolana dłońmi i przycisnęła je do piersi. Starła się stłumić łzy płynące po policzkach. Jak mógł odejść? Jak to się stało, że podjął tak straszną decyzję? Z pewnością zdawał sobie sprawę z ogromu bólu i cierpienia, które spowoduje - jasno wynikało to z listu, który do niej napisał. Zalała ją fala gniewu. Jak mógł tak kompletnie nie liczyć się z rodziną, jak mógł zachować się tak egoistycznie? Jej matka była niepokieszona, a chłopcy... zdezorientowani i pogrążeni w żalu.

- To nie było w porządku - powiedziała, potrząsając głową. - To, co zrobiłeś, nie było w porządku.

Phoebe pochyliła głowę i próbowała się modlić, ale nie przychodziły jej do głowy żadne słowa. Jak miała się do tego wszystkiego odnieść? Czyż samobójstwo nie było grzechem? Czy jej ojciec stracił miejsce w niebie z powodu swojej słabości? Z pewnością Bóg się nad nim ulituje. Bóg wiedział przecież, jak wielkie brzemię ciążyło na jej ojcu.

Westchnienie Phoebe rozbrzmiało echem w cichym pomieszczeniu. Co teraz się stanie? Wiedziała, że wyjdzie za Daltona - ale poza tym jednym pewnym punktem przyszłość stanowiła dla niej wielką niewiadomą. Wydawało się, że jej rodzina, całe życie, wszystko rozpadło się na ka-

wałki, a ona nigdy nie zdoła tych kawałków posklejać. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna.

- Och, Daltonie. Żałuję, że nie ma cię tu przy mnie. Chciałabym, żebyś był już moim mężem. - Opadła na poduszkę. Nakrywając się kołdrą, pozwoliła łzom swobodnie spływać po policzkach.

- Tatusiu - szepnęła. - Będę za tobą bardzo tęskniła.

Rozdział 23

Phoebe raz jeszcze spojrzała na swój kremowy kostium.

Ciembrazowe hafty nadawały mu odświętny wygląd, ale mimo to wydawał się dość prosty. Ten strój został uszyty głównie po to, żeby łatwo się w nim podróżowało i chodziło. Wątpiła, czy ktokolwiek wyobrażał sobie, że posłuży jako suknia ślubna.

Zerknęła na zegar. Za niecały kwadrans miała zostać żoną Daltona Lindquista. Wydawało jej się, że śni. Większość minionego tygodnia spędzili razem, udało im się nawet znaleźć maleńkie mieszkanie nad jednym ze sklepów. Nie było to wiele, ale jak tłumaczył jej Dalton, więcej na razie nie potrzebowali. Na wiosnę mieli już przenieść się do własnego domu - na tyle dużego, by pomieścić całą jej rodzinę.

- Jesteś gotowa? - zapytała jej matka.

- Chyba tak. - Phoebe podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - Trochę inaczej wyobrażałam sobie swój ślub, ale szczerze mówiąc, to kompletnie nieistotne. Wychodzę za mężczyznę, którego kocham, i chociaż nie ma tu ze mną ojca, jestem naprawdę szczęśliwa.

Matka kiwnęła głową i dotknęła ramienia Phoebe.

- Dalton to dobry człowiek. Troszczy się o naszą rodzinę bardziej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. - Po chwili dodała słabym głosem: - Chciałabym, żeby ten dzień wyglądał inaczej. Nie wyobrażałam sobie, że ojca nie będzie

przy tobie w takiej chwili. Tak bardzo za nim tęsknię. -Przetarła oczy.
- Przepraszam. Phoebe wzięła matkę za rękę.

- Nie przepraszaj. Wiem, jak bardzo go kochałaś. Żałuję, że... że... odszedł. Mam nadzieję, iż wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. To, że wychodzę za Daltona, nic przecież między nami nie zmienia.

Jej matka uśmiechnęła się smutno.

- Wiem, ale chcę też, żebyś skupiła się na własnym życiu. Twoje wesele powinno być czasem szczęścia i radości, czasem, kiedy to ty i twój przyszły mąż będziecie absolutnie najważniejsi. Nie zamartwiaj się dłużej tym, co nas spotkało. Nie teraz. - Ścisnęła dłoń Phoebe. - Jutro przyjdzie czas na żałobę.

Phoebe kiwnęła głową. Ruszyła za matką i z niewielkiego pomieszczenia przeszła do kaplicy. Przed sobą zobaczyła niewielką grupę ludzi: w większości byli to krewni i znajomi Daltona. Zjawili się też jednak gubernator z żoną, a także kilku innych współpracowników jej ojca. Z przodu Phoebe dostrzegła swoich braci, którzy stali obok Daltona. Wyglądali na niezadowolonych i skrzepowanych.

Britta pociągnęła Phoebe za spódnicę.

- Jesteś gotowa?

Phoebe spojrzała na Brittę i Kjerstin - swoje druhny. Uśmiechnęła się.

- Jestem. Idźcie przodem.

Ktoś zaczął grać na fortepianie i w tej chwili Phoebe zdała sobie sprawę, że właśnie rozpoczął się jej ślub. Britta ruszyła w kierunku ołtarza, Kjerstin szła sześć kroków za nią. Phoebe wzięła głęboki oddech i poczuła, że zaczęły jej drżeć kolana. Jednak gdy tylko podniosła wzrok i spojrzała w błękitne oczy Daltona, od razu się uspokoiła.

Uśmiechnął się, a Phoebe poczuła, że się rumieni. Spuściła głowę, zawstydzona. Co pomyślą ludzie? Wbiła wzrok w ziemię i powoli ruszyła w stronę ołtarza.

Mogę to zrobić. Krok po kroku. Uśmiechnęła się, kiedy przypomniła sobie znajomy werset z *Listu do Filipian*: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”¹.

Poczuła, że Dalton wziął ją za rękę. Drżąc od stóp do głów, ledwo zdołała podnieść wzrok. Dalton mrugnął do niej, ale jego zachowanie sprawiło, że czuła się jeszcze bardziej skrepowana. Przypominał raczej szelmowskiego wesółka niż poważnego pana młodego.

Po chwili przyciągnął ją do siebie i szepnął:

- Pamiętaj, że jeżeli zemdlejesz, napiszą o tym w gazecie. Phoebe gwałtownie odwróciła głowę. Pastor wyglądał

na zaskoczonego, ale Dalton miał bardzo poważny wyraz twarzy. Phoebe najchętniej porządnie walnęłaby go w zębra, choć wiedziała, że miał dobre intencje. Mimo to uznała, że jest coś wysoce niestosownego w tak bezpardonowym wyśmiewaniu panny młodej. Czy nie wiedział, jak bardzo się denerwowała? Czy nie rozumiał, że czekała na ten dzień przez całe swoje życie?

- Drodzy zgromadzeni - zaczął pastor.

Phoebe zwilżyła wyschnięte usta i starała się skoncentrować na słowach kapłana. Za chwilę Dalton miał stać się jej mężem. Ona miała zostać jego żoną. A przecież ledwie знаła tego człowieka. Przybyła z rodziną do Sitki niecałe pół roku temu. Może wszystko potoczyło się zbyt szybko?

- Kto oddaje tę kobietę temu oto mężczyźnie? - zapytał pastor.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza. Phoebe nie zastanawiała się wcześniej nad tym, kto odpowie na to

¹ Biblia Tysiąclecia, *List do Filipian*. 4, 13.

pytanie. Czy w obliczu nieobecności jej ojca ślub okaże się mniej ważny w oczach Boga i prawa?

- Ja ją oddaję.

Phoebe odwróciła się i wtedy zobaczyła swoją matkę, która wstała, by udzielić odpowiedzi na postawione przed chwilą pytanie. Matka zwróciła głowę w jej stronę, po czym zajęła swoje miejsce.

Phoebe odwróciła się do pastora i zapytała:

- Czy to się liczy?

Dalton i pastor zachichotali, ale Phoebe pytała zupełnie poważnie. Kapłan nachylił się w jej stronę.

- Wszystko jest w najlepszym porządku. - Wyprostował się. - Czy ty, Daltonie, bierzesz sobie tę kobietę, Phoebe, za żonę i ślubujesz, że będziecie wspólnie wypełniali wolę Boga w świętym związku małżeńskim?

Te słowa błyskawicznie przemknęły przez umysł Phoebe. Starła się na nich koncentrować, ale nerwy wzięły górę. *Zachowuję się naprawdę absurdalnie - pomyślała. - Muszę się skupić. Muszę słuchać tego, co mówi pastor. Ale im bardziej próbowała, tym żywszy toczyła spór sama z sobą.*

-Tak.

Usłyszała słowa Daltona i jej rozwichrzony umysł na chwilę się uspokoił. Phoebe podniosła wzrok i zobaczyła, że Dalton się do niej uśmiechał. Nie: szczyrzył zęby w uśmiechu jak dziecko, któremu uszła na sucho jakaś psota.

- A czy ty, Phoebe, bierzesz sobie tego mężczyznę, Daltona...

O Boże. Teraz moja kolej. Dlaczego nie mogę się uspokoić? - Starła się wyrównać oddech. - Przecież chcę za niego wyjść. Kocham go. Dlaczego czuję się taka... taka... przerażona? - Drżała coraz bardziej.

- ...i nie opuścisz go aż do śmierci?

Phoebe głośno przełknęła ślinę. Wiedziała, że nadeszła jej kolej. *Zapomniałam słów. Co mam powiedzieć? Nie pamiętam.* Spojrzała na Daltona, czując przypływ paniki, który kompletnie ją sparaliżował.

- Będę - powiedziała i z przekonaniem skinęła głową, żeby podkreślić te słowa.

- Powiedz „tak” - szepnął pastor.

Dalton ścisnął jej rękę, starając się dodać otuchy. Na jego twarzy dało się zauważyć rozbawienie, które ustępowało miejsca głębokiemu współczuciu.

- Tak - szepnęła.

Ku ogromnej uldze Phoebe pozostała część ceremonii przebiegła dość szybko. Zafascynowana przyglądała się, jak Dalton wsuwał jej pierścionek na palec i przysięgał, że będzie ją kochał do końca życia. To się naprawdę działo. Naprawdę stawała się jego żoną.

- Ogłaszam was mężem i żoną, przed Bogiem i przed zebranymi tu ludźmi - oznajmił pastor. - Możesz pocałować pannę młodą.

Dalton pochylił się w jej stronę.

- Widzisz, mówiłem przecież, że niedługo rozwiążę twój problem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wziął ją w objęcia, nachylił się i zbliżył swoje usta do jej ust. Pocałunek był delikatny i zdecydowanie zbyt krótki, ale mimo to Phoebe zabrakło nagle tchu. Spojrzała Daltonowi w oczy i poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Nagle zapadła ciemność.

Kiedy Phoebe odzyskała przytomność, leżała na kościelnej ławie, a kilka osób zgromadziło się wokół niej, jakby była towarem wystawionym na targu. Dalton klęczał przy niej. Troska na jego twarzy szybko zniknęła i ustąpiła miejsca szelmowskiemu uśmiechowi.

- Mam nadzieję, że nie będziesz tak reagowała, ilekroć cię pocałuję.

Wszyscy wokół się roześmiali. Phoebe nie było do śmiechu - najchętniej by stamtąd uciekła. Miała cichą nadzieję, że Bóg wyciągnie dłoń i zabierze ją prosto do nieba. W ten sposób nie musiałyby przynajmniej znosić wstydu związanego z faktem, że zemdląła podczas swojego pierwszego pocałunku.

- Czy czujesz się już trochę lepiej? - zapytała Zee. Phoebe usiłowała wstać, ale Zee ją powstrzymała.

- Poleż i odpocznij jeszcze chwilę. To był dość męczący dzień.

- Nic mi nie jest - zapewniła Phoebe. - Naprawdę. Przepraszam, że wszystkich wystraszyłam.

Zee, która najwyraźniej upewniła się, że Phoebe jednak nie umrze lada chwila na ich oczach, kiwnęła głową, a Dal-ton pomógł żonie usiąść. Zajął miejsce obok niej, otaczając ją ramieniem.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytała jej matka. Wyglądała na zaniepokojoną, co sprawiło, że Phoebe poczuła się jeszcze gorzej.

- Wszystko w porządku. Naprawdę. Nie przejmuj się. Matka zdawała się rozumieć zakłopotanie Phoebe.

- No cóż, skoro jesteś pewna... - Nachyliła się nad córką i pocałowała ją w policzek. - Gratuluję. - Odwróciła się do Daltona i jego też ucałowała. - Witaj w naszej rodzinie.

Słyszając te słowa, wszyscy rzucili się do składania życzeń i gratulacji. Phoebe uśmiechała się i odpowiadała dokładnie tak, jak należało, cały czas czując obecność mężczyzny, który stał u jej boku. Należała teraz do Daltona Lindquista. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

A on należy do mnie.

Kiedy tydzień później Evie i Joshua pocałowali się podczas swojego ślubu, Dalton nie mógł się powstrzymać i szepnął do ucha swojej świeżo upieczonej żonie:

- Widzisz, nie zemdlała. Tak to się robi. - Phoebe mocno go szturchnęła, a Dalton tylko zachichotał.

Evie zdecydowała, że jej przyjęcie weselne odbędzie się w domu Lindquistów. Zjawili się wszyscy znajomi i sąsiedzi. Choć atmosfera była mniej oficjalna niż w przypadku większości ceremonii, Dalton uważał, że to idealne przyjęcie dla jego siostry.

Ciągnąc za sobą Phoebe, pospiesznie pogratulował młodej parze, pocałował siostrę w policzek, po czym przemknął z powrotem przez tłum gości składających życzenia. Prowadził za sobą Phoebe i zatrzymał się dopiero, kiedy znaleźli się sami, z dala od innych. I nagle zupełnie znieacka namiętnie pocałował swoją żonę.

- Chyba już zaczynam rozumieć, na czym to polega - stwierdziła, lekko się cofając. - Widzisz, nadal stoję o własnych siłach.

Dalton roześmiał się i raz jeszcze ją pocałował.

- Wydaje mi się, że całkiem dobrze opanowałaś tę sztukę.

Phoebe spojrzała na niego, lekko zawstydzona.

- I nawet mi się to podoba.

- Co byś powiedziała na to, żebyśmy darowali sobie resztę przyjęcia?
- zaproponował, szeroko się uśmiechając.

Przewróciła oczami, ale nie protestowała. Dalton przeprosił matkę i z wszystkimi się pożegnał, po czym znalazł ich płaszcze i wyprowadził Phoebe na dwór.

- Co jej powiedziałaś? - zapytała Phoebe, wkładając płaszczyk.

- Wyjaśniłem, że musimy odwiedzić twoją matkę - odparł niewinnie.
- Czy wydawało ci się, że mogło mi chodzić o coś innego?

Phoebe podjęła tę grę.

- Oczywiście, że nie. Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś mieć inne plany. Matka będzie na pewno wzruszona troską, którą ją otaczasz.

Przyciągnął ją do siebie. Poczula na uchu jego ciepły oddech:

- Jestem bardzo troskliwym człowiekiem. Wzięli się za ręce i ruszyli do domu.

- Evie ślicznie dziś wyglądała - powiedziała Phoebe w zamyśleniu. - Mam nadzieję, że będzie bardzo szczęśliwa.

- Wydaje mi się, że jest szczęśliwa po raz pierwszy w życiu. - Dalton znowu przyciągnął Phoebe do siebie. - Chociaż wątpię, żeby ktokolwiek był szczęśliwszy ode mnie.

- Chyba że ja - zauważyła Phoebe. - Och, Daltonie, tak bardzo cię kocham.

Przystanął i rozejrzał się wokół siebie, po czym wziął ją w ramiona i podniósł.

- A ja kocham ciebie. - Zakręcił nią w powietrzu i oznajmił: - Kocham cię coraz mocniej z każdym dniem, każdą godziną, każdą minutą.

Zachichotała i pisnęła:

- Postaw mnie. Zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Lubię, kiedy kręci ci się w głowie - powiedział ze śmiechem. - Wtedy zaczynasz potrzebować mojej pomocy. - Zatrzymał się i postawił ją na ziemi.

Poczuł głębokie wzruszenie, widząc pełen miłości wyraz jej twarzy. Phoebe szepnęła:

- Zawsze będę potrzebowała twojej pomocy.

- A ja zawsze będę ci pomagał - obiecał. - Dobrze, a teraz naprawdę powinniśmy przyspieszyć. Strasznie tu zimno. Wolałbym raczej przytulić cię w ciepłe, przy ogniu.

- Ale dopiero po tym, jak odwiedzimy moją matkę i braci, prawda? - zapytała niewinnie.

Tym razem to Dalton wzniósł oczy do nieba.

- Oczywiście - odpowiedział. - Po tym, jak odwiedzimy twoją rodzinę.

Dalton nie spodziewał się, że wizyta u matki Phoebe okaże się aż tak długa. Najpierw musiał pomóc Theodore'owi i Grady'emu naprawić jeden ze schodków na tyłach domu. Później matka Phoebe zaproponowała im kolację, a Dalton uznał, że niegrzecznie byłoby odmawiać. Potem mama Robbins - jak zaczął ją nazywać - chciała omówić sprawę majątku swojego męża. Okazało się, że gubernator przekazał jej kilka informacji na temat sytuacji, w jakiej się znalazła, i chciała o tych kwestiach porozmawiać z Daltonem i Phoebe.

Kiedy wyruszyli do domu, dochodziła już dziewiąta. Phoebe przytuliła się do niego.

- Dziękuję, że pomogłeś mamie. Wiem, że chciałeś, żebyśmy szybko wyszli. To, że mimo wszystko zostałeś, jest naprawdę ujmujące.

Dalton uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

- I właśnie dlatego to robię. Żebyś kochała mnie coraz bardziej.

Zachichotała i podniosła wzrok. Ich spojrzenia się spotkały.

- Czy teraz możemy przytulić się przy ogniu?

- Przez cały wieczór myślałem tylko o tym.

W tej samej chwili w jednym z pobliskich barów wybuchło zamieszanie. Dobiegały stamtąd krzyki, potem doszło do przepychanek, w końcu jednego z mężczyzn wy-

rzucono za drzwi. Wylądował na ulicy dosłownie kilkadziesiąt centymetrów od Daltona i Phoebe.

- I nie wracaj tu, dopóki nie będziesz mógł zapłacić rachunku - oznajmił stojący w drzwiach baru człowiek.

Leżący na ulicy mężczyzna mamrotał, wyrzucając z siebie przekleństwa, po czym zaczął się podnosić. Dopiero kiedy wstał, Dalton uświadomił sobie, że to Juri.

- Wszystko w porządku? - zapytał przyjaciela. Juri rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- A co... co cię to obchodzi? - Lekko się zataczał, a Dalton poczuł od niego odór alkoholu.

- Obchodzi mnie to i dobrze o tym wiesz.

- Jasne. Umierasz z przejęcia. Dalton potrząsnął głową.

- Juri, może wstąpisz do nas i coś zjesz? Dzięki temu wytrzeźwiejesz przed powrotem do domu.

Phoebe cofnęła się za plecy Daltona, który natychmiast zaczął się zastanawiać, czy nie posunął się za daleko, zapraszając Juriego, nawet nie zapytawszy żony o zdanie.

- Daltonie, nie potrzebuję twojej pomocy. Jestem mężczyzną. Nikogo nie potrzebuję. - Juri ruszył chwiejnym krokiem w stronę kolejnego baru.

- Zostań tu - Dalton poprosił Phoebe. Pobiegnął za Jurim, ale popełnił błąd: w pewnym momencie złapał przyjaciela za ramię.

Juri gwałtownie się odwrócił i wymierzył cios. Mało brakowało, a jego pięść wylądowałaby na szczęce Daltona.

- Mówiłem, że nie potrzebuję pomocy.

- Nie potrzebujesz też kolejnych drinków - powiedział Dalton.

Juri zastanawiał się przez chwilę nad słowami, które usłyszał, po czym roześmiał się.

- Nie masz pojęcia, czego potrzebuję. - Przeniósł wzrok na Phoebe. -
Żadne z was nie ma pojęcia, czego potrzebuję.

- Odepchnął Daltona i ruszył w przeciwnym kierunku.

Dalton przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Miał nadzieję, że Juri ruszył do domu, ale szczerze w to wątpił. Co się stało z jego przyjacielem? Dlaczego się stoczył? Nie mogło chodzić tylko o to, że nie udało mu się zdobyć Phoebe. Ta zresztą twierdziła, że nigdy nie dawała Juriemu nadziei na coś więcej niż przyjaźń.

- Przykro mi, Daltonie - szepnęła, podchodząc do męża.

- Jeżeli chcesz za nim pójść, mogę wrócić do domu sama. To przecież niedaleko.

- Nie. Juri ma rację. Nie wiem, czego on potrzebuje. Tak naprawdę wydaje mi się, że już niczego o nim nie wiem.

Rozdział 24

MARZEC 1890 ROKU

Załużę, że wyjeżdżasz - Britta zwróciła się do młodszej siostry Juriego, Iliany.

Phoebe zauważyła smutek na twarzach obu dziewczynek. Bielikowowie powiadomili ich, że wyjeżdżają do Rosji pod koniec kwietnia. Phoebe wiedziała, że Dalton pomógł im zapłacić za tę podróż. Początkowo pan Bielikow nie chciał przyjąć jego pieniędzy, ale kiedy ustalili, że potraktują to jako pożyczkę, ostatecznie się zgodził. Matka jego żony ciągle chorowała i Daria desperacko pragnęła wrócić do Rosji, by się z nią zobaczyć. Iliana podchodziła do tego planu z nieco mniejszym entuzjazmem.

- Dziewczynki, możecie przecież pisać do siebie listy - zaproponowała Lydia. - Ty będziesz zdawała relację z tego, co robisz w Sitce, a Iliana opowie ci o Rosji.

- Ale nie będziemy mogły się razem bawić - zauważyła Britta ze smutkiem. Iliana kiwnęła głową z równie ponurym wyrazem twarzy.

- Znamy się przez całe życie - ciągnęła Britta. - Nie można tak nagle rozdzielać przyjaciółek.

Phoebe współczuła dziewczynkom. Doskonale wiedziała, jakie to uczucie, kiedy człowiek przeprowadza się nagle i zostawia za sobą ludzi, których kocha.

- Twoja mama ma rację. Ja też koresponduję ze swoimi przyjaciółmi, których zostawiłam w Vermont. Bardzo

za nimi tęsknię, ale listy to dobry sposób na podtrzymanie przyjaźni.

- Niezbyt dobrze piszę - przyznała Iliana. - A poza tym, kiedy tam pojedziemy, będę musiała nauczyć się pisać po rosyjsku.

- A ja nie umiem czytać po rosyjsku - wtrąciła się Britta.

- Możecie po prostu dalej korespondować z sobą po angielsku - odpowiedziała Lydia. - Albo Britta nauczy się rosyjskiego. To akurat nie byłoby takie złe rozwiązanie. Dalton umie czytać i mówić po rosyjsku, twój ojciec też. Mogliby cię nauczyć.

Phoebe spojrzała na zegar.

- Muszę już ruszać do miasteczka. Dalton niedługo wróci na lunch. Ciężko pracują z Kjellem na budowie, na pewno dużo dziś zrobili. Tak bardzo się cieszę, że niedługo zamieszkamy we własnym domu.

- To będzie dla was wyjątkowa chwila.

- Och, i jeszcze raz dziękuję ci za te przepisy. Mam nadzieję, że zdołam im sprostać.

Jej teściowa uśmiechnęła się.

- Nie ma za co dziękować. Dalton mówił, że jesteś wspaniałą kucharką, więc na pewno świetnie sobie poradzisz.

Phoebe schowała kartki do kieszeni i sięgnęła po szal.

- Kiedy już nabiorę trochę wprawy, zaproszę was na obiad. - Po czym zmarszczyła brwi i dodała: - Ale to pewnie dopiero kiedy przeniesiemy się do nowego domu. W naszym mieszkaniu z trudem mieszczą się dwie osoby.

Lydia roześmiała się.

- Wygląda na to, że przeprowadzicie się całkiem szybko. Kjell mówił, że wkrótce zamierzają skończyć. Dzięki temu, że zima była w tym roku wyjątkowo łagodna, udało im się zrobić dużo więcej, niż pierwotnie zakładali. Chyba nie będziecie musieli już długo czekać.

Przed oczami Phoebe stanął wspaniały budynek z bali, który stawiali wspólnie Dalton i Kjell. Myśl o tym, że będzie miała własny, nowy dom, w którym nikt przed nią nie mieszkał, była naprawdę emocjonująca, choć wolała o tym nie mówić. Pomachała dziewczynkom na pożegnanie, po czym ruszyła wzdłuż podjazdu. Był piękny dzień i cieszyła się, że spędzi chwilę w samotności, sam na sam ze swoimi myślami.

W ostatnim czasie Dalton wydawał się dość ponury i coraz częściej miało to związek z wybrykami Juriego. Krążyły o nim w miasteczku niezliczone plotki i Dalton obawiał się o przyjaciela. Phoebe usiłowała zachęcać męża, żeby z nim porozmawiał, ale ilekroć Dalton zbliżał się do Juriego, ten nie chciał go słuchać.

Mężczyźni bywają strasznymi głupcami. Gdybym miała jakiś problem z przyjaciółką, po prostu bym do niej poszła i zażądała, żeby mnie wysłuchała. - Nagle Phoebe wpadła na pewien pomysł. - A gdybym sama poszła do Juriego? Musiałby mnie wysłuchać... w przeciwnym wypadku zachowałby się naprawdę niegrzecznie.

Podjęła decyzję i ruszyła przed siebie, mijając Szkołę Przemysłową i Centrum Kształcenia, gdzie Sheldon Jackson stworzył klasy i pomieszczenia mieszkalne dla dzieci Tlingitów. Pozytywne skutki działalności Jacksona były niepodważalne. Wreszcie dzieci mogły uczyć się zawodu: stolarz pokazywał chłopcom, jak robi się meble, uczył ich także budowy łodzi i domów, a specjalnie zatrudnione w tym celu kobiety radziły dziewczynkom, jak należy szyć i zajmować się domem. Zdobyte tam umiejętności z pewnością dawały młodym adeptom przewagę, kiedy podejmowali próbę znalezienia pracy w Sitce lub poza nią.

Phoebe zbliżyła się do warsztatu Bielikow: Budowa Łodzi, zdecydowana na przeprowadzenie rozmowy z Jurim

i położenie kresu tej nedorzeczności. Niezależnie od tego, co wydarzyło się w życiu Juriego, Dalton nie ponosił za to winy. Nie było sensu tracić przyjaciela ze względu na problemy, które prawdopodobnie mogli wspólnymi siłami rozwiązać.

- Halo? - zawołała Phoebe, wchodząc do warsztatu. - Jest tu kto?

- Zaraz przyjdę - rozległ się głos Juriego gdzieś w głębi budynku. Kiedy Juri zjawił się i zorientował, kto go odwiedził, jego uśmiech przygasł. - Po co tu przysłaś?

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- No cóż, ale ja nie chcę rozmawiać z tobą.

- Szkoda, prawda? - Jej uwaga go zaskoczyła, ale Phoebe nie poprzestała na tych słowach. - Od dawna wszystko odbywało się dokładnie tak, jak chciałeś, ale teraz moja kolej.

Zmarszczył brwi.

- Nie wiem, co takiego masz do powiedzenia, ale zrób to i idź stąd.

Phoebe skrzyżowała ręce na piersiach.

- Ty i Dalton musicie położyć kres nieporozumieniom. Zdaję sobie sprawę, że wcale nie chodzi tu o mnie.

- Ach tak? A skąd ta pewność? Obu nam się podobałaś, a on mi cię ukradł.

- Bądź rozsądny, Juri. Ciebie i mnie łączyła tylko przyjaźń. Chciałabym odzyskać przyjaciela. Wiele znaczysz dla Daltona. On cały czas o tobie mówi. Nie rozumie, co się z tobą stało.

Juri wzruszył ramionami i udawał, że zajmuje się pracą. Phoebe podeszła i stanęła tuż przy nim.

- Juri, co się dzieje? Czy chodzi o to, że twoi rodzice wyjeżdżają do Rosji?

- Mogą sobie wyjeżdżać. Nic mnie to nie obchodzi. Ten warsztat należy teraz tylko do mnie. Mój ojciec sprzedał ostatnią ze swoich większych łodzi i zdobył pieniądze na wyjazd... więc niech jedzie.

- Ale będziesz za nimi tęsknił. Mieć rodzinę tak daleko... to przecież bardzo trudne.

- Nic mnie to nie obchodzi. Jeżeli to już wszystko, co chciałaś powiedzieć...

- Nie, to nie wszystko - przerwała mu. - Nie wyjdę stąd, dopóki szczerze ze mną nie porozmawiasz. Żądam, żebyś mi powiedział, dlaczego nie chcesz się już przyjaźnić z Daltonem. Jeżeli chcesz, mogę zachować to w tajemnicy.

- A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

- Kocham go - odpowiedziała rzeczowo Phoebe. - I choć możesz w to nie wierzyć, zależy mi również na tobie.

- Kłamiesz.

- Dlaczego miałabym kłamać? - Potrząsnęła głową. - Niczego nie jestem ci winna. Nie pamiętasz tych wszystkich miłych chwil, które razem spędziliśmy? Przykro mi, że cię uraziłam, kiedy nie mogłam dać ci niczego ponad zwykłą przyjaźń. Ale też nigdy niczego nie udawałam ani cię nie zwodziłam.

Juri głośno westchnął i przygarbił się.

- Nie, nigdy mnie nie zwodziłaś.

- Cieszę się, że przynajmniej w tej kwestii się zgadzamy.

- Mimo to zraniło mnie to, że tak łatwo oddałaś Daltonowi swoje serce.

- Przykro mi, że tak to odebrałaś - powiedziała. - Nie żałuję, że oddałam Daltonowi serce, ale żałuję, że cię zraniłam. Nie miałam takich intencji. Nie potrafię wytłumaczyć, co się ze mną stało, kiedy poznałam Daltona. Nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewała. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia.

- To prawdziwy szczęściarz.

Phoebe zwróciła uwagę na głęboki smutek pobrzmiewający w jego głosie.

- Ale nie o to w tym wszystkim chodzi, prawda? Spojrzał jej w oczy.

- Nie. Chyba nie. To była tylko kropla, która przelała czarę goryczy.

Juri podszedł do otwartych drzwi warsztatu. Fale uderzały o brzeg zaledwie kilka metrów dalej. Phoebe czuła ostry zapach wody morskiej i ryb. Czekala, aż Juri coś powie, zastanawiając się, czy powinna go do tego zachęcić. Jakiś instynkt podpowiadał jej jednak, że powinna zachować milczenie i poczekać, aż będzie gotowy.

Kilka minut później Juri wreszcie się odezwał.

- Dalton zawsze był we wszystkim lepszy ode mnie. Zawsze przestrzegał zasad. Miał lepsze stopnie w szkole. Był bystrzejszy. - Juri odwrócił się do niej ze smutnym uśmiechem. - Nawet po rosyjsku mówił lepiej ode mnie.

Znow podszedł do stołu.

- Lepiej budował łodzie. Wystarczyło, że mój ojciec raz mu coś pokazał, a Dalton natychmiast to zapamiętywał i doskonale wiedział, co robić. Ja musiałem ciężko pracować, żeby coś zrozumieć.

- Może po prostu ten zawód nie jest ci pisany, Juri. Rzucił jej dziwne spojrzenie i kiwnął głową.

- Od dawna o tym wiedziałem, ale oczywiście nie mogłem tego powiedzieć ojcu. Marzył o tym, żebym pewnego dnia przejął rodzinny interes.

- Więc dlaczego protestowałeś, kiedy Dalton chciał wykupić część udziałów?

- Bo nie chciałem, żeby mnie upokorzył. Nie chciałem, żeby odebrał mi podziw i miłość ojca, tak jak to się stało w przypadku rywalizacji o ciebie.

- Och, Juri. Twój ojciec to dobry człowiek. Zawsze będzie cię kochał bardziej niż Daltona. Przecież jesteś jego synem.

- Mój ojciec podziwia ludzi, którzy potrafią sprawnie działać i doprowadzić każde zadanie do końca. Ja często zawodziłem w tych kwestiach. Dalton nie.

- Ale twój ojciec zwolnił Daltona, kiedy go o to poprosiłeś. Odmówił mu sprzedaży udziałów w interesie właśnie ze względu na ciebie. To powinno ci pokazać, że bez względu na wszystko, jesteś dla niego najważniejszy.

- Pewnie tak, jednak to sprawiło, że poczułem się jeszcze gorzej. Dalton na to wszystko nie zasługiwał. Ale ja po prostu nie mogłem dłużej z nim konkurować i pracować u jego boku.

- Są przecież rzeczy, których Dalton nie potrafi. Juri, nie możesz się z nim wiecznie porównywać. Zależy mu na tobie i na przyjaźni, która zawsze was łączyła. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że kocha cię niemal tak jak mnie. To po prostu zupełnie inny rodzaj miłości.

- Już za późno - powiedział, kręcąc głową. - Zbyt wiele się wydarzyło.

- Dlaczego tak mówisz?

Juri podniósł dłuto, po czym rzucił je na stół.

- Jestem komuś winny pieniądze.

- Komu?

- Pewnym ludziom. Ja... no cóż... grałem na pieniądze. - Podniósł wzrok. - Mam karciane długi.

Phoebe przez chwilę rozważała te słowa.

- Czy miałeś te długi, jeszcze zanim Dalton i ja wzięliśmy ślub?

- Część z nich. Zacząłem zadawać się z niewłaściwymi ludźmi, jeszcze zanim Dalton wyjechał z siostrą na południe. Skusili mnie alkoholem i hazardem. Picie zaczęło mi sprawiać prawdziwą przyjemność. - Okrążył stół i pod-

szedł do Phoebe. - Nie oczekuję, że zrozumiesz, ale pierwszy raz w życiu miałem coś, co nie wiązało się z Daltonem. Mogłem pić i grać w karty z najlepszymi z nich. Zresztą na początku całkiem dobrze mi szło.

- I co się stało później?

- Zacząłem przesadzać z piciem. Stałem się zbyt nierozważny i za bardzo uwierzyłem we własne siły. Wtedy do miasteczka przybyli ludzie, którzy bardzo dobrze grali w karty. Może nawet oszukiwali, ale teraz nie ma to znaczenia. Byłem pewny, że ich pokonam, i grałem do czasu, aż kwota, którą byłem im winny, zdecydowanie przerosła to, co mogłem im oddać przy mojej marnej pensji.

- Dlaczego w takim razie nie przestałeś? - Phoebe nie potrafiła zrozumieć, co mogło człowieka pociągać w hazardzie. Wydawało jej się, że kiedy ktoś zdawał sobie sprawę, że poszedł za daleko, powinien po prostu się wycofać i porzucić grę w karty.

- Nie potrafiłem. Musiałem w jakiś sposób zdobyć pieniądze, żeby spłacić dług. Kiedy dowiedzieli się, że odziedziczyłem to miejsce, zażądali, żebym je na nich przepisał.

Phoebe zamarła.

- Jak to? Żebyś oddał im rodzinny interes? Kiwnął głową.

- Jego wartość zdecydowanie przewyższa kwotę mojego długu, ale mam tylko to. Przekonałem ich, żeby poczekać, aż ojciec wyjedzie z Sitki. Nie chciałem, żeby dowiedział się, co się stało. Myślę, że z czasem powiem mu, że sprzedałem warsztat, ale na razie muszę to przed nim ukrywać.

- Och, Juri. To straszne. Koniecznie porozmawiaj z Daltonem. On może ci pomóc.

- Właśnie o to chodzi. Nie chcę jego pomocy. Już i tak mam poczucie, że go zawiodłem. Na pewno nie uważa mnie już za przyjaciela po tym, jak się zachowywałem.

- Oczywiście, że uważa cię za przyjaciela. Zależy mu na tobie, Juri. Marzył o tym, żeby pracować u twego boku, a nawet jeśli nigdy do tego nie dojdzie, musisz wiedzieć, że nigdy nie pozwoliliby, żeby to miejsce odebrali ci nieznajomi. - Phoebe wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia. - Juri, nie pozwól, żeby twoje błędy zniszczyły waszą przyjaźń.

- Nie potrafiłby mi tego wszystkiego wybaczyć.

- Owszem, potrafiłby. - Phoebe uściśnęła jego umięśnione ramiona. - I to robi. Musisz tylko dać mu szansę. Po prostu z nim porozmawiaj. Opowiedz mu to, co przed chwilą opowiedziałeś mnie.

- Ale jeżeli przyjmę jego pomoc, do końca życia pozostanę jego dłużnikiem. Nigdy nie zdołam tego długu spłacić.

- Więc możesz to rozwiązać w inny sposób - odpowiedziała Phoebe.

- Sprzedaj mu interes. Opowiedz o tym, co się wydarzyło, i wytłumacz, że odbiorą ci to miejsce z powodu długu, który nie jest przecież aż tak duży. Zaproponuj, że sprzedasz mu warsztat. Dzięki temu przynajmniej nie przejdzie w ręce nieznajomych, a ty uzyskasz uczciwą cenę. Dalton i tak zamierza wybudować warsztat. Zdążyłby to już zrobić, gdyby nie to, że cały czas pracuje przy budowie nowego domu dla mnie i mojej rodziny.

Juri cofnął się i potrząsnął głową.

- Nie zechce mnie wysłuchać po tym, jak go potraktowałem.

- Wysłucha cię. Daj mu tylko szansę - zapewniła Phoebe. Widziała, że Juri potrzebuje czasu, żeby to wszystko przemyśleć i podjąć decyzję. - Muszę już wracać do domu. Zastanów się po prostu nad tym, co ci powiedziałam. Bardzo mi zależy, żebyście wspólnie znaleźli jakieś rozwiązanie. On potrzebuje twojej przyjaźni i wydaje mi się, że i ty jej potrzebujesz.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale Juri ją zatrzymał.

- Pozwól, że odprowadzę cię do domu. Może przynajmniej przeproszę go przy tej okazji za swoje zachowanie.

Phoebe uśmiechnęła się.

- To byłby wspaniały początek. A potem może zostaniesz na lunch i omówicie wszystkie sprawy.

Dalton przetarł oczy z niedowierzaniem i odwrócił wzrok. Po chwili znowu spojrział w tę samą stronę i raz jeszcze zobaczył swoją żonę idącą pod rękę z Jurim Bielikowem. Potrząsnął głową. Widocznie miał jakieś przywidzenia. Idąc za nimi, Dalton przyglądał się w napięciu, jak Phoebe roześmiała się, rozbawiona czymś, co powiedział Juri.

Jak mogła? Natychmiast załała go fala gniewu. Jak długo to trwało? Czyżby potajemnie spotykała się z Jurim za jego plecami? Z pewnością w tak małym miasteczku krążyłyby już plotki.

Kiedy Phoebe i Juri skręcili w uliczkę, która prowadziła do ich mieszkania, Dalton zamarł. Czyżby zamierzała zabrać go do ich wspólnego domu?

Był tak skupiony na obserwacji, że nie zauważył kota, który przebiegł obok niego. Dalton zahaczył o ogon zwierzęcia, którego głośne miauknięcie zwróciło uwagę wszystkich w okolicy. Phoebe spostrzegła go i wydawała się zaskoczona jego obecnością.

- Daltonie!

Czekała, aż coś powie, ale Dalton nie mógł z siebie wydusić ani słowa. Nigdy nie lubił mówić w gniewie i tym razem było podobnie. Wiedział, że jeśli odezwie się do niej teraz, może powiedzieć coś, czego będzie później żałował. Odwrócił się więc i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Daltonie! Wracaj!

Przyspieszył kroku. Nie mógł o tym teraz myśleć. Niezależnie od celu, dla którego przyprowadziła Juriego do ich domu, Dalton nie potrafił w tym dostrzec nic pozytywnego. Była to największa zdrada, jaką mógł sobie wyobrazić.

Rozdział 25

Phoebe jeszcze nigdy nie była tak wściekła. Przeprosiła Juriego i obiecała, że Dalton wkrótce przyjdzie z nim porozmawiać, po czym wpadła na górę do ich mieszkania i przez niemal godzinę chodziła nerwowo tam i z powrotem. Cały czas miała nadzieję, że Dalton wróci. Kiedy ciągle nie przychodził, jej gniew jeszcze się nasilił.

- Ze wszystkich samolubnych, bezmyślnych rzeczy... -wymamrotała, maszerując w dół po schodach i wychodząc na ulicę. Przypuszczała, że Dalton wrócił do pracy albo poszedł do domu swoich rodziców. Tak czy inaczej, zamierzała go znaleźć.

Ruszyła szybkim krokiem na teren budowy, gdzie wznosił się nowy budynek z bali - jej przyszły dom. Był niemal gotowy. Ze środka dobiegały miarowe uderzenia młotka.

W drzwiach przywitał ją uśmiechnięty Kjell.

- Witaj. Spodziewałem się, że niedługo tu zajrzysz.

- Przyszłam do twojego syna, który najwyraźniej jest uparty jak osioł - oznajmiła.

Jej teść wskazał jeden z pokoi.

- Pan Uparty Osioł jest tam. Och, powinnaś na przyszłość wiedzieć, że to wielki wyciągacz.

- Wyciągacz? - zapytała Phoebe, marszcząc brwi. Kiwnął głową.

- Tak. Specjalizuje się w wyciąganiu pochopnych wniosków.

Natychmiast zrozumiała, co miał na myśli.

- No cóż, tym razem nie powinien tego robić. - Minęła Kjella. - Nie miał powodu, by tak się zachowywać.

Nie zważając na chichot swojego teścia, Phoebe ruszyła w kierunku, z którego dochodziły kolejne uderzenia. Dalton montował właśnie drewniany gzyms nad kominkiem w salonie, kiedy do pokoju wkroczyła Phoebe.

Dalton wyprostował się i odwrócił w jej stronę.

- Przyszedłaś tu, żeby się wytłumaczyć i przeprosić za swoje zachowanie?

- Jak mogłeś! Jak mogłeś się tak naburmuszyć i odejść, nawet nie zwracając na mnie uwagi? - Zatrzymała się i zaczęła wymachiwać rękami w powietrzu, kiedy dotarło do niej, o co przed chwilą zapytał. - Ja? Przeprosić? To ty wyciągnąłeś pochopne wnioski i uciekłeś, nawet ze mną nie rozmawiając!

- Widziałem, jak prowadziłaś mojego wroga do naszego mieszkania - zauważył rzeczowo Dalton.

- Od kiedy Juri jest twoim wrogiem? Całymi godzinami chodzisz po domu i narzekasz, lamentując nad tym, co się stało z waszą przyjaźnią. Miałam po dziurki w nosie tej waszej dumy, więc sama poszłam porozmawiać z Jurim. A teraz to. Powinieneś się wstydzić!

- Ja? - Dalton był szczerze oburzony. - Dlaczego miałbym się wstydzić? Widziałem własną żonę u boku mojego dawnego przyjaciela.

Phoebe skrzyżowała ręce na piersiach.

- Lepiej uważaj, co sugerujesz, Daltonie Lindąiście. Jeżeli sądzisz, że znalazłeś się teraz w tarapatkach, to grubo się mylisz: jeszcze nie widziałeś mnie w prawdziwym gniewie. Zaprosiłam Juriego, żeby zjadł z nami lunch. Pamiętaj, że wiedziałam, o której masz wrócić. Dlaczego miałabym się potajemnie spotykać z twoim najlepszym przyjacielem, skoro wiedziałam, że albo tam jesteś, albo po chwili się zja-

wisz? Na twoim miejscu schowałabym głupią dumę do kieszeni i przeprosiłabym za te absurdalne oskarżenia.

Phoebe zacisnęła zęby, zdecydowana, że nie powie nic więcej, dopóki Dalton nie zacznie błagać, żeby mu wybaczyła. Jej mąż wydawał się kompletnie zaskoczony i przez kilka minut po prostu wpatrywał się w nią w milczeniu, tak jakby starał się określić, co warto powiedzieć, a co może go wpędzić w jeszcze większe tarapaty.

Phoebe zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić, jeżeli Dalton nie posłucha głosu rozsądku. Pomyślała, że będzie po prostu musiała wrócić do matki: przecież małżeństwo bez zaufania kompletnie nie miałoby sensu.

Dalton odwrócił się i podszedł do dużego okna, zamówionego specjalnie po to, by mieli wspaniałą widok na wodę i pobliskie wyspy. Obserwując go, Phoebe zastanawiała się, co dzieje się teraz w jego głowie. Czy w ogóle obchodziło go to, że ją zranił? Czy rozumiał, że wyrządził jej krzywdę? Chciała przecież tylko, żeby on i Juri rozwiązali wszystkie powstałe w ostatnim czasie problemy i odbudowali swoją przyjaźń.

Wreszcie Dalton głośno westchnął.

- Przepraszam, Phoebe. Straciłem nad sobą panowanie. Wiem, że nie robiłaś nic złego, i jestem naprawdę podły, że mogłem sugerować coś takiego.

- Jesteś podłym idiotą - poprawiła.

Odwrócił się i skinął głową. W jego oczach dostrzegła smutek.

- Podłym idiotą - powtórzył. - Podszedł do niej, ale nie zdecydował się jej dotknąć. - Naprawdę mi przykro. Proszę, wybac mi.

- Wybaczam, ale musisz wiedzieć, że jeżeli zawsze będziesz spodziewał się po mnie najgorszego, wpadniemy w prawdziwe tarapaty.

Delikatnie dotknął jej twarzy, a gniew Phoebe zelżał.

- Wiem. Obiecuję, że nigdy już nie pozwolę sobie na takie zachowanie.

Kiwnęła głową.

- Świetnie. Czy możemy teraz porozmawiać o Jurim?

- Dobrze. O co chodzi?

- Ma naprawdę duże problemy, Daltonie. Potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie będę ci relacjonowała, co mi opowiedział... to on powinien się tym wszystkim z tobą podzielić... ale nie możesz dłużej zwlekać. Proszę, pójdz do niego i pozwól mu wszystko wyjaśnić.

- To brzmi poważnie.

-1 tak jest. Złożyłam Juriemu wizytę, żeby wytłumaczyć, że jeżeli zakończył waszą przyjaźń ze względu na mnie, nie miał po temu powodów. Nigdy go nie zwodziłam i nie wykazywałam zainteresowania czymkolwiek poza zwykłą przyjaźnią, a jeżeli inaczej to odebrał, to on ponosi za to winę. Przyznał mi rację. Ale później zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach... no cóż... w jego życiu zdarzyło się zbyt wiele złych i naprawdę niebezpiecznych rzeczy. On cię potrzebuje.

- Jeżeli ma to coś wspólnego z piciem i upodobaniem do hazardu, wiem już o tych jego złych nawykach. Próbowałam go od nich odwozić, ale nie posłuchał. Dlaczego miałby mnie posłuchać teraz?

- Nie posłucha, jeśli z nim nie porozmawiasz. W głosie Daltona usłyszała wyrzut:

- Nie rozumiem, dlaczego mam ponosić winę za jego grzechy.

- Nikt tego nie powiedział - odparła Phoebe. - Ale kiedy widzimy bliźniego w potrzebie i niczego nie robimy, żeby mu pomóc... no cóż... czy Jezus nie mówił: „Wszystko,

co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili"*?

Widziała, że jej słowa do niego trafiły. Dalton odsunął się i sięgnął po młotek, po czym odpowiedział:

- Nie sądzę, żeby Juri zważał na takie rzeczy.

- Może i nie - odparowała Phoebe - ale dla ciebie mają one znaczenie. Nawet jeśli Juri nie jest chrześcijaninem i nie wierzy w to, w co my wierzymy, obowiązują nas pewne nakazy moralne. Mamy obowiązek szukać owcy, która odłączyła się od stada. Walczyć o zagubione dusze i przekazywać innym dobrą nowinę. Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Jurim o jego duszy?

Dalton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mówisz teraz jak kaznodzieja. Phoebe położyła ręce na jego biodrach.

- No cóż, może czas, żeby któreś z nas zaczęło mówić jak kaznodzieja.

Podniósł rękę.

- Rozumiem twój punkt widzenia i zgadzam się. Masz rację. Udało ci się skutecznie mnie zawstydzić.

Złagodniała i przytuliła się do niego.

- Nie o to mi chodziło. Miałam nadzieję, że dotrze do ciebie prawda. W pewnym sensie Juri umiera. Nie różni się to od tamtej sytuacji, kiedy tonęłam w porcie, a ty mnie uratowałeś. On cię potrzebuje, Daltonie. Nie możesz go teraz porzucić. Po prostu nie możesz.

- A więc to prawda, ciociu Zee, że szamani Tlingitów mają specjalne moce? - zapytała Britta.

* Biblia Tysiąclecia, *Ewangelia wg św. Mateusza* 25, 40.

Zee uśmiechnęła się do dziewczynki i zerknęła na Lydię.

- Na pewno są o tym głęboko przekonani.

- Ale jak jest naprawdę? Kjerstin przewróciła oczami.

- Ależ z ciebie głuptas. Tylko Bóg ma taką moc.

- To prawda, Britto. Tylko Bóg ma jakiegokolwiek moce - odpowiedziała Lydia. - Ale czasem, kiedy ludzie Go szukają i podporządkowują się Jego woli, Bóg pozwala im robić rzeczy, których w przeciwnym razie nie potrafiliby robić.

- Tak jak wtedy, kiedy apostołowie leczyli ludzi? - zapytała Britta. Jej matka kiwnęła głową.

- Jeżeli szamani poszukują Boga i stawiają Go na pierwszym miejscu w swoim życiu, mogą osiągnąć tę samą zdolność. Ale nie potrafiliby osiągnąć tego samodzielnie.

- Poza tym są też złe moce - dodała Kjerstin, patrząc na matkę. - Prawda?

- Tak. Na tym świecie działają też złe moce - Lydia przyznała jej rację. - Szatan nieustannie stara się oszukiwać i niszczyć ludzi.

Zee podała Britcie chusteczkę, którą dziewczynka wyhaftowała.

- Całkiem dobrze ci idzie. - Usiadła obok niej. - Britto, Tlingici przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie różne podania, mówiące o tym, jak stworzono świat. Mają oni także swoje wierzenia. Ale potem wielu z nich uwierzyło w Jezusa, tak jak my. Wiem, że w przeszłości dość ostro wypowiadałam się na temat misyjnej szkoły, ale zaczynam dostrzegać jej dobre strony. Wiele dzieci nigdy nie uwolniłoby się od przesądów i zabobonów, gdyby nie zmuszono ich do zamieszkania w tej szkole. Choć czuję głęboki żal na

myśl o tym, że będą musiały porzucić swoją kulturę, potrafię teraz zrozumieć korzyści, które im to przyniesie.

Britta zmarszczyła brwi i przez chwilę rozważała to, co powiedziała Zee.

- Ale jeśli Tlingici kochają Jezusa, mogą robić wspaniałe rzeczy, prawda? - Spojrzała na matkę. - Powiedziałaś, że Jezus tłumaczył apostołom, że kiedy pójdzie do Nieba, będą mogli robić jeszcze wspanialsze rzeczy od Niego.

Lydia przytaknęła.

- To mówi nam Biblia.

- Myślę, że to naprawdę dobrze. To znaczy, że Tlingici będą naprawdę silni. Mają swoje stare tradycje, które dały im moce, a teraz mają jeszcze Jezusa. Dzięki temu mogą być bardzo silni, kiedy muszą zrobić coś ważnego.

Zee roześmiała się.

- Dlaczego martwisz się takimi rzeczami, panno Britto? Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Myślę po prostu, że dobrze być silnym. To wszystko. Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili wpadły do środka Iliana i jej siostra Natasza.

- Dzień dobry! - zawołały jednym głosem. Lydia uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, dziewczynki. Miło was widzieć.

- Mama powiedziała, że możemy przyjść. Czy Kjerstin i Britta mogą się z nami pobawić?

- Oczywiście, że tak. Zee i ja oddamy je wam na trochę, prawda?

Zee przytaknęła.

- To chyba idealne popołudnie na zabawę na świeżym powietrzu. Świeci słońce i zrobiło się trochę cieplej.

- Mimo to chciałabym, żebyście włożyły wełniane swetry. Nie ma sensu, żebyście się przeziębiły.

Dziewczynki zerwały się od stołu i popędziły do wieszaka, na którym wisały ich swetry. Kjerstin natychmiast zaczęła opowiadać Nataszy o nowych kociętach, które urodziły się dzień wcześniej, natomiast Britta szeptała coś do Iliany.

Kiedy dziewczynki wyszły z domu, Zee odwróciła się do Lydii i zachichotała.

- Zobaczymy je najwcześniej za kilka godzin.

- Znając Kjerstin i Nataszę, spędzą resztę dnia przy kociętach, a Iliana i Britta na pewno zajmą nowy domek dla lalek, który zbudował Kjell.

- Zbudował całkiem spory domek. Dobrze, że znajduje się na drzewie. Dzięki temu dziewczynkom trudniej będzie zaciągnąć tam jakieś dzikie zwierzę - powiedziała Zee, zbierając robótki Britty i Kjerstin.

- Cieszę się, że pracownicy misji nie budzą już w tobie takiego gniewu - zaczęła Lydia.

Zee odłożyła przybory do szycia i wyprostowała się.

- Nie uważam, żeby wszystkie podjęte przez nich decyzje były dobre, ale zaczynam rozumieć, że nawet duszpasterzom mogą zdarzać się błędy. Największą irytację budzi we mnie fakt, że my, biali, wkraczamy arogancko w jakąś kulturę i żądamy, żeby rdzenna ludność robiła wszystko tak, jak my byśmy tego chcieli. Oczywiście zależy mi na poprawie jakości ich życia, ale kto powiedział, że to właśnie nam udało się wypracować idealny model? I to jeszcze idealny dla wszystkich, nawet dla najbardziej różniących się od nas plemion, które żyją na krańcach świata?

- Co masz na myśli?

Zee weszła do kuchni, gdzie Lydia zaczęła już szykować kolację.

- No cóż, weź na przykład te tereny. Żyjący tu ludzie wypracowali sobie własny sposób życia, jedzenia, uprawy

ziemi, ubierania się. Wiedzieli, co się tu sprawdza, a co nie, dzięki pokoleniom, które mieszkały tu wcześniej. A nagle zjawiają się biali, którzy żądają, żeby rdzenna ludność radykalnie zmieniła swój sposób życia. Żądają, żeby dzieci Tlingitów obcinały włosy i ubierały się jak biali. Żądają, żeby porzucili tlingicki i zaczęli mówić po angielsku. A po co to wszystko? Jezus z pewnością nie oczekuje tego od nich na drodze do zbawienia.

- Oczywiście - zgodziła się Lydia.

- Jednak biali pracownicy misji zachowują się inaczej. Mówią Tlingitom, że aby ich dzieci zasymilowały się w świecie białych, muszą porzucić każdy aspekt swojej kultury. Uważam, że to błąd.

- Zgadzam się, ale czy w ogóle istnieje sposób, żeby wypracować tu jakiś kompromis?

- Wierzę, że istnieje, ale najwyraźniej Sheldon Jackson w to nie wierzy - powiedziała Zee, potrząsając głową. - Naprawdę sędzę, że ten człowiek ma dobre intencje. Dokonał wielu wspaniałych rzeczy i patrzę na niego z podziwem. Mimo to uważam, że rdzennej ludności nie powinno się odrywać od dziedzictwa. Jeżeli Tlingitom każe się porzucić własny język, wkrótce zanikną ich stare podania i legendy. Zostaną kompletnie zapomniane. Uważam, że to byłaby wielka strata.

- Ale z drugiej strony, skoro dzieci tkwią pośród zabobonów i nauk duchowych prowadzących je na manowce, czy nie powinniśmy ingerować i odkryć przed nimi prawdę? - zapytała Lydia. - Myślę, że taki był właśnie cel Jacksona i misji prezbiteriańskiej.

Zee przez chwilę rozważała jej słowa.

- Nie mam po prostu pewności, czy zawsze zabieramy się za wszystko w najlepszy z możliwych sposobów. Jedną sprawą jest próba niesienia pomocy innym ludziom, tłu-

maczenie im, kim jest Jezus, który umarł za nasze grzechy i zapewni zbawienie zarówno im, jak i białym. Ale zupełnie inną sprawą jest wmawianie im, że nie zostaną zbawieni, jeżeli będą chodzili bosy albo nosili koc zamiast ubrania; jeżeli będą posługiwali się językiem innym niż angielski; czy też jeżeli będą uczestniczyli w potlaczach. Moim zdaniem to po prostu niewłaściwe.

- Rozumiem twój punkt widzenia. - Lydia uśmiechnęła się życzliwie.

- Tlingici mają szczęście, że stoisz po ich stronie.

- Staram się robić, co mogę. Uczestniczyłam w przygotowywaniu planów nowego szpitala położniczego, uczyłam też wiele młodych kobiet podstawowych zasad higieny i krawiectwa, ale trudno mi stawać przeciw sile białych ludzi.

- Może zatem powinniśmy wymyślić sposób na to, żeby się sobie nie przeciwstawiać, żeby współdziałać - powiedziała Lydia. - Trzeba brać to, co dobre, z obu stron.

- Absolutnie się z tobą zgadzam, ale nie dostrzegam takiej postawy u białych. Wpadamy gdzieś i ogłaszamy: „Nasz sposób życia to jedyny możliwy sposób życia”. Nie znoszę takiej postawy. Jezus nie zachowywał się w ten sposób. Mówił, że jest jedyną drogą prowadzącą do Boga, ale nie twierdził, że ludzie muszą zmienić wszystko w swoim życiu, żeby osiągnąć zbawienie. Powiedział: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze mnie”².

- Ale skrucha i wyparcie się zła stanowią warunek konieczny - zauważyła Lydia.

- Tak, oczywiście, podobnie jak odrzucenie bożków - odpowiedziała Zee. - Zgadzam się z tobą. Ale nie uważam,

żeby wszystkie ich zwyczaje musiały być negowane. - Sięgnęła po obieraczkę do warzyw, żeby pomóc Lydii w przygotowaniu kolacji. - Absolutnie tak nie uważam.

- Ale czy nie powinniśmy zabrać zapasów? - zapytała Iliana.

Britta wzruszyła ramionami.

- Osada jest na szczycie tej góry. To nie tak daleko. Jeżeli będziemy szły bardzo szybko, zdążymy tam dotrzeć i wrócić jeszcze przed zmrokiem.

Iliana zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Szaman będzie miał największe moce. Na pewno nam pomoże. Mama mówiła, że w dawnych czasach potrafił przygotowywać specjalne magiczne napoje, które pozwalały robić niesamowite rzeczy. Umiał na przykład sprowadzić łososie i pomagać w polowaniach.

- Mama i Zee mówiły, że dobre moce pochodzą tylko od Boga, ale że On pomaga nam też robić wspaniałe rzeczy. - Britta potrząsnęła głową. - Nie do końca rozumiem, jak to działa, ale szaman na pewno to wie. Ciocia Zee mówiła mi dawno temu, że większość starych Tlingitów wpuściła Jezusa do swoich serc. To znaczy, że szaman musi mieć dobre moce, prawda?

Wydawało się, że Iliana zaczyna bardzo poważnie traktować tę kwestię.

- Nie wiem, dlaczego miałyby być złe, skoro kocha Jezusa. Więc myślisz, że potrafiłby sprawić, żebym mogła tu zostać i żebyśmy przyjaźniły się już na zawsze?

- Tak myślę - odpowiedziała Britta. - Będzie umiał powstrzymać twoich rodziców przed wyjazdem do Rosji. Jestem tego pewna.

Iliana uśmiechnęła się i pokiwała głową z wielkim entuzjazmem.
- To moje największe marzenie.

Rozdział 26

Kiedy Lydia otworzyła drzwi, zobaczyła Evie, którą wprost rozpierała energia.

- Jestem strasznie podekscytowana. Joshua niczego nie podejrzewa.

Oczy Lydii rozszerzyły się.

- Na pewno?

- Tak. Myślę, że w ogóle zapomniał o tym, że zbliżają się jego urodziny - odpowiedziała Evie. - A już na pewno się nie spodziewa, że urządzimy mu przyjęcie-niespodziankę.

- Świetnie. Inaczej nie byłaby to już niespodzianka... Przyniosłaś wszystkie składniki, o które prosiłyśmy?

Evie ruszyła za Lydią i rozejrzała się po domu.

- Tak. Udało mi się wszystko zdobyć. - Postawiła torbę na stole. - Gdzie się wszyscy podziali?

- Córeczki Bielikowów zaciągnęły właśnie Brittę i Kjerstin na dwór, a Zee poszła załatwić różne sprawy. Mamy trochę czasu dla siebie. - Lydia odsunęła krzesło stojące przy stole i dała Evie znak, żeby usiadła. - Napijesz się herbaty?

- Tak, poproszę. Spacer był jak zwykle bardzo przyjemny, a filiżanka herbaty będzie jego idealnym zwieńczeniem. - Evie usiadła i odłożyła szal.

Lydia uwinęła się błyskawicznie. Wzięła dwie filiżanki i dwa spodki, po czym postawiła je na stole.

- Przed chwilą zaparzyłam cały dzbanek, więc zjawiaś się w idealnym momencie. Kiedy Zee wróci, będzie mogła do nas dołączyć.

Evie kiwnęła głową.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. Zeszłej zimy rozmawialiśmy kiedyś o urodzinach i Joshua powiedział przy tej okazji, że nigdy w życiu nie miał przyjęcia urodzinowego. Więc kiedy zorganizował mi tak wspaniałą kolację urodzinową w zeszłym miesiącu, pomyślałam, że muszę przygotować coś wyjątkowego.

Lydia roześmiała się.

- Przygotowywanie dla kogoś takiej niespodzianki to wspaniała zabawa. Swoją drogą, czy przyjdziecie dziś do nas na kolację?

- Na pewno. - Evie wzięła od Lydii filiżankę z herbatą i wypła łyk. - Och, jest przepyszna. Bardzo ci dziękuję. Wydaje mi się, że kiedy podczas dzisiejszej kolacji jakby nigdy nic zaprosisz nas do siebie na przyszły tydzień, Joshua niczego się nie domyśli.

- Świetnie, że nie urządzamy przyjęcia dokładnie w dniu jego urodzin - powiedziała Lydia, siadając przy stole.

- Właśnie. - Evie odstawiła filiżankę. - Wyślemy z Phoebe zaproszenia. Jest jak zawsze niezwykle uczynna.

- Dalton miał wiele szczęścia, że ją znalazł - zauważyła Lydia. - Ciągle znajduje sobie nowe zajęcia. Z pewnością nie wie, co to lenistwo. Ma najczystszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam.

- To prawda. Właśnie, o której mamy przyjść? - zapytała Evie.

- Najlepiej od razu po pracy. O tej porze roku Joshua i Kjell kończą zwykle około piątej.

- Dobrze. A co z Daltonem i Phoebe? Czy ich też zaprosiłaś?

- Jeszcze nie, ale jeżeli znajdziesz czas, opowiedz im wszystko, kiedy będziesz wracała do domu. Bardzo bym chciała, żeby nam towarzyszyli. Cały czas mam wraże-

nie, że niedługo ogłoszą, iż Phoebe spodziewa się dziecka. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że stanie się to niebawem.

Evie położyła dłoń na swoim płaskim brzuchu.

- Chciałabym wierzyć, że i nas może to czekać, ale niestety przestałam już na to liczyć. - Spojrzała na Lydię. - Tak bardzo bym chciała dać Joshowi dzieci. On mówi, że to nie koniec świata, jeśli nie będziemy mogli ich mieć, ale wydaje mi się, że bardzo by cierpiał, gdybyśmy się ich nie doczekali.

- Nie zamartwiaj się tym, Evie. Nie masz powodu, by myśleć, że nie możesz mieć dzieci. Nie jesteś aż tak stara. Musisz po prostu zachować cierpliwość.

- Zawsze byłaś mi taka bliska, Lydio. Bardzo to cenię. Zawsze dodajesz mi otuchy i nadziei. Dziękuję ci za to, że tak serdecznie mnie tu przyjęłaś. Tak się cieszę, że Bóg postawił cię na mojej drodze. - Evie wyciągnęła rękę nad stołem i położyła ją na dłoni Lydii.

- Czuję to samo. To prawdziwe błogosławieństwo, że Dalton mógł wychowywać się u twojego boku. Zwłaszcza w obliczu tego, czego dowiedział się o reszcie rodzeństwa i o swoim ojcu.

- Podróż do Kansas City dobrze mu zrobiła, Lydio. Dzięki niej zrozumiał wiele ważnych rzeczy. Wiem, że nadal zmagają się z przeszłością, nie znalazł jeszcze odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania. Pamiętam, jak głęboką pustkę w moim sercu pozostawiła śmierć matki. Wyobrażam sobie, że Dalton odczuwa podobną pustkę, myśląc o naszym ojcu.

- Ale przecież Kjell zawsze otaczał go opieką - zaprotestowała Lydia.
- Floyd w żaden sposób nie byłby w stanie mu dorównać.

Evie skinęła głową.

- Tak. I Dalton o tym wie. Kocha Kjella i uważa go za swojego jedyne go ojca. Musisz jednak zrozumieć, że zawsze będą go dręczyły te pytania: pytania bez odpowiedzi. Czy jestem taki jak on? Co po nim odziedziczyłem? Czy ta przeszłość ukształtuje w jakiś sposób moją przyszłość? Nasz ojciec nie żyje, dawno już odszedł, ale tutaj - powiedziała, uderzając się w pierś - tutaj dalej pojawiają się tego rodzaju pytania.

Lydia przez chwilę rozważała jej słowa.

- Wydaje mi się, że rozumiem, co masz na myśli. Sama kiedyś zadawałam sobie takie pytania. Martwiłam się, że Dalton będzie wyglądał i mówił jak Marston czy Mitchell. Co gorsza, obawiałam się, że stanie się okrutny i podły jak Floyd.

- Daltona dręczą siłą rzeczy podobne obawy, Lydio. Udało ci się wspaniale go wychować tutaj, z dala od jakichkolwiek wpływów dziedzictwa Grayów. Ale Dalton nadal będzie oceniał swoje życie przez pryzmat tego, czego dowiedział się o swoim ojcu.

- Wracam wcześniej do domu - Kjell zwrócił się do Daltona. - Zamierzam naprawić kilka rzeczy w stajni, zanim zapadnie zmrok. - Kiedy się wyprostował, Dalton dostrzegł, jak przez jego twarz przemknął grymas bólu.

- Świetnie. Muszę skończyć montaż drzwiczek w szafkach kuchennych. Zamierzałem to zrobić jeszcze przed wyjściem. - Dalton rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu. - Wreszcie wszystko zaczyna składać się w całość. Kiedy zaczynaliśmy, trudno było sobie to wszystko wyobrazić, a teraz nie mogę uwierzyć, że nam się to udało.

Jego ojciec oparł się o framugę.

- To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Żałuję, że tak bardzo uwielbiasz budować łodzie. Wydaje mi się, że stworzylibyśmy wspaniały zespół.

Dalton przytaknął. Pomyślał o tym, że jego ojca ostatnio coraz częściej bolały plecy.

- Będę miał to na uwadze. Możliwe, że nikt nie będzie chciał kupować moich łodzi i poniosę straszliwą klęskę.

- Szczerze w to wątpię - odpowiedział Kjell. - Właśnie, skoro już mówimy o łodziach, słyszałem, że w tym roku szkołę kończy wielu tlingickich chłopców, którzy są biegli w sztuce szkutniczej. Ich nauczycielem był człowiek ze szkoły przemysłowej. Myślę, że powinieneś się tam wybrać i pomyśleć nad zatrudnieniem niektórych z nich. Mając więcej pracowników, mógłbyś zacząć budować większe łodzie.

- To świetny pomysł. Na pewno pójde z nimi porozmawiać.

- Sitka się zmienia i rozwija coraz szybciej. Słyszałem o wielu planach i wydaje mi się, że kiedy wszyscy zrozumieją, że Alaska to nie tylko lód i śnieg, na północ zacznie napływać coraz więcej ludzi.

- Mam nadzieję, że nie przyjedzie ich tu zbyt wielu - powiedział Dalton w zamyśleniu. - Lubię życie w naszej niewielkiej społeczności. Po tym, jak spędziłem trochę czasu w Kansas City i widziałem inne południowe stany... no cóż, jestem zadowolony, że do Sitki nie tak łatwo się dostać.

Jego ojciec przytaknął.

- Zgadza się z tobą. Może najlepiej byłoby zachować istnienie Sitki w tajemnicy.

Po wyjściu ojca Dalton wrócił do pracy. Cieszył się, że pozwolił Kjellowi zrobić specjalne szafki kuchenne. Zamówili w Stanach wspaniałą dębinę, która idealnie pasowała do wnętrza. Dalton przejechał dłonią po drzwiczkach, które przed chwilą zamknął. Czuł ogromną dumę.

- Halo? Odwrócił się.

- Juri? - Wyszedł przed dom i zobaczył tam swojego dawnego przyjaciela. Stał przed drzwiami, a w rękach ścisnął kapelusz. Wyglądał dość niepewnie. - Wejdz.

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać. Dalton skinął głową.

- Tak, musimy porozmawiać. Wiem, że jestem ci winien przeprosiny.

- A ja tobie. - Juri spojrzał na Daltona z zakłopotaniem. - Mam świadomość, że nie byłem ostatnio dobrym przyjacielem.

- Więc pewnie jesteście kwita. - Dalton podał mu dłoń, a Juri ją uściskał. Przez chwilę stali w milczeniu. Dalton widział ból malujący się na twarzy Juriego. Pragnął tylko jednego: wydobyć go z tarapatów. - Phoebe zarzuciła mi niedawno, że jestem podłym idiotą.

Juri roześmiał się.

-1 co odpowiedziałeś?

Dalton uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami.

- Przyznałem jej rację. Naprawdę nie wiem, co we mnie wstąpiło. - Puścił dłoń Juriego. - Chodź, możemy usiąść w kuchni. Stoi tam już stół i krzesła. To na razie jedyne meble, jakie mamy.

Juri ruszył za Daltonem.

- To niesamowity dom. Jest naprawdę duży. Wystarczyłoby tu miejsca nawet na urządzenie balu. Phoebe powinna być zadowolona.

- I chyba jest. Na górze mamy cztery sypialnie: bracia i matka Phoebe zamieszkają z nami. Na dole, na tyłach domu, znajduje się jeszcze jedna większa sypialnia. Pomyśleliśmy, że zapewni nam to nieco więcej prywatności. Usiądź

- poprosił Dalton. - Niestety, zdążyliśmy wypić całą kawę. Piec już wystygł, więc nie mogę zaparzyć kolejnej.

- Nie szkodzi, nie po to tu przyszedłem - odpowiedział Juri. Mężczyźni usiedli i jednocześnie oparli ręce na stole, tak jakby się wcześniej umówili.

Dalton się uśmiechnął.

- Ty i ja jesteśmy naprawdę podobni. Juri pokręcił głową.

- Nie do końca. Ty zawsze byłeś lepszym człowiekiem. Chyba właśnie to stało się źródłem naszych problemów. Od dawna ci zazdrościłem. Zawsze lepiej budowałeś łodzie... i byłeś lepszym synem.

- To nieprawda, Juri. Jesteś dobrym człowiekiem i wspaniałym synem. - Dalton przypomniał sobie słowa Phoebe, która mówiła, że Juri wpadł w prawdziwe tarapaty. - Wszyscy popełniamy błędy. Ale największym błędem jest to, że pozwoliliśmy, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli i nie staraliśmy się rozwiązać naszych problemów.

- Właśnie to pomogła mi zrozumieć Phoebe. To dobra kobieta, Daltonie. Kocha cię bardziej, niż mógłbyś przypuszczać.

Dalton opadł na oparcie krzesła.

- Dopiero zaczynam to rozumieć. Nie wiem, dlaczego poczułem taki gniew, kiedy was razem zobaczyłem. Chyba po prostu przypomniałem sobie o tym, że się nią interesowałeś.

- Nigdy nie próbowałbym ci jej odebrać, Daltonie. Jesteście przecież małżeństwem. To prawdziwa świętość. Nie twierdzę, że nie byłem zły, kiedy wróciłeś do Sitki i jakby nigdy nic poprosiłeś ją o rękę. Liczyłem na to, że będę miał więcej czasu, żeby zabiegać o jej względy. Ale teraz rozumiem, że wy dwoje prawdopodobnie zakochaliście się

w sobie już wtedy, gdy Phoebe wypadła za burtę, dopływając do Sitki.

- Pewnie masz rację - zgodził się Dalton. - Nie zdawałem sobie sprawy, że miłość może okazać się tak nagła i niespodziewana.

Przez chwilę milczeli. Dalton widział, że Juriemu ciąży to, z czym przyszedł. Zauważył też charakterystyczny tik, który powracał, ilekroć Juri miał jakieś kłopoty - na zmianę zaciskał i rozluźniał szczękę.

- Może w takim razie opowiesz mi, w jaki sposób wpadłeś w tarapaty.

Juri podniósł wzrok.

- Chodzi o długi karciane. Alkohol odebrał mi resztę rozumu i podjąłem wiele złych decyzji. Ciągle miałem nadzieję, że się odegram, ale zamiast tego traciłem coraz więcej. Ludzie, z którymi zacząłem się zadawać, udzielili mi pożyczki, a teraz żądają spłaty długu - chcą, żebym oddał im warsztat.

Dalton z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Warsztat twojego ojca?

- Tak, zgodzili się poczekać, aż rodzice wyjadą do Rosji. Za jakiś czas będę musiał powiedzieć ojcu, że go sprzedałem. Nie potrafię wyznać prawdy.

- Juri, przecież on na pewno chciałby się o wszystkim dowiedzieć. Nie możesz po prostu oddać komuś swojego dziedzictwa.

- To kolejny problem, Daltonie. Nie zależy mi na tym warsztacie tak bardzo jak tobie. Nie chciałbym przez resztę życia budować łodzi.

Nie po raz pierwszy Dalton słyszał te słowa z ust Juriego. Wiedział, że jego przyjaciel w dużo mniejszym stopniu interesuje się tym rzemiosłem, ale jak dotąd Juri nigdy nie mówił, czym wolałby się zajmować.

- Więc co chciałbyś w życiu robić?

- Nie wiem i to martwi mnie jeszcze bardziej. Mam poczucie, że na niczym się nie znam. Myślałem o rybactwie, ale musiałbym zacząć uczyć się zawodu. Nie wiem na ten temat nawet tyle, żeby wypłynąć w morze i wrócić stamtąd cały i zdrowy. Rozważałem też inne pomysły, ale wydaje mi się, że w niczym nie jestem dobry.

- Mojemu ojcu przydałaby się pomoc. Muszę z żalem powiedzieć, że odkąd poślizgnął się zeszłej zimy, ciągle ma problemy z kręgosłupem. Zauważyłem, że porusza się dużo wolniej. I gorzej mu się pracuje.

Juri wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żeby budowa domów szła mi lepiej niż budowa łodzi. Ale mógłbym spróbować.

- No cóż, będzie czas, żeby to wszystko ustalić, ale na razie musimy zająć się sprawą warsztatu. Jeżeli musisz go sprzedać, żeby spłacić długi, to sprzedaj go mnie. Dzięki temu dostaniesz tyle, ile jest wart, a ja będę mógł rozwinąć swój interes.

- Phoebe też wspominała o takiej ewentualności. Po prostu nie chciałem z tym do ciebie przychodzić. Okropnie się zachowałem, kiedy zaproponowałeś mojemu ojcu wykupienie części udziałów. Zmusiłem go do tego, żeby cię zwolnił, i bardzo się tego wstydzę. Nie mam żadnego usprawiedliwienia, a przynajmniej żadnego, które można uznać za przekonujące. Po prostu wydawało mi się, że kiedy tak nagle się wzbogaciłeś, oddaliliśmy się od siebie jeszcze bardziej.

- Juri, przecież jestem dokładnie tą samą osobą, którą byłem wcześniej. Nie obchodzą mnie pieniądze - powiedział Dalton. - Nadal kocham Sitkę i chcę budować łodzie. A nasza przyjaźń znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek in-

nego. Juri, przecież wspólnie dorastaliśmy. Traktuję cię jak brata. Nigdy nie chciałem tego wszystkiego porzucić.

- Czyli uważasz, że zachowałem się jak dureń? - zapytał Juri z uśmiechem.

- Twierdzę, że obaj zachowaliśmy się jak głupcy. Musimy rozwiązać nasze problemy i raz na zawsze zamknąć tę sprawę - odpowiedział Dalton. - Chodźmy do twojego ojca, by wyjaśnić mu, co się stało, a potem zapewnić go, że kupię od ciebie warsztat, żeby nie przejęli go obcy.

Juriego zaskoczył ten pomysł.

- Nie, nie mogę mu o tym powiedzieć. Nigdy nie popierałem moich decyzji. Zabraniał mi pić, a ja i tak robiłem, co chciałem. Nienawidził hazardu, a ja ignorowałem jego ostrzeżenia.

- Tak, ale zrozumie, że popełniłeś błędy. Doceni, że jesteś na tyle dojrzały, żeby przyznać się do winy. Uspokoi się na wieść o tym, że pogodziliśmy się i rozwiązaliśmy twoje problemy.

- Nie mam pewności, czy to dobry pomysł.

- Daltonie? Jesteś tu? - rozległ się kobiecy głos.

- To Evie - powiedział Dalton, wstając. - Jesteśmy w kuchni - zawołał i ruszył do drzwi. - Co cię tu sprowadza?

- Zaproszenie - wyjaśniła jego siostra, szeroko się uśmiechając. - Chciałam zaproponować tobie i Phoebe, żebyście dołączyli do nas na kolacji w domu twoich rodziców. Dziś po pracy.

Dalton skinął głową.

- Świetnie, przyjdziemy.

Juri podszedł i stanął obok niego, a Evie uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze widzieć was znowu razem.

- Tak. No cóż, postanowiliśmy odłożyć wreszcie na bok nasze dziecięce kłótnie - powiedział Juri.

- Może wobec tego też do nas dołączysz, Juri? - zaproponowała Evie.
- Lydia na pewno bardzo się ucieszy, że znowu z sobą rozmawiacie.

- A o co właściwie chodzi? - zapytał Dalton. - Skąd to specjalne zaproszenie na kolację?

Evie roześmiała się.

- Staramy się stworzyć tradycję cotygodniowych kolacji u twoich rodziców, żeby łatwiej nam było zorganizować przyjęcie-niespodziankę dla Joshuy.

- Mało brakowało, a zapomniałbym o tym. Boże, siostry potrafią być naprawdę przebiegłe - zażartował Dalton. - Dopiero zdałem sobie sprawę, że kiedy w jakąś sprawę zamieszane są siostry, nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę knują.

- To szczerza prawda - zgodził się Juri.

- Mam bardzo wiele planów... ukrytych tutaj. Evie uniosła brwi i postukała się w głowę.

- Wiem dobrze, jak wygląda to twoje planowanie. Kiedy ostatnio miałaś taki nastrój, zakończyło się to dla mnie wyjazdem do Kansas City.

Evie roześmiała się.

- Zapewniam cię, że moje plany nie mają ostatnio nic wspólnego z Kansas City. Byłabym naprawdę zadowolona, gdybym mogła już nigdy więcej nie odwiedzać tego miejsca. Czyli mam się was spodziewać na kolacji? Kto wie, może ty i Juri przydadacie mi się, żeby odwrócić uwagę Joshuy, gdy my, kobiety, będziemy omawiały nasze plany.

Dalton roześmiał się.

- Oczywiście, przyjdziemy.

Rozdział 27

Nie ma jej w domu dla lalek ani w stodole - oznajmił Kjell, wycierając mokre kalosze. Lydia nie mogła powstrzymać ataku paniki.

- Gdzie ona się podziewa?

- Może wróciła z Ilianą i Nataszą do ich domu? - powiedział Kjell. -
Wie, że powinna najpierw zapytać, ale mogła zapomnieć.

Lydia odwróciła się do Kjerstin i raz jeszcze zapytała:

- Czy jesteś pewna, że nie wiesz, dokąd poszła Britta? Kjerstin natychmiast spoważniała.

- Nie wiem, ale myślę, że jest z nią Iliana. Natasza wyszła stąd sama. Była zła, bo wiedziała, że ich mamie nie spodoba się, że wróciła bez Iliany.

Lydia znów spojrzała na Zee i na Kjella.

- Więc nie poszła do Bielikowów.

- Tego nie wiesz, Liddie - zaprotestował Kjell. - Ona i Iliana mogły ruszyć tam przed Nataszą. Nie możemy wykluczać żadnego tropu.

- Ale robi się ciemno, a one nie powinny być same. To niebezpieczne.

- Lydia wyjrzała po raz kolejny przez okno. - I znowu zaczyna padać.

- Na razie to tylko mżawka - starał się ją uspokoić Kjell.

- Pójdę po lampy - zaproponowała Zee.

Lydia szukała na twarzy swojego męża jakiegokolwiek znaku, który pozwoliłby jej wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

- Nie jestem głupia - powiedziała. - Wiem, że sytuacja nie wygląda najlepiej. Proszę, nie traktuj mnie jak dziecka.

- Przepraszamy za spóźnienie - oznajmił Dalton, wchodząc do domu.

- Phoebe nalegała, żebym przebrał się przed kolacją. Zmusiła nas z Jurim do tego, żebyśmy włożyli czyste koszule.

- Wierzcie mi, wszyscy będą mi za to wdzięczni - zapewniła Phoebe. Lydia szybko do nich podeszła.

- Widzieliście Britte? - przeniosła wzrok na Juriego. - Bawiła się z Ilianą. Czy nie było ich u was w domu?

Juri pokręcił głową.

- Nie wracałem do domu. Pożyczyłem koszulę od Daltona. Czy coś się stało?

Dalton złapał matkę za ramię.

- O co chodzi?

- Britta zniknęła. Wołałam ją i Kjerstin prawie pół godziny temu, prosząc, żeby pomogły mi nakryć do stołu. Nigdzie nie możemy jej znaleźć.

Dalton zwrócił się do ojca.

- Możemy ci pomóc. Gdzie już szukaliście?

- Przeszukałem najbliższą okolicę, domek dla lalek i zabudowania gospodarcze. Nie znalazłem żadnego śladu - odpowiedział Kjell.

- Czy Iliana jest razem z nią? - zapytał Juri. Lydia ledwo nad sobą panowała.

- Nie wiemy. Kjerstin mówiła, że Natasza poszła do domu, więc możliwe, że dziewczynki są razem. Ale gdzie?

- Puk, puk! - zawołała Evie, zagładając do pokoju. - Och, co za wspaniały zapach. - Ona i Joshua dołączyli do pozostałych. - Dziękujemy za zaproszenie.

Dalton odwrócił się do siostry.

- Britta i Iliana zniknęły. Nie widzieliście ich przypadkiem gdzieś po drodze albo w miasteczku?

Evie patrzyła to na Daltona, to na Lydię.

- Nie. Jak długo ich nie ma?

- Nie wiem - przyznała Lydia. - Po prostu wyszły się pobawić, kiedy wpadłaś do mnie wcześniej. Czy widziałaś je wtedy gdzieś w okolicy?

- Nie, Lydio. Nie widziałam ich. Bardzo mi przykro.

- Minęło już prawie dwie i pół godziny. Nie wiadomo, dokąd mogły w tym czasie zawędrować - powiedziała Lydia, załamując ręce. - To niepodobne do Britty. A jeśli coś im się stało?

- Bardzo się denerwujesz, a niczego tak naprawdę nie wiemy - przypomniał Kjell. - Josh, chodź ze mną, poszukamy nad wodą. Daltonie, pójście z Jurim do lasu, a potem ruszcie szlakiem prowadzącym na północny wschód. Spotkamy się tu za pół godziny.

- Przygotowałam lampy - oznajmiła Zee. - Postawiłam je na ganku.

Dalton i Juri wybiegli na dwór. Kjell zwrócił się tymczasem do Lydii:

- Spróbuj się nie denerwować. Niedługo wrócimy. Miejmy nadzieję, że do tego czasu dziewczynki zdążą już się zjawić i będzie można zakończyć poszukiwania.

Lydia skinęła głową.

- Przeszukam jeszcze raz stodołę. Wiesz, jak bardzo lubią bawić się tam w chowanego.

- Nie ma ich w stodole - powiedział Kjell, lekko unosząc jej podbródek. - Zostań tu ze wszystkimi, a kiedy wrócimy, zdecydujemy, co robić dalej.

Dalton i Juri przeczesywali skraj lasu, idąc w kierunku wąskiej ścieżki, która prowadziła w górę zbocza. Dalton w dzieciństwie uwielbiał przemierzać te tereny i wiedział, że jego siostry też fascynowały się rosnącymi tu gęstymi świerkami.

- Spójrz, czy to nie odcisk buta? - wskazał Juri. Dalton opuścił lampę. Ślad zdawał się mieć odpowiednią wielkość.

- To ślad którejś z dziewczynek. Jestem tego pewien. Szli wolno wzdłuż szlaku, trzymając lampę jak najbliżej

ziemi. Chłód i wilgoć przenikały ciało Daltona, sprawiając, że jeszcze bardziej niepokoił się o siostrę.

- Tu jest ich więcej - oznajmił.

- Wygląda to jak ślady dwóch różnych osób. Myślę, że w pewnym momencie dotarły tu obie dziewczynki. Czy widzisz jakieś świeże ślady prowadzące w stronę domu?

- Nie. A ty?

Juri potrząsnął głową.

- Obawiam się, że ruszyły szlakiem prowadzącym na szczyt góry.

- Ale po co? Dlaczego tak nagle miałyby gdzieś iść? - Dalton zastanawiał się, co mogło wzbudzić tak dużą ciekawość dziewczynek. - Wiedzą, że to niebezpieczne. Niedźwiedzie zaczynają budzić się ze snu zimowego. Nadal mogą też schodzić lawiny.

- Tak, obie wiedzą, jakie to niebezpieczne - zgodził się Juri. - Słuchaj, wydaje mi się, że powinniśmy wrócić i zawiadomić twojego ojca. Powiemy mu, co odkryliśmy, i jeśli nikt nie znalazł żadnych innych świeżych śladów, możemy wszyscy ruszyć szlakiem w górę.

- Powinniśmy pewnie wziąć zapasy, na wypadek gdyby trwało to dłużej - powiedział Dalton. - Nie wiadomo, jak daleko mogły zająć dwie małe dziewczynki w ciągu niemal trzech godzin.

Wrócili do domu. Kjell i Joshua poczuli ulgę, słysząc, że Dalton i Juri trafili na ślady dziewczynek.

- Niczego nie znalazłem i zaczynałem już powoli wpadać w panikę - przyznał Kjell.

- Jeżeli wybrały się na spacer po lesie, naprawdę mamy powody do strachu - powiedziała Lydia. - Ale dlaczego miałyby to zrobić? Ten szlak nie prowadzi do żadnego miejsca, które mogłoby je interesować.

Zee zdawała się przez chwilę rozważać te słowa.

- W pewnym momencie ścieżka się rozwidła i prowadzi w stronę jednego z letnich obozowisk.

- Letnich obozowisk? - zapytała Phoebe.

- Obozowisk Tlingitów. Żyją tam zwłaszcza starsi ludzie - wyjaśnił Dalton. - Spotykają się tam i obchodzą swoje święta z dala od białych.

- Chyba nie myślisz... - Zee zamilkła na chwilę i spojrzała na Lydię.

- Pamiętasz, jak Britta pytała nas o tlingickich szamanów i ich moce?

Lydia zbladła.

- Och nie, chyba nie sądzisz, że dziewczynki poszły szukać szamanów?

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał Dalton.

- Nie wiem. Z jakiegoś powodu Britta pytała nas wcześniej o szamanów i ich niezwykle moce. Staraliśmy się wytłumaczyć dziewczynkom, że tylko Bóg ma nad wszystkim ostateczną władzę i że choć istnieją też na świecie złe moce, ludzie, w których sercu mieszka Jezus, mogą dokonywać wielkich rzeczy za Jego sprawą.

- Słuchajcie, tracimy czas - przerwał Kjell. - Nie mamy pojęcia, dokąd poszły ani w jakiego rodzaju tarapaty mogły wpaść. Musimy się jak najszybciej spakować i ruszyć ich śladem. - Spojrzał na Daltona. - Weź nasze strzelby. Lydio, ty i Zee dostaniecie śrutówkę. Gdyby dziewczynki wróci-

ły, oddajcie dwa strzały. Miejmy nadzieję, że je usłyszymy. Przygotujcie nam manierki z wodą i suszone mięso. Zee, ty spakuj tymczasem śpiwory.

- Pomogę ci - zaproponowała Phoebe i ruszyła w ślad za Zee.

Kobiety szybko wzięły się do pracy, Kjell natomiast zwrócił się do mężczyzn:

- Po drodze zajrzemy do mojego warsztatu. Mam tam liny, siekiery i kilka plecaków. Kiedy dotrzemy do rozstaju dróg, podzielimy się na dwie grupy. Każdy z nas będzie niósł plecak z zapasami. Czy wszyscy macie noże?

Dalton upewnił się, czy nóż spoczywa w pochwie u jego boku.

- Mamy też sprzęt potrzebny do rozbicia obozów - przypomniał. - Są tam dodatkowe pojemniki z naftą do lamp i zapalki, no i sprzęt medyczny.

Kjell skinął głową.

- Podzielimy się tymi rzeczami i schowamy je do plecaków. Chodźcie.

Wkrótce zgromadzili się ponownie na ganku, gdzie zebrali resztę wyposażenia. Bezmiar ciemności przytłaczał Daltona. Wiedział, że biedne Britta i Iliana nie mają szans, by w tych warunkach odnaleźć szlak w lesie. Nie chciał nawet myśleć, jak bardzo musiały się teraz bać.

Juri niepokoił się o swoją matkę i ojca.

- Czy ktoś mógłby powiadomić moich rodziców?

- Oczywiście, zrobimy to - zapewniła Lydia.

- Ja się tym zajmę - oznajmiła Zee. - Zaprzęgnę konie i natychmiast do nich pojedę.

- Lydio, zagrzej tymczasem dużo wody - nakazał Kjell. - Może nawet uruchom zewnętrzny kocioł. Zimno stanowi jedno z głównych zagrożeń.

Lydia spojrzała na Phoebe.

- Pomożesz mi, prawda?

- Oczywiście.

Evie otoczyła Lydię ramieniem.

- Obie ci pomożemy.

- A teraz pomódlmy się - poprosił Kjell, zdejmując kapelusz. Pozostali mężczyźni poszli za jego przykładem i spuścili głowy. Dal tona ogarnął spokój: modlitwy jego ojca zawsze przynosiły mu ogromną ulgę.

- Ojcze, prosimy cię o pomoc. Poprowadź nas. Wskaż nam kierunek, w jakim ruszyły dziewczynki, i pomóż nam je uratować, zanim coś im się stanie. Daj nam mądrość, która ułatwi poszukiwania, i strzeż naszych dziewczynek, kiedy będą zmagaly się z grozą nocy na tych nieznanym sobie terenach.

- Proszę, ochroń je - błagała Lydia. - Błagam, czuwaj nad nimi. - Jej głos się załamał. Zaczęła łkać.

Nie ma nic gorszego od widoku płaczącej matki. Dalton z całej siły pragnął ukoić jej żal, ale mógł zrobić tylko jedno: bezpiecznie sprowadzić siostrę do domu.

- Ojcze, powierzamy Ci opiekę nad naszymi dziećmi, tak jak robiliśmy to do tej pory. Nawet teraz dziękujemy ci za ochronę, jaką je otaczasz. Amen - zakończył Kjell.

- Amen - wszyscy powtórzyli szeptem.

Po tych słowach mężczyźni włożyli plecaki i ruszyli w kierunku wzniesienia. Dalton chciał jak najszybciej pokazać ojcu świeże ślady. Kiedy potwierdziło się, że na pewno należą do dziewczynek, ruszyli dalej wzdłuż szlaku.

- Tu jest jeszcze więcej śladów - zawołał Juri, kiedy znaleźli się nieco wyżej. - To znaczy, że idziemy w dobrym kierunku.

Stopniowo jednak lekka mżawka przekształciła się w silny deszcz, a ślady zaczęły rozmiękać. Zanim dotarli do rozstaju dróg, woda całkowicie je wypłukała i żaden

z mężczyzn nie potrafił określić, w którą stronę poszły dziewczynki.

- Nawet jeśli zmierzały do obozowiska, nie sądzę, żeby którakolwiek z nich znała drogę - powiedział Kjell. Przykucnął i opuścił lampę, szukając jakiegokolwiek śladu. W końcu potrząsnął głową zrezygnowany i wyprostował się. - Musimy się rozdzielić. Daltonie, ty i Juri pójdźcie w tę stronę, a Joshua i ja ruszymy dalej w kierunku osady.

- Dobrze.

- Jeżeli je znajdziecie, oddajcie dwa strzały, a wtedy zawrócimy. My zrobimy to samo, jeżeli poszły naszym szlakiem. Nie sądzę, żeby dziewczynki mogły świadomie zejść ze ścieżki.

Dalton skinął głową, nie pytając nawet, co powinni zrobić w sytuacji, gdyby ich nie znaleźli. Wiedział, że szukaliby dalej do czasu, aż by im się udało. Pozostali też o tym wiedzieli. Nie było po prostu innej możliwości.

- Chcę wracać do domu - powiedziała Britta, szcękając zębami. - Tak mi zimno.

- Musimy rozbić obóz - oznajmiła Iliana.

- Przecież nie mamy żadnego sprzętu. - Britta przycisnęła ręce do ciała. - Nie mamy nawet kurtek.

- Tata mówił, że w takiej sytuacji trzeba zawsze dobrze się rozgrzać - odpowiedziała Iliana. - Możemy poszukać gałęzi i zbudować sobie małą chatkę. Jeżeli przytulimy się do siebie, będzie nam cieplej.

- Nie chcę tu zostać - powiedziała Britta, ze strachem wpatrując się w ciemność. - Nic nie widzę. - Zaczęła nerwowo chodzić w tę i z powrotem.

- Stąd nie widzę nawet ciebie.

- No to się nie oddalaj.

- Chcę wracać do domu - powtórzyła Britta.

- Ja też, ale jest za ciemno i zaczęło zbyt mocno padać. Nie możemy teraz wracać. Powinniśmy tu poczekać, aż zrobi się jasno. Wtedy poszukamy drogi do domu.

Britta odwróciła się i zaczęła wypatrywać jakiegokolwiek śladu ścieżki. Gęste deszczowe chmury nad ich głowami nie dawały jakiegokolwiek nadziei na to, że na niebie pojawią się księżyc czy gwiazdy. Dziewczynce chciało się płakać i niewątpliwie by to zrobiła, gdyby nie fakt, że wymagało to zbyt wiele wysiłku, a ona była naprawdę zmęczona.

- Dobrze. Chyba rzeczywiście powinniśmy rozbić obóz - zgodziła się wreszcie.

- Musimy poszukać gałęzi.

Britta uklękła na mokrym poszyciu i zaczęła błądzić ręką po omacku.

- Nie podoba mi się to. A jeśli ukrywają się tu jakieś zwierzęta?

Iliana nie odpowiedziała, co wzbudziło jeszcze większy niepokój Britty.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj - stłumiony głos Iliany wskazywał na to, że dziewczynka zeszła ze ścieżki.

- Nie zapuszczaj się głębiej w las - ostrzegła Britta. Zamierzała już się podnieść, kiedy zahaczyła obcasem o rąbek spódnicy i straciła równowagę. Spodziewała się, że upadnie na grząski grunt. Zamiast tego poczuła się tak, jakby ziemia gwałtownie się pod nią rozstała. Britta zaczęła spadać.

Rozdział 28

Mężczyźni ruszyli już na poszukiwania - wyjaśniła Zee, która przyjechała powiadomić Darię i Aleksieja Bielikowów. - Juri prosił, żebym wam wszystko zrelacjonowała i sprawdziła, czy Iliana i Britta przypadkiem tu nie wróciły.

Daria pokręciła głową i spojrzała z niepokojem na męża.

- Dokąd one mogły pójść?

Aleksiej natychmiast poszedł po kurtkę i broń.

- Maksim i ja rozejrzemy się po miasteczku. Potem wpadniemy jeszcze na chwilę i pojedziemy do Lindai-stów. Ty zostań w domu na wypadek, gdyby dziewczynki wróciły.

Zee uśmiechnęła się do Darii.

- Posiedzę tu z tobą chwilę - uspokoiła ją. Wydawało się, że to zapewnienie przyniosło kobiecie ulgę.

- To zupełnie niepodobne do dziewczynek. Chyba nie sądzisz, że uciekły w związku z wyjazdem? - zapytała Daria.

- Myślę, że to całkiem możliwe. Obie były bardzo przygnębione perspektywą rozłąki. Dziś Britta wypytywała mnie o szamanów i o ich magiczne moce.

Daria ożywiła się, słysząc te słowa.

- Iliana pytała mnie wczoraj dokładnie o to samo. Prosiła, żebym opowiedziała jej o dawnych czasach, kiedy szama-

ni potrafili dokonywać cudów. Muszę przyznać, że bardzo pochłonęła mnie ta opowieść... - Ukryła twarz w dłoniach. - Och, to wszystko moja wina.

- Nonsens - oznajmiła Zee. Odwróciła się do Aleksieja. -Powinniście najpierw sprawdzić z Maksimem główną osadę Tlingitów. Prawdopodobnie dziewczynki poszły tam, by szukać szamana. Chcą zapobiec waszemu wyjazdowi do Rosji. Mogły pomyśleć, że to najskuteczniejszy sposób.

Aleksiej włożył kurtkę.

- Większość Tlingitów nadal przebywa w osadzie. Część z nich zdążyła już wyruszyć na połów śledzi, ale jeśli pojawi się taka potrzeba, sprawdzę każdy dom.

Mężczyźni wyszli. Po chwili do pokoju zajrzała zaniepokojona Natasza. Zee zauważyła, że dziewczynka uparcie milczy. Uśmiechnęła się i starała się pocieszyć przyjaciółkę Britty.

- Kochanie, to nie twoja wina - zapewniła. Daria przeniosła wzrok na córkę.

- Czy nie wspominały nic o szamanie Tlingitów? Natasza potrząsnęła głową i rozplakała się. Podbiegła do matki i wtuliła się w jej ramiona.

- Tak mi przykro, mamó. Nie pilnowałam jej, chociaż mi kazałaś. Bawiłam się z Kjerstin i kociakami. To wszystko moja wina.

- Nie, Zee ma rację. To Iliana i Britta zachowały się nierozsądnie. Szkoda, że lepiej jej nie pilnowałaś, ale nie mogłaś przecież przypuszczać, że znajdą się w niebezpieczeństwie. - Mocno przytuliła dziewczynkę. - Iliana wie, że nie powinna tak postępować.

- Boję się o nie, mamusiu.

Daria spojrzała bezradnie na Zee, która nie mogła znieść przerażenia i niepokoju malujących się na twarzy kobiety.

- Wiesz, kiedy się boję, lubię rozmawiać z Bogiem. Kiedy się zwracam do Niego, od razu robi mi się lżej - zwróciła się do Nataszy.

- Britto! Britto, gdzie jesteś! - krzyknęła Iliana.

Britta usłyszała głos przyjaciółki i chciała odpowiedzieć, ale nie mogła złapać tchu. Dyszała, rozpaczliwie starając się zaczerpnąć tchu. Kiedy była już pewna, że zaraz umrze, poczuła, że udało jej się wreszcie nabrać odrobinę powietrza.

- Britto! - wołała dalej Iliana.

Kiedy dziewczynka zdołała wreszcie głębiej odetchnąć, krzyknęła:

- Jestem tutaj, na dole! - Nie miała pewności, gdzie tak naprawdę się znalazła, ale wiedziała, że leciała w dół, i wydawało jej się, że trwało to przez całą wieczność.

- Coś ci się stało?

Britta szybko uświadomiła sobie, jak silny ból odczuwała. Była niemal pewna, że złamała nogę.

- Nie mogę chodzić. Za bardzo mnie boli. Iliana mówiła coraz głośniej.

- Czy jesteś tu, w dole?

Britta kiwnęła głową. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Iliana jej przecież nie widzi.

- Teraz jesteś już chyba bardzo blisko. Zrobiłam o jeden krok za dużo i poczułam się tak, jakby rozstała się przede mną ziemia.

- Myślisz, że dasz radę wspiąć się na górę?

- Nie. - Britta raz jeszcze spróbowała przenieść ciężar ciała na lewą nogę. Poczula tak silny ból, że prawie krzyknęła.

- W takim razie musimy wezwać pomoc. Pobiegnę do twojego domu.

- Ale w jaki sposób zdołasz tam trafić? Jest ciemno i pada deszcz. Nawet kiedy szłyśmy razem, nie widziałyśmy już szlaku.

Iliana milczała przez kilka minut.

- Pewnie mogłabym poczekać, aż zrobi się jaśniej. Ale co będzie, jeśli znowu spadniesz?

Britta usiadła i oparła się o skałę.

- Nie zamierzam się stąd ruszać. Przecież nic mi teraz nie grozi.

- Mogę iść powoli, a kiedy tylko poczuję, że ziemia robi się nierówna albo pojawi się za dużo drzew, będę wiedziała, że zbaczam ze ścieżki. Dużo łatwiej schodzi się w dół, więc może wcale nie potrwa to tak długo.

- Ale ja nie chcę, żebyś mnie tu zostawiała - krzyknęła Britta. - Jest tak zimno i ciemno. - Przejmujący chłód sprawił, że zaczęła szcząć zębami.

- Nie zostaniesz sama - oznajmiła Iliana. - Pamiętasz, co mówiła twoja mama? Bóg zawsze nad nami czuwa, a Jego anioły otaczają nas opieką.

Britta pamiętała. Jej mama zawsze powtarzała, że Bóg jest pełen miłosierdzia i pozostaje przy nas niezależnie od okoliczności, w jakich się znajdujemy. Czy On naprawdę był teraz przy niej? Razem z aniołami?

- Postarasz się szybko wrócić?

Iliana milczała, a Britta przestraszyła się, że jej przyjaciółka zdążyła już ruszyć w drogę.

- Iliano?

- Jestem tu. Po prostu się modliłam. Britta splotła dłonie.

- Ja też się pomodłę.

- Ani śladu po dziewczynkach - oznajmił Dalton, potrząsając głową.
- No cóż, przynajmniej przestało padać. Może za jakiś czas ustąpią chmury i wyjdzie księżyc.

- W tej części lasu drzewa rosną zbyt gęsto. Niewiele nam to pomoże.
- Dalton postawił lampę na ziemi. - Nie rozumiem, jak mogły dotrzeć tak daleko. Szukamy ich już niemal trzy godziny. Dotarliśmy dużo dalej, niż zdołałyby dotrzeć dwie małe dziewczynki, szczególnie po zmroku. Może coś przeoczyliśmy? Może nie zauważyliśmy miejsca, w którym zboczyły ze ścieżki? A może postanowiły gdzieś się schronić?

- Albo zdecydowały, że pójdą w drugą stronę przy rozwidleniu. - Juri machnął ręką w geście rezygnacji i zarzucił strzelbę na ramię. - Może przypomniały sobie, że aby trafić do letniego obozowiska, trzeba skrócić w lewo. Mamy przecież mądre siostry. Zapamiętują różne rzeczy, mimo że nam się wydaje, że w ogóle nas nie słuchają.

- No cóż, ale mimo wszystko były na tyle głupie, że się tu zapuściły
- odpowiedział Dalton. W tej samej chwili wychwycił jakiś odgłos. Dźwięk ten przypominał stłumione miauknięcie. - Co to było?

- Nic nie słyszałem.

Dalton uniósł lampę wysoko w górę. Przeszedł kilka kroków wzdłuż szlaku i znowu zaczął nasłuchiwać. Cisza.

- Wydawało mi się, że słyszałem... - Zamilkł. - O, znowu ten dźwięk!

- Tym razem ja też coś słyszałem - potwierdził Juri. - Iliana! Britta!

Dalton poszedł za przykładem przyjaciela i zaczął wykrzykiwać imiona dziewczynek.- Britta!

- Pomocy! - rozległ się jakiś głos. Ledwo dało się go usłyszeć, ale nie ulegało wątpliwości, że to któraś z dziewczynek.

Juri i Dalton zaczęli biec w górę szlaku, nie patrząc pod nogi. Kilka razy zdarzyło im się poślizgnąć i upaść w błoto, ale jakoś zdołali uniknąć poważnych obrażeń.

- Iliano, to ja, Juri! Gdzie jesteś?

- Tutaj - rozległ się stłumiony głos. Mężczyźni zatrzymali się.

- Nie przestawaj mówić, Iliano - nalegał Juri. - Idę do ciebie, ale cię nie widzę. Czy widzisz światło? - Podniósł w górę lampę, a Dalton zrobił to samo.

- Tak, widzę - odpowiedziała, wyraźnie podekscytowana.

- Czy jest z tobą Britta? - zapytał Dalton, idąc z Jurim w jej stronę.

-Nie.

Wpadł w przerażenie.

- Gdzie ona jest, Iliano?

- Spadła z góry.

Dalton gwałtownie się zatrzymał.

- Gdzie to się stało, Iliano?

Głos dziecka stał się teraz dużo wyraźniejszy.

- Widzę wasze światełko. Widzę je!

W tej samej chwili Juri zauważył wreszcie dziewczynkę.

- Jest, widzę ją! - Pobiegnął w górę szlaku i uklęknął przed siostrą.

Chwilę później dotarł do nich Dalton, a Juri podał mu lampę, po czym podniósł Ilianę i zaczął ją tulić. - Gdzie jest Britta? Czy potrafisz wskazać nam drogę?

- Nie wiem. Byłyśmy tam, wyżej... - odpowiedziała Ilia-na. - Jestem taka zmęczona.

- Ona zamarza - powiedział Juri. - Przemokła do suchej nitki. Wyjmij koc z mojego plecaka.

Dalton szybko postawił obie lampy na ziemi i zrobił to, o co prosił go przyjaciel. Przez cały czas próbował jednak wydobyć z dziewczynki więcej informacji.

- Iliano, musimy odnaleźć moją siostrę. Potrzebujemy twojej pomocy.

- Kiedy spadła na dół, powiedziałam, że pójde poszukać pomocy.

Zrobiła sobie coś w nogę.

- Jak dawno to było, kochanie? - zapytał Dalton, owijając ją kocem.

- Niedawno.

Juri mocno ją opatulił.

- Powinniśmy rozpalić ognisko.

- Musimy zawiadomić ojca i Josha, że ją znaleźliśmy. Dalton sięgnął przez ramię i wyjął broń. Cofnął się o kilka kroków i oddał dwa strzały w ciemne niebo ponad ich głowami.

Ku jego zaskoczeniu chwilę później rozległy się dwa kolejne strzały. Nie byli tak daleko. Może jego ojciec i Josh nic nie znaleźli, i postanowili zawrócić, żeby pomóc Juriemu i Daltonowi w poszukiwaniach.

- Wygląda na to, że wkrótce do nas dołączą. Pójde po drewno. Jeżeli uda nam się rozpalić ognisko, Iliana się rozgrzeje i może zdoła nam pomóc w odnalezieniu Britty.

Dalton nie był zachwycony, że nie ruszają od razu na poszukiwanie jego siostry, ale wiedział, że jeżeli nie zachowają ostrożności, Ilianie grozi hipotermia, a potem śmierć. Miał oczywiście świadomość, że Britta jest w tej chwili równie zmarznięta i przemoczona.

Daltonowi udało się znaleźć pod kłodami zwalonych drzew w miarę suche patyki. Wetknął je sobie pod kurtkę, po czym wszedł nieco głębiej w las. Wracając z naręczem drewna, usłyszał, jak Juri błaga siostrę:

- Obudź się, Iliano. Nie zasypiaj. Jest za zimno, nie możesz teraz zasnąć. - Kołysał ją i lekko poklepywał po twarzy, żeby ją wybudzić.

- Zaraz rozpalę ogień - powiedział Dalton, rzucając drewno na grzaską ziemię. Klęknął, czując, jak wilgoć natychmiast przenika przez jego ubrania. Po chwili udało mu się rozpaścić ogień.

Juri przykucnął obok, z siostrą w ramionach. Wkrótce zajęły się większe polana i buchnął z nich ogień.

- Zobacz, Iliano, zaraz cię rozgrzejemy.

- Daltonie! Juri! - usłyszeli wołanie gdzieś w dole. Dalton wstał i odpowiedział:

- Jesteśmy tutaj. Idźcie dalej w górę szlaku.

- Znaleźliście je?

- Znaleźliśmy Ilianę. Mówi, że Britta spadła w dół zbocza. Nie wiemy, gdzie to się dokładnie stało. - Jego ojciec nic nie odpowiedział, a Dalton szybko zerknął na Juriego, dając mu znak, żeby nie wspominał, że Britta zraniła się w nogę. - Wyjdę im na spotkanie. Przyniesiemy więcej drewna.

Ruszył szlakiem w dół, trzymając w dłoni lampę. Wkrótce dostrzegł cienie przedzierające się przez ciemną ścianę świerków.

- Widzę światło rzucane przez wasze lampy.

- A my widzimy twoje.

Minęło jeszcze kilka minut. Wreszcie Kjell oraz Joshua pojawili się na szlaku tuż przed nim. Jego ojciec wyraźnie kulał.

- Co się stało? - zapytał Dalton, wskazując prawą nogę Kjella.

- Zahaczyłem stopą o jakiś korzeń - odpowiedział ojciec z wyraźnym niezadowoleniem. - Skręciłem kolano. Gdzie Iliana?

- Została z Jurim. Jest mokra i przemarznięta. Rozpaliliśmy ognisko, ale potrzebujemy więcej drewna. Iliana nie wie, gdzie jest Britta. Pamięta tylko, że zostawiła ją gdzieś wyżej na szlaku.

Kjell skinął głową. Mężczyźni szybko zebrali chrust. Niektóre gałęzie były wilgotne, ale te znajdujące się pod nimi wydawały się suche.

Po jakimś czasie wrócili do ogniska. Iliana leżała w pólśnie w ramionach Juriego.

- Nie rozgrzała się - powiedział Juri. - Dalej dygocze z zimna.

- Powinieneś zdjąć z niej mokre ubrania i owinąć ją w suchy koc - oznajmił Kjell.

- Idę szukać Britty - zdecydował Dalton.

- Może najpierw przebierzemy Ilianę, a Josh zabierze ją do domu? - Kjell spojrzał na przyjaciela. - Mógłbyś to zrobić?

- Oczywiście. - Joshua przeniósł wzrok na Juriego. - O ile nie masz nic przeciwko temu. Jeżeli wolisz z nią wrócić, ja zostanę i pomogę w dalszych poszukiwaniach.

- Nie, chcę pomóc w odnalezieniu Britty - powiedział Juri, patrząc na Daltona. - Jest dla mnie jak siostra.

Podjęli ostateczną decyzję i szybko wzięli się do pracy. Kjell dołożył do ognia, a tymczasem Juri rozebrał Ilianę. Zdjął swoją kurtkę i przełożył przez głowę koszulę.

- Dam jej swoje ubranie.

Kiedy skończyli, Josh podniósł dziewczynkę i wziął ją w ramiona.

- Zaniosę ją do domu tak szybko, jak tylko będę mógł. Chociaż bez światła to nie będzie łatwe. Nie wiem, czy zdołam utrzymać jednocześnie i lampę, i Ilianę.

Dalton widział, że ojcu coraz bardziej dokucza obolała noga. Miał świadomość, że powinien jak najszybciej schro-

nić się przed wilgocią i chłodem. Dalton wyciągnął w końcu dłoń i dotknął ramienia Kjella.

- Wróc z Joshem. Odnajdę Britte. Obiecuję. Znasz drogę powrotną lepiej niż ktokolwiek inny.

- Nie mogę tak po prostu wrócić - zaprotestował Kjell. - To moje dziecko.

- Wiem - odpowiedział Dalton. - I moja siostra. Słuchaj, jeśli zajdzie taka potrzeba, Juri i ja przeczeszymy całe zbocze. Wróc z Joshem i zadbaj o to, żeby Iliana dotarła bezpiecznie do domu. - Nie wspomniał o nodze Kjella. Nie musiał.

Ojciec zastanawiał się przez chwilę i wreszcie skinął głową.

- Wrócę do was tak szybko, jak tylko będę mógł.

- Mam nadzieję, że dotrzemy do domu, jeszcze zanim zdążysz wyruszyć w drogę powrotną.

Dalton wiedział, że jego ojciec podjął właśnie bardzo trudną decyzję. Kjell nie był już tak silny jak dawniej. Dało się to także zauważyć na placu budowy. Daltonowi trudno było zaakceptować fakt, że jego ojciec robił się coraz starszy. Musiał jednak się z tym pogodzić: wiedział przecież, że Kjell przez całe swoje życie ciężko pracował, a to musiało wpłynąć na jego zdrowie. Dalton nie chciał, żeby Kjell ryzykował życiem, próbując odnaleźć Britte. Sama myśl, że ojcu mogłoby się coś stać, była dla niego koszmarem.

Kjell i Josh udali się z Ilianą w drogę powrotną, a Dalton i Juri ruszyli szybko w górę szlaku. Co jakiś czas nawoływali Britte, ale nie było odpowiedzi. Juri wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Musieli znaleźć ją jak najszybciej. Jeżeli zraniła nogę, mogła krwawić. Niespodziewanie do-

tarli do kolejnego rozwidlenia, a na twarzy Daltona pojawiła się irytacja.

- W którą stronę poszły? Juri zaczął badać ziemię.

- Ślady prowadzą w obu kierunkach. Może nie wiedziały, co robić, i w końcu zmieniły zdanie.

- Nie mamy wyboru. Ty idź w lewo, a ja pójdę w prawo. Britta nie może być daleko - zdecydował Dalton.

- Dobrze. - Juri podporządkował się decyzji przyjaciela. Wiedział, jak strasznie musi czuć się Dalton. Sam jeszcze niedawno, kiedy szukali Iliany, miał wrażenie, że jeszcze chwila i zwariuje. Najgorsza wydawała się bezsilność i nie-dająca spokoju myśl o tym, że dziewczynki gdzieś tam są, narażone na setki niebezpieczeństw.

- Britta! - wołał Juri. Szedł wzdłuż szlaku, trzymając lampę jak najwyżej, by oświetlić sobie drogę. W pewnym momencie zauważył miejsce, w którym ścieżka zbliżyła się do krawędzi zbocza. Zaczął szukać śladów, ale niczego nie dostrzegł.

Ruszył dalej, dokładnie badając uskoki.

- Britto, to ja, Juri! Gdzie jesteś?

- Juri?

Głos był słaby i przytłumiony. Juri zatrzymał się.

- Britto, gdzie jesteś?

- Spadłam. Jestem tu, na dole.

Zbliżył się do miejsca, w którym ścieżka dochodziła do opadającego w dół zbocza góry.

- Mów do mnie, Britto. Pójdę za twoim głosem.

- Zraniłam się w nogę - powiedziała. - Chyba jest złamana.

Juri ruszył w kierunku, z którego dochodził jej głos. Odsunął lampę na bok i spojrział w dół. Tam, jakieś dwa i pół

metra niżej, na niewielkiej półce skalnej, dostrzegł leżącą w błocie Britte.

- Widzę cię. Nie ruszaj się - nakazał Juri. Szybko wyciągnął linę. - Zrobię teraz pętlę na tej linie, Britto. Kiedy ci ją rzucę, musisz przełożyć ją przez głowę i umocować pod ramionami. Słyszysz mnie?

- Słyszę cię, Juri.

Obwiązał jeden koniec liny wokół świerkowego konaru, który stał po drugiej stronie ścieżki. Liczył na to, że dzięki temu umocowaniu - gdyby nawet ziemia nagle się osunęła, kiedy będzie wyciągał Britte - lina będzie dobrze zabezpieczona.

- Uważaj, Britto, rzucam ci ją. - Ustawił lampę tak, żeby jak najwięcej widzieć. Nie było to łatwe, ale po chwili udało mu się spuścić linę tak, by wylądowała tuż obok dziewczynki. - A teraz obwiąż się nią. Ja w tym czasie dam Daltonowi sygnał, że cię znalazłem.

Britta przełożyła pętlę przez głowę i wsunęła linę pod ramiona. Juri szybko sięgnął po strzelbę i oddał dwa strzały. Wiedział, że Dalton wkrótce się zjawi.

-Jestem gotowa - zawołała Britta słabym, drżącym głosem.

- Dobrze. Wiem, że boli cię noga, ale musisz wstać. Kiedy pociągnę linę, musisz spróbować odpychać się od zbocza, tak jakbyś stawiała kolejne kroki. Inaczej poranisz się o skały. Rozumiesz?

Podniosła się z trudem.

- Postaram się, ale to bardzo boli.

- Wiem, kochanie. Posłuchaj, będzie bolało tylko przez pierwszych kilka minut. Później to minie. Kiedy zacznę ciągnąć, możesz odbijać się tylko zdrową nogą. A teraz przygotuj się. Zaczynamy.

Pociągnął linę i zorientował się, że idzie mu zdecydowanie łatwiej, niż przypuszczał. Britta musiała ważyć niewiele ponad dwadzieścia kilo. Usłyszał jej krzyk, ale nie prosiła, żeby przestał. Juri wiedział, że zaraz ją wydostanie.

Kiedy zza krawędzi wyłoniła się głowa Britty, zablokował linę i wyciągnął rękę w stronę dziewczynki.

- Chwyć mnie.

Zrobiła, co kazał, a Juri szybko ją złapał i wyciągnął. Przetoczył się na moką ziemię i przyciągnął dziewczynkę do siebie.

- Jesteś już bezpieczna.

Britta objęła jego szyję i zaczęła płakać.

- Kocham cię, Juri. Uratowałeś mnie.

- Juri! Britta! - zawołał Dalton.

- Tu jesteśmy! - odpowiedział Juri. Udało mu się wstać, trzymając Britte w ramionach. W tej samej chwili dobiegł do nich Dalton.

- Britta! - Dalton zbliżył się szybko do Juriego i wziął siostrę na rękę.

- Juri mnie uratował - oznajmiła. - Wciągnął mnie liną na górę.

Dalton posłał Juriemu pełne wdzięczności spojrzenie.

- Wiem. To wyjątkowy gość, prawda? Britta skinęła głową i zamknęła oczy.

- Pewnego dnia zostanie moim mężem.

- Nie jest złamana - oznajmiła Zee po zbadaniu nogi Britty. - Na szczęście tylko skreśliłaś kostkę. Miałaś dużo szczęścia, panno Britto. Ty też, Kjell. Masz opuchnięte kolano, ale jeżeli będziesz oszczędzał chorą nogę, szybko z tego wyjdiesz.

- Chyba nie mam dużego wyboru. - Przeniósł wzrok na stojącą obok Lydię. - Prawda?

- Nie masz. Będziesz bardzo posłusznym pacjentem -odpowiedziała. - Nawet gdybym musiała cię w tym celu związać.

- Juri mnie uratował - oznajmiła Britta, ignorując słowa matki. Uśmiechnęła się promiennie do swojego bohatera. -Był taki dzielny.

- To prawda - powiedziała Lydia. - Bardzo ci dziękujemy za to, co zrobiłeś.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Odwrócił się i spojrzał na swoich rodziców, którzy siedzieli przy Ilianie. - To był dość ekscytujący wieczór.

- To wielkie szczęście, że dziewczynki wróciły całe i zdrowe - dodała Daria.

- No cóż, wszyscy są głodni - oznajmiła Zee. - A mamy przecież gotową kolację.

- Umieram z głodu - wtrąciła Britta. - Kiedy następnym razem wybiorę się na wycieczkę, wezmę z sobą zapasy.

- Nie będzie żadnego następnego razu, młoda damo -napomniął ją Kjell. - Rozumiesz? Nigdy więcej tak nie znikniesz, nikogo o niczym nie uprzedzając.

Britta spuściła głowę i przytaknęła.

- Rozumiem. Po prostu nie chciałyśmy, żeby Iliana wyjeżdżała.

Daria przytuliła swoją córkę.

- Mogłyście zginąć. Przykro mi, że musimy wyjechać, ale na zawsze pozostaniecie przyjaciółkami. Dzieląca was odległość nie zdoła tego zmienić, o ile na to nie pozwolicie.

Rozdział 29

KWIECIEŃ 1890 ROKU

Podczas gdy Lydia i Phoebe kończyły przygotowania do przyjęcia urodzinowego Joshuy, Dalton ruszył do miasteczka, żeby ustalić szczegóły umowy, którą miał zawrzeć z Jurim i jego ojcem. Pan Bielikow słuchał swojego syna z poruszającą czułością i współczuciem. Dalton pomyślał, że gdyby ten człowiek już wcześniej okazywał Juriemu więcej miłości i zachowywał się mniej krytycznie, być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Czasem wydaje mi się, że tylko dzięki alkoholowi potrafię stawić czoło codzienności - powiedział Juri.

- To może być ogromna pokusa, nawet dla mnie - przyznał jego ojciec.

- To nawet nie pokusa, tylko raczej obietnica doznania ulgi. Nawet jeśli chodzi tylko o kilka godzin spokoju - pokręcił głową Juri.

- Ulgi? - zapytał Dalton. Juri skinął głową.

- Tak. Ulgi. Zapomnienia choć na chwilę o tym, jak kompletnie jestem beużyteczny, jak wiele poniosłem w życiu porażek, jak bardzo brakuje mi celów i ambicji. Właśnie dlatego piję: żeby zapomnieć. Kiedy mam we krwi wystarczająco dużo alkoholu, czuję się nagle zdolny do podejmowania odważnych decyzji. A wtedy jeszcze bardziej kuszą mnie karty.

- A więc to właśnie ze względu na dług karciany nie chciałeś, żeby Dalton wykupił połowę udziałów w interesie? - zapytał jego ojciec.

Juri przytaknął.

- Miałem świadomość, że jeśli się zgodzisz, odkryje, co zamierzałem zrobić po waszym wyjeździe. Nienawidziłem się za to. Także dlatego powiedziałem ci, że nie chcę, żeby Dalton dłużej z nimi pracował. Wiedziałem, że będzie musiał sobie znaleźć pracę gdzie indziej. Nie zdawałem sobie sprawy, że ma aż tyle pieniędzy. - Juri roześmiał się. - Jeżeli nie będzie ostrożny, wkrótce wykupi całą Sitkę.

- Nie chcę wykupić całej Sitki - zapewnił Dalton. - Chcę tylko mieć swój mały kawałeczek.

Pan Bielikow spojrzał raz jeszcze na Daltona.

- Czy na pewno chcesz kupić warsztat? Zrozumiem, jeżeli się na to nie zdecydujesz. Już i tak udzieliłeś mi ogromnej pożyczki, która pozwoli pokryć koszty podróży.

- Tak. Jestem tego pewien. I tak zamierzałem wybudować własny warsztat. Zresztą łączy mnie z tym miejscem wiele wspomnień. - Uśmiechnął się i rozejrzał po pomieszczeniu. - Mam poczucie, że właśnie tutaj stałem się mężczyzną.

- Robiliśmy tu wspaniałe rzeczy - zgodził się pan Bielikow, patrząc na Daltona, a później przenosząc wzrok na swojego syna. - Zabiorę te piękne wspomnienia do Rosji. Będę za wami tęsknił.

- Bez pana to już nie będzie to samo - powiedział smutno Dalton.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Bielikow. - Nie będziesz przecież miał żadnych pracowników.

- Chcę zatrudnić kilku tlingickich chłopców, którzy w szkole zdobyli odpowiednie kwalifikacje do wykonywania tego zawodu. Wierzę, że przy odrobinie ciężkiej pracy

i dobrej reklamie mam szansę stworzyć jeden z najlepszych zakładów skutniczych na Alasce.

Dalton spojrział na swojego przyjaciela.

- Proponowałem Juriemu, żeby został, ale wydaje mi się, że nie ma do tego serca.

- A do czego masz serce? - zapytał syna pan Bielikow.

- Chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie. Wiem, że nie jestem w tym fachu choćby w połowie tak dobry jak Dalton. Proponował, bym przez jakiś czas popracował z jego ojcem i może rzeczywiście to zrobię. A poza tym... sam nie wiem, może zostanę rybakiem? - Uśmiechnął się szeroko. - Mógłbym kupić jedną z łodzi Daltona.

Dalton cieszył się, że Juri stara się zachować żartobliwy ton, ale wyraz twarzy pana Bielikowa nie pozostawiał wątpliwości: mężczyzna martwił się o syna. Z jego ponurej miny Dalton wyczytał, że Bielikow obawia się, iż Juri znów zacznie się zadawać z ludźmi, którzy wpędzili go w tak poważne kłopoty.

- Niezależnie od decyzji, jaką podejmie Juri, wiem, że pozostaniemy przyjaciółmi. - Dalton miał nadzieję, że pan Bielikow zrozumie, co miał na myśli. Nawet jeśli Juriego kusiłby dalej alkohol i hazard, Dalton postara się dopilnować, żeby drugi raz nie popełnił tego samego błędu.

Pan Bielikow westchnął.

- Skoro przyjąłeś te warunki, Daltonie, mogę ci tylko dziękować. To dla mnie ogromna ulga, że dzięki temu rozwiążą się problemy Juriego, a warsztat pozostanie w rękach przyjaciela rodziny.

- Ja też się z tego cieszę - zapewnił Juri, zwracając się do Daltona. - Mam nadzieję, że wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Dalton położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Wiem. Wiem też, jak to jest, kiedy człowiek nie może odnaleźć swojego miejsca w życiu i czuje się zagubiony.

Mam nadzieję, że wkrótce odkryjesz swoje powołanie. Niezależnie od drogi, jaką wybierzesz, zawsze będziesz miał we mnie przyjaciela. Juri spoważniał.

- Czy mógłbyś mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę. Dalton pokiwał głową.

- O co chodzi?

- Czy zgodziłbyś się pójść ze mną uregulować dług? -Juri zmarszczył brwi. - Boję się, że mógłbym... no cóż, chodzi o to... mógłbym ulec pokusie i tam zostać.

- Oczywiście - zapewnił Dalton. - Chętnie będę ci towarzyszył.

- Wczoraj nocowaliśmy tu po raz pierwszy - powiedziała Phoebe, oprowadzając matkę po nowym domu. Nie potrafiła ukryć podekscytowania. - Było naprawdę wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że panuje tu taka cisza. Nie da się tego porównać z życiem w miasteczku. Dalton i jego ojciec zdecydowali, że ganek będzie się ciągnął także z boku i na tyłach budynku. Dzięki temu będziemy mogli spędzać sporo czasu na dworze, nawet podczas deszczu. To świetny pomysł, prawda?

- Phoebe, to naprawdę wspaniały dom - oznajmiła jej matka. - Trudno mi uwierzyć, że jest tak duży.

- To prawda. - Phoebe roześmiała się. - Kiedy go budowali, nie potrafiłam sobie tego wszystkiego wyobrazić. Powtarzałam: „Och, na pewno okaże się dla nas wszystkich za ciasny. Potrzebujemy więcej przestrzeni”. Ale teraz wydaje się naprawdę potężny... zwłaszcza kiedy myślę o tym, że będzie trzeba go sprzątać. Nawet Theodore i Grady będą tu mieli dla siebie wystarczająco dużo miejsca.

Matka dotknęła dłoni Phoebe.

- Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Czy stało się coś złego?

- Mam nadzieję, że tak o tym nie pomyślisz - odpowiedziała starsza kobieta. - Chodź, usiądź przy mnie, wszystko ci wyjaśnię.

Phoebe poczuła niepokój. O co mogło chodzić? Przeszła z matką do salonu, gdzie stało już kilka krzeseł i sofa zrobiona przez ojca Daltona. Phoebe usiadła obok matki i wzięła ją za rękę.

- A teraz mów, o co chodzi.

- Długo się nad tym wszystkim zastanawiałam i po wielu modlitwach podjęłam ostateczną decyzję: zamierzam wrócić z chłopcami do Vermont.

- Nie! - zawołała Phoebe, potrząsając głową. - Nie wyjeżdżajcie. Dlaczego mielibyście teraz wyjeżdżać? Mamy przecież dom i mnóstwo pieniędzy.

Matka poklepała ją po dłoni.

- Kochanie, dom jest wspaniały, ale muszę wziąć pod uwagę także inne czynniki. Theodore będzie musiał wkrótce zacząć studia, Grady niedługo pójdzie w jego ślady, a jest nawet inteligentniejszy od brata. Jego nauczycielka powiedziała mi, że przekazała mu już prawie wszystko, co mogła.

- Nie miałam o tym pojęcia. Jej matka ciągnęła dalej:

- Ja też nie. Grady zawsze był zdolny, ale wygląda na to, że po stracie ojca bez reszty poświęcił się nauce, szukając w niej pocieszenia. Jego nauczycielka uważa, że najpóźniej za rok będzie gotowy do wstąpienia na uniwersytet.

- To rzeczywiście zmienia postać rzeczy. Tu istotnie nie miałby szans na gruntowną edukację - zgodziła się Phoebe. - Ale co ja bez ciebie zrobię? - Spojrzała na matkę i potrząs-

nęła głową. - Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogłabyś wyjechać. Nie po... po śmierci ojca.

- Wiem. Przykro mi, że nic ci o tym nie mówiłam. Nie chciałam cię zasmucać, zanim nie nabrałam pewności. Napisałam do siostry. Jej mąż ma znaleźć dla nas dom. Wyjedziemy z chłopcami, gdy gubernator wróci z kontroli pobliskich wysp. Ruszymy na południe na pokładzie „The City of Topeka”, a potem z San Francisco pojedziemy dalej na wschód.

- No cóż, postaramy się jak najlepiej zorganizować waszą podróż - powiedziała Phoebe. - Dalton wszystkim się zajmie. Moglibyśmy nawet towarzyszyć wam w drodze na południe. Dalton i tak musi uzupełnić zaopatrzenie.

- Byłoby wspaniale, gdybym mogła cieszyć się twoim towarzystwem choć trochę dłużej - powiedziała jej matka. - Muszę też przyznać, że liczyłam na... pomoc finansową Daltona. - Spuściła głowę. - Twój ojciec zostawił nam bardzo niewiele. Gubernator Knapp był tak dobry, że wypłacał mi uposażenie, ale ledwo mogliśmy się z tej sumy utrzymać.

- Dlaczego nic nie mówiłaś? - zapytała Phoebe z wyrzutem. - Z przyjemnością byśmy wam pomogli. Och, mamu, proszę, nie mów mi tylko, że chodziliście głodni.

- Oczywiście, że nie. Zresztą mogłam sprzedawać świece. Dalej zamierzasz je wyrabiać, prawda? To coś, co będzie nas łączyło.

Phoebe przytaknęła.

- Trudno tu o regularne zaopatrzenie, ale Dalton znalazł ostatnio inną możliwość sprowadzania tu pszczelego wosku. Zamierzałam zaskoczyć cię tą wiadomością, ale skoro wracasz do Vermont, to nie ma już takiego znaczenia.

- Pisz do mnie, gdybyś tylko czegoś potrzebowała. Zawsze chętnie prześlę ci potrzebne materiały. Oczywiście

dzięki znajomości z Zee wprowadziłaś do naszego asortymentu wiele nowych zapachów bazujących na miejscowych kwiatach i ziołach. Będę za nimi tęskniła.

- Mogę je suszyć i przysyłać ci od czasu do czasu - zapewniła Phoebe.

- Cieszę się, że zamierzasz kontynuować rodzinną tradycję. Mam nadzieję, że nauczysz tajników produkcji świec także swoją córkę.

- Oczywiście - zapewniła Phoebe, czując, że słowa więzną jej w gardle.

Wstała i podeszła do kominka.

- Nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżacie. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Miałam nadzieję, że ustalimy szczegóły waszej przeprowadzki i przeniesiecie się w przyszłym tygodniu. Myślałam, że wybierzemy kolor zasłon i inne tego typu rzeczy... - Łzy napłynęły jej do oczu. - Wiem, że to dobra decyzja - dodała Phoebe, starając się zachować nad sobą panowanie. - Theodore i Grady muszą pójść do dobrych szkół. Myślę, że będą szczęśliwsi w Vermont. Tutaj mają bardzo ograniczone możliwości. Na wschodzie zdobędą wyższe wykształcenie i znajdą dobrze płatne stanowiska. A jeśli Grady jest tak mądry, jak twierdzi nauczycielka... kto wie, co mógłby pewnego dnia osiągnąć.

Phoebe wpatrywała się w matkę tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Starsza kobieta wyglądała na zmęczoną. Życie na Alasce okazało się trudne i odcisnęło na niej swoje piętno.

- Ty też będziesz tam szczęśliwsza. - Phoebe uśmiechnęła się mimo ciężaru, który czuła na sercu. - A to jest dla mnie najważniejsze.

- Nie będziemy tam tak... odizolowani jak tutaj - odpowiedziała jej matka. - Czasem czułam się tu bardzo samotna. Nie chodziło nawet o ludzi. To trudne do wyjaśnienia,

ale wynika chyba z faktu, że przez większą część życia mieszkałam w miejscu, w którym dostęp do kultury i rozrywek był dużo lepszy. W Sitce nie potrafię przyzwyczać się nawet do pogody.

- Kiedy tu przyjechaliśmy, też nie sądziłam, że kiedykolwiek zdołam pokochać coś w Sitce - przyznała Phoebe.

- Nie znosiłam jej zapachu, a tutejsi ludzie wydawali mi się szorstcy i przerażający.

- Ale teraz masz nieco inne zdanie - stwierdziła jej matka z uśmiechem.

- Tak wiele się zmieniło. Czuję się tak... jakbym... dzięki temu miejscu wydorosła i zaczęła lepiej rozumieć pewne rzeczy. Tak wiele dowiedziałam się tu o życiu, o innych ludziach... - Phoebe znowu usiadła przy matce na kanapie. - Jestem naprawdę szczęśliwa. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Myślę, że zawsze będziesz tu szczęśliwa, córko. Dal-ton to bardzo dobry człowiek. Trochę się niepokoiłam, bo przed ślubem znaliście się naprawdę krótko. Obawiałam się, że to za mało, żeby zbudować na tym małżeństwo. Cieszę się, że się myliłam.

Phoebe pomyślała o swoim mężu.

- Kiedy rozmawiałam dawniej z przyjaciółkami i każda z nas opowiadała o mężczyźnie, za którego chciałyby wyjść, często powtarzałam, że pragnę człowieka śmiałego i przystojnego, który byłby we mnie szalenie zakochany.

- Wygładziła rękawy i wzruszyła ramionami. - I dokładnie to dostałam.

- Mam nadzieję, że będziecie mnie odwiedzali przynajmniej raz do roku. Zwłaszcza kiedy urodzą się moje wnuki.

Myśl o tym, że urodzi dzieci, nie mając przy sobie matki, pogłębiła smutek Phoebe. Nic jednak nie powiedziała. Pokiwała tylko głową.

- Możesz na to liczyć, mamó. Możesz na to liczyć. Ale ty też musisz nas tu odwiedzać, o ile podróż nie okaże się dla ciebie zbyt męcząca.

Jej matka roześmiała się.

- Nie jestem aż tak stara. Kto wie, co się stanie, kiedy Theodore i Grady ułożą już sobie życie? Może nawet wrócę do Sitki.

- Mam taką nadzieję. Liczę na to, że będziesz przynajmniej przyjeżdżała w odwiedziny. Będę za tobą tak bardzo tęskniła. - Objęła matkę i mocno ją przytuliła.

- Zawsze pozostaniemy sobie bliskie, dziecko. Niezależnie od dzielącej nas odległości. Zawsze będziemy sobie bliskie.

Phoebe całkowicie oddała się dźwiękom *Adagia* z *Koncertu d-moll* Alessandra Marcella. Utwór ten został napisany na obój, ale ponieważ w orkiestrze Sitki nikt nie grał na tym instrumencie, Lydia postanowiła odpowiednio go zaadaptować. Dźwięki fletu Phoebe brzmiały niemal magicznie, gdy splatały się z delikatną harmonią strun.

Pod wpływem muzyki do jej oczu napłynęły łzy. Myślała o wyjeździe matki i braci. Trudno było jej sobie wyobrazić, że porzucą Sitkę. Kiedy przekazała Daltonowi te wieści, jego czułość i łagodność sprawiły, że straciła nad sobą panowanie. Zaczęła łkać w jego ramionach, a on nawet nie próbował jej uspokajać. Zdawał się rozumieć, że musiała dać upust łzom - opłakać stratę, która nawet jeszcze nie nadeszła.

Matka powiedziała jej kiedyś, że odnalezienie tej wyjątkowej osoby, z którą dzieli się życie - bratniej duszy, która rozumie radości i smutki naszego serca - to największe błó-

goślawieństwo, na jakie można liczyć. Phoebe znalazła tę osobę: był nią Dalton Lindquist.

Kiedy ucichły ostatnie dźwięki, goście zgromadzeni na przyjęciu urodzinowym Joshuy Broadstreeta zaczęli z entuzjazmem bić brawo. Radosne okrzyki utwierdziły Phoebe w przekonaniu, że występ przypadł publiczności do gustu.

Phoebe wymknęła się do sąsiedniego pokoju, oczyściła flet i odłożyła go tak delikatnie niczym matka, która układa do snu własne dziecko. Znajdowała w muzyce prawdziwe spełnienie. W milczeniu dziękowała Bogu za to, że zaprowadził ją w to miejsce i pozwolił jej rozwijać talent, którym ją obdarzył.

- To było niesamowite, Phoebe - powiedział Dalton, zbliżając się do niej. Wziął żonę w ramiona i zakręcił nią w powietrzu. - Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego. Matka twierdzi, że to naprawdę niezwykle występ, i choć słyszałem, jak ćwiczyłaś ten utwór, wasz koncert zrobił na mnie ogromne wrażenie.

Uśmiechnęła się do niego.

- Odkryłam, że nie byłam przygotowana na to, co znalazłam na Alasce... włącznie z tobą. Myślałam, że przybywam na dzikie pustkowia, gdzie pograżę się w samotności i tęsknocie. Zamiast tego odnalazłam większe spełnienie, niż kiedykolwiek mogłabym się spodziewać.

Delikatnie ją pocałował.

- Czuję to samo - szepnęła, zbliżając swoje usta do jej ust. Phoebe objęła go w pasie i mocno przytuliła.

- Kocham cię. Jesteś tak ważną częścią mnie, że mam poczucie, jakbym kochała cię od zawsze.

Cofnął się o krok i uśmiechnął.

- Czasem wydaje mi się, że patrzysz prosto w moje serce i odczytujesz słowa, które tam znajdujesz.

Wyciągnęła dłoń i delikatnie pogłaskała jego twarz. Uśmiechnęła się.

- To dlatego, że te same słowa znajdują się także w moim sercu. -
Oparła głowę na jego piersi. Rytmiczne bicie serca Daltona przywiodło jej na myśl pulsujące dźwięki *Adagia*. Jego głęboką słodycz.

- No chodź, leniuchu - zawołał Dalton, lekko poklepując Phoebe po pupie. - Pospiesz się, bo wszystko przegapisz.

Ziewnęła i usiadła na łóżku. Złote włosy opadały na jej ramiona i plecy. Kiedy wrócili z przyjęcia Joshuy, Phoebe była tak zmęczona, że poprzestała na wyjęciu z nich szpilek.

- Pospiesz się, Phoebe - ponaglił ją Dalton.

Z trudem zmusiła się, żeby spuścić nogi z łóżka. Kiedy już wstała, czuła się tak, jakby ktoś prowadził ją na egzekucję. Włożyła szlafrok i kapcie, po czym poczłapała za mężem do drzwi balkonowych, które znajdowały się w ich sypialni. Dalton zdążył już wyjść na dwór. Przyłożył palec do ust i dał jej znak, żeby do niego dołączyła.

Phoebe stłumiła kolejne ziewnięcie, po czym wyszła i poczuła chłodne powietrze poranka. Słońce, które niedawno wstało, delikatnie oświetlało port. W dole, pośród fal, radośnie pluskała się rodzina fok. Phoebe nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Mówiłem ci, że z tego balkonu będziemy mieli wspaniały widok - szepnął Dalton.

- Są cudowne. - Prawie się roześmiała, kiedy jedna z fok zaczęła bawić się z drugą w berka. Przypominało to igraszki maleńkich szczeniąt.

Dalton, stojąc za nią, otoczył Phoebe ramionami, po czym przyciągnął żonę do siebie. Nic nie mówił. Nie mu-

siał. Phoebe stała tam, wtulona w jego ciało, podczas gdy ledwo słyszalne dźwięki refrenu poranka spływały po dolinie, w miarę jak wyspa powoli się budziła, żeby zacząć kolejny dzień. Phoebe otrzymała w Sitce wiele wspaniałych darów. To właśnie tutaj zrozumiała, jak wielką miłością Bóg obdarza swoje dzieci. To tutaj poznała troskę i czułość, jakie mąż daje swojej żonie. I wreszcie tutaj znalazła ujście muzyka, którą nosiła w sercu. Tu było wszystko, o czym w życiu marzyła. Tu był jej dom.